

DUŃSKI KRYMINAŁ W NAJLEPSZYM WYDANIU „LITTERATURSIDEN”

MICHAEL KATZ KREFELD



WYKOLEJONY



RAVN DETEKTYW RAVN – BYSTRY I NIEODGADNIONY
JAK KRUK – NA TROPIE SKANDYNAWSKICH GRZECHÓW

MICHAEL KATZ
KREFELD
WYKOLEJONY

PRZEŁOŻYŁA
ELŻBIETA FRĄCZAK-NOWOTNY

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Always the same theme
can't you see We've got everything going on.
Every time you go away
you take a piece of me with you*.

Daryl Hall

*(ang.) I ciągle ten sam motyw / widzisz / wszystko nadal trwa. / Za każdym razem, gdy odchodzisz, / zabierasz część mnie ze sobą.

*Dla Lis, mojej żony,
która jest światłem mojego życia*

Sztokholm, 2013

Prolog

W promieniach wschodzącego słońca nad piętrzącymi się górami śmieci w Hjulscie latały krzyczące mewy. Na skraju złomowiska pracował stary buldożer. Buchał kłębami tłustego dymu, odcinającego się wyraźnie od przejrzystego zimowego nieba. W kabinie operatora siedział Anton. Miał na sobie grubą kurtkę puchową z zielonym logo wysypiska na piersi, brudną skórzaną czapkę z nausznikami naciągnął mocno na głowę. W ręku trzymał termokubek z dziubkiem, z którego od czasu do czasu popijał kawę. Zmęczony wyglądał przez szybę, słuchając muzyki z radia tranzystorowego. Nagle na stercie wysłużonych silników i złomowanych części samochodowych coś przykuło jego uwagę. Zwolnił, postawił kubek z kawą na desce rozdzielczej, wyszedł z kabiny i ruszył w stronę góry śmieci. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył nagą, szczupłą kobietę, która stała odwrócona do niego plecami i patrzyła na złomowisko. Zdjął rękawicę i z kieszeni na piersi wyciągnął komórkę. Szybko wybrał numer.

Anorektyczna kobieta stała po kolana w złomie, jakby to miało zabezpieczyć ją przed upadkiem. Patrzył na obciążnięte skórą kości, na białe, pokryte wapnem ciało, z daleka do złudzenia przypominające marmur. Nawet gałki oczne były pociągnięte wapnem. Rzymski posąg patrzący pustym wzrokiem na piętrzące się sterty złomu.

— Cześć, mówi Anton. Znalazłem kolejną...

— Co takiego? — usłyszał niezadowolony głos szefa.

— Kolejnego białego anioła.

— Jesteś pewien?

— Mam ją przed sobą. Wygląda tak samo jak cztery poprzednie. Co mam zrobić?

Po drugiej stronie rozległo się głębokie westchnienie.

— Musimy zadzwonić na policję. Jak zawsze.

1.

Zniszczony warsztat pograżony był w mroku. Dojmującą ciszę zakłócał jedynie szum prądnicy w rogu hali. Nad biegnącym przez środek warsztatu wąskim kanałem samochodowym unosiła się słaba niebieska poświata. Na dnie świeciła latarka i wydawała lekko syczący dźwięk. Rzuciła światło na skuloną nagą kobietę, leżącą na brudnej betonowej posadzce. Jej nogi i ręce były pokryte krwiami, długie jasne włosy pobrudzone zastygłą krwią, na skroniach miała otwarte rany. Wzdłuż kręgosłupa i na pośladkach niczym węże wiły się czerwone pręgi. Jakby ktoś niedawno ją pobił.

Masza otworzyła oczy i spojrzała w jasne, fluorescencyjne światło latarki. Zaczerpnęła powietrza. Poczowała strach i przyływ adrenaliny. Wszystkie mięśnie miała napięte, czuła suchość w gardle. Próbowała wstać, ale ból w podbrzuszu okazał się zbyt silny. Nie miała pojęcia, jak trafiła do tej cuchnącej dziury. Była obolała i otumaniona. Znów spróbowała się podnieść. Tym razem poszło jej nieco lepiej, oparła się o zimną, wilgotną betonową ścianę. Temperatura w hali była bliska zera, dziewczyna drżała z zimna. Obok niej w kanale leżał węzełek z ubraniem. Czerwona jedwabna sukienka, stringi i wysokie zamszowe botki w kolorze czekolady. To były jej rzeczy, rozpoznała je. Ktoś musiał je z niej zdjąć. Nie potrafiła sobie przypomnieć, jak do tego doszło. Nagle usłyszała hałas otwieranych drzwi gdzieś po drugiej stronie hali. Zaczęła się powoli podnosić. Do pomieszczenia wpadło nocne powietrze i na chwilę złagodziło mdlący odór smarów. Wspięła się na palce, sięgnęła do krawędzi kanału. Zobaczyła zbliżające się postacie. Trzy niskie sylwetki w środku, dwie potężniejsze po bokach. Tym trzem niższym kazano najwyraźniej zejść do kanału — ruszyły w dół wąskimi schodkami. Masza schyliła się po ubranie, próbowała osłonić się sukienką. Patrzyła na idące w jej stronę młode dziewczyny. Były w jej wieku, miały nie więcej niż osiemnaście, może dwadzieścia lat. Szczupłe, o słowiańskiej urodzie. Ostatnia chwiała się na nogach, najwyraźniej była pijana albo naćpana. Dwie pozostałe obejmowały się, jęczały cicho i się modliły. Masza rozpoznała słowa prawosławnej modlitwy, którą pamiętała z dzieciństwa. Kiedy dziewczyny zaczęły rozmawiać, zorientowała się, że mówią po rosyjsku.

— Nigdy stąd nie uciekniemy — szlochała najdrobniejsza z nich.

Masza chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Mimo bólu, próbowała ponownie.

— Kim jesteście? — udało jej się w końcu wydukać. — Co to za miejsce?

Nie zwracały na nią uwagi, stały, obejmując się. Powiodła wzrokiem po hali. Mężczyźni, którzy przyprowadzili dziewczyny, zniknęli. Szybko włożyła sukienkę, pobrudzoną smarem i krwią. Wyminęła przytulone postacie i zaczęła iść w stronę prowadzących na górę schodków. Musiała się stąd wydostać! Natychmiast!

Nagle drzwi się otworzyły i do hali weszło pięciu mężczyzn. Zainstalowane wzdłuż kanału świetlówki rozbłysły. Masza zastygła w bezruchu jak uciekająca zwierzyna złapana nagle w krąg światła. Podniosła dłoń, chcąc zasłonić oczy, ale światło było wszędzie. Instynktownie pochyliła się i zaczęła pełznąć z powrotem w stronę dziewczyn. Mężczyźni stanęli nad kanałem. W lodowatym powietrzu ich oddechy zamieniały się w parę, wyglądali jak smoki. Usłyszała, jak jeden z nich mówi coś po rosyjsku. Pozostałych głosów nie zdołała rozróżnić. Wydawało jej się, że słyszy albański, może serbski, ale nie była pewna.

— Tę! — zagrział nagle czyjś głos w ciemności. — Tamtą już załatwiliśmy.

Masza rozpoznała głos. Rozpoznała charakterystyczną chrypkę obecną w głosie mężczyzny, zarówno wtedy gdy mówił, jak i kiedy jęczał z rozkoszy. To on tu rządził. On kierował gwałtem, on zamachnął się na nią pejczem. Poczula, że trzęsą jej się nogi, nie mogła zaczerpnąć powietrza.

— Pomóż mi — wymamrotała. — Pomóż mi, Igor...

Przewróciła się, upadła na betonową posadzkę w głębokim, ciemnym kanale.

2.

Ragnar Bertelsen siedział na hotelowym łóżku, wpatrując się w ekran niewielkiego telewizora, wiszącego na przeciwległej ścianie. Był to mężczyzna mniej więcej pięćdziesięcioletni. Miał rzadkie włosy, natomiast klatkę piersiową i plecy silnie owłosione. Wokół bioder owinął sobie ręcznik z logo hotelu Radisson. Zawiązał go mocno, próbując ukryć potężny brzuch. Sięgnął po kieliszek prosecco.

— No proszę, niewiarygodna historia — odezwał się śpiewnym norweskim, patrząc nadal w telewizor, w którym właśnie nadawano wiadomości. — Niewiarygodna — powtórzył.

Drzwi łazienki się otworzyły i do pokoju weszła Masza. Jej nagie ciało o wąskich biodrach i małych piersiach błyszczało od balsamu, którym się nasmarowała po wzięciu prysznica. Ragnar oderwał na chwilę wzrok od ekranu telewizora i zerknął na jej pośladki. Przyglądał się, jak sięga po leżące na podłodze czarne stringi.

— Niesamowita historia!

Masza się odwróciła, Ragnar spuścił wzrok.

— Co się stało? — spytała, wkładając majtki.

— Pokazują tych górników w Chile. Dwa miesiące byli uwięzieni w kopalni. Właśnie ich wyciągnęli. Niewiarygodna historia.

Mężczyzna wskazał kieliszkiem na ekran telewizora. CNN nadawało relację z miejsca zdarzenia. Na nieco zamazanym nagraniu widać było uwolnionych górników, pozujących do zdjęcia razem z ratownikami i prezydentem kraju.

— Wszyscy byli uwięzieni?

Ragnar zmarszczył brwi.

— Tylko ci, którzy mają okulary przeciwsłoneczne. Nie słyszałaś o tym? Całą jesień pokazywano ich w wiadomościach.

— Nie oglądam telewizji, wolę czytać książki.

— Naprawdę? — Ragnar posłał jej sceptyczne spojrzenie. — Nie zgadłbym.

Masza wzruszyła ramionami i zaczęła wciskać się w ciemnoczerwoną sukienkę.

— Dlaczego mają okulary przeciwsłoneczne?

— Pod ziemią ich oczy odwykły od światła. Teraz jest dla nich za ostre. Bez okularów mogliby uszkodzić sobie wzrok.

— Mój chłopak ma dokładnie takie same. Oszałał na ich punkcie. Oakleys Radar, tak nazywa się ten model. Wcześniej był fanem M-frame i Jawbone. Wszystkie kosztują jakąś straszłą kasę. Ale podobno są tego warte. Tak twierdzi.

Widać było, że Ragnar nie do końca rozumie, o czym dziewczyna mówi. Pokiwał głową i wrócił do oglądania programu.

Masza sięgnęła po czarną kopertową torebkę, leżącą na okrągłym stoliku obok dużego panoramicznego okna. Przez chwilę przyglądała się widokowi rozciągającemu się z szesnastego piętra hotelu. Na moście Langebro, prowadzącym do Placu Ratuszowego, ruch był coraz większy. Po stronie Christianshavn widać było migoczącą w popołudniowym słońcu złocistą wieżę kościoła Zbawiciela. Właśnie tam Igor zaprosił ją na pierwszą randkę trzy miesiące temu. Okazało się, że akurat tego dnia wieża jest zamknięta, a potem mężczyzna już nie ponowił propozycji. Pomyślała, że dawno nigdzie razem nie wychodzili. Dzisiaj jednak obiecał jej, że

zamówią sushi. Zawsze to jakaś odmiana.

— Na razie, skarbie — rzuciła, odwracając się do mężczyzny.

Ragnar wstał z łóżka.

— Da się panienka skusić na kieliszek szampana? — spytał uprzejmie.

— Bardzo dziękuję, ale może innym razem.

Po chwili była już przy drzwiach.

— Mogę się do ciebie odezwać?

— Oczywiście. Byłeś super. Milutki.

Ragnar podszedł bliżej, otworzył drzwi, dziewczyna wyszła na korytarz.

— A ty byłaś fantastyczna — powiedział. Uśmiech na jego twarzy dowodził, że mówił szczerze.

— Buziak na pożegnanie?

— W policzek — powiedziała, nachylając się w jego stronę.

Ragnar pocałował ją delikatnie.

— Do zobaczenia, Karina.

Uśmiechnęła się do niego i wyszła. W drodze na dół przeliczyła pieniądze, które mężczyzna wypłacił „Karinie” za małą przejażdżkę.

Karina to było zawodowe pseudo Maszy. Skandynawsko brzmiące imię miało ukryć jej litewskie pochodzenie. Chociaż klientom było wszystko jedno, skąd pochodziła, byle dawała im to, za co płacili. A Karina znała się na swoim fachu. Każdy, kto zapłacił tysiąc siedemset koron za godzinę jej towarzystwa, mógł się o tym przekonać. Wiedziały o tym wszystkie „miśki”, z którymi spotykała się w różnych pokojach hotelowych w mieście. Ale Masza miała chłopaka i myślała tylko nim, o Igorze, który czekał na nią teraz na dole w hotelowym foyer.

3.

Masza i Igor ruszyli przez na wpół opustoszały parking przed hotelem Radisson. W wysokich szpilkach z trudem za nim nadążała. Igor wyglądał jak hip-hopowy gangster, chociaż tak naprawdę pochodził z Petersburga. Idąc, kołysał się na boki i napinał mięśnie. Okulary zsunął na czoło. Nie nauczył się tego w robotniczym getcie w Petersburgu, gdzie spędził dzieciństwo, tylko raczej oglądając MTV.

— Szlag! Zaszło mi w gardle — odezwał się, zerkając na nią przez ramię.

Trzymał w dłoni komórkę; czekał na połączenie.

— Bez przerwy żrę orzeszki, nie mam czasu na nic innego — powiedział, wskazując w stronę hotelowego barku.

— Skarbie, mówiłam, że nie musisz ze mną jeździć.

— A kto będzie się tobą opiekował?

— Potrafię się o siebie zatroszczyć. Stare miśki są niegroźne.

— Nienawidzę ich — wymamrotał pod nosem. — Jesteś dla nich za dobra.

W tym momencie w słuchawce rozległ się głos i uwaga Igora skupiła się na komórce. Przedstawił się po rosyjsku. Rzucił, że jest gotów, i podziękował za okazane mu zaufanie. Po chwili jeszcze raz powtórzył, jak bardzo jest wdzięczny. Masza zauważyła, że rozmawia niezwykle grzecznie, wręcz pokornie, co raczej rzadko mu się zdarzało.

Z kieszeni czarnej skórzanej kurtki wyjął kluczyki i wcisnął guzik pilota od czarnego bmw 320i ze spoilerem i błyszczącymi felgami osiemnastkami. Rozległ się piszczący dźwięk. Igor zakończył rozmowę i usadowił się za kierownicą.

Masza wsiadła do samochodu, zamknęła za sobą drzwi.

— Kto to był? — spytała.

— Nikt. Interesy — rzucił lekko.

Nachylił się nad nią, sięgając do schowka. Wyjął opakowanie drzewek zapachowych Wunder-Baum, otworzył i wymienił stare drzewko na nowe. Masza nie znosiła duszącego zapachu zielonego jabłuszka. Zatkaną nos.

— Coś mi przyszło do głowy, skoro mówimy o interesach... — odezwała się.

— Tak, mała? — rzucił nieobecny tonem. Wybrał kolejny numer i włączył silnik.

— Chciałabym z tym wszystkim skończyć. Nie mam ochoty ciągnąć tego dalej. Znajdę sobie jakieś inne zajęcie.

— Serio? Dlaczego?

Spojrzała na niego zawiedziona.

— Myślałam, że się ucieszysz. Przecież też nie jesteś zachwycony tym, co robię.

Igor wzruszył ramionami i przyłożył komórkę do drugiego ucha; czekał, aż ktoś odbierze.

— Nie zamierzam się wtrącać. Rozumiem cię. Rozumiem, że chcesz zarobić trochę szmalu. Nie oceniam cię, nie potępiam, wiesz o tym. To twój zawód.

— Pieniądze to nie wszystko. Nie potrzebujemy aż tyle.

Igor roześmiał się kpiąco.

— Pieniądze są wszystkim! Jeśli nie masz kasy, jesteś zerem. Ludzie cię olewają. *Believe me*. Cześć, Janusz — rzucił do słuchawki. — Nie uwierzysz: wchodzę w to. Stary się zgodził. Będzie się działo.

Ruszyli Amager Boulevard w stronę rynku Christianshavns Torv. Igor opowiadał Januszowi o partii pokera, która miała się odbyć wieczorem u Kaminskiego, w niewielkim

pokoju na tyłach lokalu, nazywanym nieco przewrotnie królewskim apartamentem, do którego wstęp mieli jedynie wybrańcy. Prawdziwi gracze, nie te dupki grające on-line, które siedzą i ściskają w spoconych łapach brudne żetony. Tu grały stare wygi, faceci z Bałkanów, z kasą i jajami. Igor opowiadał przez komórkę, jak to od miesiący próbował przekonać Kaminskiego, że jest dobry, że może wygrać. Stary może być spokojny o swoje dwadzieścia osiem procent z zysku.

— Przekonają się, co potrafię — roześmiał się do słuchawki.

Rozłączył się i uśmiechnął, rozmarzony.

— Grasz dzisiaj? — spytała Masza.

— Tak, mała. To rzadka szansa.

— Mieliśmy zjeść razem sushi. Obiecałeś.

Igor zaczerpnął głęboko powietrza.

— To dla mnie duża szansa.

— Ale obiecałeś.

Światło zmieniło się na czerwone, Igor zahamował. Odwrócił się do niej, zdjął okulary. Patrzył na nią łagodnym wzrokiem z takim samym podziwem, z jakim przyglądał się jej trzy miesiące wcześniej, kiedy się poznali. Wzrokiem, który sprawił, że natychmiast mu uległa.

— Wiesz, że jesteś dla mnie najważniejsza na świecie...

— Umówiliśmy się — przerwała mu, robiąc naburmuszoną minę.

— Wynagrodzę ci to. Ale naprawdę nie mogę pozwolić, żeby taka szansa przeszła mi koło nosa.

— Też zrezygnowałam z kilku spotkań.

— Ale ja robię to dla nas. To ważna gra. Same grube szychy, z dużą forszą. Tylko brać. Któreś z nas musi przecież zarabiać — uśmiechnął się. — Jutro damy czadu, obiecuję ci.

— Nie chcę dawać czadu. Chcę tylko, żebyśmy byli razem.

— Ja też, skarbie. Ja też.

Ujął ją pod brodę i pocałował w usta. Jego modnie przycięta bródka, okalająca wąską kreską wargi, łaskotała delikatnie. Kierowca z samochodu za nimi zaczął trąbić, zniecierpliwiony. Światło zmieniło się na zielone. Igor jednak nadal ją całował, gładząc delikatnie po policzku. Jego palce pachniały zielonym jabłuszkiem, ale w tym momencie jej to nie przeszkadzało.

4.

Była trzecia trzydzieści. Na tyłach lokalu u Kaminskiego czterej mężczyźni grali już od ponad pięciu godzin. *Texas Hold'em*. Początkowo żetony wędrowały między nimi, teraz jednak sytuacja się ustabilizowała. Najwięcej żetonów piętrzyło się przed Igorem i Lucianem, tłustym Serbem w średnim wieku, w spodniach khaki i hawajskiej koszuli. Dwaj pozostali gracze, Milan i Rastko, byli bez szans. W niewielkim pokoju unosił się zapach potu i dymu, i czerwonego barszczu, który Kaminski przygotowywał w niewielkiej kuchence za nimi. Ten, kto odpadał, dostawał kubek barszczu jako zadośćuczynienie za poniesione straty. Taki był zwyczaj.

Z pomieszczenia dochodziły okrzyki gości, którzy na ekranie telewizora śledzili rozgrywki ligowe piłki nożnej. Goście Kaminskiego przychodzili tu obejrzyć transmisję sportową, pograć w karty, wypić parę głębszych, a przy okazji załatwić interesy, o których świat na zewnątrz nie powinien za wiele wiedzieć. Większość pochodziła z rejonu Kaukazu, Białorusi, Ukrainy i krajów bałtyckich. Z byłych republik. Dlatego też lokal, pierwotnie zakład fryzjerski na Colbjørnsensgade, nazywano Sowietem. Pewnie również z tego powodu, że Kaminski ze swoimi wąsami i nieobliczalnym charakterem przypominał starego Stalina.

Milan wytarł spocone dłonie w koszulę i przesunął swoje ostatnie żetony na środek stołu. Zerknął w stronę garnka z barszczem, jakby przewidywał, że ta runda będzie jego ostatnią.

— Niesamowita historia z tymi górnikami...

Rastko, który siedział naprzeciwko niego, podrapał się po oprószonej siwizną brodzie i ziewnął.

— Muszą być nieźle napaleni po tych dwóch miesiącach. Chyba że to pedzie i sobie dogadzali.

Milan roześmiał się i odchylił na krześle.

— Wchodzisz, Igor?

Igor skinął głową i podwyższył stawkę o pięćset euro. Zauważył, że Lucianowi drgnęła powieka. Niemal niezauważalnie. Igor był przekonany o sile swojej ręki. Świetnie mu szło, znacznie lepiej, niż się spodziewał. Jego pula rosła, kilka razy miał ochotę się odwrócić i spojrzeć w oczy Kaminskiemu, ale oparł się pokusie.

— Słyszałem, że na jednego z nich czekała na górze i żona, i kochanka. Wyobrażacie sobie tego biedaka? — Milan śmiał się tak, że cały się trząsł.

— Pewnie najchętniej od razu wróciłby z powrotem do kopalni — powiedział Rastko.

Lucian spasował i odłożył karty z wściekłością.

— Gramy czy zamierzacie siedzieć i mleć ozorami jak baby?

Igor odwrócił karty i pokazał dwie dziewiątki, które razem z tą na stole pozwalały mu zgarnąć całą pulę. Zaczął zbierać żetony. Rastko i Milan musieli zadowolić się barszczem. W grze zostali tylko on i Lucian.

Grali jeszcze godzinę, która niewiele zmieniła. Igor miał tysiąc euro więcej niż Lucian, ale to było za mało, żeby mógł wymusić koniec. Właściwie powinien być zadowolony, jednak sytuacja budziła jego irytację. Lucian był zmęczony przeciągającą się grą, wypił nieco za dużo śliwownicy, wypalił za dużo papierosów, wzrok miał mętny od dymu. Wydawało się, że w takim stanie będzie łatwą ofiarą, lecz mężczyzna zachował na tyle jasny umysł, by nadal sprytnie unikać pułapek, które Igor na niego zastawiał.

Przy następnym rozdaniu Igor natychmiast zauważył, że tym razem Lucianowi się poszczęściło. Ponieważ na stole leżały dwa walety, można się było domyślić, że ma królową albo

króla. Podniósł stawkę, przesunął na środek połowę żetonów. Dziesięć tysięcy euro. Postanowił olać walety Luciana. Miał dwie damy, kierową i pikową.

— Podbijam o dziesięć.

Igor wziął swoje żetony i rzucił je na pozostałe, część potoczyła się po stole.

— Nie rzucaj żetonami — wycedził Lucian przez zęby.

— To moje żetony i będę z nimi robił, co zechcę — odpowiedział Igor.

Świadomie drażnił Luciana. Na reakcję nie musiał długo czekać. Kiedy Igor wyłożył piątą kartę, króla trefl, Lucian włożył do puli wszystkie swoje żetony. Sięgnął po portfel i zaczął wyciągać z niego banknoty.

— Podwyższam stawkę. Dam ci tak popalić, szczeniaku, że się nie pozbierasz!

W pokoju zapanowała cisza. Igor odwrócił się do Kaminskiego, który przestał mieszać w garnku. Wszyscy wiedzieli, że tu nikt nie przynosi ze sobą gotówki, a już na pewno nie wykłada się jej na stół. Żeby nie narażać właściciela na nieprzyjemności, gdyby nagle w lokalu zjawili się gliniarze. Kaminski stał i targał się za brodę. Spojrzał na Igora, który się uśmiechał, pewny wygranej.

— Dokończcie grę — powiedział i powrócił do mieszania krwistoczerwonego barszczu.

Igor odwrócił się do Luciana, który siedział z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

— Połóż żetony, póki je masz — odezwał się Lucian triumfująco.

Igor włożył żetony do puli. Nie ulegnie blefowi Luciana. Był pewien, że Lucian nie ma króla. Zbierał walety. Dlatego wcześniej podbił stawkę. Jednak przy jego damach walety Luciana będą głównie warte. Gra szła mu aż za łatwo. Nawet po odliczeniu działki Kaminskiego zostanie mu więcej forsy, niż mógł marzyć. Starczy na telewizor z płaskim ekranem i na wymianę bryki na nowszy model. Może nawet będzie mógł sobie kupić nowe mieszkanie?

— Masz za mało forsy — zamruczał Lucian pod nosem.

— Jedna rozmowa i będę miał więcej — odpowiedział Igor, nachylając się nad stołem.

— Nie chodzę i nie szastam forszą jak jakiś beżowy. Ale jestem wypłacalny, tak samo jak ty

— powiedział, wskazując głową na zniszczony portfel Luciana.

Mężczyzna spojrział na niego mętym wzrokiem, po czym zerknął na stojącego za Igorem Kaminskiego, który przyglądał im się z ponurą miną.

— Wierzę ci — wymruczał. — Co masz?

Igor się uśmiechnął.

— Ten król niewiele ci pomógł — powiedział, dotykając palcem karty, która leżała na stole. — Tym bardziej że zbierasz walety. A teraz przedstawię ci moje panienki. — Igor odwrócił karty. — Jeśli dodamy do nich leżącą na stole siostrzyczkę, wyjdzie niezły trójkąt.

Lucian zerknął na karty i z uznaniem pokiwał głową. Otarł spocone czoło, po czym pochylił się nad kartami.

— Jeśli chodzi o waleta, to masz rację. Cieszę się, że mi się trafił. — Odwrócił kartę, waleta trefl. — Razem z ojcem, czyli królem trefl, dziesiątką trefl i dziewiątką trefl mogą zdziałać cuda — powiedział, uśmiechając się smutno. — Wiesz, jakie jest prawdopodobieństwo, że mam jego matkę, damę trefl? Wiesz, jakie jest prawdopodobieństwo, że trafi mi się *royal straight flush*?

— Jasne — odparł Igor z uśmiechem. — Jeden do sześciuset tysięcy, coś koło tego. Nie za wielkie.

Lucian pokiwał głową i wziął kartę.

— Co pewnie czyni mnie najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Nawet w porównaniu z tymi górnikami, o których teraz wszyscy bez przerwy mówią, prawda?

Igor wzruszył ramionami.

— Zobaczymy.

— Zobaczymy — powtórzył Lucian i odwrócił kartę.

W tym momencie cały świat Igora legł w gruzach. Wszystko wokół niego zniknęło, została tylko dama trefl. Nie mógł oderwać od niej oczu. Przestał oddychać, czuł, jak wszystko w nim zamiera. Miał wrażenie, że zaraz umrze. A może tylko miał taką nadzieję? Bo w tej sytuacji byłoby to najlepsze rozwiązanie.

— Dobrze, że otworzyłeś szeroko usta, przyjacielu, bo właśnie pora podać zupę — odezwał się Lucian.

Do stołu podeszło dwóch pozostałych Serbów. Spojrzeli na karty.

— Ale ręka, cholera — powiedział Milan. — Co za gra. Przejdzie do historii. Ile jest na stole?

Zerknął na żetony i leżące na nich banknoty. Uśmiechnął się do Luciana.

— Szacun. Zgarnąłeś właśnie trzydzieści tysięcy euro, a ty, przyjacielu — poklepał Igora po ramieniu — ty, przyjacielu, będziesz musiał teraz odbyć najdroższą rozmowę telefoniczną w życiu.

— Ja... ja... — zaczął się jękać Igor. Próbował się uśmiechnąć, ale ledwie był w stanie oddychać. — Ja... chyba trochę się zagalopowałem.

— To znaczy?

Igor spojrzął na Luciana.

— To znaczy, że mam część tej sumy, oczywiście, ale... — rozłożył ręce, spoglądając na leżące na stole żetony, jakby prosił o wyrozumiałość.

Serbowie zmierz yli go lodowatym wzrokiem.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś niewypłacalny?

— Większość mam, ale...

— Większość nie wystarczy — stwierdził Milan.

— Zdecydowanie nie wystarczy — dodał Rastko.

— Może wolisz serbski manicure? — spytał Lucian.

Sięgnął do kieszeni kurtki. Wyciągnął z niej niewielki, zardzewiały sekator i rzucił go na stół.

— Bez paluszków trudno się gra.

Igor spojrzął na niego spanikowany. Cofnął krzesło i chciał wstać, ale Milan posadził go z powrotem.

— Nie tak szybko, mały.

— Odłóż to — odezwał się stojący za nimi Kaminski. Odwiesił chochlę, zmniejszył nieco gaz i podszedł do nich. — Natychmiast!

Lucian spojrzął na niego. Z pewnym wahaniem schował sekator do kieszeni.

— Chcę tylko dostać to, co mi się należy.

— Igor to załatwi. Możesz mu zaufać. Inaczej nie siedziałby przy tym stole. Rozumiemy się?

— Jasne — odpowiedział Lucian, nie podnosząc głowy. Skrzyżował ręce na piersiach.

— Przepraszam, poniosło mnie. Wiesz, że nie chciałem być niegrzeczny. Ile masz, mały?

Igor spuścił wzrok.

— Może ze czterdzieści tysięcy... duńskich koron.

Lucian spojrzął pytająco na Milana, który pokręcił głową.

— Mało, zdecydowanie za mało.

— Daję ci dwadzieścia cztery godziny, a potem... — Lucian podniósł prawą rękę i palcami wykonał gest cięcia — ciach, ciach.

5.

Z szafy grającej w Wydrze Morskiej leciało *Everytime you go away*. W piątkowy wieczór stara gospoda, położona tuż nad kanałem w Christianshavn, była wypełniona po brzegi. Ostatnio stała się bardzo popularnym miejscem. Za dwadzieścia koron można tu było wypić piwo, posłuchać starych przebojów, pogadać albo usiąść gdzieś w kącie i całować się z dziewczyną.

Kiedy wybrzmiały ostatnie słowa Daryla Halla, Thomas podniósł się z barowego stołka. Zachwiał się, ale szybko odzyskał równowagę. Dał znak stojącemu za barem Johnsonowi, żeby ten podał mu jeszcze jeden zestaw. Pił burbona ze szklanki i piwo z butelki.

— Nie masz już dosyć, Ravn¹? — wymruczał Johnson.

— Jeszcze nawet się nie rozkręciłem.

Johnson uniósł brwi, ale przyjął zamówienie. Był potężnie zbudowanym mężczyzną koło sześćdziesiątki, szerokim w ramionach jak byk; obie ręce pokrywały tatuaże. Trudno powiedzieć, co te niewyraźne rysunki miały przedstawiać, ponieważ pochodziły z czasów jego wczesnej młodości, kiedy odbywał służbę wojskową w marynarce i pływał na okręcie wojennym „Dannebrog”.

Thomas wyminął kilkoro gości i ruszył w stronę starego wurlitzera, szafy grającej, która stała tu, odkąd sięgał pamięcią. Wygrzebał z kieszeni kurtki kilka monet, podniósł głowę i powiódł wzrokiem po zdjęciach wiszących nad szafą. Czarno-białych, sygnowanych portretach artystów i muzyków, byłych i obecnych gości Wydry Morskiej. Zespół Gasolin, Lone Kellermann, Clausen i Petersen, Kim Larsen i zdecydowany faworyt Thomasa, Mr. D.T., z polakierowanymi na czarno paznokciami, w miękkim kapeluszu i białym smokingu. Włożył piątkę i nawet nie patrząc na klawisze, wcisnął F-5. *Take it away, Daryl*. Rozległ się charakterystyczny dźwięk metronomu, a potem organów elektrycznych i popłynęły znane mu na pamięć słowa piosenki. Jacyś goście za nim zaczęli buczeć. Poprosili, żeby nastawił coś innego, ale ich zignorował i wrócił na swój stołek.

— Hej, marynarzu! — usłyszał nagle.

Odwrócił się i spojrzął na stolik, który stał za jego plecami. Umieśniony rockers w zdecydowanie zbyt obcisłym T-shircie przyglądał mu się zza żółtych szkieł okularów.

— Znamy ją już na pamięć.

— To klasyk — wybełkotał Thomas.

— Co nie zmienia faktu, że jest pedalski.

Dwaj kumple umieśnionego faceta zarechotali. Mieli na sobie skórzane kamizelki z napisami na plecach, ściskali w rękach kufle z piwem.

— Możecie mnie wyzywać od pedałów, ale to i tak najlepszy kawałek, jaki kiedykolwiek został napisany.

— Osobiście wolę oryginalne wykonanie — odezwała się kobieta w średnim wieku w tweedowej marynarce w kratkę, siedząca na drugim końcu baru. Jej siwe włosy sterczały na wszystkie strony jak naelektryzowane.

Thomas odwrócił się i uśmiechnął do niej.

— Droga Victorio, to właśnie jest wykonanie oryginalne. Daryl Hall napisał i nagrał tę piosenkę w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku. Paul Young uczynił ją sławną pięć lat później. Z całym szacunkiem dla Paula, ale nie sięga Darylowi nawet do pięt.

Thomas wdrapał się z mozołem na wysoki stółek barowy. Victoria odrzuciła głowę do tyłu i wypuściła z ust chmurę dymu, który od razu powędrował do góry, pod sufit.

— Nie żeby mi się nie podobała, ale wolę tamto wykonanie.

— I masz do tego prawo — odpowiedział Thomas, wzruszając ramionami. — Żyjemy w wolnym kraju.

Johnson zerknął w stronę rockersów, postawił piwo na blacie przed Thomasem i wlał mu do szklanki burbona.

— Ravn, nie powinienes się zbierać do domu, do swojego gniazdka?

Thomas pokręcił przecząco głową i wziął do ręki szklankę.

— Nie poddam się bez walki, jak to się mówi.

Opróżnił szklankę jednym haustem i popił piwem. Pięć minut później Daryl Hall doszedł do ostatniej zwrotki. Thomas wstał i znów zaczął szukać drobnych w kieszeni.

Rockers w okularach z żółtymi szklami podniósł wzrok znad kufla i spojrzał na niego.

— Dostyc tego, do cholery! — zawołał.

Wstał, obszedł stolik, przecisnął się przez tłum gości i podszedł do Thomasa.

— Zapewniam cię, że zagrałeś ten kawałek po raz ostatni — powiedział i odepchnął go od szafy grającej.

Po chwili w lokalu rozległy się dźwięki *Highway to Hell* AC/DC. Facet odwrócił się, uniósł do góry rękę i wrócił do kumpli, którzy kiwali głowami w takt muzyki.

Thomas się zachwiał. Próbował się skupić, opróżnił kieszenie i niezrażony nadal szukał drobnych. Kiedy przejrzał już wszystko, położył na blacie obok swojej przestarzałej komórki i pogiętego identyfikatora policyjnego cały stos pięcio- i dziesięciokoronówek. Schował identyfikator i komórkę do kieszeni i zaczął karmić szafę grającą monetami. Było go stać na piętnaście numerów. Piętnaście razy *Everytime you go away*. Wieczór zapowiadał się cudownie. Wrócił do baru i zamówił następną kolejkę, dla siebie zestaw i wermut dla Victorii, która nazwała go aniołem.

W lokalu rozległy się dźwięki organów, za chwilę Daryl znów zacznie śpiewać.

Nagle zrobiło się zamieszanie.

— Wyłącz to, do cholery!

Rockers w żółtych okularach podszedł do szafy grającej. Napiął mięśnie, widać było, jak drżą pod T-shirtem. Uniósł nieco wurlitzera, po czym spuścił go na podłogę. Hałas w lokalu był tak duży, że tylko najbliższej siedzący ludzie zauważyli, co się wydarzyło. Stojący za barem Johnson patrzył w milczeniu na mężczyznę, który wracał już na swoje miejsce. Kiedy mijął Thomasa, ten zeskoczył ze stołka. Spojrzał na mężczyznę, o półtorej głowy wyższego od siebie.

— Za ten numer jesteś mi winien siedemdziesiąt pięć koron.

— Że co?

W tym momencie do baru podeszła Victoria i położyła rękę na ramieniu Thomasa.

— Odsuść sobie, Ravn.

Odwróciła się do rockersa i uśmiechnęła się.

— Niech każdy zajmie się sobą, dobrze?

— Nie ma mowy — zaczął protestować Thomas. — Wrzuciłem siedemdziesiąt pięć koron do maszyny, którą przed chwilą rozbiłeś, więc jesteś mi winien forszę. Siedemdziesiąt pięć koron.

Rockers zmierzył Victorię wzrokiem, po czym spojrzał na Thomasa.

— Chyba powinienes posłuchać tej swojej przyjaciółki lesby, bo to naprawdę może się źle skończyć.

— Nie jest lesbijką, tylko lubi chodzić w marynarkach — wymamrotał Thomas.

— Tak czy inaczej, wygląda na lesbę.
Victoria zmrużyła oczy i wpatrywała się w mężczyznę.
— Jak na mięśniaka z takimi cyckami wykazujesz dziwne zainteresowanie seksualnością innych.
Facetowi opadła szczęka, otworzył usta i patrzył to na Thomasa, to na Victorię.
Thomas skrzyżował ręce na piersiach.
— Prawdę mówiąc, Victorii też jesteś winien przeprosiny. I Daryłowi Hallowi: za to, że mu przerwałeś. To było niegrzeczne. Od kogo zaczniesz?
— Czubek jesteś?
— Być może, co nie zmienia faktu, że jesteś mi winien siedemdziesiąt pięć koron i przeprosiny. Również Victorii i Daryłowi.
— Niller! — zawołał jeden z kumpli rockersa.
— Czego? — warknął chłopak i się odwrócił.
Kumpel patrzył na niego zaniepokojony.
— To glina — powiedział, wskazując głową na Thomasa. — Odsuść sobie — dodał.
Niller zsunął okulary na nos i pustym wzrokiem przyglądał się Thomasowi znad szkieł.
— Ta łajza?
Chłopak skinął głową.
— W zeszłym roku w lecie zwinął mnie i Runego za narkotyki.
Niller odwrócił się do Thomasa; spojrzał na niego, krzyżując ręce na piersiach.
— To prawda? Jesteś gliną?
— Nieważne, kim jestem, jesteś mi winien siedemdziesiąt pięć koron, a Victorii i Daryłowi przeprosiny.
— Jesteś czy nie?! — ryknął Niller, zapluwając się. Opuścił ręce wzdłuż ciała i zacisnął dłonie.
— Jest na urlopie, więc dzisiaj nic ci nie grozi — powiedziała Victoria, opróżniając szklaneczkę.
— Na urlopie? Tak?
Niller uśmiechnął się drwiąco, zamachnął się prawą ręką i zamierzył na Thomasa.
Thomas cofnął się kilka centymetrów w stronę baru i o włos uniknął ciosu. Niller natychmiast wystartował z lewym prostym; Thomas odparł go, jednocześnie uderzając faceta łokciem w skroń. Gdyby uderzenie było celne, każdego powaliłoby na podłogę, ale Thomas był pijany i tylko musnął Nillera. Żółte okulary przeleciały w powietrzu. Thomas przyglądał się im, jakby to był postrzelony owad, przefruwający nad głowami gości przy barze. Widok był dość absurdalny, na ustach Thomasa pojawił się uśmiech, który jednak zniknął, gdy nagle poczuł silny cios w żołądek, a sekundę później w szczękę. Runął na podłogę, zrobiło mu się czarno przed oczami. Słyszał nad sobą głosy, jak przez mgłę widział, że ludzie rzucili się, żeby odciągnąć od niego Nillera. I nagle zgasł jak świeca.

Dobre dziesięć minut później siedział na krawężniku przed Wydrą, przyciskając do spuchniętego policzka zawinięte w ścierkę kostki lodu. Gdzieś z głębi ulicy dochodziły głosy rockersów. Krzyczeli coś do Johnsona i grupy stałych klientów, którzy stali w drzwiach.
Eduardo schylił się i spojrzał na Thomasa przez grube szkła.
— Do licha, Ravn, po co ci to było? — spytał z lekkim hiszpańskim akcentem, zdradzającym jego iberyjskie korzenie. — *Eres stupida?*
Thomas pokręcił głową. Zabolalo jak diabli; natychmiast pożałował, że w ogóle się ruszył.

— Przeprosił? — spytał. — Powiedział: przepraszam?
— Jasne. Przeprosił, dając ci chyba z pięć razy w mordę — powiedział Eduardo, przeciągając dłonią po kręconych włosach.
Thomas wzruszył ramionami.
— Tylko o to mi chodziło — wymamrotał. — Ale nadal jest mi winien siedemdziesiąt pięć koron.
Jasnowłosa dziewczyna stwierdziła, że jej zimno, i zaczęła ciągnąć Eduarda do środka.
— Poradzisz sobie? — upewnił się Eduardo.
Thomas skinął głową i znów poczuł ból.
Po chwili zobaczył, że większość gości wróciła do środka. Zaczął się niepewnie podnosić.
— Stawiam kolejkę — powiedział, kierując się do drzwi.
Johnson położył mu rękę na piersi i wziął od niego ścierkę z kostkami lodu.
— Idź do domu, Ravn.
— O co ci chodzi? Jeszcze tylko po jednym.
Johnson nie odpowiedział. Patrzył na niego, podczas gdy ostatni gość zniknął w drzwiach knajpy.

Thomas włókł się wzdłuż kanału, starając się utrzymać bezpieczną odległość od nabrzeża. Szedł chodnikiem, świadomie unikając nierównego bruku, przez który już niejedyn drobny pijaczek zafundował sobie kąpiel w kanale. Lokale przy nabrzeżu powoli zamykano, nastroje były radosne. Na Christianshavns Torv ludzie walczyli o taksówki, które miały przewieźć ich przez most do centrum, gdzie właśnie otwierano nocne lokale. Thomas natomiast chciał jedynie przejść na drugą stronę ulicy, ale był zbyt pijany, by właściwie ocenić odległość do mijających go samochodów. Głośny dźwięk klaksonu uzmysłowił mu, że niewiele brakowało, aby ktoś go przejechał. Pospiesznie opuścił jezdnię. Kiedy w końcu dotarł na drugi kraniec placu, ruszył Dronningensgade w stronę starych wałów miejskich, w pobliżu których mieszkał. Znalazł klucze i spojrzał na ostatnie piętro kamienicy. W obu oknach paliło się światło. Wszedł po schodkach prowadzących do drzwi, zerknął na domofon. Na przyklejonej do niego małej karteczce było napisane ręką Ewy: „Thomas Ravnsholdt i Eva Kilde”. Już chciał włożyć klucz do zamka, gdy nagle się rozmyślił i zawrócił.

Szedł prosto Sofiegade. Ulica prowadziła z powrotem do kanału. W ciemności majaczyły w oddali sylwetki łodzi zakotwiczonych przy nabrzeżu na końcu ulicy. Gdzieś wśród nich była też jego łódź, z krótkim masztem na dodatkowy żagiel i radarem na szczycie. Radar nie działał, nigdy też jeszcze nie wciągnął żagla na niewielki maszt, który wyróżniał jego łódź spośród innych. Kiedy wracał tu po pijaku, służył mu za drogowskaz.

Zachwiał się i niemal stoczył na rufę. Na pokładzie brakowało kłapy od luku; ominął ostrożnie dziurę i skierował się w stronę kajuty. Szarpnął drzwi, które ledwie wisiały na zawiasach. Zaklął. Pomyślał, że będzie musiał je w końcu naprawić, i wszedł do środka. W kajucie czuć było stęchlizną, na przymocowanej do podłogi kanapie piętrzył się stos kartonów po pizzy. Przeszedł przez kajutę, minął kuchnię i zszedł po wąskich schodach, prowadzących do sypialni z łóżkiem w kształcie litery V. Rzucił się na materac, zamknął oczy i zaczął nasłuchiwać, jak krople deszczu uderzają w szybę luku. Wiedział, że wkrótce luk zacznie przeciekać, więc powinien wstać i postawić wiadro w nogach łóżka, ale nie miał siły, zresztą wilgotne stopy były w tym momencie jego najmniejszym problemem.

ravn (duń.) — kruk [wróć]

6.

Masza siedziała na czarnej skórzanej kanapie, okryta kołdrą. Łajka, suczka chihuahua, ułożyła się jej na kolanach. Dziewczyna próbowała skupić się na lekturze, ostatnim tomie *Córki czarownicy*, serii fantasy, której była wierną czytelniczką. Dochodziła dziesiąta, a Igor nadal nie dawał znaku życia.

Nagle drzwi w przedpokoju się otworzyły i usłyszała jego głos. Rozmawiał przez komórkę. Łajka zeskoczyła z kanapy i zaczęła głośno czekać. Masza uciszyła suczkę, by usłyszeć, z kim rozmawia Igor. Zrozumiała, że chodzi o sprzedaż samochodu. Przemknęło jej przez głowę, że musiała coś źle usłyszeć, bo Igor uwielbiał swój samochód. Dał mu nawet imię.

Igor wszedł do pokoju, ale nawet na nią nie spojrział. Nie odrywając komórki od ucha, ściągnął skórzaną kurtkę.

— Niech cię szlag, Janusz! Obaj wiemy, że Lola jest więcej warta. Wykorzystujesz sytuację...

Rozłączył się, rzucił komórkę na biały marmurowy stolik. Był trupio blady, miał worki pod oczami, cuchnął. Czują to, nawet siedząc na kanapie. Odór alkoholu i potu przypominał jej najgorszych klientów. Łajka nie przestawała czekać, mimo że Masza cały czas starała się ją uciszyć.

— Gdzie byłeś całą noc?

Uniósł dłoń.

— Nie teraz, Masza — powiedział, zerkając w jej stronę. — Ile mamy gotówki?

Nie czekając na odpowiedź, schylił się i przewrócił na bok skórzany fotel.

— Co ty wyprawiasz? — zawołała.

Nie odpowiedział; sięgnął po grubą białą kopertę, wciśniętą między obicie a sprężyny fotela.

— To moje pieniądze. Zostaw je.

Otworzył kopertę.

— Musisz mi pożyczyć.

— A co z tymi pięcioma tysiącami, które jesteś mi winien?

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

— Mieszkasz tu za darmo, prawda?

— Wielkie dzięki — odpowiedziała z ironią.

Igor rozdarł zaklejoną kopertę i zaczął liczyć banknoty.

— Dziewiętnaście tysięcy. To wszystko?

Masza drżała z wściekłości.

— Nie ma cię całą noc, nie dajesz znaku życia, a potem przychodzisz i kradniesz mi pieniądze. Oszalałeś?

— Pożyczam, nie kradnę. Naprawdę nie masz więcej?

Rzucił rozerwaną kopertę na podłogę, zwitek banknotów włożył do kieszeni.

— Wszystko mi zabrałeś?! — zawołała Masza.

Łajka patrzyła na nią przestraszona. Zeskoczyła z kanapy i schowała się pod stołem.

Igor zaczął pocierać twarz rękami.

— A twoja mama? Może od niej będziemy mogli coś pożyczyć?

Masza się wyprostowała.
— Od mojej matki?
— No. Jak sądzisz, ile może nam dać?
Roześmiała się.
— Naprawdę musisz być zdesperowany. Moja matka zarabia grosze. Jest przecież sprzątaczką. To ja jej daję pieniądze.
— No dobra. Masz dzisiaj umówione jakieś spotkania? Klientów?
— Chrzań się, Igor. Jak możesz mi zadawać takie pytania?
— Przepraszam, ale naprawdę jestem pod ścianą. — Spojrzał na nią bezradnie. — Więc jak? Masz coś?
Masza była bliska płaczu. Co za cholerny idiota!
— Nie słyszałaś, co wczoraj mówiłam? Nie chcę tego dalej ciągnąć. Nie rozumiesz, co do ciebie mówię?
Igor podszedł do niej, usiadł na kanapie.
— Rozumiem, że masz taki plan. W dalszej perspektywie. Ale mi chodzi o chwilę obecną.
— Ile przegrałeś?
— Zdecydowanie za dużo — powiedział, spuszcżając głowę.
Miała ochotę pogłodzić go po włosach, ale zdążył już wstać. Podszedł do marmurowego stolika, wziął komórkę i ponownie zadzwonił do Janusza.
— Lola jest twoja za czterdzieści, ale dzisiaj muszę mieć forszę.
Rozłączył się i spojrzał na Maszę.
Było jej go żal. Wyglądał jak zbity pies, kiedy tak stał i na nią patrzył. Jak Łajka, kiedy wracała mokra ze spaceru.
— Chodź, kochanie, utulę cię.
— Później, teraz muszę wykonać kilka telefonów — odparł Igor, wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi.
Masza oparła się o plecy kanapy i zawołała suczkę. Łajka ułożyła się na jej kolanach i zamruczała zadowolona. Zaczęła lizać jej palce, więc Masza uderzyła ją lekko w nos. Nie lubiła, kiedy pies ją lizał. Biedny Igor. Był taki naiwny. Wierzył, że z każdej sytuacji zawsze jest jakieś wyjście. Muszą skończyć z tym wszystkim, znaleźć sobie inne zajęcie. Nawet za mniejsze pieniądze. Nawet jeśli — tak jak matka — będzie musiała szorować Duńczykom podłogi. Tym wszystkim snobom z przedmieść, przekonanym, że są lepsi od niej. Bo też co innego mogłaby robić? A co potrafił Igor, poza przerzucaniem do Polski kradzionych samochodów?
I przepuszczaniem pieniędzy?
Igor wrócił do pokoju i znów usiadł obok niej na kanapie.
— Załatwiłeś coś?
Zaczerpnął powietrza.
— Muszę cię prosić o coś wyjątkowego.
— Czyli? — zapytała zaniepokojona.
— Facet, któremu wiszę forszę, wyszedł z pewną propozycją — powiedział Igor, wpatrując się w podłogę.
— Jaką?
— Zgadnij.
Masza zamknęła oczy.
— A ty co mu powiedziałeś? Za kogo ty mnie masz? No, za kogo?
— Skarbie... — zaczął zduszonym głosem.

— To twój problem, nie mój. Sam się z nim bzykaj!

— Nie rozumiesz, w jakiej jestem sytuacji.

Spojrzał na nią, łzy leciały mu po policzkach.

— Odetną mi palce, jeśli nie zapłacę.

— Naprawdę? — spytała z niedowierzaniem, zerkając na swoje świeżo polakierowane paznokcie. — No to przynajmniej nie będziesz mógł więcej grać.

Za późno zauważyła, jak Igor podnosi rękę, i nie zdążyła się w porę usunąć. Krzyknęła i dotknęła ręką policzka. Łajka zaczęła skomlić i wróciła pod stół.

— Przepraszam, przepraszam — płakał Igor.

Opadł na kanapę.

Rzuciła się na niego, zaczęła krzyczeć, bić go pięściami po plecach, po głowie. A on nawet się nie bronił. Siedział tylko i szlochał. W końcu Masza nie miała już siły i się rozpląkała.

7.

Było wpół do ósmej wieczorem. Masza stała przed lustrem w łazience i malowała usta. Miała na sobie ciemnoczerwoną jedwabną sukienkę i zamszowe botki w kolorze czekolady. Igor stał w progu i palił papierosa.

— Naprawdę jest mi bardzo przykro, skarbie.

Nie odpowiedziała. Ostatni raz spryskała włosy lakierem, sprawdziła, czy nie ma śladów szminki na zębach. Odwróciła się do Igora.

— Ruszamy?

Jechali ulicą Torvegade, minęli dawne wały wokół Christianii i pojechali prosto Vermlandsgade. Zapadł już zmrok i z wyjątkiem taksówek zmierzających w stronę lotniska na ulicach nie było ruchu.

— Obiecuję, że wszystko naprawię — powiedział Igor, zerkając na nią. — Koniec z kartami, koniec z tym wszystkim. Obiecuję, skarbie. Potem będziemy już tylko ty i ja.

Położył rękę na jej udzie, odsunęła ją.

— Rozumiem, że jesteś na mnie zła. Jestem dupek, pajac, świnia...

— Możesz przestać?

— Oczywiście, skarbie, rozumiem cię. Ale chcę, żebyś wiedziała...

Zawahał się, spojrział na nią. Odwróciła głowę i wyjrzała przez szybę samochodu.

— Od tej pory wszystko będziemy robili tak, jak będziesz chciała. Będziemy małą rodziną. Ty i ja. Będziemy mieli dziecko i w ogóle. Poszukam pracy. Takiej prawdziwej. Ja dużo potrafię, przekonasz się.

— Zamknij się — powtórzyła, ale już z mniejszą złością.

Jechali dalej wzdłuż torów kolejki na Amager, skręcili przy Yderlandsvej, gdzie znajdowały się biura dużych firm przewozowych i transportowych. Masza zauważyła cały rząd kolorowych dwupiętrowych autokarów, które latem woziły turystów po mieście, a teraz stały pod wiatami. Wiele lat temu, tuż po przyjeździe do Danii, wybrały się z matką na taką wycieczkę po mieście. Mama była zachwycona, jej natomiast przez całą drogę chciało się sikać.

Wychyliła się do przodu, wyglądała przez przednią szybę. Nie знаła tej okolicy; nie było tu pięciogwiazdkowych hoteli, restauracji, niczego. Zaczęła żałować, że zgodziła się przyjechać.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczył Igor, skręcając na ciemny parking.

Przed nimi znajdował się zamknięty warsztat samochodowy; szyby w oknach były porozbijane, fasadę pokrywało graffiti.

— Daję mu pół godziny i ani sekundy więcej — powiedziała Masza, wysiadając z samochodu.

Ruszyli przez parking pełen błota, kierując się do drzwi obok pomalowanej na niebiesko bramy. Kiedy weszli do starej hali, uderzył ich mdły zapach oleju. Masza zatkała nos, starając się oddychać przez usta. Na końcu hali przy niewielkim stoliku w kłębach papierosowego dymu siedziało czterech mężczyzn w średnim wieku.

Masza i Igor szli wzdłuż ciągnącego się przez całą halę kanału samochodowego. Zatrzymali się przy stoliku, przy którym siedzieli mężczyźni. Pili wódkę i piwo z puszek. Wyglądało na to, że po tym, jak Igor rano rozstał się z nimi u Kaminskiego, przenieśli się tutaj i dalej ucztowali.

Lucian odwrócił się na taborecie, spojrział chłodno na Igora, po czym skierował wzrok na Maszę. Otarł usta.

— Przyprowadziłeś mi swoją dziewczynę? — bardziej stwierdził, niż zapytał, wypuszczając kłęb dymu. — Zobaczymy, czy to wystarczy.

Mężczyźni przy stoliku spojrzeli na nią i śmiejąc się, wymienili kilka niewybrednych żartów.

Lucian wstał ze stołka.

— Dziwka, ale ładna. Muszę ci to przyznać, Igor. Miła laseczka. Miałeś szczęście.

Masza zamknęła oczy.

— Może jednak nie tym tonem, nie psujmy miłej atmosfery — powiedziała.

— Niby dlaczego? — odparł Lucian, przyglądając się jej. — Jesteś dziwką. Żyjesz z pieprzenia, prawda? Pytanie brzmi, czy jesteś w tym dobra. — Wykonał charakterystyczne ruchy podbrzuszem.

Mężczyźni za nim śmiali się coraz głośniej.

— Nie mam zamiaru tego słuchać — oświadczyła Masza. — Wychodzimy stąd! Natychmiast! — zwróciła się do Igora.

— A dokąd to?

Lucian chwycił ją za włosy i przyciągnął do siebie. Masza krzyknęła i próbowała się uwolnić. Spojrzała na Igora, który ku jej zdziwieniu zaczął się wycofywać.

— Ściągaj te szmaty! No, co jest, mam ci pomóc?!

Lucian zaczął szarpać jej sukienkę. Dziewczyna próbowała go kopnąć, ale bez powodzenia. Zdesperowana zaczęła się rozglądać za Igorem, który był już przy drzwiach.

— Igor, pomóż mi, do diabła! Ratuj mnie!

Igor pokręcił głową z rozpaczą.

— Przepraszam, skarbie... Musiałem... Nie miałem wyjścia... Przepraszam...

Lucian chwycił ją swoją wielką łapą za szyję i ścisnął tak mocno, że nie mogła złapać tchu.

Zerwał z niej sukienkę.

Cuchnął, poczuła na nagiej skórze klejącą się od brudu koszulę i jego twardość, kiedy przywarł do niej od tyłu.

— Nie ma nic lepszego, jak poskromić taką sukę — powiedział schrypniętym głosem.

Masza znów zaczęła wołać Igora, ale zdążył już wyjść i zamknąć za sobą drzwi.

Igor wyszedł z hali i na drżących nogach ruszył w stronę swojego bmw. Kiedy dotarł do samochodu, oparł się o maskę i zwymiotował, brudząc przy okazji nowe adidas. Usłyszał za sobą kroki. Otarł usta i się odwrócił.

Kaminski stał obok i przyglądał mu się chłodno.

— Nie miałeś wyboru. Honor jest najważniejszy. Trzeba spłacać swoje długi.

— Wiem.

— Dziwię się, że udało ci się ją zwabić do takiej nory — powiedział, zerkając na zniszczone budynki. — Musi cię bardzo kochać, skoro ci zaufała.

Igor otworzył drzwi i usiadł za kierownicą.

Kaminski się schylił.

— Lucian jest tak wspaniałomyślny, że pozwala ci zachować bryczkę — powiedział. — Jedź ostrożnie — dodał i trzasnął drzwiami.

8.

Thomas usłyszał szczekanie i poczuł się, jakby ktoś dał mu młotkiem w głowę. Nie mógł uciec od dźwięku. Otworzył oczy. Światło dzienne wpadało przez okienko w luku tuż nad jego głową; natychmiast rozbolały go oczy.

— Zamknij się — mruknął i w tym momencie Møffe wskoczył do łóżka.

Starzejący się buldog angielski zaczął lizać go po twarzy. Thomas starał się go odsunąć, ale bez powodzenia.

— Twój pies nocował dzisiaj u mnie — z głębi kajuty dobiegł go głos Eduarda.

Thomas próbował się podnieść, ale kac zmusił go do położenia się na plecach, co Møffe natychmiast potraktował jako zaproszenie i znów zaczął lizać go po policzku. Thomas podrapał psa za uchem, a ten w końcu, mrużąc, ułożył się obok niego.

— Zostawił w mojej kajucie wielką kupę.

— Dobrze, że u ciebie, a nie u mnie — mruknął Thomas.

— Co? — zapytał Eduardo, wsadzając głowę do kajuty.

— Powiedziałem, że bardzo mi przykro.

— Masz kawę?

Thomas machnął ręką gdzieś w powietrze. Eduardo zaczął przeszukiwać szuflady i szafki. Uderzał drzwiczkami. Hałas sprawił, że Thomas w końcu podniósł się z łóżka. Natychmiast zrobiło mu się niedobrze. Wiedział, że nie zdoła powstrzymać wymiotów. Otworzył gwałtownie drzwi do niewielkiej łazienki i nagle przypomniał sobie, że kibel jest zapchany. Poczł, jak ścisła mu się żołądek, miał wrażenie, że zaraz eksploduje. To była kwestia sekund. Minął Eduarda i wybiegł przez otwarte drzwi kajuty. Zdażył dobiec do relingu i zaczął wymiotować. Pokład kołysał mu się pod nogami, głowa pękała. Nagle zobaczył jakiś błysk, zaraz potem drugi. Od kanału dobiegł go gwar głosów. Powoli podniósł głowę i zobaczył przepływającą tuż obok łódź turystyczną. Japońscy turyści uwieczniali jego nędzę. Odwrócił się do nich plecami i osunął się na pokład. W drzwiach pojawił się Eduardo; Thomas uniósł głowę i zerknął na niego.

— Nie wiedziałem, że zaczął się sezon — powiedział, wskazując na mijającą ich łódź.

— Sezon trwa chyba cały rok.

— Naprawdę?

Thomas złapał się za głowę, dotknął policzka — był spuchnięty i obolały.

— Cholera, ale jestem poobijany. Musiałem się wczoraj przewrócić.

Eduardo pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

— Na razie, Eduardo! — dobiegł ich warty kobiecy głos z kecza Eduarda, cumującego obok łodzi Thomasa.

Eduardo odwrócił się i posłał pocałunek jasnowłosej dziewczynie, która stała na dachu kajuty i do niego machała.

— Zadzwoń! — obiecał.

Dziewczyna zesła na nabrzeże, podeszła do roweru i zdjęła zamek.

— Co to za jedna? — zainteresował się Thomas.

— Malene?... Maria?... Anna! — Eduardo się rozpromienił. — Poznaliśmy się wczoraj w Wydrze — rzucił, machając dziewczynie, która właśnie mijala ich na rowerze.

— Malene-Maria-Anna. Dość niezwykle imię — stwierdził Thomas ironicznie.

— Bo też dziewczyna jest niezwykła.

Dziesięć minut później Thomas znalazł słoik z neską i dwa kubki. Mężczyźni wzięli kawę i wyszli na maleńki pomost nad kajutą, skąd nie byli widoczni dla turystów pstrykających zdjęcia. Usiedli na wąskiej ławeczce. Eduardo wypił łyk i się skrzywił.

— Hojnie wyspałeś.

— Najlepszy sposób, żeby otworzyć oczy — powiedział Thomas.

Też wypił łyk. Kawa była mocna, nawet jak dla niego.

Eduardo stał i przyglądał się swojemu oddechowi, który w chłodnym powietrzu zamienił się w obłoczek pary.

— Martwię się o ciebie, Ravn.

— Niepotrzebnie — odparł szybko Thomas i odwrócił głowę. — Czuję się dobrze, naprawdę.

— Miałem na myśli twój stan ogólny.

— Dawno nie czułem się lepiej.

Eduardo unióśł brwi i posłał mu zdziwione spojrzenie.

— Kiedy wracasz?

— Wracam? Co masz na myśli? Komendę?

Eduardo skinął głową.

— Nie wiem. Właściwie nie zastanawiałem się nad tym.

— Nie mogą w nieskończoność trzymać cię w zawieszeniu. Masz chyba jakieś prawa?

Thomas odchylił się nieco i wyłożył nogi na krzesło stojące naprzeciwko.

— Nie zostałem zawieszony, tylko urlopowany. Jestem na zwolnieniu, na litość boską.

— Jak długo?

— Aż uznają, że jestem zdrowy — odpowiedział Thomas z uśmiechem.

— Ale chcą cię z powrotem?

Thomas zmarszczył czoło.

— Co to ma być? Robisz ze mną wywiad? Zaczekaj, aż przyjdiesz do tej swojej głównianej czerwonej redakcji.

— Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

Thomas zaczął się trząść. Nie potrafił stwierdzić, czy powodem był kac, czy chłodna morska bryza.

Eduardo się uśmiechnął.

— Myślę, że powrót do pracy dobrze by ci zrobił. Byłeś dobrym gliną. Jesteś dobrym gliną. To komplement w ustach czerwonego — powiedział i wylał resztę kawy za burtę.

— I co z tego, skoro na górze jest opór.

— Jesteś tego pewien?

Thomas wzruszył ramionami.

— Najpierw przestali przydzielać mi sprawy. Przeciągali to w nieskończoność, a kiedy już dłużej się nie dało, wysłali mnie na urlop — powiedział i uśmiechnął się gorzko.

— Ile czasu minęło?

— Odkąd jestem na urlopie?

— Nie, nie to miałem na myśli.

— Niedługo minie rok.

— To nie był dobry czas.

— To był główniany czas.

Eduardo wstał z ławeczki i podszedł do drabinki prowadzącej na pokład. Odwrócił się

i zaczął schodzić. Spojrzał na Thomasa.

— To przeklęta sprawa. Jedna z tych, które nigdy nie zostaną rozwiązane.

— Wiem.

— Może pora, żebyś poszedł dalej... Ze wszystkim.

— Wiem — powtórzył Thomas.

9.

Przed nimi rozciągało się puste, jałowe pole. Pierwsze promienie słońca z trudem przedzierały się przez grubą warstwę gęstej mżawki, która sprawiała, że nawet drzewa wokół niemal znikwały we mgle. W niskiej zielonej ambonie siedział Erik wraz z ojcem i jednym z myśliwych, Johanem Edelem, znajomym ojca. Chłopiec skończył niedawno dziesięć lat i ojciec pierwszy raz zabrał go ze sobą na polowanie. Siedzieli tu już dobre dwie godziny, czekając, aż naganiacze z psami skierują zwierzynę na stanowiska myśliwych. Chłopcu z zimna drżały ręce, z trudem trzymał wielką lornetkę, przez którą wypatrywał zwierzyny.

— Zimno ci? — spytał ojciec cicho.

Bertil, ojciec Erika, zbliżał się do sześćdziesiątki. Worki pod oczami i popękane naczynka na nosie świadczyły o tym, że pił więcej, niż powinien.

— Nie, wszystko w porządku — wydukał Erik, chwytając mocniej lornetkę, żeby nie wypadła mu z rąk.

Ojciec opuścił sztucer, piękny egzemplarz Winchestera z kolbą z drzewa orzecha, i poklepał syna po głowie.

— Poruszaj rękami. Zawsze tak robię, kiedy jest mi zimno.

Zaczął uderzać dłońmi o boki, pokazując chłopcu, co powinien robić. Johan Edel patrzył na nich poirytowany. Jego niebieskie oczy były zimne jak lód.

— Przestańcie — odezwał się nosowym głosem. — Płoszycie zwierzynę, do diabła!

Johan miał trzydzieści parę lat, był dobrze umięśniony, jasne włosy zaczesywał do tyłu, co sprawiało, że przypominał angielskiego lorda.

Bertil wykonał przeproszający gest dłonią. W tym momencie od strony lasu po drugiej stronie pola doszło do nich szczekanie psów.

— Widzisz coś? — spytał Bertil Erika.

Chłopiec popatrzył przez lornetkę, ale mgła była zbyt gęsta, żeby mógł dojrzeć drugi kraniec pola. Pokręcił głową.

— Pokaż — powiedział Johan.

Wyrwał chłopcu lornetkę z ręki, przyłożył do oczu i sam usiłował coś wypatrzeć.

— Pewnie zaraz się zjawią — stwierdził Bertil, udając, że składa się do strzału. Ujadanie psów było coraz bliżej.

— Są jakieś dwieście metrów stąd! — krzyknął Johan, wskazując ręką na drugi kraniec pola.

Erik i jego ojciec starali się coś dojrzeć, ale z tej odległości, bez lornetki i we mgle, niewiele było widać.

Johan oddał Erikowi lornetkę i spojrział w górę na koronę pobliskiego drzewa. Lekki wiatr kołysał gałęziami. Zaczął nastawiać ostrość swojej eleganckiej beretty.

— Na pewno chcesz strzelać pierwszy?

Bertil pokiwał głową.

— Za pieniądze, które zapłaciłem za to polowanie, mam do tego pełne prawo.

— Jasne. Chodziło mi o to, czy nie jesteś za bardzo zdenerwowany.

Johan odbezpieczył broń i przyłożył sztucer do policzka.

Bertil poszedł za jego przykładem. Przez celownik sztucera przyglądał się okolicy.

Powoli z mgły wyłonił się pierwszy jeleni. Młody jelonek, który niespokojnie kręcił głową. Zwolnił bieg. Po chwili pojawiły się dwa następne. Widać było, że się wahają. Bały się otwartej przestrzeni, ale coraz głośniejsze ujadanie psów sprawiło, że w końcu ruszyły przed siebie. Bertil śledził przez celownik ich bieg przez pole. Zwierzęta szybko zbliżały się do kamiennego murka i znajdujacego się za nim lasu.

— Na co czekasz? — warknął Johan.

Bertil przycisnął sztucer do ramienia, wstrzymał oddech.

— Strzelaj!

Bertil pociągnął za spust, rozległ się huk. Erik wzdrygnął się i zatkał uszy.

Zwierzęta przyspieszyły. Pierwszy jeleni przeskoczył już kamienny murek, za nim podążyły następne. Rozległ się kolejny strzał, zwierzę biegnące jako ostatnie zastygło w powietrzu. Po chwili padło martwe na ziemię.

— Masz go? — spytał Bertil.

— Oczywiście — odpowiedział Johan i po raz pierwszy od początku polowania się uśmiechnął.

Erik spojrzał na jelenia, widział, jak drgają mu nogi.

— Próbuje uciec — powiedział.

— Nigdzie nie ucieknie — odezwał się Johan i wstał.

— To tylko nerwy, pośmiertne drgawki — wytłumaczył mu ojciec. — On jest już martwy.

— I nic nie czuje?

— Nie sądzę.

Po chwili wszyscy trzej szli ścieżką prowadzącą przez pole w stronę leżacego na ziemi jelenia.

Wieczorem, kiedy zapadł mrok i polowanie zostało zakończone, ośmiu myśliwych biorących w nim udział zebrało się przed chatą zbudowaną z pobejcowanych na czarno desek. Erik stał obok ojca i w świetle pochodni podziwiał upolowaną zwierzynę. Na ziemi leżało pięć jeleni i jeden lis, którego Johan namierzył tuż przed zachodem słońca. Prowadzący polowanie łowczy, młody mężczyzna z blond wąsikami, stał i notował w zeszytach, kto co ustrzelił. Kiedy przysła kolej na Bertila, Erik skulił się obok ojca.

— Powiedzmy, że prawie albo że niewiele brakowało — odparł Bertil z zadowoleniem.

— Miałem go na celowniku — powiedział. Podniósł ręce i pokazał, jak celował.

— Czyli zero — oświadczył chłopak. — Tak jak podczas trzech poprzednich polowań.

Bertil wzruszył ramionami.

— Ludzie biją się o to, żeby móc wziąć udział w naszych polowaniach, prowadzimy dokładne statystyki, Bertil. Przyjmujemy tylko najlepszych — ciągnął łowczy poważnie.

— Albo tych, którzy są w stanie zapłacić — uśmiechnął się Bertil, niewzruszony.

Myśliwi wybuchnęli śmiechem.

— To prawda — przytaknął chłopak i również się uśmiechnął. — Dostajesz ostrzeżenie.

— Nie pojmuję, jak sobie radzisz na sztokholmskiej giełdzie z tym swoim myśliwskim instynktem — dodał Johan.

Myśliwi znów się roześmieli.

— Nie najgorzej — odpowiedział Bertil. — Cierpliwość to cnota starości.

Uśmiechnął się do stojących wokół mężczyzn, równie zamożnych, ale znacznie młodszych od niego.

— Chodź, Erik!

Wziął synka za rękę, uchylił kapelusza i pożegnał kolegów.

Ruszyli w stronę dużego czarnego mercedesa SEL. Samochód był nowy, lakier błyszczący i czysty.

— Jesteś zmęczony? — spytał Erika, włączając silnik.

Chłopiec milcząc pokręcił głową i zapiął pasy.

Ruszyli ciemną szosą w stronę Sztokholmu. Na drodze prawie nie było ruchu. Po chwili zaczął padać deszcz, wycieraczki usuwały metodycznie coraz liczniejsze krople z przedniej szyby samochodu. Bertil włączył długie światła, które oświetliły drogę i wysokie świerki po jej obu stronach.

— Wiedziałeś, że w ten sposób też można złapać sarnę?

Mężczyzna spojrział na synka, który siedział i milczał.

— Gdyby teraz wyszła na drogę sarna, światła reflektorów sparaliżowałyby ją i moglibyśmy ją przejechać.

— I zabrać do domu — odpowiedział Erik cicho.

Bertil roześmiał się i zmierzwił synkowi włosy.

— Dręczy cię to? Następnym razem coś ustrzelimy. Zobaczysz.

— Ale ty podobno nigdy nie trafiasz. Tak mówili.

— Ludzie mówią różne rzeczy. Nie słuchaj ich.

Bertil odpiął nieprzemakalną kurtkę i wyjął piersiówkę. Odkręcił i wypił łyk drogiej brandy.

— Nie przejmuj się.

— Ale oni się z ciebie śmiali, tato.

— I co z tego?

— Nawet Johan — dodał Erik, wyglądając przez boczną szybę.

— My często się z siebie śmiejemy. To nic złego — powiedział Bertil. Opróżnił piersiówkę i schował do kieszeni. — Takimi rzeczami nie warto się przejmować, rozumiesz?

— Tak, tato.

Dojechali do zjazdu na Mälarhöjden i Bertil skręcił. Jechali w milczeniu przez uśpione przedmieście, zmierzając do domu, pięknej willi z widokiem na jezioro Mälaren.

10.

Masza leżała na łóżku i przyglądała się mężczyźnie, który siedział i huśtał się na krześle naprzeciwko niej. Ubrany był w czarną skórzaną kurtkę, ciemne spodnie i boty, na ręku miał duży złoty zegarek. Hublot albo bulgari. Sto pięćdziesiąt, dwieście tysięcy, co najmniej. Zaczesane do tyłu kruczoczarne włosy lśniły od brylantyny, kozia bródka była zadbana, wargi pełne. Drgał na nich lekko ironiczny uśmiech, jakby przed chwilą powiedział coś zabawnego. Przyglądał się jej w milczeniu. Wyczekująco. Czowała się oszołomiona, ciało miała dziwnie bezwładne, jakby zażyła dużą dawkę valium. Ktoś musiał jej coś podać. Z ostatniej doby pamiętała jedynie fragmenty. Pamiętała, jak ktoś wyciągnął ją z kanału, ją i jeszcze jedną dziewczynę. Tę, która krzyczała. I miała pręgi na plecach. Potem podjechał jakiś samochód. Długo jechali. Pamiętała światła reflektorów na autostradzie, jak aureole aniołów. Spojrzała na siebie. Była ubrana w spodnie od dresu i różowy T-shirt, co najmniej o trzy rozmiary za duży. Pachniał cudzymi perfumami. I cudzym potem. Rozejrzała się po niewielkim pokoju. Tapeta w wyblakły zielony wzór przypominała jej pokój w domu babci, w Daugach. Nie potrafiła powiedzieć, gdzie jest, w jakiej części świata. Poczowała suchość w gardle, próbowała przełknąć ślinę. Mężczyzna wskazał jej wzrokiem stolik nocny, na którym stały szklanka i dzbanek z wodą. Sięgnęła po szklankę i zaczęła chciwie pić. Nalała kolejną, wypila. Wytarła usta wierzchem dłoni.

— Kim jesteś? Gdzie ja jestem?

Mężczyzna milczał. Patrzył na nią z lekkim uśmiechem na ustach.

— Odpowiedz mi! — zawołała schrypniętym głosem.

Mężczyzna potarł dłonią szpiczastą bródkę. Zauważyła duży sygnet na małym palcu.

Złoty, z czerwonym kamieniem, który patrzył na nią niczym złe oko.

— Myślisz, że się ciebie boję? — Wyprostowała się, próbując dodać sobie odwagi. — Jak tylko stąd wyjdę, zaraz zawiadomię gliny.

Mężczyzna przestał się huśtać na krześle, wychylił się do przodu.

— Nikt cię tu nie zatrzymuje, Masza — odezwał się z silnym słowiańskim akcentem.

— Możesz iść — powiedział, wskazując na drzwi. — Idź. Wezwij gliny. Tylko nie bardzo wiem, co zamierzasz tym osiągnąć?

— Złożę na was doniesienie.

Mężczyzna rozłożył ręce.

— Powodzenia. Zdarzyło się, że kiedykolwiek ci pomogli? Mam na myśli gliniarzy. Mnie nigdy w niczym nie pomogli, ale może ty dogadujesz się z nimi lepiej.

Masza odwróciła głowę.

— Skąd wiesz, jak mam na imię? Igor ci powiedział, ten dupek!

— Twoje imię jest w paszporcie — odparł mężczyzna, dotykając ręką kieszeni. Jakby dawał jej do zrozumienia, że właśnie tam go ma.

— Dupek Igor mi go dał — powiedział i się uśmiechnął.

— Oddaj mi paszport. I ubranie, i torebkę, i pieniądze.

Masza próbowała się podnieść, ale zakręciło jej się w głowie. Spojrzała na szklankę, zaczęła się zastanawiać, czy czegoś jej nie dosypał.

— Kim ty, do cholery, jesteś?

Mężczyzna wychylił się w jej stronę.

— Zadajesz dużo pytań, ale spróbuję ci odpowiedzieć. A więc nazywam się Slavros. Wyratowałem cię z dość paskudnej sytuacji. Wyrwałem cię z rąk bardzo nieprzyjemnych ludzi. Prawdę mówiąc, bestii, ludzi bez żadnych manier czy zasad moralnych. Nie lubię, kiedy kobietom dzieje się krzywda, szczególnie tak pięknym jak ty — powiedział, przekrzywiając głowę.

— Dokąd mnie przywiozłeś?

— Do siebie — najwyraźniej nie zamierzał wchodzić w szczegóły.

— I pozwolisz mi odejść? Tak po prostu?

Mężczyzna rozłożył ręce i się uśmiechnął.

— Oczywiście. Idź, jeśli chcesz. Ale to w niczym nie zmieni twojej sytuacji.

— A jaka jest moja sytuacja?

— Łączą nas finanse.

Masza parsknęła ironicznie.

— Poza tym, że masz mój paszport i moje pieniądze, nic nas nie łączy. To Igor jest wam winien forszę, nie ja. To z nim powinniście rozmawiać.

Slavros zaczął pocierać jedną dłoń o drugą.

— Sytuacja się zmieniła. Twój kochany Igor, który bynajmniej nie jest lepszy od tego bydlaka Luciana, sprzedał cię, żeby spłacić swój karciany dług, wynoszący czterdzieści tysięcy euro. Tak więc, chociaż pewnie wyda ci się to niesprawiedliwe, twój Igor nie musi się już niczego obawiać. Kupiłem cię za połowę tej sumy. Biorąc pod uwagę pierwotną kwotę, obie strony zrobiły dobry interes. A teraz cokolwiek zrobisz, czy wyjdiesz przez te drzwi, czy nie, czy doniesiesz gliniarzom, czy nie, czy pojedziesz na drugi kraniec świata, czy też polecisz na księżyc, to nadal będziesz mi winna dwadzieścia tysięcy euro. Dwadzieścia tysięcy, na które zawrzemy odpowiednią umowę.

— Ale to Igor...

— Zapomnij o Igorze — powiedział Slavros, rzucając jej chłodne spojrzenie. — Igor nie ma już z tym nic wspólnego. Nasze rachunki go nie dotyczą. Musisz myśleć o sobie. Zastanów się, jakie masz możliwości, na kogo w tej sytuacji możesz liczyć. Kto może ci pomóc, kto może cię chronić. Zapewniam cię, że tacy ludzie będą ci teraz potrzebni.

— Rozumiem, że chronić mnie będziesz ty?

Mężczyzna zaczerpnął powietrza.

— Mogę zwrócić dług Lucianowi albo przekazać go innym, znacznie gorszym od niego. A wtedy trafisz do miejsc, których istnienia nawet nie podejrzewasz. Przy tych miejscach warsztat, w którym cię znalazłem, wyda ci się pałacem, a Lucian i jego ludzie — świętymi. Ale ja wcale tego nie chcę. Uważam, że dość już wycierpiałas — powiedział Slavros, patrząc na nią z niepokojem. — Chcę, żebyś z tego wyszła, ale musisz współpracować. Musisz być rozsądna, rozumiemy się?

— Czego ode mnie oczekujesz?

— Chcę, żebyś robiła to, w czym jesteś dobra. To, z czego do tej pory żyłaś.

Masza spuściła wzrok.

— Nie masz się czego wstydzić. Na świecie są dwa rodzaje ludzi: ci, którzy przeżywają, i ofiary. *Fighters and fuck-ups*. Spójrz mi w oczy, Masza.

Masza podniosła głowę; zobaczyła jego poważne oczy.

— Ty i ja jesteśmy tacy sami. Zrobimy wszystko, żeby przeżyć. Już dawno dokonałaś wyboru. Chciałaś mieć coś z życia, nie zadowalałaś się byle czym. Nie chciałaś umrzeć biedna — powiedział mężczyzna i zmarszczył brwi. — Historia z Igorem, Lucianem i jego kumplami to

drobny incydent. To nic w porównaniu z całością. Z planem, który dla siebie ułożyłaś.

Masza zaczęła kręcić głową, czuła lzy pod powiekami.

— Nie wiesz, co oni zrobili...

— Podobnie jak ty nie wiesz, co ja musiałem znosić. Mogę ci pokazać swoje ciało, całe w bliznach. Walczyłem na frontach wszystkich wojen, w Czeczenii, na Bałkanach, tutaj. Ale my jesteśmy z tych, którzy przeżywają. Robimy wszystko, żeby osiągnąć cel. I ja, i ty, Masza.

— A jaki jest ten cel? Czego pragniemy? — spytała, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

— Tego, co wszyscy. Pragniemy pieniędzy, bo pieniądze dają wolność. Pozwalają decydować o własnym życiu. Ni mniej, ni więcej.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni kurtki. Przez moment myślała naiwnie, że może odda jej paszport, ale on podał jej notes i długopis.

— Nie jestem potworem. Jestem człowiekiem interesu. Chciałbym, żebyś ty też zaczęła siebie tak postrzegać. Jako kobietę interesu. Podejrzewam, że nie masz żadnych oszczędności. Może kilka tysięcy, resztę pewno wydałaś na różne głupstwa. Gucci, Prada i tak dalej. Teraz jednak będziesz musiała zacząć oszczędzać. Wytyczyć sobie jakiś cel.

— Miałam cel, zanim to wszystko się wydarzyło.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Nie, miałaś marzenia, a to nie to samo. Każdy idiota może sobie marzyć, ale niewielu potrafi swoje marzenia spełnić. Dlatego chcę, żebyś prowadziła rachunki. Podam ci ceny, wszystko zapisuj. Jesteś ładna. Młoda. To ważne cechy. W moim klubie, w moim świecie to jedyne rzeczy, które naprawdę się liczą.

— W twoim klubie?

— Będiesz w nim pracować. To eleganckie miejsce. Dobrzy klienci. Jest bezpiecznie. Nikt nie robi ci krzywdy. Jesteśmy jedną wielką rodziną, wszyscy o sobie dbamy. Tak to wygląda.

Mężczyzna spojrział na swoje dłonie, złożone na kolanach, i pokiwał głową.

— Tak to właśnie wygląda — zakończył.

— Jak długo?

— O co pytasz?

— Jak długo mam tu być?

Spojrzał na nią uważnie.

— Pewnie rok, może nieco krócej albo trochę dłużej. Do tych dwudziestu tysięcy, które jesteś mi winna, dojdą jeszcze codzienne wydatki. Nie ma nic za darmo, rozumiemy się?

— Mężczyzna wskazał na zeszyt. — Notuj wszystko dokładnie. Wkrótce sama się zorientujesz, ile potrzebujesz czasu. Jakoś to rozwiążemy. Uwierz mi, naprawdę chcę ci pomóc. Zapewnić ci dobre życie. Wolność.

Wstał i podał jej rękę. Wyglądało to dość dziwnie, ale w końcu wzięła jego dłoń i uściśnęła. Była silna, żyłasta. Patrzyła za nim, kiedy ruszył do drzwi. Na korytarzu stał młody mężczyzna, najwyraźniej czekał na niego. Jeden z ludzi Slavrosa. Typowy jugogangster, łysy, w czarnej kurtce i ciężkich wojskowych butach. Niezależnie od tego, jak Slavros to przedstawiał, była uwięziona, dokładnie tak samo, jak w tym okropnym warsztacie. Skuliła się na łóżku i podciągnęła nogi. Zaczęła płakać.

11.

F-5. Przycisk starego wurlitzera rozbłysnął, jakby się uśmiechał. Thomas wyciągnął z kieszeni pięciokoronówkę, słuchając, jak Daryl Hall kończy śpiewać. Był zbyt pijany, żeby ocenić odległość do szpary, w którą trzeba było wrzucić monetę. Piątka wypadła mu z dłoni i potoczyła się po podłodze. Thomas zachwiał się, oparł o szafę grającą i zaczął szukać wzrokiem monety. W końcu udało mu się ją wypatrzeć.

— Ravn, przysięgam, że jeśli jeszcze raz puścisz ten kawałek, to usunę go z listy.

Thomas odwrócił się do Johnsona, który stał za barem i ustawiał szklanki na półkach.

— O co ci chodzi? — wybełkotał.

— To chyba proste, nawet dla ciebie.

Thomas rozłożył ręce, znów się zachwiał.

— Przecież jesteśmy tu sami, do licha. Ty i ja.

— Tak, i ja już nie mam ochoty dłużej słuchać tej piosenki. Nastaw coś innego albo wracaj do domu.

— Tą muzyką chciałem dodać temu miejscu splendoru.

— Radziłbym ci zacząć od kąpieli.

Pięciokoronówka znów wypadła Thomasowi z dłoni. Spojrzał na podłogę i postanowił odpuścić. Ruszył w stronę swojego stołka.

— Daj mi zestaw.

Johnson spojrział na butelkę jima beama.

— To ostatnia kolejka, *comprende*?

— Zaczynasz gadać jak Eduardo.

Kiedy Thomas w końcu dotarł do swojej kamienicy, zatrzymał się na chodniku i podniósł głowę. W pokoju paliło się światło. Deszcz przybrał na sile, krople uderzały go w twarz. Zmrużył oczy, wytarł brodę, odgarnął do tyłu półdlugie, mokre włosy. Stał chwilę i patrzył w okno, w końcu podszedł do mokrych schodów, prowadzących do drzwi wejściowych, i usiadł na stopniu. Ubranie miał przemoczone, nie zwracał już uwagi na deszcz. Dotknął kieszeni cienkiej kurtki, szukając komórki. W końcu znalazł ją w kieszeni spodni. Wziął aparat do ręki i wybrał własny numer. Po chwili odezwała się poczta głosowa. Usłyszał głos Ewy, melodyjny, ale stanowczy. Standardowa informacja: „Cześć, tu numer... Niestety nie ma nas w domu... Zostaw wiadomość”.

Siedział i słuchał. Nawet kiedy wybrzmiał ostatni sygnał, nadal trzymał telefon przy uchu. Wsłuchiwał się we własny oddech. Odchylił głowę i znów spojrział w okna mieszkania.

W pokoju od ulicy było zapalone światło. Po chwili połączenie z pocztą głosową się urwało, schował komórkę do kieszeni, wstał i ruszył w stronę przystani i łodzi.

Kiedy otworzył drzwi do kajuty, Møffe zeskoczył z kanapy i wybiegł mu na spotkanie. Mlaskał, merdał ogonem. Thomas schylił się i poklepał psa. Rozejrzał się dookoła. Słyszał krople deszczu i przypomniał sobie, że w przedniej części kajuty zostawił otwarty lufcik. Materac pewnie nasiąkł już wodą jak gąbka, będzie musiał spać na kanapie. Ruszył uprzątnąć kartony po pizzy i puste butelki. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że Møffe załatwił się na środku materaca.

— Møffe, do cholery! — zawołał, próbując znaleźć coś, czym mógłby wytrzeć materac.

Pies zakwilił i ewakuował się na kocyk, leżący pod deską rozdzielczą. Thomas przestał szukać papieru. Wziął ze stołu na wpeł opróżnioną butelkę arnbittera, wyszedł na pokład i usiadł na białym, plastikowym krześle obok burty. Po chwili z kajuty wyszedł Møffe, usiadł przy jego nogach i zaczęła piszczeć. Podniósł łeb i patrzył na niego, lekko zezując. Z góry widać było jego fatalny zgryz.

— Paskudnie wyglądasz — powiedział Thomas i wciągnął grube psisko na kolana.

Pociągnął z butelki. Opróżnił ją, postawił na pokładzie i ukrył twarz w mokrym futrze psa. Wokół miasto zaczynało powoli budzić się do życia.

— Thomas Ravnsoldt! Ravnsoldt!

Thomas otworzył powoli oczy. Miał wrażenie, że z nabrzeża ktoś do niego woła. Było już widno, deszcz zastąpiła szara mgła, unosząca się nisko nad kanałem. Po kilku godzinach spędzonych w niewygodnym plastikowym krześle bolało go całe ciało.

— Ravnsoldt!

Odwrócił się na krześle i spojrzał do góry. Na nabrzeżu stał zarządca przystani, Preben Larsen. Był to niski mężczyzna z okrągłą twarzą, dobrze po pięćdziesiątce. Zawsze nosił nieco przykrótkie jeansy, czarne drewniaki i starą granatową wiatrówkę z logo Burmeister & Wain na plecach. Miał ją na sobie niezależnie od pory roku.

Na twarzy Thomasa pojawił się wymuszony uśmiech. Zasalutował niepewnie.

— Preben.

Zauważył, że mężczyzna nabiera powietrza, jakby szykował się do przemowy. Domyślał się, co zaraz usłyszy.

— Zalegasz z opłatami, Ravnsoldt. Nie zamierzam tego dłużej tolerować.

— Dzisiaj ci zapłacę. Przepraszam za opóźnienie. Mam za dużo na głowie — powiedział Thomas, rozkładając ręce.

Preben skrzyżował ręce na piersiach i marszcząc czoło, przyglądał się łodzi.

— Staramy się, żeby nasza marina była zadbana i atrakcyjna dla klientów. Musisz coś zrobić z tym bałaganem.

— My to znaczy kto?

— Ludzie się skarżą, że zanieczyszczasz teren.

— Kto się skarży?

— I nie możesz za każdym razem, kiedy potrzebujesz prądu, podłączać się na dziko.

W ten sposób robisz zwarcie — ciągnął Preben, wskazując na skrzynkę na nabrzeżu. — Cierpią na tym właściciele innych łodzi.

— Już nie będę — obiecał Thomas.

Wstał nieco niepewnie, nogi mu się trzęsły. Nocna libacja musiała skutkować konsekwencjami, wiedział, że czeka go niezły kac.

— Poza tym z łodzi wycieka ropa.

Preben wskazał ręką na błyszczącą kałużę na rufie.

— Ta łódź to pływająca katastrofa ekologiczna.

— Wiem, że „Bianca” miewała lepsze chwile, ale obiecuję, że odzyska dawną świetność.

Gdy tylko... Gdy tylko...

Zapomniał, co chciał powiedzieć. Kac dawał o sobie znać.

— Pomałuję ją. Rzeczywiście wymaga pociągnięcia pędzlem.

— Samo pomalowanie niewiele da. Przecież ona zaraz zatonie. Stanowi zagrożenie. Dla portu i dla turystów — Preben skinął głową w stronę dużej łodzi turystycznej, która właśnie ich mijala. — Dla nas wszystkich zresztą — zakończył.

— Zatonie? — powtórzył Thomas z oburzeniem, robiąc krok w stronę Prebena. — Ta łódź nie może zatonać. To Grand Banks, jeden z najlepszych, najmocniejszych jachtów na świecie. Bardzo solidna konstrukcja. Z birmańskiego drewna tekowego, ręczna robota.

Preben zaczerpnął powietrza.

— Ravnsoldt, do diabła. Nie chcę zachować się jak świnia, ale jeśli szybko się nie ogarniesz i nie wniesiesz opłaty portowej, będę musiał ją stąd odholować.

Mężczyzna spuścił głowę, wbił wzrok w czubki swoich drewniaków.

— Znam twoją sytuację. Dlatego dam ci jeszcze kilka dni na pozbieranie się.

— Moją... sytuację? — Thomas zmrużył oczy. — Pilnuj swoich spraw, Preben. A tu... masz.

Sięgnął do kieszeni i wyjął zwitek banknotów.

— Ile chcesz?

— Nie chcę gotówki. Zrób przelew.

Thomas schował banknoty do kieszeni, odwrócił się, podszedł do krzesła i usiadł. Po chwili usłyszał, jak kroki Prebena cichną na brukowanym nabrzeżu.

Powiódł wzrokiem po kanale. Był w kiepskiej sytuacji. Musi uregulować zaległości. Preben nie rzucał słów na wiatr. Potrafił wypowiedzieć miejsce za mniejsze przewinienie. A Thomas wiedział, że jeśli straci „Biancę”, to już niewiele mu zostanie.

Kupił łódź dwanaście lat temu za czterysta pięćdziesiąt tysięcy koron. Od faceta, który miał na imię Volmer. Żeby to zrobić, musiał się zapożyczyć po uszy. Wziął kredyt pod hipotekę mieszkania — zresztą wciąż jeszcze go spłacał. Volmer, który kilka lat temu zmarł z przepicia, za życia był chodzącą legendą. Jeśli nie przesiadywał w Wydrze czy w jakiejś innej knajpie nad kanałem, to żeglował po morzach. Wielokrotnie pływał po Morzu Śródziemnym, niekiedy nawet zimował w tamtejszych portach. To było też marzeniem Thomasa. Planował wziąć wolne z pracy i wyruszyć w długi rejs, na Gibraltar, Korsykę albo do Pireusu. Planował cumować w zatokach i spać pod rozgwieżdżonym niebem. Ale na marzeniach się kończyło. Praca w komendzie wykluczała dłuższe urlopy, a brak czasu nie pozwalał mu dbać o „Biancę” tak, jak na to zasługiwała. Miał jednak co wspominać. Razem z Evą spędzili wiele miłych chwil na jej pokładzie, tu, w marinie, i podczas rejsów po cieśninach.

Uświadomił sobie, że jednak musi wejść na chwilę do mieszkania po formularz tego cholernego przelewu.

12.

Lena próbowała stłumić śmiech. Jej pełne czerwone usta dotykały słuchawki telefonu, zostawiając delikatny ślad szminki na czarnym bakelicie. W czerwcu skończyła trzydzieści dwa lata. Mieniąca się na jej lewym nadgarstku bransoletka wysadzana brylantami była prezentem od jej męża, Bertila. Miała na sobie krótką, obcisłą zieloną sukienkę. Jasny kolor sprawiał, że wyglądała w niej na jeszcze bledszą, niż naprawdę była. Rozmawiając, bez przerwy poprawiała natapirowane włosy.

— Nie, nie dręcz mnie — powiedziała, udając zagniewaną. Uśmiechnęła się sama do siebie. — Nie, nie mogę ci nic powiedzieć. Dlaczego? No, dlatego. — Zaczęła okręcać palec wokół kabla. — Nie, Bertila nie ma, ale... — urwała, wychyliła się do przodu i zajrzała do znajdujących się obok dwóch połączonych ze sobą pokojów. Z dalszego dochodził dźwięk telewizora. — Ale jest Erik — dodała ciszej.

Na podłodze na perskim dywanie przed dużym telewizorem w palisandrowej obudowie siedział Erik, śledził uważnie kolejny odcinek westernu, który oglądał w każde niedzielne popołudnie. Hopalong Cassidy wraz ze swoim wiernym towarzyszem Topperem ratowali co tydzień pokrzywdzonych osadników przed dzikimi Indianami i żądnymi krwi bandytami. Serial powstał w latach pięćdziesiątych i był do cna stereotypowy, więc Erik, chociaż nie znał angielskiego, nie miał najmniejszego problemu ze zrozumieniem akcji. Poza tym był właścicielem równie pięknego i błyszczącego kołta jak bohater serialu. Pistolet był jedną z ulubionych zabawek chłopca.

Erik zamoczył herbatnik w kubku ciepłego mleka, który stał obok niego na podłodze. Mokry herbatnik rozpuszczał się przyjemnie w ustach, nie musiał go gryźć. W drugim końcu domu śmiała się jego mama. Tak donośnie, że miał ochotę pogłościć telewizor. Wiedział jednak, że wówczas natychmiast zawoła, aby ściszył, a wtedy będzie jeszcze gorzej. Mając na uwadze to, że Hopalong Cassidy zatrzymał już złodzieja bydła, Bucka, który przypominał Erikowi Johana Edela, chłopiec domyślał się, że odcinek zaraz się skończy. Postanowił cieszyć się ostatnimi minutami serialu.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł ojciec. Miał na sobie ciemny skórzany fartuch, który zasłaniał białą koszulę i szare spodnie. Erik, który nigdy nie widział ojca w takim stroju, zaczął się zastanawiać, co on robi.

— Co oglądasz? — spytał Bertil, podchodząc do dużego otwartego kominka.

— *Hopalong Cassidy* — wymamrotał Erik i odwrócił głowę w stronę ekranu.

Bertil sięgnął po pogrzebacz, wiszący na stojaku obok kominka, i zaczął rozcierać żar.

— Zakładam, że przeżyje.

— Oczywiście.

— Skoro wiesz, jak skończy się film, to czemu tracisz czas na jego oglądanie?

Erik nie odpowiedział. Komentarze ojca irytowały go jeszcze bardziej niż śmiech matki, a do końca odcinka zostało zaledwie parę minut.

— Czemu go oglądasz? — powtórzył ojciec, odwieszając pogrzebacz na miejsce.

— Bo jest ciekawy — odpowiedział Erik, zdenerwowany tym, że ojciec ciągle mu przerywa.

Na ekranie Hopalong Cassidy zamykał drzwi więziennej celi. Buck usiadł ciężko na łóżku.

Bertil podszedł bliżej i stanął za chłopcem.

— Chodź ze mną, pokażę ci coś znacznie ciekawszego niż ten stary western.

— Mogę obejrzeć go do końca?

— To ty, Bertil?! — rozległ się głos Leny z drugiego końca domu. Wychyliła się i spojrzała na nich.

— Tak, to ja — odpowiedział Bertil. Zauważył, że Lena trzyma w ręku słuchawkę i przyciska ją do piersi.

— Z kim rozmawiasz, kochanie? — spytał, wskazując głową na telefon.

— Co? — spojrzała na niego zmieszana, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że on widzi słuchawkę w jej ręku.

— Z matką. Rozmawiam z mamą.

— Pozdrów ją ode mnie.

Lena nie odpowiedziała; opadła na szezlong, znikając z jego pola widzenia.

Bertil podszedł do telewizora i wyłączył go.

Erik chciał zaprotestować, ale Bertil wyciągnął rękę i go powstrzymał.

— Chodź — powiedział. — Pokażę ci coś na dole, w piwnicy.

— W piwnicy? — powtórzył Erik, wstając.

Bertil skinął głową.

— Myślę, że już pora.

Erik patrzył na niego zdziwiony. Piwnica była terenem zakazanym. Tematem tabu. Drzwi do niej były zawsze zamknięte. Było to święte miejsce, do którego ojciec udawał się każdego wieczora, a wracał dopiero w nocy. Erik nigdy nie słyszał, żeby matka pytała ojca, co tam robi, czy w ogóle miała coś przeciwko temu, że ojciec spędza tam tyle czasu. Co już samo w sobie było dziwne, bo na ogół miała mu za złe niemal wszystko, co robił.

Ciemne stopnie trzeszczały pod stopami Erika, kiedy powoli schodził stromymi schodami prowadzącymi do piwnicy. Słyszał, jak ojciec zamyka za nimi drzwi, czuł mocne bicie swojego serca. W piwnicy panowała całkowita ciemność. Nagle Erik poczuł dziwną woń, jakby zapach używanego przez matkę środka do czyszczenia, wymieszany ze słodkim zapachem unoszącym się w sklepie mięsnym pana Nilssona, najlepszego rzeźnika w Sztokholmie, u którego matka robiła zakupy w sobotnie przedpołudnia. Erik zawahał się chwilę na schodach i odwrócił do ojca, który szedł tuż za nim.

— Idź. Na co czekasz?

Erik nie odpowiedział, z pewnym wahaniem ruszył dalej. Kiedy dotarł do piwnicy, zobaczył na ścianie świecący włącznik. Wpatrywał się w Erika niczym oko.

— Co teraz?

— Idź — pospieszał go ojciec.

— Mam włączyć światło?

— Niezły pomysł — rzucił Bertil niecierpliwie.

Erik zaczął macać rękami ścianę, dotarł do włącznika, wcisnął go. Światłówki na suficie zaczęły mrugać i po chwili się zapaliły. Zmrużył oczy, oślepiiony jasnym światłem.

— Jesteś już na tyle duży, że będziesz w stanie to docenić.

Erik spojrzał na niską, podłużną piwnicę. Widok, który ukazał się jego oczom, niepokoił go i fascynował zarazem. Nie mogąc oprzeć się pokusie, ruszył dalej.

Wokół niego na niewielkich platformach z ciemnego drewna stały wypchane zwierzęta,

a raczej zaaranżowane grupy zwierząt, umieszczone wśród sztucznych traw i liści, jak w prawdziwym lesie.

— Matka nie chce, żeby stały na górze, ale tu jest im chyba dobrze, prawda?

Erik nie odpowiedział. Spojrzał na rudą wiewiórkę. Siedziała na gałęzi, trzymała w łapkach orzech laskowy i wyglądała jak żywa. Erik podświadomie wstrzymał oddech, żeby jej nie przestraszyć. Oczarowany szedł dalej. Były tu chowające się w sitowiu kuropatwy, skaczący przez kamienie zajęcy, szczerzący kły w obronie swojej nory borsuk, myszołów z rozpostartymi skrzydłami i mysz w szponach. Ulotne chwile, przedstawione perfekcyjnie w obrazach, a właściwie scenkach rodzajowych, których w przyrodzie nie miałyby szansy zaobserwować, teraz rozgrywały się przed jego oczami.

Szedł dalej i nagle zobaczył przed sobą coś dziwnego: zwierzęta, jakich nigdy nie widział — czarnego kruka z łbem łasicy, borsuka z porożem, sowę z ciałem zajęcia oraz czarnego węża ze skrzydłami gołębia i łapami szczura.

— Skąd je masz? — spytał Erik zdumiony.

— Sam je robię.

Erik odwrócił się gwałtownie, jakby chciał sprawdzić, czy ojciec sobie z niego nie żartuje.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Wszystkie te zwierzęta zrobiłem sam. To taksydermia, bardzo ciekawe zajęcie. Chodź — powiedział i pociągnął Erika za sobą.

Podeszli do stołu w drugim końcu pomieszczenia. Leżały na nim różnego rodzaju narzędzia, stały słoiki z różnokolorowymi płynami i wysokie szklanki, w których znajdowały się pędzelki z włosiem z sierści borsuka. Na półkach nad blatem leżały wyprawione skóry i kilka niewielkich wybielonych poroży. Miejsce było magiczne.

— Poznajesz? — spytał ojciec, wskazując na leżące na blacie miękkie futro lisa.

— Nie, skąd to masz?

— To lis, którego Johan zastrzelił. Zwykle odkupuję zwierzynę od innych myśliwych. Biorę to, czego nie chcą.

— Ale jak to się dzieje, że później wygląda jak żywy? To przecież tylko kawałek skóry.

Bertil roześmiał się i schylił, żeby otworzyć środkową szufladę komody. Wyjął z niej dwa poźółkłe woskowe modele i postawił na blacie. Oba były w kształcie lisów. Jeden przedstawiał lisa siedzącego, drugi stojącego z otwartą paszczą. Gładka, umięśniona powłoka sprawiała, że przypominały prawdziwe odarte ze skóry zwierzęta.

— Najpierw trzeba wyprawić skórę, a potem ułożyć ją właśnie na takim manekinie.

Wymaga to dokładnych pomiarów i dużej precyzji.

Ojciec sięgnął po stojącą na półce skrzynkę z narzędziami i wyjął z niej glinę modelarską.

— To nasze najważniejsze narzędzie. Żeby zwierzę wyglądało jak żywe, trzeba mieć pewną rękę.

Erik zajrzał do skrzynki wypełnionej błyszczącymi narzędziami, przeciągnął palcami po chłodnym metalu. Przypomnił sobie słowa ojca, wypowiedziane podczas powrotu z polowania. Że zwierzęta można łapać na wiele różnych sposobów. Strzelając ze sztucera albo chwytając w światła reflektora. A teraz pokazał mu jeszcze jeden sposób, który sprawił, że trofea myśliwych, które wcześniej tak podziwiał, wydały mu się nagle prostackie i odrażające.

— Na to musisz uważać! — odezwał się nagle ojciec.

Wyjął mu z ręki dużą strzykawkę, którą Erik znalazł w skrzynce, i położył na stole w bezpiecznej odległości od chłopca.

— To nie jest zabawka. Niektóre rzeczy mogą być niebezpieczne. Trzeba uważać, żeby

nie zrobić sobie krzywdy.

— Przepraszam, nie wiedziałem, że to niebezpieczne.

— Jest bardziej niebezpieczna niż najostrzejszy skalpel. Jest w niej kwas solny.

— Do czego się go używa?

— Do wytrawiania mózgu — powiedział Bertil.

Można było odnieść wrażenie, że chce przestraszyć syna, ale chłopiec nie wyglądał na przerażonego. Za bardzo był zafascynowany tym, co widział.

— Nauczysz mnie tego, tato?

— Może — odparł Bertil, wzruszając ramionami. — Powiem tak: mogę nauczyć cię rzemiosła, ale to dopiero połowa drogi.

— Jak to?

— Dobry konserwator, nawet amator, musi być kreatywny, jak każdy artysta. Umieć uchwycić właściwy moment, ten najważniejszy. Zatrzymać życie, w chwili gdy jest doskonałe.

Erik pokiwał głową w milczeniu. Trudno mu było zrozumieć, że wszystkie te stworzenia wyszły spod ręki jego ojca. Z którego wszyscy się śmiali, na którego matka zawsze narzekała, który wracał z pracy milczący i zmęczony. Jak to możliwe, że potrafił dokonać czegoś takiego? Że posiadał zdolności, o jakich Erik zawsze marzył?

— Nie wystarczy tylko zszyć skórę lisa — powiedział Bertil. Wziął do ręki przednią łapę zwierzęcia i uniósł ją. — Trzeba wyobrazić sobie najlepszy moment w jego życiu. Zrozumieć, na czym polega jego wielkość. Co sprawia, że czuje się szczęśliwy? O ile lis w ogóle wie, co to jest szczęście.

Ojciec puścił łapę, upadła na stół.

— I co? Jak chciałbyś go pokazać?

— Nie wiem. Nie widziałem dużo żywych lisów. Widziałem głównie martwe albo rzucające się do ucieczki.

— Czyli raczej nie były to chwile wielkości — stwierdził ojciec.

Erik spuścił głowę. Było mu przykro, że nie potrafi zaproponować czegoś, co uradowałoby ojca, a jemu zapewniło stały dostęp do piwnicy, do tych wszystkich zwierząt, do tych wspaniałych narzędzi, za które bez wahania oddałby wszystkie swoje zabawki.

— Może podczas polowania? — próbował mu pomóc ojciec. — Leży na ziemi, poluje na kuropatwy, ślina cieknie mu z pyska, w oczach widać żądzę krwi.

Ojciec wyjął kolejny model; tym razem lis miał pochylony łeb, klęczał.

Erik pospiesznie pokiwał głową.

— A może pokażemy, jak pije wodę ze strumienia, spokojnie, w promieniach wschodzącego słońca? — zaproponował ojciec.

— Tak, to byłaby ładna scena.

— Albo zaloty. Grzbiet wygięty w łuk, szyja wyciągnięta do przodu, ogon podniesiony.

Ojciec chwycił puszysty ogon lisa i zaczął nim merdać.

Erik się roześmiał.

— Tak, albo można go też pokazać, jak śpi w norze... — zapędził się i natychmiast tego pożałował.

Ojciec pokiwał głową.

— To wcale niegłupi pomysł.

— Nie?

— Sen lisa? Zwierzę jest czujne, ale ma zamknięte oczy. Tak to sobie wyobraziłeś?

Bertil sięgnął po kolejny model. Lis leżał zwinięty w kłębek. Uniósł nieco jego łeb i nagle zwierzę zrobiło się czujne.

— Nie — powiedział Erik, przesuając łeb bliżej ciała. — Czuje się bezpieczny, śni mu się wszystko, co zdarzyło się za dnia, i to, co zaraz się wydarzy.

— Ciekawe. Jak sądzisz, o czym jeszcze lis może śnić?

Erik ściszył głos.

— O tym, że leży bezpieczny w swojej norze głęboko pod ziemią, gdzie nikt go nie widzi ani nie słyszy, gdzie może być sobą, gdzie nikt mu nie przeszkadza.

Ojciec spojrział na niego, Erik odwrócił wzrok.

— Dobrze, że cię tu przyprowadziłem, Eriku. — Bertil pogładził go łagodnie po włosach.

— Mam wrażenie, że będziesz w tym dobry.

— Naprawdę?

Ojciec pocałował go w czoło.

— Naprawdę dobry.

13.

„29 listopada 2010 roku. Dzień 33. Zostało jeszcze ponad czterysta. Nazywam się Masza. Mam dwadzieścia jeden lat. Trafiłam do piekła. To mój pamiętnik. Adresowany do mnie, tylko do mnie. Wiem, że nie jestem pisarką. Mojego pamiętnika nie da się porównać na przykład z *Córką czarownicy*. Piszę go, żeby przetrwać. Przeżyć. Aby pamiętać, że nadal żyję. Mama twierdziła, że mogę zostać nauczycielką, że mam głowę do nauki. A ja wtedy mówiłam: komu by się chciało zajmować gówniarzami innych ludzi za głodową pensję? Dzisiaj robiłabym to za darmo. Ale nie jestem nauczycielką. Jestem nikiem”.

Tak zaczynał się jej pamiętnik. Zaczęła go pisać kilka dni po tym, jak Slavros dał jej notes, w którym miała prowadzić rachunki. Ten, w którym zapisała swoje stawki. Ale już po pierwszym dniu nie musiała nawet zerkać do notesu, jej ciało pamiętało każdą sumę. Instynktownie wiedziała, ile każda usługa jest warta.

Masza prowadziła byka krętymi schodami, wyłożonymi grubym dywanem. Byka — tak tutaj, w Key Clubie, nazywali klientów, nawet tych raczej skromnie wyposażonych. Jej dłoń zniknęła w jego wielkiej łapie, czuła chłód złotej obrączki. Z dołu, z baru, dochodziły dźwięki piosenki Cockera *You can leave your hat on*, do której tańczyły dziewczyny na rurze. Byk był pijany i niewiele brakowało, a potknąłby się na ostatnim stopniu. Masza podparła go i poprowadziła wąskim korytarzem, wiodącym do pokoi nad Key Clubem. Oficjalnie były to prywatne pokoje pracowników, nieoficjalnie — największy burdel w mieście. Klub ze striptizem był trzeciej kategorii, zniszczony, podobnie jak dziewczyny, które tańczyły na scenie. Maszynka do robienia pieniędzy. Chodziło o to, żeby w jak najkrótszym czasie wyciągnąć z byków jak najwięcej pieniędzy. Obojętne, czy spędzali czas, popijając letnie piwo, czy szli na górę z dziewczynami. Wśród klientów, których obsługiwały, byli wszyscy: rzemieślnicy, studenci, biznesmeni. No i obowiązkowo uczestnicy wieczorów kawalerskich. Oficjalnie Key Club był barem ze striptizem. Tak informowano w przewodniku turystycznym, także tym oficjalnym, chociaż wszyscy wiedzieli, że dziewczęta nie tylko tańczą. Każdy, kto tu przychodził, wiedział, że tu wszystko jest na sprzedaż, bo w Key Clubie klient mógł zażyczyć sobie, co tylko chciał, byle zapłacił Slavrosowi i jego ludziom.

Masza otworzyła drzwi i wciągnęła byka do niewielkiego pokoju. Tu ich obsługiwała. Tu spała. Tu toczyło się jej życie. Pomieszczenie nie miało okien, tylko łóżko, szafę i mały stolicek w kącie, gdzie mogła się malować. Było mniejsze od jej pokoju w mieszkaniu mamy na Burmeistergade w Christianshavn. Próbowwała tuszować przykrą woń materaca, spryskując go perfumami, ale to tylko intensyfikowało zapach i w efekcie cały pokój cuchnął kocimi szczykami. Początkowo bardzo jej to przeszkadzało, jednak powoli przywykła do woni w „apartamencie nowożeńców”, najlepszym pokoju w Key Clubie. Slavros osobiście nakazał Izabeli, jednej ze starszych dziewczyn, przenieść się do pokoju w głębi korytarza, apartament zaś oddał Maszy. Nie z sympatii, ale dlatego że klienci woleli nowe dziewczyny, a Slavros chciał mieć poczucie, że prowadzi klub z klasą.

Masza stała naga przed bykiem. Zdjęła mu koszulę i zaczęła rozpinać spodnie. Czuła, jak ręce mężczyzny szukają jej piersi, a potem łona. Kiedy był już prawie nagi, usiadł na łóżku i zaczął ją wyzywać. „Kurwa”, wykrzykiwał, „suka” i jeszcze gorzej. Mówił o różnych

perwersyjnych rzeczach, które zamierza z nią robić. A Masza robiła wszystko, żeby mu stanął, co jednak nie do końca jej się udawało. W końcu pchnęła go na łóżko i usiadła na nim. Zaczęła go ujeżdżać. Byk jęknął, ale po chwili złapał rytm. Spojrzała na niego. Przypominał jej kaznodzieję, czy raczej karykaturę kaznodziei. Blady, napuchnięty. Krótkie, krzaczaste brwi kontrastowały z zakolami na czole i rzadkimi włosami, które wyglądały jak przyklejone do czaszki.

W pierwszych dniach wszystkie byki przypominały jej Igora. Grubego Igora, starego Igora, Igora Pakistańczyka, Igora sadystę, ale dni mijały i powoli jego rysy stawały się coraz bardziej zamazane. Może starała się wyprzeć go z pamięci? Żeby pójść do przodu, jak radził jej Slavros. Jęknęła głośno, wiedziała, że byki to lubią. Skutek był niemal natychmiastowy. Facet pod nią zaczął poruszać się coraz szybciej. Wyzywał ją, chciał, żeby zapewniła go, że nigdy jeszcze nie widziała większego kutasa.

— To największy, jakiego widziałam — powiedziała posłusznie i utkwiała wzrok w plamie na tapecie nad grzejnikiem.

Po chwili mężczyzna wyciągnął ręce i zacisnął wielkie dłonie wokół jej szyi.

— Patrz na mnie, kiedy cię biorę!

— Przestań — wyszeptała schrypniętym głosem.

Uchwyt stał się mocniejszy, nie mogła zaczerpnąć powietrza. Próbowwała się uwolnić, biła go po rękach, ale był dla niej za silny. Widziała, jak jego oczy stają się twarde, na wąskich ustach pojawił się uśmiech.

— Tak, teraz dobrze...

Znów starała się wciągnąć powietrze, próbowała drapać go po twarzy, ale nie mogła dotrzeć. Każda próba uwolnienia się jeszcze bardziej go podniecała. Nad jego górną wargą pojawiły się krople potu, zaczął się śmiać, znowu przyspieszył. Masza poczuła, że robi jej się czarno przed oczami, brakowało jej tlenu, miała wrażenie, że zaraz umrze. Usłyszała jego krzyk, poczuła na twarzy fontannę śliny. Pozwoliła mu dojść, czuła, jak chwyt wokół jej szyi powoli słabnie. Położyła się na łóżku obok niego, poczuła jego zimną skórę. Odsunęła się.

Kiedy mężczyzna się ubrał i zapiął spodnie, spojrzał na nią z uśmiechem pełnym zadowolenia.

— Nie płacz. Aż tak strasznie chyba nie było.

Wyjął z kieszeni spodni zmięty banknot i rzucił jej.

— Dobra jesteś. Następnym razem też ciebie wybiorę.

Wyszedł, a Masza ścisnęła w dłoni banknot. Nagle usłyszała stukanie w rurę, wiadomość z baru, że kolejny byk jest w drodze. Key Club cieszył się popularnością. Wieść o nowej dziewczynie zdążyła się już roznieść, nie musiała nic robić, żeby mieć klientów.

Rano, kiedy wyszedł ostatni byk, a z baru zaczęły dochodzić odgłosy sprzątanania, sięgnęła po notes i wszystko dokładnie zapisała. Dopiero potem mogła sobie pozwolić na krótki sen i chwilę odpoczynku. Tylko wtedy udawało jej się trzymać z daleka demony. Po podduszaniu nadal bolała ją szyja. Za czterysta jedenaście dni będzie wolna, o ile wcześniej któryś psychopata nie ścisnie jej tak mocno, że już nigdy się nie obudzi. Ryzyko zawsze istniało.

„Nazywam się Masza. Jestem nikim”.

14.

Thomas wziął psa na smycz. Møffe zawarczała, wyraźnie niezadowolony, że musi zejść na łąd. Mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał na łódź. Preben miał rację: patrząc na „Biancę”, trudno było uwierzyć, że w ogóle unosi się na wodzie. Pociągnął za smycz i Møffe niechętnie ruszył za nim ulicą. Szli Sofiegade do dawnego mieszkania. Po całym dniu rozmyślań Thomas w końcu postanowił zakończyć niepotrzebne utarczki z Prebenem i wybrać się do domu po formularz przelewu. Perspektywa kąpieli i zmiany ubrania na czyste też była kusząca, jednak myśl o planowanej wizycie budziła w nim opór.

Kiedy Thomas sięgnął do kieszeni po klucze od drzwi do klatki, Møffe zaczął skamleć.

— Wiem, staruszk — zamruczał pod nosem, zerkając na psa. — Żadnemu z nas nie jest łatwo.

Otworzył drzwi, wszedł na klatkę i ruszył po schodach na górę. Kiedy dotarł na czwarte piętro, usłyszał, jak otwierają się drzwi mieszkania sąsiadki z dołu, a po chwili zobaczył w szparze głowę kobiety.

— Ketty — pozdrowił starszą panią z niebieskawymi włosami i w mocnych szklach. Minęło kilka sekund, zanim kobieta go rozpoznała.

— Thomas? Dawno cię nie widziałam.

Thomas skinął głową i pociągnął za smycz.

— Myślałam, że się przeprowadziłeś.

— Nie, tylko wyjeżdżałem. Byłem na rejsie — odparł, uśmiechając się niepewnie.

— To takie przykre...

Ketty wyszła na klatkę, zdecydowana kontynuować rozmowę.

— Tak, to prawda — odparł i szybko ruszył dalej na górę. — Porozmawiamy innym razem, Ketty — rzucił przez ramię.

Wszedł na piąte piętro i zatrzymał się przy drzwiach mieszkania. Słyszał, jak piętro niżej Ketty wraca do siebie. Wyjął klucz. Wokół zamka i klamki nadal były widoczne ślady aluminiowego proszku, którego technicy użyli do zdjęcia śladów. Przy framudze został też kawałek plastikowej taśmy policyjnej. Zerwał go i włożył do kieszeni. Otworzył drzwi, musiał je mocno pchnąć, żeby odsunąć zalegający przy progu stos listów i reklam. Spojrzał na koperty i kolorowe broszury. Od jego ostatniej wizyty w mieszkaniu minęły trzy miesiące.

Schylił się i podniósł kilka przesyłek leżących na wierzchu, znalazł rachunek, o którym wspominał Preben. *Mission accomplished*. Poczul, jak przyspiesza mu tętno i zaczął żałować, że jednak tu przyszedł. Uznał, że nie ma powodu, aby zostawał dłużej. Kąpiel może sobie darować, a ubranie, które miał na sobie, zdążyło już prawie wyschnąć. Zobaczył stojące na gazecie kalosze Evy. Ilse Jacobsen. Pamiętał, że kiedy Eva je kupiła, powiedział, że są elegancko biedne. Ona jednak się tym nie przejęła i chodziła w nich tak długo, aż zrobiły jej się pęcherze na stopach. Zerknął na wieszak na ścianie, na którym wisiała jedna z jej drogich torebek. Jak ona lubiła te torebki, do diabła!

Włożył listy do kieszeni. Drzwi do pokoju były uchylone, światło wypełzało na korytarz. Miał ochotę jak najszybciej wybiec z mieszkania, ale rzucił okiem na stos reklam i ruszył do pokoju. Pchnął delikatnie drzwi, wsadził głowę do środka. Pokój wyglądał jak zwykle. Półka z jego kolekcją krążków DVD, książki Evy. Kodeks karny, kilka kryminałów i spora kolekcja

poradników. Dizajnerski stół jadalny z Ilvy, w rogu telewizor, kanapa w kolorze alcantara, a nad nią „niebieski” obraz. Eva kupiła go za piętnaście tysięcy koron, namalował go gruby, nieżyjący już malarz, którego nazwiska nigdy nie potrafił zapamiętać. To był ich dom, z widokiem na wały miejskie. Jasny, przestronny, szczęśliwy. Eva leżała na pękniętym blacie szklanego stolika. Miała zmiażdżoną czaszkę. Zostawiony na podłodze świecznik był cały zakrwawiony. Rzucił się na ratunek. O wiele za późno. Długo trzymał w objęciach jej zimne, sztywne ciało. Nie żyła od wielu godzin. Zaczął krzyczeć, tak głośno, jak tylko pozwalały mu płuca. Wszystko wydawało mu się tak nierzeczywiste, jak scena z kiepskiego filmu, w którym niestety grał główną rolę.

Stojąc w drzwiach, widział ciemną plamę na drewnianej podłodze. Plamę po krwi. Została, chociaż szorował i szorował...

Nie mógł dłużej znieść tego widoku, wyszedł z mieszkania i zaczął zbiegać po schodach. Uciekał, tak samo jak trzy miesiące temu, kiedy wszystko się zawaliło. Kiedy dostał wiadomość, że dochodzenie — po miesiącach intensywnych prac — zostało zawieszono. Kiedy uświadomił sobie jasno, że sprawa zabójstwa Evy trafi do szuflady z niewyjaśnionymi przypadkami, ponieważ nie było żadnych śladów ani żadnych świadków, którzy mogliby coś jeszcze do niej wnieść.

Z miejsca obok baru cuchnęło wymiocinami. Thomas nie miał pojęcia, kto się tam wyrzygał ani kiedy to się stało, i prawdę mówiąc, nie obchodziło go to. Został wyrzucony z Wydry, więc musiał się zadowolić jakąś norą na tyłach Christianii. Nigdy wcześniej tu nie był, nie miał nawet pojęcia, jak się nazywa to miejsce. Znalazł je całkowicie przypadkowo, kiedy pewnego dnia Johnson odmówił mu kolejnej kolejki. Twierdził, że jest zbyt pijany. A po co szło się do knajpy? Czy właściciel lokalu, który przecież był również przedsiębiorcą, powinien tak traktować klientów? Poza tym Thomas wcale nie był pijany. Trzymał się na nogach i nadal doskonale pamiętał swoją ostatnią wizytę w mieszkaniu. Uniósł rękę, dał znać barmanowi i zamówił jeszcze jedną kolejkę. Szybko opróżnił szklanekę. Alkohol nareszcie zaczął działać. Głosy i dźwięki zniknęły, poczuł się senny. Wcisnął się w narożnik między barem a ścianą. Zamknął oczy. Zastanawiał się, czy nie zamówić jeszcze jednej kolejki, chciał unieść rękę, ale nie udało mu się. Na chwilę zapadł w drzemkę. Nagle poczuł, że ktoś nim potrząsa.

— Niech mnie szlag, to ten muzykalny świrus.

Thomas otworzył oczy. Przed nim kołysał się jakiś mięśniak. Mówił coś do kumpla, który stał kawalek dalej. Do tłustego faceta w żółtych okularach przeciwsłonecznych. Thomas był pewien, że już ich kiedyś widział, tylko nie pamiętał gdzie.

— Źle trafiłeś, koleś.

— Co?

Thomas przyglądał się facetowi w żółtych okularach, który teraz stał niemal tuż obok niego. Nie mógł skupić na nim wzroku.

— Tu nie ma muzy — powiedział grubas. Chwycił Thomasa za szyję i przycisnął do ściany. — Tym razem twoi cholerni przyjaciele cię nie uratują, wiesz?

Thomas nie miał pojęcia, o czym facet mówi, ale miał świadomość, że to musi się źle skończyć.

— Nie wiem, kim jesteś... A poza tym jest mi wszystko jedno. Łyknij sobie na mój rachunek.

Dał znak barmanowi.

— Nie tym razem. Wolę z tobą zatańczyć, koleś.

Czoło faceta było zaledwie kilka milimetrów od nosa Thomasa.

— Cuchnie ci z ust — burknął Thomas. — Rzygałeś?

— Co takiego?

Thomas nie odpowiedział, tylko nagle walnął go pięścią w nerki.

Tłusty facet zawył i puścił go. Jutro będzie szczał krwią, pomyślał Thomas i zaczął się przeciskać między stolikami. Kolega tłustego okazał się jednak szybszy. Dopadł go, chwycił i cisnął na ścianę. Po chwili rzucili się na niego obaj. Zaczęli go okładać pięściami, bić po głowie. Miał wrażenie, że ktoś przepuszcza go przez maszynkę do mielenia mięsa. Kiedy upadł, zaczęli po nim skakać. Wspomnienia zniknęły. Przestał czuć cokolwiek. Jeszcze trochę, chłopcy. Jeszcze coś pamiętam, pomyślał i ogarnęła go ciemność.

Kiedy Thomas się obudził, poczuł pod sobą mokry, zimny bruk i dochodzący od strony kanału zapach słonej morskiej wody. Nad nim krzyczały mewy. Był wczesny ranek, słońce właśnie wstało. Czuł, że ktoś przeszukał mu kieszenie. Pewnie nie znalazł niczego wartościowego, dlatego go tu zostawiono. Po chwili spróbował wstać. Bolało go całe ciało, miał spuchniętą twarz, ledwie zdołał otworzyć oczy. W końcu udało mu się przeczołgać kilka metrów do krawędzi nabrzeża i kranu. Odkręcił go, włożył głowę pod strumień. Nie miał pojęcia, jak trafił nad kanał. Czy ktoś go tu zaciągnął, a potem zostawił, czy sam się tu doczołgał? W ogóle nie miał pojęcia, co wydarzyło się w nocy, natomiast doskonale pamiętał spacer do mieszkania. Pamiętał też moment, w którym znalazł Evę. Chciałby powiedzieć, że przypominała anioła, ale prawda była taka, że walka o życie odcisnęła na niej ślad. Nigdy nie zapomni tego widoku. Żałował, że tłuscioch i jego kumpel nie potraktowali go bardziej bezwzględnie.

15.

Było wpół do piątej po południu. Thomas siedział na rufie „Bianki” z nogami opartymi o stojące przed nim krzesło. Zobaczył jadącego nabrzeżem Eduarda. Ten zadzwonił lekko i go pozdrowił. Thomas wykonał pół obrotu i odwzajemnił pozdrowienie. Jedno oko miał ciemne, spuchnięte, we włosach została zaschnięta krew.

— Co się stało? — spytał Eduardo, zeskakując z roweru. — Wyglądasz, jakby cię walec przejechał.

— Autobus portowy. Przejechał mnie autobus portowy — powiedział Thomas, ilustrując wypowiedź charakterystycznym gestem.

— Ravn, *madre mia*. Musisz jechać na pogotowie. Złamali ci coś?

— Tylko jeden ząb.

— Boli cię?

— Zgadnij.

Eduardo otworzył skórzaną teczkę, wygrzebał spośród papierów opakowanie środków przeciwbólowych i podał Thomasowi.

— Siedzisz w redakcji i ćpasz? — zapytał Thomas, wyciskając na dłoń kilka tabletek. Połknął je, popijając łykiem zimnej kawy.

— Zdarzają się takie dni w tygodniu, kiedy nie pijesz?

— Nie liczę ich.

Eduardo oparł się o burtę i przyglądał mu się.

— Musisz zmienić kurs, kapitanie. Ten prowadzi donikąd.

— Jeśli dobrze pamiętam, już mi to mówiłeś.

— I chętnie powtórzę. Chcesz skończyć jak tamci? — Wskazał ręką na ławkę, gdzie dwóch włóczęgów rozsiadło się ze swoim dobytkiem.

Thomas zerknął na nich.

— Czemu nie. Mam wrażenie, że jest im całkiem dobrze.

— Daj spokój, Thomas. Chociaż raz spróbuj być poważny. Wyglądasz gorzej niż ta twoja łajba, która wkrótce przejdzie do historii, jak słyszałem. Chyba że weźmiesz się w garść.

Thomas pokiwał głową, zaglądając do kubka. Oddychał ciężko.

— Byłem wczoraj w mieszkaniu.

— Tak? — Eduardo uniósł brwi ze zdziwienia. — Może pora, żebyś tam wrócił?

— Fantastyczny pomysł. Po pięciu minutach uciekłem przerażony. Nic się nie zmieniło.

Eduardo odsunął się od burty.

— Wszystko wymaga czasu. Jeśli chcesz, następnym razem mogę iść tam z tobą...

— Gdybym wtedy wrócił do domu nieco wcześniej... — powiedział Thomas ze wzrokiem utkwionym w dnie kubka. — Gdybym tamtego wieczoru nie miał dyżuru, ona by żyła.

— Przestań się zadrećzać.

— Pieprzony świr. Wiesz, że zabił ją świecznikiem, który kupiliśmy w Casa Shop za tysiąc osiemset koron?

Eduardo skinął głową.

— Eva oszalała na jego punkcie. Osobiście w życiu nie widziałem większego brzydactwa, ale kupiłem go dla niej.

— Tak, mówiłeś mi już — powiedział Eduardo cicho. — To cholernie przykra sprawa.

— Jedna z tych, które nigdy nie zostaną wyjaśnione. Nawet tego nie umiałem dla niej

zrobić.

Thomas podniósł się i natychmiast zrobiło mu się niedobrze. Był w gorszym stanie, niż się przyznawał. Przepisnął się obok Eduarda i zszedł z pokładu na nabrzeże.

— Dokąd idziesz?

— Do Wydry. Idziesz ze mną?

— Za wcześnie. Poza tym jestem umówiony.

— Randka?

— Chyba tylko seks — powiedział Eduardo i wzruszył ramionami.

Thomas pokiwał głową. Ruszył nabrzeżem, minął siedzących na ławce meneli; sprzeczali się ze sobą jak stare małżeństwo.

Oprócz Victorii, która siedziała na swoim stałym miejscu przy barze i czytała gazetę, oraz młodych ludzi, flirtujących przy stole bilardowym, w Wydrze nie było żadnych gości. Thomas skinął głową Victorii, która puszczała kóleciska dymu.

— Wyglądasz jak siedem nieszczęść — odezwała się swoim charakterystycznym schrypniętym głosem.

— Traktuję to jako komplement — odpowiedział, siadając kawałek od niej. — Gdzie Johnson?

Zaczął się rozglądać po pustym barze. Victoria wzruszyła ramionami i wypła łyk kawy.

Po chwili z zaplecza wyszedł Johnson, ciągnąc za sobą beczkę piwa.

— W samą porę — skomentował Thomas.

Johnson nie odpowiedział; zabrał się do podłączania beczki do kranika. Kiedy skończył, wstał i zaczął się przyglądać Thomasowi.

— Ciężka noc? Kolejna?

Thomas rozłożył ręce.

— Będę ci winny — powiedział.

Dotknął obu kieszeni, dając do zrozumienia, że są puste.

— Nie pora, żebyś wziął się w garść?

— Tak, tak — zapewnił go Thomas, bębniąc niecierpliwie palcami w blat. — Nie wziąłbyś się za robotę? — rzucił, wskazując głową na beczkę z piwem.

Johnson skrzyżował ręce na piersiach.

— Jeśli nie masz kasy, to musisz na nie zapracować.

— Żartujesz? — Thomas pokręcił głową. — Nie zamierzam robić za barmana.

Johnson roześmiał się, ubawiony.

— Do głowy mi nie przyszło, żeby powierzyć ci tak odpowiedzialną funkcję. Ten lokal cieszy się uznaniem klientów.

Thomas obojętnie pokiwał głową.

— Należysz mi w końcu?

Johnson zaczynał go irytować.

— Ale musisz to odpracować.

Thomas odwrócił głowę, jakby rozważał możliwości. Wiedział, że gdzieś na łodzi ma schowane pieniądze. Tylko w tym momencie nie potrafił sobie przypomnieć gdzie.

W mieszkaniu miał też kartę kredytową. Nie był pewien, czy zdoła tam znów pójść, ale mógł o to poprosić Eduarda. Na pewno by mu ją przyniósł. Tyle że to też nie rozwiązywało jego aktualnego

problemu. Był coraz bardziej spragniony. Uśmiechnął się nieco sztywno do Johnsona.

— Więc co mogę dla ciebie zrobić?

— Chodzi o drobne policyjne dochodzenie.

Thomas się uśmiechnął.

— A już myślałem, że chcesz, żebym pozmywał albo coś w tym stylu.

— Skądże znowu.

— Więc o co chodzi? Ktoś podwędził ci forszę czy może zwinął kilka pustych butelek?

Johnson pokręcił głową przecząco.

— Nie, sprawa jest poważna. Dlatego wymaga dochodzenia.

— Od czego są stróże prawa?

— To nie w moim stylu. Potrzebuję kogoś takiego jak ty.

— Jestem na zwolnieniu. No i naprawdę mnie suszy. Należysz mi? — spytał Thomas, klepiąc tęsknie bezułkę.

— To dla mnie naprawdę ważne, Ravn.

Thomas zaczerpnął głęboko powietrza i zagryzł policzek.

— Znam to uczucie. Dla mnie też było ważne to, że czternastu ludzi z komendy szukało zabójcy Evy. I wiesz, czym to się skończyło? Niczym! Należysz mi tego cholernego piwa czy mam pójść gdzie indziej?

Przyglądając się Thomasowi, Johnson sięgnął po szklankę z półki za barem. Podstawił ją pod kranik. Coś prychnęło i ciemne piwo poleciało do szklanki. Postawił ją przed Thomasem, który natychmiast wyciągnął rękę. Johnson powstrzymał go.

— Kilka razy w tygodniu przychodzi do mnie sprzątać pewna kobieta — zaczął. — Ma na imię Nadia, to miła starsza pani z Litwy. Przejechała tu dziesięć, może dwanaście lat temu razem z córką i swoim ówczesnym mężem.

— I?

— Kilka lat temu jej córka zniknęła. Od tamtej pory nikt o niej nie słyszał.

— Ile miała lat? — spytał Thomas i niemal wyrwał mu szklankę z ręki. Johnson nie protestował.

— Około dwudziestu.

Thomas wypił łyk, trochę piany zostało mu na ustach.

— Dlaczego matka nie zgłosiła zaginięcia na policję?

— Bała się. Jej doświadczenia z policją duńską, a przede wszystkim litewską, nie były najlepsze. Poza tym relacje między matką a córką też były napięte.

— Jakież problemy?

Johnson pokręcił głową.

— Nie wiem. Jak to z nastolatkami.

— Też uciekłbym z wrzaskiem, gdybym miał sprzątać w tej norze — roześmiał się Thomas, rozglądając się wokół.

— Córka nie sprzątała. Sprząta jej matka. Nadia. Słuchasz mnie w ogóle?

— Słucham, słucham — zapewnił go Thomas, odstawiając pustą szklankę. — Tylko nie bardzo wiem, czego ode mnie oczekujesz? Pewnie znalazła sobie jakiegoś chłopaka i dała nogę. A może wróciła do domu, na Litwę?

Thomas wziął szklankę i opróżnił ją jednym haustem.

— Nie. Nadia szukała jej wszędzie. Dziewczyna zapadła się pod ziemię. Nie mógłbyś się trochę rozejrzeć?

— Rozejrzeć? Co konkretnie masz na myśli?

— Pogadać z kolegami z komendy. Podam ci kilka informacji. Może macie ją gdzieś

w systemie? Nadia bardzo chciałaby się dowiedzieć, co się stało.

— Mówiłem ci już, że jestem na zwolnieniu.

Johnson sprzątnął pustą szklankę.

— Dupek z ciebie, Ravn. Straszny dupek, wiesz o tym?

Thomas wstał.

— Chyba znajdę sobie jakieś inne miejsce, przyjemniejsze.

Skinął Johnsonowi i się odwrócił.

— A gdyby to twoja córka zaginęła?

Thomas spojrział na niego chłodno.

— Moja córka? Ja nie mam córki. A wiesz dlaczego? Nie zdążyliśmy, bo jakiś drobny złodziejasek roztrzaskał Evie czaszkę. Niewykluczone, że jakiś typek ze Wschodu, który przebywa tu nielegalnie. Na to wskazywało dochodzenie. Więc dlaczego miałbym pomagać komuś z nich?

— No właśnie. Dlaczego? — zapytał Johnson. — To nie w twoim stylu. Co innego Eva. Eva zawsze wszystkim chętnie pomagała, prawda?

— Nie wciągaj jej w to.

— Dlaczego? Taka jest prawda, Ravn. Eva była uosobieniem dobroci. A tobie wystarcza, że siedzisz, ryczysz i chlasz.

Thomas ruszył w stronę drzwi.

— Mądrości miejscowego barmana. A piwo jest ciepłe, smakuje jak szczyzny

— powiedział, wskazując na beczkę, i wyszedł.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, zatrzymał się. Ruszył Sankt Annæ Gade, minął Café Wilders, dotarł do skrzyżowania i spojrział na leżący nieco dalej w głębi ulicy Eifel Bar. Jeśli będzie tam ktoś znajomy, może uda mu się wyprosić jedno piwo. Ruszył w stronę baru, zastanawiając się, co zrobić, żeby spłacić Johnsonowi dług.

16.

„Raport z «apartamentu nowożeńców»”. Dzień 67. Nazywam się Masza. Nadal tu jestem. Nadal żyję. Izabela mnie nienawidzi. Za to, że Slavros przeniósł ją i oddał mi jej apartament. Staram się jej unikać, i w klubie, i tutaj, na górze. To wiedźma, człowiek nocy z Midgardu. Wiedźma z powieści *Córki wiedźmy*. Zamykam drzwi na klucz, bo się boję, że zaatakuje mnie, kiedy nie będzie tu Slavrosa i innych. Krążą o niej różne plotki. Boję się jej. Jest z nas najstarsza. Iza to skrót od Izabeli. A Izabela to jej ksywka. Wszystkie mamy ksywki. Pseudonimy artystyczne. Chowamy się za nimi. Wtedy łatwiej znosić pogardę byków. Nienawidzę ich, nawet bardziej, niż się ich boję. Ale wiem, że mogą zrobić wszystko. Wiem, że przychodzą tu, żeby nas zniszczyć, kawałek po kawałku, a potem triumfować. Poczuc potęgę władzy. Tak naprawdę boję się tylko Izy. Szczególnie kiedy wciąga kokę. W życiu nie widziałam, żeby ktoś miał taki dziki wzrok. Dostaje piany na ustach. Raz widziałam, jak ciągnie jedną dziewczynę za włosy. Został jej łysy placek, musiała potem tak układać włosy, żeby ukryć go przed Slavrosem. Bo donosić nie wolno! Widziałam też, jak Iza groziła którejś z dziewczyn nożyczkami. Chciała wykluczyć jej oczy! Bo podobno ukradła jej eye-liner! Słyszałam również, że kiedyś Iza wylała jednej z dziewczyn sodę kaustyczną na piersi, bo ta ukradła jej byka. Podobno piersi tamtej dziewczyny wyglądały potem jak spleśniałe rodzynki. Na samą myśl czuję ból. Z jej powodu straciłam sporo forsy i niejednego byka. Nie mam odwagi się jej przeciwstawić. Wystarczy, że usiądzie przy stoliku, przy którym siedzę z klientem, a zaraz znajduję jakąś wymówkę i odchodzę. Mam nadzieję, że wkrótce spłaci dług Slavrosowi i nie będę już musiała na nią patrzeć. Mój dług ciągle rośnie. Mieszkanie sporo kosztuje. Wydatki, wydatki, wydatki. I żadnej NADZIEI”.

Był środowy wieczór, Key Club był w połowie pusty. Z głośników leciała Tina Turner i *Private Dancer*, na scenie Iza wiła się wokół rury. Była nieco za pulchna do obcisłego gorsetu, który rozchodził się jej na plecach. I nieco za bardzo naćpana, żeby ruszać się z wdziękiem, ale czterech byków przy scenie pożerało ją wzrokiem. Kiedy zrzuciła gorset, obnażając ciężkie piersi, rozległy się brawa i byki zaczęły wciskać jej banknoty za stringi.

Masza zerkała na nią spod oka. Siedziała przy stoliku z Lulu, lekko zezowatą dziewczyną z Polski, która miała usta szerokie jak opony traktorów. Razem zabawiały trzech studentów prawa. Chłopcy mieli na sobie eleganckie markowe ciuchy, płacili platynowymi kartami i szastali forszą. Synkowie z kartami tatusiów. Przypominali Maszy o życiu, jakie kiedyś wiodła. Kiedyś, gdy jej największym zmartwieniem była nuda. Chłopcy mówili w sposób afektowany i cały czas chichotali. Wybrali się na *slum-cruise*, posmakować prawdziwego życia, przeżyć coś, czym potem będą mogli się chwalić przed rówieśnikami. Masza miała być częścią ich przygody. Potwierdzeniem ich męskości. Ale przynajmniej dobrze płacili. Już zdążyli zostawić w barze kilka tysięcy. Za alkohol i napiwki. Masza obliczyła, że ona i Lulu dostały po jakieś pięć tysięcy. Bała się, że zaraz zjawi się Iza i odbije jej klientów. Na razie jednak Iza nadal wiła się wokół rury, a ona dbała o chłopców siedzących wokół sceny. Zaczęła gładzić po udzie jednego z nich. Zwilżyła usta.

— Pójdiesz ze mną na górę? — wyszeptwała.

Chłopcom jednak się nie spieszyło. Pili piwo, a potem zamierzali wciągnąć kilka działek.

— Wciągacie śnieg? — spytał najstarszy z nich, odsuwając z czoła jasną grzywkę.

— *I luv tha snow* — powiedziała Lulu z wyraźnym polskim akcentem.

Chłopcy roześmieli się histerycznie. Ich *slum-cruise* nie mógł być lepszy.

Dziesięć minut później wszyscy byli już w toalecie i na desce sedesowej dzielili kokę na równe działki. Chłopcy byli napaleni, zaczęli je obmacywać, najwyraźniej uznawszy, że koka jest wystarczającą zapłatą. Masza i Lulu trwały jednak przy swoim, dając im jedynie przedsmak tego, co ich czeka, jeśli pójdą z nimi na górę, oczywiście po tym, jak zapłacą Slavrosowi.

Masza czuła lekkie oszołomienie, delikatne podskórne drżenie i przyjemne ciepło gdzieś głęboko w duszy. Wszystko będzie dobrze. Przetrwa, po Key Clubie też jest życie. Będzie mogła stworzyć coś własnego. Nagle przypomniała sobie o Izie. Postanowiły z Lulu, że zamówią jeszcze jedną kolejkę, a potem pójdą na górę.

Kiedy wróciły do klubu, Masza natychmiast zauważyła Izę. Zeszła już ze sceny i siedziała teraz w jednym z boksów obok starszego byka w poplamionej koszulce polo i drewniakach. Harald miał firmę przewozową, około dziesięciu taksówek i tyle samo kierowców, kolorowych. Był jednym ze stałych klientów Izy. Poila go alkoholem, gładząc jego wydatny brzuch. Poirytowany, odsunął jej rękę.

Na stoliku Maszy pojawiło się piwo, jeden z chłopców zaczął jej nalewać. Ręka mu drżała, większość alkoholu wylądowała na podłodze. Tym lepiej, pomyślała Masza, która chciała jak najszybciej pójść na górę. Iza zaczęła zerkać w ich stronę, uśmiechając się przymilnie do chłopców. Rzuciła Maszy chłodne spojrzenie i skinęła ledwo zauważalnie głową, dając jej znak, że powinna odejść. Masza przełknęła ślinę, ale nie ruszyła się z miejsca. Oczy Izy zrobiły się stanowcze, ponownie skinęła głową, tym razem już bardziej zdecydowanie. Nagle Masza poczuła się osamotniona. Oszołomienie koką minęło, a razem z nim odwaga. Nie miała wyboru, musiała posłuchać Izy. Zaczęła się podnosić, rzuciła chłopcom jakieś usprawiedliwienie, kiedy nagle obok stolika Izy pojawiła się Tabitha. Harald zaczął ją, powiedział coś, czego Masza nie usłyszała. Tabitha pochodziła z Nigerii i była czarna jak noc. Zatrzymała się i uśmiechnęła się szeroko, pokazując białe zęby z przerwą między górnymi jedykami.

Tabitha powiedziała Maszy, że ma osiemnaście lat, ale Masza była przekonana, że dziewczyna jest znacznie młodsza. Nie była zbyt rozgarnięta, nie rozumiała języka i na wszystko na ogół odpowiadała „okej”. Pozostałe dziewczyny żartowały sobie z niej. Podkrażały jej rzeczy, oszukiwały ją, zabierały jej byków. Często zostawali jej najgorsi klienci. Ci cuchnący albo szaleni.

Harald siedział i gestykulował. Pokazywał jej, że ma usiąść. Nie bądź głupia, Tabitha, pomyślała Masza w duchu. W tym momencie Tabitha usiadła obok Haralda i Izy. Iza uśmiechnęła się pogardliwie.

— Podobno chciałaś mi coś pokazać? — wyszeptał jeden z chłopców. Nachylił się nad Maszą i polizał ją po szyi. — Pójdziemy na górę?

— Tak, skarbie — odpowiedziała Masza, pozwalając młodemu byczkowi wyciągnąć się zza stolika.

Był już ranek. Prawie całą noc wciągali kokę, i teraz Masza nie mogła zasnąć. Nawet dwie tabletki valium, które wzięła godzinę temu, nie pomogły. W pokoju panowała cisza, z dołu nie dochodziła muzyka, w pokojach obok też było cicho. Poczua się niemal wolna. Miała za sobą dobry wieczór. Łatwy. Jeśli coś takiego, jak „łatwy wieczór” w Key Clubie, w ogóle

istniało. Tak czy inaczej, zarobiła półtora tysiąca dla siebie, a cztery tysiące osiemset mogła odjąć od długu dla Slavrosa. Chciało jej się siku, ale nie miała siły wstać z łóżka i iść do toalety na drugim końcu korytarza. Zaczęła się zastanawiać, czy ma w pokoju coś, do czego mogłaby się wysikać. W końcu poddała się, znalazła majtki i włożyła je.

Ruszyła do toalety. Nagle poczuła dziwny zapach. Obcy. Jakby coś się przypalało. Im była bliżej toalety, tym zapach stawał się intensywniejszy. Dotarła do drzwi, zauważyła, że są uchylone, zatrzymała się. Słyszała jakieś głosy; ostrożnie otworzyła drzwi. Natychmiast czyjeś dłonie wciągnęły ją do środka i usłyszała, jak drzwi za nią się zamykają. Przed kabinami stała gromadka dziewczyn. Na podłodze leżała Tabitha. Dziewczyny trzymały ją za ręce i nogi, a Iza siedziała na niej okrakiem — w jednym ręku miała żelazko, w drugim papierosa. Na pośladkach Tabithy widniały dwa trójkąty, ślady po gorącym żelazku.

— Co tu się dzieje? — spytała Masza, oszołomiona.

— Nie widzisz? — odpowiedziała Iza, patrząc na nią dzikim wzrokiem. — Ćwiczmy czarnuchę. Musi wiedzieć, że jeśli ktoś kradnie, to czeka go za to kara.

— Ale przecież robicie jej krzywdę.

Iza wzruszyła ramionami.

— I co z tego? Nie moja wina, że nie kuma, jak należy.

Nagle Iza zmrużyła oczy i spojrzała na Maszę.

— A ty? — spytała, wymachując żelazkiem. — Ukradłeś mój pokój. To kosztuje.

— Przypal ją, Iza — odezwała się jedna z dziewczyn stojących za Maszą. Pchnęła ją lekko.

— Nie ja o tym zdecydowałam — odpowiedziała Masza. — Dobrze wiesz, że prosiłam Slavrosa, żeby dał mi inny pokój i oddał tobie apartament.

Iza zaciągnęła się papierosem.

— Ale nadal go zajmujesz. Dlatego będziesz płacić mi czynsz. Ile chłopcy ci dzisiaj zostawili?

— Tysiąc...

— Mam wrażenie, że więcej.

Masza pokręciła głową.

— Tyle im zostało, kiedy zapłacili Slavrosowi. Możesz wziąć tę kasę.

— Jasne, że mogę — powiedziała Iza i zwróciła się do Tabithy. — Ty nigdy za nic nie płaciłaś. Wam, czarnuchom, wydaje się, że wszystko jest za darmo. Że możecie tu przyjeżdżać i nas okradać. A my ciężko harujemy.

Iza rzuciła papierosa i zaczęła się przyglądać twarzy dziewczyny.

— Właściwie nie jesteś nawet taka brzydka. Trochę podobna do lalki, którą miałam w dzieciństwie. To była jedyna lalka Murzynka w całej Târgoviște. Kochałam ją, była najcenniejszą rzeczą, jaką miałam. Nie istniało dla mnie nic piękniejszego na świecie niż ta mała czarna laleczka. Słyszysz, Tabitha?

Iza przeciągnęła dłonią po twarzy dziewczyny, mokrej od łez.

— Okej... — odpowiedziała Tabitha stłumionym głosem przez majtki, które zatykały jej usta.

— Pewnego dnia wzięłam lalkę i wrzuciłam ją do pieca. Nie mam pojęcia dlaczego. Przecież ją kochałam. Ale byłam ciekawa, co się stanie. I wiesz, co płomienie z niej zrobiły?

— spytała Iza, wydychając dym w twarz Nigeryjki. — Płomienie stopiły mój skarb. Policzki i twarz rozpuściły się, rozlały. Moja czarna laleczka się rozpląszczyła. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Nigdy.

Iza uśmiechnęła się i zbliżyła żelazko do twarzy Tabithy. Ta próbowała się wyswobodzić,

ale dziewczyny trzymały ją mocno. Kiedy żelazko było zaledwie kilka milimetrów od jej twarzy, zaczęła głośno jęczeć.

— Przestań! — zawołała Masza.

Dziewczyny odwróciły się w jej stronę.

Iza wstała i podeszła do Maszy.

— A może coś źle pamiętam? Może ta lalka wcale nie była czarna? Może to była lalka z blond włosami, taka mała kurewka jak ty? Bierzcie ją!

Dwie dziewczyny, stojące obok, chwyciły ją za ręce. Iza położyła dłoń Maszy na piersiach i pchnęła dziewczynę na ścianę. Podniosła żelazko.

— Wcale nie chcesz tego zrobić — powiedziała Masza, przerażona.

— Jesteś pewna? — drwiła Iza.

— Kiedy Slavros się dowie, że nas okaleczyłaś i nie możemy zarabiać na spłatę długów, nasze długi przejdą na ciebie. Nigdy nie będziesz wolna.

— Może uznałam, że mimo to warto?

W tym momencie na korytarzu rozległy się kroki, po chwili w drzwiach łazienki ukazała się głowa Lulu.

— Slavros idzie na górę!

Iza odłożyła żelazko i odepchnęła Maszę. Dziewczęta, które trzymały Tabithę, puściły ją i szybko wybiegły z łazienki. Masza spojrzała na Nigeryjkę, która właśnie wyjmowała z ust majtki. Znalazła ręcznik, zakryła jej nim uda i pośladki, pomogła jej wejść do kabiny i szybko zamknęła za nią drzwi.

— Co ty tu robisz o tej porze?

Masza odwróciła się i zobaczyła Slavrosa i stojących za nim trzech krótko ostrzyżonych mężczyzn.

— Nie mogłam spać. Musiałam iść do toalety.

— Coś nie tak? Jesteś chora? — spytał, pokazując na jej łono.

Masza pokręciła głową.

— Nie, dbam o siebie.

Slavros uniósł głowę, pociągnął nosem.

— Co to za zapach?

— Nie wiem. Może przypalonych włosów? Pewnie któraś z dziewcząt przedłużała sobie włosy. Wtedy zwykle tak pachnie.

Slavros zmierzył ją wzrokiem.

— Powiesz mi, gdyby coś było nie tak, prawda? Gdyby działały się tu rzeczy, które nie powinny się dziać.

— Jasne. Możesz mi zaufać.

— Docenię to. Miałaś dzisiaj udany wieczór. Sporo zarobiłaś. Pracuj tak dalej.

Kiedy Slavros wyszedł, Masza otworzyła drzwi kabiny. Tabitha stała i gryzła knykie, żeby nie było słyhać jej płaczu, po policzkach leciały jej łzy.

— Musisz zacząć myśleć, Tabitha. Inaczej nie przeżyjesz.

— Okej — płakała dziewczyna.

„Okej nie wystarczy. Musisz nauczyć się myśleć, słuchać, co do ciebie mówią, żeby jak najszybciej mieć to za sobą, żeby nie tkwić w tym gównie do końca życia. Rozumiesz mnie, Tabitha? Ale Tabitha tylko płakała i cała się trzęsła. Dałam jej valium, ostatnią tabletkę. Pomogłam jej, jak Tusnelda z *Córki czarownicy* pomagała swoim odtrąconym przyjaciółkom. Wiedziałam, że tabletki nie wystarczy, żeby uśmierzyć jej ból. Zrobiłam to, bo jej współczułam.

Bo miałam wyrzuty sumienia. Nie wiem dlaczego. Iza jest psychopatką. A pozostałe dziewczyny są niewiele lepsze. I to jeszcze nie koniec. Im mniej byków odwiedza klub, tym więcej złej krwi. Niedługo Boże Narodzenie, niech to szlag. Chcę dostać dużo byków w prezencie. Całe mnóstwo byków. I chciałabym stąd odejść, zanim wszystkie się pozabijamy. Łaski nie ma”.

17.

Kilka dni po śpięciu z Johnsonem Thomas przechodził obok antykwariatu Victorii na rogu Dronningensgade i Mikkel Vibes Gade. Rzucił szybkie spojrzenie na stojące w oknie kartony z przecenionymi kryminałami i wszedł do środka. W niewielkim pomieszczeniu było przyjemnie ciepło. Wszędzie stały regały uginające się pod ciężarem książek. Ze stojącego na ladzie podróżnego gramofonu leciały dźwięki *Summertime* w wykonaniu Charliego Parkera. Pachniało kawą, kurzem i dymem skrętów, które paliła Victoria. Thomas precyzyjnie przesunął się obok regału z literaturą podróżniczą i podszedł do niewielkich ustawionych wzdłuż jednej ze ścian kartonów z używanymi krążkami CD. Zaczął je przeglądać. „Bingo”, zamruczał pod nosem i wyjął z kartonu krążek *The Essential* Halla i Oatesa. Zbiorowe wydanie przebojów z ostatnich trzydziestu lat. Podszedł do lady, przy której Victoria obsługiwała jakiegoś klienta.

— Ravn — pozdrowiła go z papierosem w ustach.

Na nosie miała tanie okulary. Była jedyną znaną Thomasowi kobietą, która chodziła w tweedowych marynarkach i sznurowanych trzewikach. Przypominała mu bohaterów z powieści Dickensa.

— Ile chcesz za tę? — spytał, pokazując płytę.

Victoria zmrużyła oczy.

— Siedemdziesiąt pięć.

— Siedemdziesiąt pięć? — powtórzył Thomas, zaskoczony. — Wiesz, że to używane CD?

— Podwójne.

— Mnie potrzebny jest tylko jeden krążek. A tak naprawdę to tylko jeden kawałek. Mogę ci dać trzydzieści.

Victoria patrzyła na niego cierpliwie przez okulary, pociągnęła za szerokie szelki.

— Nie sprzedaję ani połówki książki, ani połówki płyty.

— Ale to są ceny dla turystów.

— Więc zostaw krążek turystom — powiedziała i wyciągnęła rękę w stronę Thomasa.

Zabrał szybko krążek, schował go do kieszeni.

— Będę ci winien.

— Ja nie daję...

— Wiem, nie dajesz kredytów — wszedł jej w słowo Thomas stojący już pod drzwiami.

— Następnym razem przynieś struclę cynamonową, ale z prawdziwej cukierni, z Lagkagehuset, świeżą, nie jakieś suche trociny.

— Obiecuję — odpowiedział Thomas, jedną nogą już na chodniku.

Zbliżała się północ. Thomas siedział na rufie z okładką krążka w jednej ręce i szklanką ginu w drugiej. Niestety, musiał się obyć zarówno bez toniku, jak i bez dźwięku. Bez toniku, bo zapomniał go kupić, a bez muzyki, ponieważ okazało się, że jest problem z kablami i nie potrafił go rozwiązać. Próbuąc coś naprawić, doprowadził do zwarcia na wspólnej tablicy rozdzielczej. Właściciele łódek zaczęli narzekać na brak prądu. Wiedział, że Preben robi mu jutro awanturę, lecz w tym momencie nie był to jego największy problem. Jeśli nie uda mu się uruchomić odtwarzacza, będzie musiał pójść do Wydry, a Johnson był pamiętliwy. Thomas sączył gin. Co to

za sprawa z tą zaginioną córką sprzątaczką? Nie znał kobiety; prawdę mówiąc, nie wiedział nawet, że w knajpie Johnsona ktoś w ogóle sprząta. Pokręcił głową. Johnson najwyraźniej chciał go wpędzić w poczucie winy. W ciągu tych sześciu lat przepracowanych w śródmiejskiej komendzie był świadkiem zbyt wielu ludzkich tragedii, by historia nastolatki, która uciekła z domu, mogła go naprawdę poruszyć. W tym momencie wrócił prąd, w kajucie rozbłysło światło, włączył się odtwarzacz i przez otwarte drzwi kajuty popłynęła muzyka. Thomas odchylił się na krzesło, spoglądając w stronę tablicy rozdzielczej, leżącej jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów dalej na nabrzeżu. Nie udało mu się nikogo dojrzeć, mimo to uniósł szklankę w stronę ciemności. Wypił łyk ginu, alkohol natychmiast uderzył mu do głowy, poczuł, że jest pijany. Epizod z Johnsonem nie dawał mu spokoju. Powinien dać mu w twarz. Za to, że wspomniał o Evie. Ale Johnson miał rację. Eva była wyjątkowa. I zawsze najważniejsi byli dla niej inni. W całej Danii nie znalazłoby się bardziej oddanego adwokata. Wiele razy widział, jak siedziała po nocach, przygotowując się do kolejnej ważnej rozprawy. Zdarzały się okresy, kiedy był wręcz zazdrosny o jej pracę. Głównie jednak był z niej dumny. Chociaż nigdy jej tego nie powiedział. Czasem tylko żartował, że ledwie zdąży złapać drania, a ona już go zwalnia. Dlatego stanowimy taki dobry zespół, odpowiadała mu wtedy. Nie tylko ją kochał, ale też był w niej zakochany przez całe dziewięć lat, które udało im się razem przeżyć. Związek z Evą był najważniejszy w jego życiu. Ledwie pamiętał czas, zanim ją spotkał. Natomiast bardzo wyraźnie pamiętał pierwsze zdania, które wymienili. Na ich wspomnienie zawsze się uśmiechał.

— Jak wabi się ten pies? — spytała go.

— Møffe — odpowiedział.

— To brzmi jak imię prosiaka.

— Może dlatego zachowuje się jak prosiak.

Wtedy ona się uśmiechnęła i po raz pierwszy zobaczył dołeczki w jej policzkach. Pamiętał też, że miała na sobie jasnoniebieską sukienkę, która łopotała na wietrze. Zaprosił ją na pokład, ale ona się wahała. W końcu jednak zdołał ją przekonać. A potem siedzieli i pili wino do późna w nocy. Kiedy poszła, nie zostawiła mu ani numeru telefonu, ani adresu. Nie znał nawet jej nazwiska. Przez kilka dni próbował bez powodzenia dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Eduardo, Victoria, a przede wszystkim Johnson dokuczali mu, podając w wątpliwość jego kompetencje śledczego. W końcu zaprzestał poszukiwań i stracił nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy. I wtedy nagle znów pojawiła się na nabrzeżu. Natychmiast poprosił ją o numer telefonu, a ona mu go dała. Następnie weszła na pokład. Pili białe wino i całowali się aż do świtu. Przywołał w pamięci jej śmiech i nagle usłyszał go tuż za sobą.

Odwrócił się powoli na białym plastikowym krześle.

Miała na sobie tę samą niebieską sukienkę, co za pierwszym razem, tylko jej twarz była nieco starsza. Włosy, długie do ramion, były spięte starym srebrnym grzebykiem, który znalazł dla niej w jednym z antykwariatów na Strandgade. Wstał i zaczął się jej wnikliwie przyglądać. A ona uśmiechnęła się do niego ciepło.

— Wiem, że to wszystko przez ten alkohol i że pewnie zaraz znikniesz, ale nie masz pojęcia, jak cholernie się cieszę, że cię widzę.

Nie wiedział, czy rzeczywiście wypowiedział te słowa, czy tylko tak pomyślał. Jednak ona się uśmiechnęła, jakby doskonale go rozumiała. Zatrzymał się kawałek przed nią, jakby się bał, że jeśli podejdzie za blisko, ona rozplynie się w powietrzu.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo mi ciebie brakuje — odezwał się.

— Domyślam się — odpowiedziała łagodnie. — Źle wyglądasz. Dobrze się czujesz?

— Fatalnie. Tęsknię za tobą jak cholera. Tylu rzeczy żałuję. I tyle jeszcze chciałbym zrobić.

— Nie ma powodu, żebyś czegoś żałował.
— Powiniennem być spędzać z tobą więcej czasu, być dla ciebie lepszy.
— Byłeś cudowny. Lepszego męża nie mogłabym sobie wymarzyć.
— Nieprawda. Przecież nawet nie zdążyłem ci się oświadczyć, chociaż wiedziałem, jakie to dla ciebie ważne.
— To nie ma znaczenia — wzruszyła ramionami. — Nie myśl o tym.
— Byłem strasznym egoistą.
— Bzdura, po prostu czasem potrzebujesz więcej czasu.
— To prawda. Tylu rzeczy nie zdążyliśmy.
— Ale wiele mimo wszystko zdążyliśmy — powiedziała i spojrzała na niego z niepokojem. — Nie zasłużyłeś na to. Na to, co sobie robisz.
Thomas spuścił głowę, ale szybko znów ją uniósł w obawie, że Eva zaraz zniknie.
— Nie mogę tego znieść.
— Thomas, którego znałam, nie mówił takich bzdur. On nigdy się nie poddawał, walczył do końca, angażował się w pracę i miał ogromne poczucie sprawiedliwości.
— Czasy się zmieniły...
— Nieprawda. Nie ma powodu, żeby być egoistą. Dobrze o tym wiesz.
Thomas rozłożył ręce, jakby chciał się poddać.
— Dla mnie nic już nie ma sensu.
— Jesteś wartościowym człowiekiem.
Pokręcił głową, poczuł, jak łzy napływają mu do oczu.
— Przyszedłem za późno. Nie zdążyłem cię uratować. Gdybym wrócił do domu wcześniej, nie wykrwawiłabyś się.
— Nie możesz ciągle sobie tego wyrzucać.
— Obawiam się, że będę to robił do końca życia.
— To był splot nieszczęśliwych okoliczności. I tyle.
— Cholernie nieszczęśliwych — powiedział, bliski płaczu. — Jakiś pieprzony psychopata włamał się do naszego mieszkania, żeby ukraść zegarek i komputer. Zapłaciłaś za to życiem, a ja nawet nie potrafię go złapać. Nie umiem złapać człowieka, który cię zabił. Nie rozumiesz, jakie to dla mnie trudne?
— Rozumiem — odparła cicho. — Doskonale rozumiem.
Thomas wytarł policzek i pociągnął nosem.
— Nie zauważyłaś przypadkiem, kto to był? Przydałby mi się jakiś rysopis.
Uśmiechnęła się.
— Niestety, skarbie. To tak nie działa.
Powiodła wzrokiem po łodzi. Najwyraźniej usłyszała muzykę, bo wskazała dłonią na odtwarzacz w kajucie.
— Czy to nie...?
— Tak, to Hall i Oates.
— *Everytime you go away?* — Uśmiechnęła się, w policzkach ukazały się dołeczki.
— Pierwszy raz słyszeliśmy to u Johnsona. Powiedziałaś wtedy, że to...
— Że to najlepszy kawałek, jaki kiedykolwiek został napisany.
Roześmiała się.
— Puszczaleś go sześć, może nawet siedem razy. Tańczyliśmy, a Johnson dostawał szału.
— Teraz też dostaje.
Spojrzała na niego zakochanym wzrokiem.
— Nie zaprosisz mnie do tańca?

— A nie znikniesz?

— Jakżebym mogła.

Zrobił krok w jej kierunku, objął ją w pasie, przytulił. Poczł ciepłó jej ciała. Oddech łaskotał go w szyję. Kołysali się w takt muzyki. Chłónął waniliowy zapach jej włosów.

— Ta chwila pozostanie z nami na zawsze — wyszeptala. — Ale musisz iść dalej.

Uciszył ją.

— Wcześniej czy później będziesz musiał mnie puścić. Musisz odzyskać kontrolę nad swoim życiem.

— Nie bardzo wiem jak.

— Jesteś to winien i sobie, i mnie.

— Wiem — wymamrotał.

Pocałowała go delikatnie w usta i wyzwoliła się z uścisku.

— Uważaj na siebie, skarbie.

Chciał coś powiedzieć, coś, co by ją zatrzymało. Desperacko szukał słów, lecz nie potrafił ich znaleźć. Patrzył więc, jak wraca z powrotem na nabrzeże. Wytarła ręce w sukienkę i uśmiechnęła się. Pomachała do niego, po czym zniknęła. W tej samej chwili muzyka ucichła, światło zgasło. Znow był sam na pogrążonym w ciemnościach pokładzie.

18.

Erik stał obok ojca i uważnie śledził jego pracę nad niewielką białą sową polarną. W tej okolicy ptaki te pojawiały się stosunkowo rzadko. Może samiec zapuścił się tu w pogoni za samicą, no i ustrzelił go jakiś myśliwy z Åkersbergi? Bertil rozpostarł skrzydło sowy, próbując znaleźć właściwy kąt.

— To jest naturalna pozycja? — spytał.

Erik zmrużył oczy.

— Trochę bym je obniżył.

Chwycił lewe skrzydło i pokazał, jak to sobie wyobraża.

— Mniej więcej tak — powiedział. — Wtedy wygląda, jakby szybował w powietrzu.

— Masz rację. Tak jest bardziej majestatycznie — zgodził się Bertil.

— A jednocześnie lepiej widać wewnętrzne lotki.

Bertil pokiwał głową z uznaniem.

— Szybko się uczysz.

— Bertil! — z kuchni rozległ się głos Leny.

Stała w progu i wołała w głąb korytarza do piwnicy. Gdy nie otrzymała odpowiedzi, zawołała ponownie.

Bertil ostrożnie odłożył skrzydło i westchnął głęboko.

— Co się stało?

— Pospiesz się! — zawołała Lena, nie wdając się w wyjaśnienia.

Erik podążył za ojcem po schodach. Kiedy dotarli do kuchni, zobaczyli matkę stojącą przy stole pod oknem, które wychodziło na spokojną willową ulicę.

— Co się dzieje? — spytał Bertil, wycierając ręce w skórzany fartuch.

Lena odwróciła się i szybko wydmuchnęła chmurę dymu z papierosa.

— Co ten wóz robi w naszym ogródku? — odpowiedziała pytaniem, wyglądając przez okno.

Na zewnątrz stała niewielka półciężarówka, zaparkowana jednym kołem na zaśnieżonym trawniku przed domem. Wyglądała na zniszczoną, spod łuszczącego się zielonego lakieru wychodziły duże plamy rdzy. Na drzwiach kabiny widniał napis: „Monson, wycinka drzew” i numer telefonu. Włączony silnik hałasował, stojące na parapecie szklane ozdoby drżały i uderzały o siebie.

— Kto to jest?

— Nie mam pojęcia.

W tym momencie drzwi kabiny od strony pasażera się otworzyły i na śnieg wyleciało kilka pustych butelek po piwie. Po chwili z samochodu wysiedli myśliwi, ubrani w niemal jednakowe stroje termoizolacyjne. Jeden z nich przeciągnął się, spoglądając w stronę domu i drzwi.

— Czy to nie jest Johan? — spytał Erik.

— Masz rację — powiedział Bertil, autentycznie zdziwiony.

— Johan? — powtórzyła Lena, wydmuchując dym papierosowy kącikiem ust.

Trzej myśliwi stojący na podeście przed drzwiami domu powitali Erika i Bertila głośnymi

okrzykami. Wszyscy byli porządnie wstawieni. Erik rozpoznał obu mężczyzn towarzyszących Johanowi. Söbring i Olofsson, koledzy ojca z polowań. Wiedział, że jeden z nich pochodził z rodziny właścicieli hut, drugi zaś był bankierem, tak samo jak jego ojciec. Nie był jednak pewien, który z nich czym się zajmował. Wszyscy trzej mieli kilkudniowy zarost i podkrążone oczy, z braku snu i pewnie z nadmiaru alkoholu.

— Świetnie wyglądacie — powiedział Bertil, uśmiechając się ironicznie.

— Jesteśmy piękni, prawda?

Söbring objął Bertila i pocałował go w policzek wilgotnymi ustami. Potem zaczął targać Erika za włosy. Chłopca uderzyła woń starego potu i alkoholu.

— Byliście na polowaniu? — spytał.

Söbring spojrział na niego mętym wzrokiem.

— Owszem, chłopcze — jęknął zmęczony. Jego oddech omal nie przewrócił Erika.

Bertil wyzwolił się z uścisku Söbringa, który zachwiał się lekko.

— Macie świetną brykę. — Powiedział i powiódł wzrokiem po półciężarówce i po śladach, które jej wielkie koła zostawiły na trawniku, jego i sąsiada. — Kradziona?

— Kradziona? — zawołał Johan. — Coś ty! Należy do mojego dobrego przyjaciela, Monsona!

W tym momencie zza samochodu wyszedł drobny, niski mężczyzna w czapce uszatce i puchowej kurtce. Kiedy uśmiechnął się do Bertila i Erika, okazało się, że brakuje mu kilku przednich zębów.

— Monson jest moim kolegą z klasy, z czasów, kiedy mieszkaliśmy na Kungsholmen. Söbring i Olofsson się roześmiali.

— Monson był najlepiej zapowiadającym się uczniem w klasie. Prawda, Monson?

Mężczyzna nie odpowiedział. Nie zareagował na śmiech kolegów. Najwyraźniej nie pierwszy raz słyszał, jak opowiadają tę anegdotkę.

— Gdzie byliście? — dopytywał się Bertil.

— Na polowaniu — odpowiedzieli zgodnie wszyscy trzej.

— Domyślam się, ale jak długo?

— Trzy dni — odpowiedzieli chórem.

— W tym stanie pewnie niewiele udało wam się upolować.

Johan położył rękę na ramieniu Bertila.

— Nie bądź złośliwy, Bertilku. Bo poproszę prefekta Monsona, żeby cię ukarał.

Mężczyzna pociągnął za sobą Bertila, który niechętnie pozwolił mu się poprowadzić w stronę wozu. Erik ruszył za nimi. Nie podobał mu się sposób, w jaki Johan traktował jego ojca. Jakby alkohol czynił go jeszcze bardziej aroganckim niż zwykle.

Kiedy dotarli do wozu, Johan puścił Bertila i zaczął zdejmować haczyki przytrzymujące klapę. Kiedy zdjął ostatni, klapa opadła z hukiem i ich oczom ukazała się zawartość skrzyni.

— Boże drogi — jęknął Bertil.

Johan cofnął się, zadowolony, i pozwolił Erikowi podejść bliżej.

— Patrz, widziałeś kiedyś piękniejszy egzemplarz?

Na skrzyni leżał ogromny byk jelenia. Poroże miał tak duże, że wyglądało niemal jak drzewo.

— Nie jest piękny?

— Owszem, imponujący — odparł Erik.

Johan zwrócił się do Bertila.

— Szliśmy za nim prawie cały weekend. Dopiero wczoraj udało nam się podejść do niego bliżej. Celowałem z odległości trzystu metrów — powiedział Johan i beknął. — I to na kacu

— dodał.

— Ile strzałów oddałeś?

Johan się uśmiechnął.

— Jeden. W samo serce. Żałuj, że cię tam nie było.

Bertil pokiwał głową.

— To musiała być wielka chwila — powiedział. Oderwał wzrok od jelenia, spojrzął na Johana. — Dokąd teraz jedziecie?

— Do domu. Nie spałem od czwartku. Wiesz, jak to jest z tymi pijaczkami.

Pijaczkowie się rozeźmieli.

— Miałem na myśli jelenia.

— Przywieźliśmy go tobie.

Bertil pokręcił głową.

— Bardzo dziękuję, ale mamy wystarczająco dużo mięsa w zamrażarce.

Johan znów objął Bertila.

— Źle mnie zrozumiałeś. Chcę, żebyś mi go wypchał.

— Rozumiem, że przemawia przez ciebie alkohol — rozeźmiął się głucho ojciec Erika.

— Bynajmniej. Stanie w holu, na honorowym miejscu.

Erik patrzył na ojca, pełen oczekiwania. To będzie ich pierwsze naprawdę duże zadanie, prawdziwe dzieło sztuki. Jednak szybko został sprowadzony na ziemię.

— Bardzo możliwe, ale ja go nie wypcham — powiedział Bertil chłodno.

Mężczyźni spojrzeli na niego zawiedzeni.

— Do licha, Bertil. Liczyliśmy na ciebie.

— Przykro mi. Nawet nie mam jak go znieść do piwnicy.

— Nie możesz robić tego na zewnątrz? — spytał Söbring. — Pomożemy ci przenieść go na tył ogrodu...

— Mróz spowolni rozkład... — przerwał mu Erik.

Chłopiec wspiął się na schodek prowadzący do kabiny, a stamtąd na skrzynię. Okrążył jelenia, przyglądając mu się uważnie.

— Do wyprawienia skóry będzie potrzebnych co najmniej pięć kilogramów ałunu i drugie tyle soli.

— No proszę — rozeźmiął się Johan. — Może wynajmiemy twojego chłopaka, skoro tobie brakuje jaj, co, Bertil?

— Zejdź stamtąd — wysyczał Bertil do Erika, po czym zwrócił się do Johana: — Przykro mi, stary, ale nie jestem zainteresowany.

W tym momencie z domu wyszła Lena. Na ramiona zarzuciła futro z szarych norek. Otuliła się nim szczelnie. Widoczne spod futra jej białe nogi przyciągały wzrok mężczyzn. Zbliżając się, uśmiechnęła się do Johana.

— Tylko ty możesz narobić takiego zamieszania w niedzielę.

Usta miała pociągnięte czerwoną szminką, która zostawiła ślad na przednich zębach.

— Przepraszam — powiedział Johan, uśmiechając się głupkowato.

Söbring i Olofsson przywitani się z Leną, która skinęła im uprzejmie głową, po czym ruszyła dalej w stronę półciężarówki.

— Uważaj, żebyś nie zmarzła, Lena — zawołał Bertil, niezadowolony. Wyraźnie jej tu nie chciał.

— Boże, jaki wielki. Ty go ustrzeliłeś, Johan?

Johan podszedł bliżej.

— Trafiłem go w samo serce — odpowiedział na tyle trzeźwo, na ile był w stanie.

— To chyba niebezpieczne?
Mężczyzna skinął głową.
— Z takim bykiem nie ma żartów. Jeśli nie powali się go pierwszym strzałem, może stać się równie agresywny jak grizzly.
— Grizzly? — powtórzyła Lena, patrząc na niego pustym wzrokiem.
— To taki duży niedźwiedź.
— Ach, tak. Że też się odważyłeś — była wyraźnie pod wrażeniem.
Johan uśmiechnął się i wzruszył ramionami.
— Taki już jestem.
— Mogę zrobić łeb — powiedział Bertil, poirytowany.
Johan odwrócił się od Leny i spojrzał na Bertila.
— Mógłbyś? Naprawdę?
— Chyba że chcesz powiesić sobie na ścianie zadek.
Mężczyźni się roześmiali, a Bertil mrugnął porozumiewawczo do Erika.
— Co ty na to, Erik? Wypchamy mu zadek?
Chłopiec uśmiechnął się z zakłopotaniem.
— Nie bądź wulgarny — zwróciła mu uwagę Lena, ale nikt jej nie słuchał.
— Będzie cię to trochę kosztować — powiedział Bertil.
Johan skinął głową.
— Jasne. Ile?
— Pięćdziesiąt tysięcy.
Söbring i Olofsson posłali mu szybkie spojrzenie.
— Do licha, to więcej niż nowe volvo — mruknął Söbring.
— To kup sobie volvo. Pasuje do ciebie — powiedział Bertil, nawet nie patrząc w jego stronę.
— Do niczego cię nie zmuszam, Johan — ciągnął dalej. — Jeśli o mnie chodzi, możecie jechać z nim, do kogo chcecie. Mogę dać ci numery telefonów do kilku zawodowych konserwatorów. Pewnie zrobią ci to za połowę. A jeśli chcesz, żebym ja to zrobił, to dobrze, ale za pięćdziesiąt patyków.
— Nie spuściłbyś trochę? — spytał Johan niepewnie.
Bertil pokręcił głową.
— Ja się nie targuję.
— Okej — powiedział Johan. — Więc niech tak będzie.
Söbring i Olofsson pokręcili głowami.
Lena uśmiechnęła się i zapaliła papierosa.
— Masz piłę łańcuchową? — zwrócił się Johan do Monsona.
Monson spojrzał na niego, jakby w życiu nie słyszał głupszego pytania.
— Pewnie.
Po kilku minutach Johan wszedł na pakę z ryczącą piłą elektryczną w rękę. Söbring i Olofsson siedzieli okrakiem na zwierzęciu, żeby je przytrzymać, podczas gdy Johan zaczął odcinać mu głowę. Mięśnie i krew obryzgały mu ubranie i twarz.
Lena obserwowała scenę, zafascynowana, lecz po chwili odeszła kilka kroków od wozu, bojąc się o swoje cenne futro.
Po kilku minutach Johan rzucił odciętą głowę na ziemię. Upadła w głęboki śnieg. Bertil i Erik przyglądali się jej uważnie.
— Będzie fantastyczny okaz — powiedział Erik.
Bertil przytaknął.
— Zawlecmy ją za dom i znieśmy do piwnicy tylnymi schodami.

19.

Kilka dni później pozbawiony skóry ogromny łeb jelenia zawisł w piwnicy na kołowrotku u sufitu. Erik i Bertil odpiłowali poroże, górną część czaszki zostawili otwartą. Wzdłuż obnażonych policzków biegły ścięgni niczym sznury, a wielkie oczy zwierzęcia patrzyły przed siebie pustym wzrokiem. Mimo niskiej temperatury w piwnicy łeb zaczął gnić, wydzielając ostry, duszący odór. Ale ani przykra woń, ani dość makabryczny widok nie robiły wrażenia na Eriku. Wymierzył dokładnie głowę jelenia i zapisał dane w notesie Moleskine.

Nieco dalej przy blacie stał Bertil obok ogromnego modelu jelenia, który kupili specjalnie na tę okazję. Czekał, aż Erik skończy obliczenia, żeby dopasować model do rzeczywistych wymiarów. Musiał dokładnie pasować do zdjętej wcześniej skóry, którą właśnie preparowali w dużej cynowej balii.

Pomiar i preparowanie skór stały się ulubionymi zajęciami Erika. Miesiące spędzone w piwnicy nauczyły go, że jeśli ten etap prac zostanie wykonany precyzyjnie, to rezultat końcowy niemal na pewno będzie udany. Już teraz podchodził do tego z większą uwagą niż jego ojciec, zarówno do pomiarów, jak i do wyprawiania skór, tak żeby nie straciły połysku.

Bertil wyjął niewielkie pudełeczko. Było w nim czworo oczu. Barwione na ciemno szkło zdawało się niczym nie różnić, ale się różniło zarówno wielkością źrenic, jak i kształtem gałek ocznych. A wszystko to było istotne, by łeb zachował swój charakterystyczny wygląd.

Bertil spojrzał na schody prowadzące do kuchni.

— Johan! — zawołał.

Kiedy nikt nie odpowiedział, odwrócił się do Erika.

— Mógłbyś pójść po Johana? Niech wybierze oczy.

— Robię coś — zamruczał Erik.

— Idź, zanim matka zagada go na śmierć.

Erik westchnął, odwrócił się od blatu i szybko ruszył po schodach.

Wszedł do kuchni i zaczął się rozglądać za Johanem i matką. Ale jedyne, co dostrzegł, to dwie puste filiżanki po kawie, stojące na stole. W popielniczce ćmił jeszcze jeden z długich papierosów matki. Erik zaczął się zastanawiać, gdzie matka i Johan mogli się podziać. Przeszedł przez kuchnię do długiego, wąskiego korytarza. Drzwi do pokoju były uchylone, podszedł do nich i usłyszał ciche głosy. Pchnął drzwi, które otworzyły się bezszelestnie. W najdalszym pokoju zobaczył matkę i Johana. Lena leżała na stole, trzymając się blatu obiema rękami. Sukienka przesunęła się do góry, obnażając białe, pełne pośladki. Z kostki jednej nogi zwisały jej niebieskie bawełniane majtki. Z tyłu za nią stał Johan i na nią napierał. Był purpurowy na twarzy.

— Dzwinka — jęczał cicho. — Cholerna dzwinka.

— Tak — odpowiadała matka. — Tak...

Erik wrócił do piwnicy. Ojciec stał obok łba jelenia i wymierzał odległość między oczami. Odwrócił się i zobaczył, że Erik jest sam.

— Gdzie Johan?

— Nie mogłem go znaleźć.

— Co ty opowiadasz? — przerwał mu ze złością. Wyminął go i stanął na dole schodów.

— Johan, do diabła, jesteś nam potrzebny!

Minęła chwila, zanim usłyszeli w kuchni kroki Johana. Po chwili pokazał się na górze

schodów.

— Musiałem się odlać — powiedział zdyszany i wciąż jeszcze czerwony na twarzy. Zszedł na dół i uśmiechnął się do Bertila.

— Dobrze, że nie wpadłeś do kibla — rzucił Bertil oschle.

— Nie martw się o mnie — odparł Johan, klepiąc go po ramieniu.

Po chwili zauważył moczącą się w balii skórę. Zwinięta, przypominała stary płaszcz.

— Wygląda dość obrzydliwie.

— Skup się na oczach. Jak chcesz, żeby wyglądały? — spytał Bertil, podając mu pudełko ze szklanymi oczami.

Johan spojrzał na nie.

— Ja się na tym nie znam. Wybierz jakieś.

— Proponuję te — powiedział Bertil, wskazując na jedną z par.

— W porządku. Mam nadzieję, że jak skończycie, będzie się prezentował bardziej apetycznie — rzucił Johan, wskazując głową na odarty ze skóry łeb jelenia.

— Wszystko będzie tak, jak powinno — zapewnił go Bertil chłodno. — Nie pożałujesz wydatku.

Erik stał w pewnej odległości od stołu i przyglądał się w milczeniu ojcu i Johanowi. Z kuchni doszedł go charakterystyczny odgłos kroków matki. Nie bardzo wiedział, co sądzić o tym, czego przed chwilą był świadkiem, wiedział jednak na pewno, że już nigdy nic nie będzie takie samo jak dawniej. I że wcześniej czy później wszystko pęknie. Piwnica nie była już bezpiecznym schronieniem. Miał ochotę jak najszybciej z niej uciec. Tylko nie wiedział dokąd.

20.

Drzwi do Wydry się otworzyły i Thomas wszedł do środka. Na dworze było wyjątkowo zimno; potarł dłonie, żeby trochę się rozgrzać. Johnson spojrział na niego znad porannej gazety, którą czytał, siedząc przy barze.

— Wcześniej, nawet jak na ciebie. Otwieram dopiero za godzinę — oświadczył.

Sięgnął po kubek z kawą, wypił łyk. Odstawił go i wziął cecila bez filtra, który leżał obok w popielniczce, i ćmił.

— Poza tym wiesz mi za wczoraj.

Thomas podszedł bliżej i usiadł na jednym z wysokich stołków barowych.

— Nie przyszedłem pić — powiedział, wyciągając z kieszeni pięćdziesiąt koron.

Po dokładnym przeszukaniu łodzi powiększył swój kapitał w gotówce o sześćset siedemdziesiąt pięć koron.

— Chyba jesteśmy kwita.

Johnson sięgnął po banknot i włożył go do kieszeni na piersi.

— W dalszym ciągu otwieramy dopiero za godzinę.

Thomas wzruszył ramionami.

— Co to za sprawa z tą twoją sprzątaczką?

Johnson spojrział na niego.

— Nagle się zainteresowałeś?

— Chciałeś, żeby ci pomóc, tak czy nie?

Johnson zgasił papierosa w popielniczce i spojrział na Thomasa spod oka.

— Tak, chciałem.

— Więc co to za sprawa?

— Córka Nadii zaginęła. Nie ma jej już dwa lata.

— Tyle pamiętam. Ale czego chcesz ode mnie?

— Chcę, żebyś sprawdził, czy policja coś o niej wie.

— Sprawdził? Jeśli nikt nie zgłosił zaginięcia, to co tu jest do sprawdzania? Chyba że...

— Chyba że co?

— Chyba że nie żyje albo coś jej się stało. Przebywała w Danii nielegalnie?

Johnson pokręcił głową.

— Nie sądzę, ale też niewiele wiem o jej sytuacji. Najlepiej będzie, jeśli porozmawiasz z Nadią.

— Dobrze, gdzie ona jest?

— Zakładam, że w domu.

— Czyli gdzie?

— Kilka przecznic stąd.

— No to chodźmy do niej — powiedział Thomas, wstając.

Jego propozycja najwyraźniej zaskoczyła Johnsona, który otworzył szeroko oczy.

— Nie mogę wyjść z baru. Niedługo otwieramy.

— Za godzinę. Do tego czasu wrócimy. Chodź, idziemy!

— Ale ona nic nie wie.

— To zadzwoń i ją uprzedź.

Johnson złożył gazetę i sięgnął po klucze. Dopił kawę.

— Dziwnie się dzisiaj zachowujesz, Ravn. Jesteś chory czy może w końcu wytrzeźwiałeś?

Mieszkanie Nadii znajdowało się w suterenie starej kamienicy na Burmeistergade. Było równie wilgotne, jak jego kajuta na „Biance”. I tak samo niskie. Różnica polegała na tym, że w skromnym, wręcz spartańsko urządzonej pokoju z białymi plastikowymi fotelikami wokół stołu panował idealny porządek. Nadia poczęstowała ich kawą i kruchymi ciasteczkami własnego wypieku. Była to szczupła starsza pani z włosami przyprószonymi siwizną i z ciemnymi workami pod oczami. Podała kawę i usiadła przy stole. Patrzyła zdziwiona na Thomasa, jakby nie do końca wierzyła, że ten niechlujny mężczyzna z włosami do ramion i ze zmierzwioną brodą naprawdę jest policjantem.

— Jak pani córka ma na imię? — spytał Thomas, odstawiając pustą filiżankę.

— Masza.

— Ile ma lat?

— W przyszłym miesiącu skończy dwadzieścia trzy. Czternastego.

Kobieta mówiła z wyraźnym obcym akcentem, Thomas musiał się skupić, żeby w ogóle ją zrozumieć.

— Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

— Dwa i pół roku temu.

W oczach kobiety pokazały się łzy.

— I nie wie pani, dokąd mogła się udać?

— Nie. Wszędzie jej szukałam. Zniknęła — powiedziała, bezradnie rozkładając ręce.

— Rozumiem, że próbowała pani do niej dzwonić?

— Jej komórka milczy. Numer jest nieaktualny.

— Mieszkała tu z panią?

— Początkowo tak. Zaraz po przyjeździe. Potem się wyprowadziła. Najpierw do przyjaciółki, a potem zamieszkała ze swoim przyjacielem — powiedziała Nadia. — Nie lubiłam go — dodała, marszcząc czoło.

— Gdzie ten mężczyzna mieszka?

— Nie wiem. Widziałam go zaledwie dwa razy, kiedy Masza przyjechała wziąć jakieś rzeczy.

— Jak ma na imię?

— Ivan, Igor, nie wiem dokładnie.

— Jak wygląda?

— Nie jest zbyt przystojny. Rosjanin. Zawsze miał okulary przeciwsłoneczne, takie jakie noszą rowerzyści. Jeździł dużym samochodem, z drzewkami.

— Z drzewkami?

— Takimi, jakie wiesz się w samochodzie i pachną.

— Wunder-Baum — wszedł jej w słowo Johnson. — Chodzi o Wunder-Baum?

Nadia pokiwała głową i spuściła wzrok.

— Nieco ponad rok temu spotkałam go przypadkowo na ulicy. Spytałam, czy wie, co się dzieje z Maszą, ale udał, że mnie nie widzi. Pobiegałam za nim, chciałam, żeby mi odpowiedział, a wtedy rzucił, że nie zna żadnej Maszy, a ja jestem durna. *Pamišes*.

— Co robiła Masza? Gdzie pracowała? — spytał Thomas.

— Zajmowała się różnymi rzeczami. Nalegałam, żeby uczyła się dalej, ma głowę do nauki, ale ona chciała zarabiać. Nie mogę mieć jej tego za złe.

— Co robiła?
— Najpierw sprzątała, razem ze mną, ale nie znosiła tego. Potem dostała pracę w klinice.
— W jakiej klinice?
— W klinice piękności. Robiła manicure, makijaż i takie rzeczy.
— Gdzie jest ta klinika?
Kobieta pokręciła głową.
— Nie wiem. Nie rozmawialiśmy o takich sprawach.
— A co z jej przyjaciółmi?
Kobieta znów pokręciła głową.
— Nigdy ich nie poznałam. Masza wstydziła się tego mieszkania. I mnie.
— Jak pani myśli, co mogło jej się przytrafić?
— Obawiam się najgorszego — powiedziała kobieta ze łzami w oczach.
— Może po prostu znalazła sobie nowego faceta? Kogoś, kogo pani nie zna. A może wróciła na Łotwę.
— Na Litwę — poprawił go Johnson.
— Wszystko jedno — powiedział Thomas, rozkładając ręce. — Tak też mogło być.
Nadia znów pokręciła głową.
— Masza zawsze była ze mną w kontakcie. Ostatnio rzadko się tu pojawiała, ale się pojawiała. Cały czas miała tu swój pokój. Płaciła mi czynsz. Była... — Kobieta urwała i zaczęła płakać. — Ona jest dobrą córką.
Johnson nachylił się i poklepał ją po ramieniu.
— Dowiemy się, co się stało. Na pewno nic strasznego.
— Mogę obejrzeć pokój Maszy? — poprosił Thomas.

Okna niewielkiego pokoju wychodziły na podwórze. Meble były dość wysłużone, kobieta zapewne kupiła je zaraz po przyjeździe do Danii, potem najwyraźniej nikt tu nic nie zmieniał. Na ścianach wisiały wyblakłe plakaty z Britney Spears i Jonem z *Popstars*. U wezłowania na różowej narzucie ktoś posadził kilka misiów. Na niewielkim biurku obok łóżka leżały kosmetyki. Było też zdjęcie Nadii. Stała na tle kopenhaskiej Małej Syrenki i trzymała za rączkę dziewczynkę. Thomas wziął zdjęcie i przyglądał mu się uważnie.

— To pani z córeczką?
— Tak — odpowiedziała Nadia od progu. — To ja i moja księżniczka.
Thomas odstawił zdjęcie na biurko.
Na wieszaku wisiało kilka drogich torebek Louis Vuittona, sznur sztucznych pereł i zniszczone futro z królików. Jeden rękaw był oderwany, zwisał niczym złamana ręka. Mężczyzna podszedł do szafy stojącej w rogu, otworzył ją. Półki ugięły się pod stosami ubrań, na samym dole stały buty, szpilki, botki.

— To wszystko rzeczy Maszy?
— Tak. Masza kocha ubrania, buty. Kiedy przychodziła, zawsze miała na sobie coś nowego.
— A te rzeczy?
— To jej dawne ubrania. Bez przerwy coś kupuje.
— Ma pani jakieś nowsze zdjęcia córki?

Kobieta skinęła głową i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła, trzymając w ręku kopertę ze zdjęciami. Wybrała kilka i podała Thomasowi. Na jednym z nich Masza spacerowała wzdłuż kanału w Christianshavn. Gdyby osoba robiąca zdjęcie nieco inaczej je wykadrowała, w tle z lewej strony widać byłoby „Biancę”.

— To zrobiła jej przyjaciółka. Dziewczyny miały je rozesłać do wytwórni filmowych i fotografów mody. Masza chciała być modelką albo aktorką.

— Z taką urodą z powodzeniem mogłaby być i tym, i tym — powiedział Thomas i uśmiechnął się do Nadii. — Mogę je zatrzymać?

— Oczywiście.

Wyszli z pokoju i podeszli do drzwi wyjściowych. Thomas podał kobiecie rękę.

— Zobaczę, co się da zrobić. Porozmawiam z policją i spróbuję się dowiedzieć, czy ktoś ją widział.

— Ale nie będę miała problemów z policją? — zaniepokoiła się Nadia.

— Żadnych problemów — zapewnił ją Thomas i się pożegnał.

Thomas i Johnson szli razem wzdłuż kanału do Wydry. Wiatr się wzmógł i Thomas drżał w cienkiej kurtce.

— Jak sądzisz, co się z nią mogło stać? — spytał Johnson.

— Nie mam pojęcia.

— Poważnie? — Johnson sprawiał wrażenie zawiedzionego.

— Sporo wydawała jak na manikiurzystkę.

— Co masz na myśli?

— Kupowała drogie ciuchy, opłacała matce mieszkanie. To kosztuje. Torebki, które widzieliśmy w jej pokoju, kosztują pięć tysięcy każda. Kupiłem taką Evie na trzydzieste urodziny. Kiedy ekspedientka podała mi cenę, nie chciałem wierzyć własnym uszom. Ale cóż, było już za późno, że tak powiem.

— Myślisz, że je ukradła?

— Może, ale to nie takie proste. W ekskluzywnych butikach jest ochrona, rzeczy są zabezpieczone.

— Może to on je jej podarował? Ten mister Wunder-Baum.

— Może.

— Nie bardzo w to wierzysz? A co o tym myślisz?

— Że nie byłaby pierwszą dziewczyną w historii, która zarabiała na masażu.

— Podejrzewasz, że jest dziwką? — wypalił Johnson.

Thomas wzruszył ramionami.

— Nie dziwiłbym się.

— No dobrze. I co teraz?

— Pojadę na komendę i sprawdzę w systemie. Pewnie będzie to nieco dziwne uczucie. Po tak długim czasie... — powiedział Thomas. Czuł, jak drga mu powieka.

Po chwili dotarli do Wydry, Johnson spojrzał na niego.

— Wejdiesz? Ja stawiam.

— Dziękuję, ale nie tym razem. Dam znać, jak tylko czegoś się dowiem — powiedział Thomas. Odwrócił się i ruszył przed siebie.

— Ravn — zawołał za nim Johnson. — Dzięki.

Thomas odwrócił się, skinął lekko głową i ruszył dalej w stronę nabrzeża i „Bianki”.

21.

Erik otworzył oczy. Leżał w łóżku w ciemnym pokoju, oświetlonym jedynie słabą księżycową poświatą, wdzierającą się przez okno. Drzwi były lekko uchylone, wisząca w oknie dekoracja z lakierowanego na szaro drewna, przedstawiająca gąski, poruszała się lekko w przeciągu. Erik uniósł się na łóżku. Spojrzał na zegarek, który stał obok na nocnym stoliku. Wpół do trzeciej w nocy. Z drugiego końca piętra dochodziły ciche głosy. Z sypialni rodziców. Miał wrażenie, że się kłóca. Któreś z nich płakało, nie potrafił powiedzieć które. Odsunął na bok kołdrę i wyskoczył z łóżka. Podciągnął pasiaste spodnie od piżamy, które zsunęły mu się na pośladki, i podszedł cicho do drzwi. Na korytarzu paliło się światło. Słyszał, jak matka coś mówi, jakby się komuś żaliła, ale nie słyszał dokładnie, o co chodzi. Ruszył przed siebie korytarzem. Drzwi do sypialni rodziców były otwarte na oścież. Zawahał się chwilę, podszedł bliżej, zatrzymał się i wsadził głowę do środka. Matka siedziała na łóżku, oparta o wezgłowie. Miała na sobie różową koszulę i z pasją piłowała paznokcie dużym pilnikiem. Bertil wędrował nerwowo po pokoju, ubrany w piżamę w paski, niemal taką samą, jaką miał na sobie jego syn. Erik zobaczył podeszłe krwią oczy ojca i domyślił się, że to on płakał. Przestraszył się. Bardziej, niż gdyby to matka płakała.

— Nie rozumiem tego, po prostu nie rozumiem — odezwał się Bertil, rozkładając bezradnie ręce.

— Bo nie chcesz. Tyle razy już to przerabialiśmy.

— Więc wytłumacz mi jeszcze raz — naciskał Bertil, z ust poleciały mu krople śliny.

— Jeśli zostanę tu dłużej, to umrę. Nie rozumiesz tego, Bertil? Będę równie martwa, jak te twoje cholerne wypchane zwierzaki w piwnicy — powiedziała i zaczęła piłować kolejny paznokieć.

— Więc sprzedajmy dom i przeprowadźmy się do centrum. Nie mam nic przeciwko temu — zaproponował Bertil.

Usiadł na brzegu łóżka, Lena mimowolnie cofnęła nogi, żeby jej nie dotknął.

— Zaczniemy wszystko od nowa. Będę miał bliżej do pracy. Będziemy mogli częściej jeść na mieście, chodzić do teatru, do kina. Robić wszystko to, czego ci tak brakuje.

— Ty naprawdę nic nie rozumiesz.

— Rozumiem — w jego głosie słychać było desperację. — Rozumiem, że nie bawi cię siedzenie w domu, dlatego proponuję, żebyśmy się przeprowadzili. Przecież chciałaś...

— Bertil, nie my. To ja chcę się przeprowadzić. Nie chodzi tylko o to, że nie chcę mieszkać tu, w Mälarhöjden. Ja nie chcę mieszkać z tobą. Po prostu... oddaliśmy się od siebie.

— Jak możesz być taka zimna? — zapytał Bertil, spuszcżając wzrok. — Po tylu latach.

— Nie jestem zimna, tylko myślę realistycznie. Podjęłam decyzję, która w dłuższej perspektywie będzie najlepsza dla nas wszystkich.

— A co z Erikiem? Nie możesz tak po prostu zostawić syna.

— Nie graj tą kartą. Erik będzie mógł mnie odwiedzać. Jakoś to sobie ułożymy.

Erik nie był w stanie dłużej tego słuchać. Cofnął głowę i osunął się na podłogę przy drzwiach sypialni. Zatkał dłońmi uszy, ale głosy rodziców i tak do niego docierały.

— Nie pozwolę ci odejść.

— Nie ty będziesz o tym decydował.

— Zabiję się, jeśli mnie zostawisz. Przysięgam, że pójde do piwnicy i się powieszę.
Erik odjął dłonie od uszu i ponownie zajął do sypialni. Ojciec wstał z łóżka. Znow płakał.

— Błagam cię, Lena.

— Przestań, Bertil — powiedziała matka, wychyliła się i poklepała ojca po nodze.

— Tylko wszystko pogarszasz. Było nam dobrze razem, ale teraz musimy iść dalej.

Odłożyła pilnik, wyjęła z paczki papierosa i zapaliła go.

Bertil stał jak sparaliżowany, wpatrując się w podłogę. Lena wydmuchała dym, który pochłonął Bertila niczym mgła. To nie jest najbardziej podniosła chwila w życiu ojca, pomyślał Erik. Nie była godna uwiecznienia, a jednak miał pewność, że zachowa ją na długo w pamięci. I pewnie tak by było, gdy nie to, co się wtedy wydarzyło. Bertil nagle wskoczył na łóżko i położył się na Lenie. Chwycił ją dłońmi za szyję i zaczął ścisnąć. Papieros wyleciał jej z rąk, upadł na dywan. Matka walczyła, żeby wyswobodzić się z jego uścisku: machała wściekle rękami, próbowała zrzucić go z siebie, ale Bertil był dla niej za ciężki. Erik stał w drzwiach jak sparaliżowany. Chciał zawołać do ojca, żeby przestał, ale nie zdołał wydać z siebie żadnego dźwięku. Chciał pobiec matce z pomocą, ale nogi nie chciały go słuchać. Słyszał jej charczenie, widział, jak papieros wypala w dywanie coraz większą dziurę. Może to najlepsze rozwiązanie, przeszło mu przez głowę, skoro i tak chciała ich zostawić.

— Ty psychopato — wykaszała Lena.

Zacząła okładać ojca pięściami po głowie, a on nawet nie próbował unikać ciosów.

— Ty cholerny psychopato!

W końcu wykończona opadła na łóżko. Znow zaczęła kasłać, chwyciła się za szyję, na której palce Bertila zostały sine ślady niczym dość makabryczny naszyjnik.

— Przepraszam... Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Wybacz mi.

— Jesteś chory. Masz coś nie tak z głową — powtarzała matka.

— Naprawdę bardzo mi przykro — powiedział ojciec, wyciągając do niej rękę.

Odepchnęła go.

— Trzymaj się ode mnie z daleka!

Bertil cofnął rękę i patrzył pustym wzrokiem w podłogę.

— Jeśli rzeczywiście tego pragniesz, to pozwolę ci odejść. Rozejrzemy się za jakimś mieszkaniem dla ciebie. Będziesz mogła odpocząć, dojsz do siebie, a potem zobaczymy, za jakieś pół roku albo kiedy będziesz chciała. Zaczekam na ciebie, oczywiście...

— Przestań! Przestań mówić — odezwała się Lena schrypniętym głosem. — Niczego od ciebie nie chcę.

— Ale przecież nie możesz tak po prostu odejść. Poza tym życie w Sztokholmie jest bardzo drogie, jak sobie poradzisz? Zamierzasz iść do pracy? — rzucił ironicznie.

— Poradzę sobie.

Bertil spojrzał na swoją dłoń, zobaczył krew.

— To byłoby po raz pierwszy w życiu, chyba że... — zaczął. Nagle urwał i spojrzał na nią. — Masz kogoś.

Lena zakasłała i znow sięgnęła po papierosy leżące na stoliku obok łóżka.

— Kto to jest? Mów!

Zapaliła papierosa i zaczęła mu się przyglądać. Spływający jej po policzkach tusz tworzył czarne girlandy, a ślady na szyi sprawiały, że wyglądała groteskowo.

— To ma jakieś znaczenie?

— Powiedz mi!

— To Johan — wyznała w końcu i oparła się o poduszkę. — Zadowolony? — spytała,

wydmuchując dym.

Bertil podniósł się w milczeniu, wyraźnie zmieszany. Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

Erik stał w progu i obserwował matkę. Nigdy jeszcze nie była tak nieosiągalna jak w tej chwili, kiedy leżała na łóżku, paląc papierosa ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt na suficie. Poczul gwałtowną ochotę, żeby rzucić się jej w objęcia i ukryć twarz w miękkich fałdach jej koszuli. Ale nie zrobił tego, tylko odwrócił się na pięcie i zniknął w korytarzu.

Erik zapalił światło w piwnicy. Na blacie do pracy stał wielki model łba jelenia. Zdążyli już naciągnąć skórę, musieli dopracować jeszcze tylko kilka drobnych szczegółów i łeb będzie gotowy. Można było odnieść wrażenie, że ogromny jeleń został przywrócony do życia. Patrzył przed siebie wielkimi brązowymi oczami. Erik stał i mu się przyglądał. To było ich największe dotąd wspólne przedsięwzięcie. Ojciec powiedział, że to jego praca czeladnicza. Kiedy teraz przyglądał się jeleniowi, miał wrażenie, że zwierzę patrzy na niego z drwiącym uśmiechem. Rozejrzał się po stole, zobaczył skalpel i wziął go do ręki. Chwycił mocno rękojeść i wbił ostrze w łeb jelenia. Skalpel przeciął skórę i wszedł głęboko. Erik wyciągnął go i zamachnął się ponownie, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Zadyszał się, pot spływał mu z czoła. W końcu ostrze złamało się i utknęło w sierści zwierzęcia. Próbował wydostać je palcami, ale tkwiło za głęboko, nie dał rady. Uzbrojony w samą rękojeść, ruszył do walki z okiem jelenia. Było przyklejone mocnym klejem epoksydowym i nie dawało się odkleić. W końcu jednak mu się udało, oko upadło na podłogę i rozbiło się z głośnym trzaskiem. Erik rzucił nóż i przyglądał się zniszczeniom, jakie poczynił. Zwierzę wyglądało okropnie, jakby ktoś strzelał do niego z karabinu maszynowego. Spojrzał na stół, na którym stała skrzynka z narzędziami. Wystawała z niej wielka strzykawka, przed którą ojciec kiedyś go ostrzegał. Zastanawiał się, czy jej nie użyć, ale nie bardzo wiedział jak. Poza tym jego siły już się wyczerpały, włożył więc strzykawkę do kieszeni i wrócił do swojego pokoju.

22.

Był wczesny ranek, w komendzie panował ruch. Zatrzymanych w nocy ludzi wyprowadzano z aresztu do radiowozów, które miały przewieźć ich do sądu. Thomas minął dwóch funkcjonariuszy w mundurach, mocujących się z kilkoma młodymi robotnikami w brudnych kombinezonach roboczych. Mężczyźni byli pijani i chociaż mieli założone kajdanki, stawiali zacięty opór.

— Pomóc?

Policjant spojrzął podejrzliwie na Thomasa, który wyciągnął z kieszeni kurtki policyjną legitymację.

— Radzimy sobie — rzucił zasapany funkcjonariusz.

Pociągnął aresztanta za rękę i pchnął go do przodu. Posłał mu więzankę, co najwyraźniej wystarczyło, żeby tamten się uspokoił, i po chwili obaj mężczyźni ruszyli spokojnie do drzwi.

Thomas złożył legitymację i schował ją do kieszeni. Ruszył korytarzem prowadzącym do działu śledczego. Przed wyjściem umył się w zlewie kuchennym na łodzi i włożył najczystszą bluzę, jaką zdołał znaleźć, oraz parę granatowych spodni. Zamierzał się też ogolić, ale nie znalazł żadnej jednorazowej golarki, a ponieważ nadal nie miał prądu, nie mógł użyć maszynki elektrycznej. Ze spojrzenia, jakie posłał mu dyżurny w recepcji, wywnioskował, że nie w pełni udało mu się odzyskać przyzwoity wygląd. Niemniej został wpuszczony do środka.

— Ravnsholdt? — usłyszał za sobą.

Odwrócił się.

Podszedł do niego inspektor policji, Klaus Brask. Był to mężczyzna dobrze po czterdziestce, nieco otyły, miał wąsy i zaczesane do tyłu rzadkie włosy. Był spocony, podwinął rękawy koszuli. Pod pachą trzymał kilka teczek z dokumentami.

— Myślałem, że nadal jesteś na urlopie.

— Bo jestem.

Brask przyglądał mu się uważnie.

— Jak się czujesz? — spytał.

— Jakoś.

— To świetnie — odpowiedział Brask bez przekonania. — Nadal bywasz w Bispebjerg?

Thomas uśmiechnął się, słysząc tę uwagę, rzuconą niby od niechcenia. Mówiąc „Bispebjerg”, inspektor miał na myśli oddział psychiatryczny szpitala Bispebjerg, dokąd Thomas został skierowany na początku zwolnienia, ale nigdy się tam nie pojawił.

— Tak, bywam, w każdy wtorek. Bardzo mi to pomaga — skłamał.

— Świetnie. To oni podejmą ostateczną decyzję o twoim powrocie, o ile... — przerwał, spuścił wzrok i zaczął się przyglądać czubkom swoich butów. — To znaczy, jeśli w ogóle będziesz mógł wrócić. A tak przy okazji, oddałeś odznakę policyjną?

— Oczywiście — skłamał Thomas. Uśmiechnął się, ale Brask nie odwzajemnił uśmiechu.

— Prokurator postanowił nie wnosić przeciwko tobie oskarżenia.

— Nie wiedziałem, że byłem o coś oskarżony.

— Właśnie mówię, że oskarżenie nie zostanie wniesione — powiedział Brask, patrząc na niego, jakby był niespełna rozumu.

Thomas wzruszył ramionami przeprasząco.

— Chyba nie do końca rozumiem. O co miałbym być oskarżony?

— Naprawdę nic nie pamiętasz?

— Naprawdę.

Brask przełożył teczki z dokumentami do drugiej ręki i ciężko westchnął.

— Przesłuchiwanie podejrzanego z lufą pistoletu wetkniętą w jego usta nie jest w policji powszechnie praktykowaną metodą.

Thomas patrzył na niego ze zdziwieniem.

— Tego... incydentu nie pamiętam.

— Wygląda na to, że fachowcy z Bispebjerg mają jeszcze sporo do zrobienia.

Thomas pokiwał głową.

— A co ze sprawą Evy? Jest coś nowego?

Brask odwrócił głowę.

— Wiesz, jak to jest.

— Żadnych postępów?

— Nie będę cię okłamywał — zaczął inspektor z pewnym wahaniem. — Ale jeśli nie pojawi się nowy świadek albo nie znajdziemy żadnej skradzionej rzeczy, to niewiele będziemy mogli zrobić. Wracaj do zdrowia, Ravnsholdt — dodał, klepiąc Thomasa po ramieniu.

— Dziękuję... — powiedział Thomas i już miał dodać: „nawzajem”, jednak w porę się powstrzymał.

Ruszył dalej w stronę wydziału śledczego. Powoli zaczął sobie przypominać przesłuchanie, podczas którego doszło do wspomnianego przez Braska incydentu. To było tuż przed tym, jak wysłali go na przymusowy urlop. Mikkel i on zatrzymali furgonetkę z dwoma Polakami, jadącą autostradą w stronę Køge. Furgonetka była wyładowana kradzionym towarem. Było tam wszystko: kosiarki do trawy, dziecięce rowerki, ubrania, komputery, biżuteria. Przetrzęsli cały towar. Teraz to sobie przypominał. Wyrzucił wszystko na pobocze autostrady. Był zdesperowany. Tego dnia dowiedział się, że dochodzenie w sprawie zabójstwa Evy utknęło w martwym punkcie. Miał nadzieję, że może wśród rzeczy w furgonetce znajdzie przedmioty skradzione z jego domu, ale oczywiście nie było ich tam. Pamiętał, jak rzucił się na jednego z Polaków, ale incydentu z pistoletem nie pamiętał. Próbował wymóc na nim, żeby przyznał się do włamania do jego mieszkania, a w konsekwencji do zabicia Evy. To było istne szaleństwo. Już wtedy był tego świadomy. Polacy nie byli nawet w pobliżu Christianshavn.

Ale ktoś był, ktoś, komu uszło to na sucho. Myśl o tym nadal sprawiała mu ból.

Wszedł do swojego dawnego pokoju. Pomieszczenie wyglądało tak jak kiedyś. Tak samo zniszczone, jak wtedy gdy wychodził stąd kilka miesięcy temu. Te same ściany z odchodzącą farbą, wysłużone meble biurowe i komputery z poprzedniego stulecia. To zadziwiające, że działając w takich warunkach, rozwiązywali tyle spraw. W drugim końcu pokoju przy białej tablicy stała grupa funkcjonariuszy w cywilnych ubraniach. Najwyraźniej byli w trakcie briefingu. Zauważył kilka nowych twarzy, młodych, zadbanych. Właściwie nie miał ochoty tu wracać. Natychmiast przypomniały mu się wszystkie dyżury, raporty. I Eva. Dostrzegł Mikkelą, który stał, gryząc — jak zwykle — rąbek plastikowego kubka. Robił to skrupulatnie, milimetr po milimetrze. Cholerny gryzoń.

Po kilku minutach briefing się zakończył, funkcjonariusze wrócili na swoje miejsca. Mikkel wyrzucił kubek do najbliższego kosza na śmieci i nagle spostrzegł Thomasa. Rozłożył ręce i uśmiechnął się szeroko, pokazując szparę między przednimi zębami.

— Witaj, Serpico. Działasz pod przykryciem czy jak? — odezwał się z wyraźnym jutlandzkim akcentem, typowym dla mieszkańców Ålborga.

— O co ci chodzi? — uśmiechnął się Thomas.

— Wyglądasz na faceta prowadzącego sklepik z haszyszem w Christianii. Fajnie cię znów widzieć.

Mikkel uściskał go i podszedł do komputera na swoim biurku. Wstukał hasło.

— To niezbyt dobry moment na wizytę. Tkwiję po uszy w robocie.

— Co się dzieje?

— Planujemy nalot na chłopców z Blågård. Dostaliśmy cynk, że mają dzisiaj zgarniać śnieg. Co najmniej dwa kilogramy. Mamy nadzieję to przejąć.

Mikkel ponownie się uśmiechnął, Thomas wyczuwał bużującą w nim adrenalinę. Pamiętał to uczucie. Łatwo było się uzależnić.

— Powodzenia.

— Kiedy do nas wrócisz? — spytał kolega, przewracając papiery na biurku. — Brakuje mi ciebie, *buddy*.

— Pewnie jeszcze trochę mi zejdzie.

— Jasne — wymamrotał Mikkel, skupiając się na monitorze. — Któregoś dnia umówimy się na kawę.

— Na pewno. Posłuchaj, wyświadczyłbyś mi przysługę?

— Tak? — spytał Mikkel, jakby nieobecny.

— Chodzi o osobę zaginioną. Ponieważ jestem na urlopie, nie mam dostępu do systemu.

Mikkel przestał stukać w klawiaturę, uniósł głowę i spojrzał na niego z zakłopotaniem.

— Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego ze sprawą Evy? Bo jeśli tak, to nic z tego.

Szczególnie po tym numerze, który wyciąłeś wtedy na autostradzie. Brask natychmiast by się dowiedział.

— Nie, nie, to coś zupełnie innego.

— W porządku, mów.

Thomas opowiedział mu pokrótce o zniknięciu Maszy i o tym, że obiecał pomóc jej matce. Podał Mikkelowi kartkę z informacjami o dziewczynie.

— Sprawa pozostanie między nami — zastrzegł Mikkel, logując się do centralnego rejestru policji.

Wpisał dane i po chwili, która Thomasowi wydała się wiecznością, na ekranie pojawiło się zdjęcie Maszy. Zostało zrobione w związku z jej zatrzymaniem.

— Coś jednak wiemy o panience — powiedział Mikkel, odwracając ekran tak, żeby Thomas też mógł go widzieć. — Została zatrzymana w 2009 roku — dodał, zerkając na raport, do którego dołączone były zdjęcia. — Kradzież mienia i zakłócanie spokoju przy hotelu Sankt Petri. Incydent z udziałem starszego mężczyzny, Niemca. Fritz w końcu zdecydował się wycofać oskarżenie — dodał po chwili.

— Jest tam może napisane, co robiła w tym hotelu?

— A jak myślisz? — uśmiechnął się Mikkel.

— Masz coś jeszcze?

Mikkel pokręcił głową.

— Mogła zostać wydalona z Danii?

— Wtedy byłaby adnotacja. Poza tym dzisiaj to już nie jest takie proste. Więc pewnie gdzieś tam jest — powiedział Mikkel, wskazując przez okno w stronę Skelbækgade. — Chociaż teraz na ulicy urzędują głównie dziewczyny z Afryki. Ale mogła się przenieść, wyjechać do innego kraju. Oni często to robią.

— Oni?

— Faceci, którzy tym wszystkim zawiadują. Mafia z Europy Wschodniej. Miała alfonsa?

— Nie mam pojęcia. Podobno miała chłopaka. Młodego Rosjanina.
Mikkel wzruszył ramionami.

— Nie spodziewałbym się happy endu.

W tym momencie do pokoju wszedł Dennis Melby. Poklepał Thomasa po ramieniu i zwrócił się do Mikkela: — Idziemy?

Thomas zerknął na niego. Nigdy nie lubił faceta. Był za gładki, za układny.

— Dwie sekundy — rzucił.

— Oglądacie sobie porno — roześmiał się Melby. — Niezła laska, niezłe wyposażona — rzucił, wskazując głową na Maszę. — Twoja nowa panienska, Ravn? — roześmiał się i umilkł, kiedy dotarło do niego, że chyba posunął się za daleko.

— Niezbyt udany dowcip, Dennis — powiedział Mikkel i się wylogował.
Melby rozłożył ręce.

— To był żart. Nie miałem nic złego na myśli. Przepraszam, Ravn.

Thomas przyglądał mu się w milczeniu. Z tym facetem zawsze były jakieś problemy. Kiedy w komendzie znaleziono anaboliki, nikt nie miał wątpliwości, do kogo należą, ale uszło mu to płazem. Podlizywał się Braskowi. Teraz najwyraźniej znów awansował i został partnerem Mikkela. Jeszcze jedno słowo, pomyślał Thomas, powiedz jeszcze jedno słowo.

— Nie miał nic złego na myśli, Thomas — powiedział Mikkel, ciągnąc Thomasa w stronę drzwi. — Umówimy się na tę kawę, dobrze? Przykro mi, że nie mogłem ci pomóc.

Mikkel podał mu rękę, a po chwili wrócił do Dennisa.

Thomas stał i przyglądał się działowi. Nagle wszystko wydało mu się obce. Nie potrafił zrozumieć, jak przez sześć lat mógł bywać tu codziennie. Nie sądził, że kiedykolwiek będzie chciał tu wrócić.

23.

„Boże Narodzenie 2010. Mamo, pamiętam, że zawsze wysyłałaś wszystkim kartki z życzeniami. Rodzinie, sąsiadom, twoim przyjaciółkom, dawnym znajomym. Poczta sporo na tobie zarobiła. Uwielbiałaś wysyłać te swoje kartki, a teraz ja wysyłam ci kartkę. W myślach. Piszę w niej, że wszystko jest dobrze. Że jesteśmy szczęśliwi. Ja, mój mąż i nasza dwójka dzieci. Mamy dom. Zarabiamy miliony. I jesteśmy szczęśliwi. Mówiłam ci już o tym? I tęsknimy za tobą. Ślę ci tysiąc buziaków. Nie, nie tysiąc, milion. Nie piszę natomiast, że tak naprawdę to tęsknię za Key Clubem. Wiem, że to brzmi jak szaleństwo. Ale pokazuje, w jak okropnej sytuacji się znalazłam. Najbardziej brakuje mi ciepła. Brakuje mi muzyki i stanu oszołomienia, który pozwalał mi choć na chwilę uciec od rzeczywistości. Brakuje mi poczucia bezpieczeństwa, które tamto miejsce jednak mi dawało. Po tym, jak wszystkie zostałyśmy wyrzucone na ulicę, wszystkie dziewczyny z Key Clubu, znalazłyśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie przez dwadzieścia cztery godziny siedem dni w tygodniu! Mamy najmroźniejszą zimę od lat. Jest minus dwadzieścia stopni, a my stoimy w mini i bez majtek. Jeśli nie zabije mnie któryś z byków, to zabije mnie mróz. Tylko w samochodach jest ciepło. Dlatego staram się działać powoli, żeby choć trochę się ogrzać. Wszystko to pomysł Slavrosa. Skoro byki nie przychodzą do nas, to my mamy iść do nich. Desperacki krok. Świadczący o tym, w jak kiepskiej znalazł się sytuacji. Miałam średnio jednego byka co wieczór. Byłam lepsza niż inne. Dokładnie wszystko obliczyłam i wyszło mi, że na spłacenie długu potrzebuję pięciu lat. Bo cały czas dochodziły nowe wydatki. Ale zgodziłabym się na wszystko, byle nie musieć tu stać. Byki są obrzydliwe, gorsze od tych, które przychodziły do klubu. I targują się o każdą koronę. Próbuje nas oszukać. Chcą, żebyśmy robiły to bez gumki. Lulu uciekła już trzeciej nocy. Chciała wrócić do domu, do Łodzi. Olała swój dług. Ale Slavrosa niełatwo oszukać. Na lotnisku w Warszawie czekali na nią jego ludzie. Wsadzili ją w pierwszy samolot lecący do Kopenhagi. Teraz jej dług wzrósł dwukrotnie. No i ledwie chodzi po tym, jak Slavros ją potraktował. A zrobił to tak umiejętnie, że nie zostawił nawet najmniejszego śladu na jej ciele. Lulu nie powiedziała mi, co dokładnie jej zrobił, ale nadal sika krwią. Nikt już nie myśli o ucieczce. Równie dobrze mogliby nas przykuć łańcuchami do tych latarni. Jesteśmy więźniarkami ulicy”.

Masza rozglądała się po zaśnieżonej ulicy. Śnieg odbijał światła reflektorów i sprawiał, że jezdni momentami przypominała parkiet. Kiedy szła, słyszała, jak śnieg trzeszczy pod butami. Nogi miała niebieskie z zimna, niemal bez czucia. Bezskutecznie próbowała utrzymać ciepło w cienkiej satynowej kurtce. Na końcu ulicy ciągnęły się tereny należące do kolei. Tam zabierały ze sobą byków. Pieprzyły się z nimi w samochodach albo oparte o szopy kolejowych warsztatów. Obok przejeżdżały pociągi, sypiące się spod kół iskry wyglądały jak zimne ognie. Ostatniego byka miała ponad godzinę temu. Mróz sprawiał, że ludzie siedzieli w domach. Tylko radiowozy mijaly ją od czasu do czasu, ale gliny były zbyt leniwe, żeby wychodzić na mróz. Miała przy sobie dwa gramy gównianej koki, tak rozcieńczonej, że ogarniała ją złość. Nie dość na całą noc, ale wystarczająco dużo, żeby gliniarze ją zatrzymali. Nawet nie chciała myśleć o konsekwencjach. Wiedziała, że Slavros czekałby na nią, aż wyjdzie z więzienia. Odszukałby ją nawet na końcu świata. Brakowało jej jeszcze dwa i pół tysiąca do wyrobienia dziennej stawki. Dotarła do znaku zakazu parkowania i zawróciła. Znak był granicą między jej rewirem a rewirem

Izy. Co prawda, Iza pojechała przed chwilą z jakimś bykiem, ale Masza wiedziała, że i tak nie powinna przekraczać niewidzialnej granicy. Szła powoli w stronę ciemnych budynków biurowych na drugim końcu ulicy. Musi kogoś znaleźć, inaczej umrze z zimna. Zobaczyła auto przejeżdżające ulicą. Uśmiechnęła się w stronę ciemnych szyb, ale samochód się nie zatrzymał. Przeszła kawałek i zapaliła papierosa, zerkając na czarnego mercedesa po drugiej stronie ulicy. Stał tu już od jakiegoś czasu, właściwie przez większość wieczora. Za kierownicą w ciemnej kabinie widać było sylwetkę mężczyzny. Obserwował ją i inne dziewczyny. Właściwie nie było w tym nic nadzwyczajnego. Zdarzało się, że facetowi wystarczyło popatrzeć. Potem spokojnie odjeżdżał. W tym przypadku jednak dziwne było to, że facet stał tu już kilka godzin. Albo psychol, albo to jego pierwszy raz, pomyślała Masza. Jeśli w grę wchodziło to drugie, zapewne potrzebował zachęty, a ona potrzebowała byka. Rzuciła papierosa i ruszyła powoli w stronę samochodu. Zauważyła, że mężczyzna za kierownicą lekko się poruszył. Przemknęło jej przez głowę, że może go przestraszyła, że zaraz odjedzie, ale nie. Zobaczyła, że szyba od strony pasażera się opuszcza. Schyliła się i zajrzała w ciemność. Nie widziała mężczyzny wyraźnie, chował się za ciemnymi okularami, czapkę z daszkiem ściągnął głęboko na czoło.

— Witaj, skarbie. Co mogę dla ciebie zrobić? — zagaіła jak zwykle.

— Jak masz na imię? — spytał mężczyzna łagodnym głosem.

— Możesz do mnie mówić, jak chcesz.

— Chciałbym poznać twoje prawdziwe imię.

— Karina. Podoba ci się?

Mężczyzna nie odpowiedział, ale potarł brodę, jakby się zastanawiał.

— Karina. Ile masz lat?

— Osiemnaście — skłamała. — Dobry wiek, nie uważasz?

— Ćpasz? Dajesz w żyłę?

— To nie twój interes, ale nie. Jestem czysta. Więc co mogę dla ciebie zrobić? Chciałbyś się zabawić? — spytała, nieco zniecierpliwiona.

— Widziałaś, jak słońce tańczy?

— Co masz na myśli, skarbie? — Masza zmarszczyła mocno podkreślone brwi.

— Widziałaś, jak słońce i gwiazdy tańczą ci przed oczami? To mam na myśli.

— Kręcisz mnie, skarbie. Może nam być dobrze razem — powiedziała bezbarwnym głosem. — Załatwmy te nudne sprawy finansowe i zabawmy się trochę.

Mężczyzna odjął rękę od twarzy i położył na desce rozdzielczej.

— Nie sądzę, żebyś była gotowa.

— Urodziłam się gotowa. Dam ci dobrą cenę.

— Nie, jeszcze nie jesteś gotowa. Przyjadę tu innego dnia, zabiorę cię do siebie i pokażę ci moją piwnicę.

— O czym tym mówisz, do cholery?

Masza szybko odsunęła się od okna.

— Pewnego dnia okaże się, czy masz potencjał. Czy może jesteś tylko upadłym aniołem. Sądzę jednak, że jesteś odpowiednią osobą. Dlatego wciągnąłem cię na listę ewentualnych kandydatek.

Mężczyzna wcisnął guzik, szyba zaczęła się zamykać.

— Cholerny psychol! — zawołała za nim.

Mężczyzna pomachał jej dłonią. Czarny mercedes ruszył. Masza zamachnęła się torebką, trafiła w dach.

— Ty bydlaku! — krzyknęła za samochodem, który już po chwili zniknął w mroku.

Masza przeszła przez ulicę; cała się trzęsła. Głos mężczyzny i sposób, w jaki napawał się

własnymi słowami, wyraźnie świadczyły o tym, że jest niebezpieczny. Należał do tych byków, którzy pragnęli realizować swoje najdziksze fantazje, pełne przemocy i gwałtu. A ona obiecała sobie, że będzie się pilnować. Słyszała wiele historii o dziewczynach, które nagle zniknęły i słuch o nich zaginął. Słyszała nawet plotki o dziewczynach ze wschodniej Europy, których zmasakrowane ciała odnajdywano na miejskich wysypiskach.

Potrzebowała działki, i to natychmiast.

Masza stała w bramie i rozglądała się po opustoszałej ulicy. Wyłowiła z kieszeni małe opakowanie koki i zaczęła wciągać prosto z torebki. Poczowała przyjemne oszołomienie. Wiedziała, że nie potrwa ono długo, ale postanowiła cieszyć się każdą sekundą.

— Masza? — usłyszała za sobą cienki głos. Wtarła szybko resztki proszku w napuchnięte dziąsła.

— Masza?

— O co chodzi? — spytała. Wyrzuciła pustą torebkę i odwróciła się. — Co znowu, Tabitha?

Tabitha drżała z zimna w krótkiej, różowej, lateksowej spódniczce, na którą zresztą Masza pożyczyła jej pieniądze. Nigeryjka nigdy ich nie oddała.

— Czego chcesz?

— Masz więcej? — spytała dziewczyna, pokazując leżącą na chodniku torebkę.

— Więcej? O czym ty mówisz? Nie mam. Sama sobie załatw.

Zawróciła i zaczęła iść w drugą stronę. Tabitha podążyła za nią. Masza zauważyła ją dopiero po chwili, kiedy się zatrzymała i sięgnęła po papierosa.

— Czemu za mną idziesz? Twoje miejsce jest tam — skinęła głową w stronę ciemnych budynków biurowych.

— Skoro i tak nie ma klientów, możemy chyba porozmawiać.

— Nie jestem tu po to, żeby rozmawiać. Znikaj stąd. A może chcesz fajkę?

— Okej.

Masza dała dziewczynie swojego papierosa, sama zapaliła nowego.

Tabitha paliła, nie zaciągając się. Ale nadal nie wykazywała ochoty, żeby odejść.

— Na razie, Tabitha.

— Masza?

— Co?

Tabitha spuściła wzrok.

— Mam pewien problem.

— Wszyscy mamy problemy. Takie życie.

— Nie wiem, co mam zrobić.

Masza patrzyła za czerwonym samochodem, który właśnie je mijał. Ze środka dochodziły głośne basy. Dwóch młodych mężczyzn, imigrantów, wykonywało wulgarnie gesty. Masza pokazała im środkowy palec.

— Co mnie obchodzą twoje problemy.

— Nie wiem, z kim mogłabym o tym porozmawiać.

Masza spojrzała na dziewczynę.

— No dobrze, mów, jaki masz problem, małpisonie.

Tabitha rzuciła papierosa i skrzyżowała ręce na piersiach.

— Jestem... w ciąży.
Masza pokręciła głową.
— Nie. Nie jesteś.
— Owszem.
— Który to miesiąc?
Chwyliła ręce Tabithy i zaczęła jej się przyglądać. Jakby chciała sprawdzić, czy już coś widać. Tabitha zawsze była gruba, ale brzuch miała chyba taki jak zwykle.
— Czwartą — powiedziała. — Tak mi się wydaje. Nie wiem, co robić.
— Slavros się wścieknie.
Dziewczyna zaczęła płakać.
Masza zmarszczyła nos.
— Przestań. Przestać ryczeć. Jeśli nie przestaniesz się mazać, nie pomogę ci.
— Okej — powiedziała Tabitha, ale dalej płakała. — Nie wiem, co mam robić.
— Musisz porozmawiać ze Slavrosem.
— Boję się.
— Nie bardzo masz wybór.
Dziewczyna otarła oczy i spojrzała na Maszę.
— Możesz mu to powiedzieć? Poprosić, żeby mi pomógł?
— Ani mi się śni. Pomyśli, że od początku o wszystkim wiedziałam. Nie wciągaj mnie w to.
— Ale on cię lubi. Wysłucha cię. A mnie nienawidzi. Poprosisz, żeby mi pomógł?
Tabitha wyjęła ze stanika kilka pogniecionych banknotów i podała je Maszy.
— Mam trzysta pięćdziesiąt koron. Są twoje, jeśli mi pomożesz.
— Daj spokój — powiedziała Masza, odpychając jej rękę. — Wyglądasz jak mokry szympan, kiedy tak stoisz i ryczysz.
— Okej.
— Czwartą miesiąc — wymamrotała Masza i pokręciła głową.
— Może nawet więcej.
— Slavros się wścieknie. Dostanie białej gorączki.

24.

Erik przyglądał się trzem walizkom stojącym w holu obok drzwi wejściowych. Były w nich ubrania matki. To znaczy tylko najważniejsze rzeczy, po resztę w najbliższych dniach miał przyjechać samochód. Po incydencie w sypialni rodzice przekazali mu, każde z osobna, wiadomość o rozwodzie. Ojcu zabrało to wyjątkowo dużo czasu, bo jękał się i płakał. W końcu to Erik zaczął go zapewniać, że wszystko jakoś się ułoży. Matka rozmawiała z nim w kuchni. Podała mu lody, co było dość niezwykle. Przetykał je z trudem, ale w końcu jakoś sobie poradził. W przeciwieństwie do ojca, matka nie miała problemu z tym, jak wytłumaczyć synowi zaistniałą sytuację. Poinformowała go po prostu, że przeprowadza się do wujka Johana, który mieszka na Starym Mieście w Sztokholmie. Erik nie był zachwycony bliskimi relacjami z Johanem. Jakoś dziwnie to brzmiało, kiedy matka mówiła: wujek Johan.

Erik otworzył drzwi do piwnicy i szedł na dół. Poczł silny zapach rozpuszczalników, których używali do usuwania tłuszczu ze skór przed garbowaniem. Ojciec właśnie pracował nad skórami kilku kun, które trochę za długo przeleżały w zamrażarce. Erik podciągnął golf, żeby zakryć usta i nos, i podszedł do ojca klęczącego obok wielkiej cynowej balii, w której moczyły się skóry. Obok, na podłodze, leżały ciała zwierząt obdartych ze skóry; przypominały niemowlęta. Ojciec zawzięcie szorował szczotką jedną ze skór. Na dłoniach miał grube gumowe rękawiczki, usta i nos zasłonił czarną maseczką. Umieszczony w niej filtr sprawiał, że jego oddech zamieniał się w metaliczny dźwięk.

— Za mocno trzesz — zwrócił mu uwagę Erik.

— Nie wtrącaj się — odpowiedział ojciec, nie przerywając pracy.

— Mama się szykuje.

— I co z tego?

Erik zsunął golf z twarzy.

— Nie mógłbyś z nią porozmawiać? Może zmieni zdanie?

Ojciec przerwał szorowanie, spojrział na Erika. Miał mokre oczy.

— Rozmawiałem z nią. Prosiłem, błagałem, ale nie jestem w stanie nic zrobić. My już jej nie wystarczamy.

Erik odwrócił głowę.

— Jest zakochana. Zakochała się w Johanie — powiedział ojciec, przedrzeźniając żonę.

— Nie mógłbyś mimo wszystko spróbować?

— Nie, to już koniec — stwierdził ojciec. — Zdajesz sobie sprawę, jak ze mnie zadrwiła? Wiesz, że ludzie się ze mnie śmieją?

— Myślałem, że to nie ma dla ciebie znaczenia?

— Honor jest dla człowieka wszystkim, nie rozumiesz tego?

Ojciec wrzucił szczotkę do wody, która rozprysnęła się na wszystkie strony.

Erik spojrział na niego przestraszony, odwrócił się i pobiegł na górę.

— Erik! — usłyszał za sobą wołanie ojca. — Erik, przepraszam.

Kiedy Erik pchnął drzwi do łazienki, z kabiny prysznicowej dobiegł go dźwięk lecącej wody. Za zaparowaną szklaną ścianą, oddzielającą kabinę od reszty pomieszczenia, zobaczył

zarys nagiego ciała matki. Wszedł do łazienki i zrobił kilka kroków w stronę kabiny. Matka stała i splukiwała szampon z włosów, miała zamknięte oczy. Erik zauważył bliznę po cesarskim cięciu, nierówną, pofałdowaną linię ciągnącą się przez cały brzuch. Brzydkie szycie, niechlujnie wykonane. Przyglądał się zafascynowany jej włosom łonowym, zebranych w niewielki kosmyk, z którego kapąła woda. Na wewnętrznej stronie uda zauważył niewielką niebieską plamkę wielkości opuszka kciuka. Zaczął się zastanawiać, o co mogła się uderzyć.

— Erik! — zawołała matka przestraszona. Otworzyła oczy i szybko odwróciła się do niego bokiem. — Co ty tu robisz?

Erik zamrugął, ale nie odpowiedział.

— Dobrze wiesz, że nie chcę, żebyś tu wchodził, kiedy biorę prysznic.

— Przepraszam — odparł chłopiec, schylając głowę. — Chodzi o to, że zaraz wyjeżdżasz.

Matka wyszła z kabiny i mokrą ręką pogładziła go po włosach. Nie było to szczególnie przyjemne, lecz nie protestował.

— Wszystko będzie dobrze. Obiecuję — powiedziała. — Nie smuć się.

— Jak może być dobrze, skoro nas opuszczasz?

— Przestań, proszę.

Chwyliła go delikatnie za brodę, uniosła mu lekko głowę i spojrzała głęboko w oczy.

— Nie opuszczam cię. Jak tylko wujek Johan i ja się urządzimy, będziesz mógł do nas przyjechać.

— Więc jednak nas opuszczasz.

— Teraz musisz być dużym chłopcem... — zaczęła matka i urwała, bo głos jej się załamał. — To dla nas wszystkich jest bardzo trudne, rozumiesz?

W tym momencie na dole rozległ się dzwonek.

— Już? — zdziwiła się matka i szybko wróciła pod prysznic. — Zejdz na dół i otwórz. Powiedz wujkowi Johanowi, żeby wziął z holu te trzy walizki.

Erik czuł, że bołą go oczy, walczył ze łzami.

— Nie wyjeżdżaj, mamó.

— Nie teraz — przerwała mu matka. — Pozwól mi się umyć.

Widział, że matka tłumi płacz.

— Nie możesz zostać z nami?

— Porozmawiamy o tym innym razem — powiedziała i odwróciła się do niego plecami.

Erik nie ruszał się z miejsca.

Za moment będzie po wszystkim, matka sięgnie do kranu, zakręci wodę. Potem zdejmie z wieszaka ręcznik i zacznie się wycierać. Pójdzie do sypialni, włoży majtki, rajstopy, stanik i tę krótką niebieską sukienkę, która leżała przygotowana na łóżku. Każda czynność będzie ją coraz bardziej od niego oddalała, aż w końcu wyjdzie przez drzwi, żeby już nigdy nie wrócić. Nigdy, po prostu... nigdy. Odwiedziny, o których wspomniała, to kłamstwo. Powiedziała to na odczepnego, żeby dał jej spokój. Wyprowadzi się do miasta i zapomni o nim. Było tak, jak mówił ojciec. Nie wystarczali jej już. To koniec. To nie fair.

Erik włożył rękę do kieszeni spodni i wyjął schowaną w niej strzykawkę. Zdjął z igły ochronny kapturek i podszedł do matki. Zobaczył, jak wyciąga rękę, żeby zakręcić kran, wbił w jej udo strzykawkę, opróżnił ją. Matka wydała okrzyk bólu, odwróciła się i spojrzała na niego. Patrzył na nią z przerażeniem. Strzykawka nadal tkwiła w jej udzie, kołysała się przy każdym ruchu.

— Coś ty zrobił?

Odwróciła się i zauważyła strzykawkę. Próbowwała ją wyjąć, ale nie mogła jej dosięgnąć.

— Co ty...? Co ty zrobiłeś, Eriku?

Erik podszedł do ściany, oparł się o nią.

— Przepraszam, mamó — wydobył z siebie.

Przez ciało Leny przeszły pierwsze drgawki. Oparła się o szklaną ściankę, żeby się nie przewrócić. Wolną ręką udało jej się w końcu chwycić strzykawkę i wyjąć z uda. Jej ciało zaczęło drżeć, upuściła strzykawkę na podłogę. Nogi ugięły się pod nią i upadła z hałasem. Próbowała wstać, ale ręce ślizgały się na mokrych kafelkach. Nogi wykonywały niekontrolowane ruchy, uderzyła nimi w ściankę kabiny, szklana tafla pękła. W kącikach ust pokazała się piana wymieszana z krwią, zaczęła kasłać, kaszel zamienił się w bełkot.

Erik obserwował tę śmiertelną walkę. Miał wrażenie, że minęła wieczność, zanim w końcu matka zastygła nieruchomo. Z ust wystawał jej język, oczy patrzyły pusto w ścianę.

Erik zszedł ze schodów i jak lunatyk przeszedł przez hol. Minął trzy walizki, podszedł do drzwi, otworzył je. Na zewnątrz stał Johan.

— Cześć, Eriku, fajnie cię widzieć — powiedział pogodnie.

— Wujek Johan...

Johan wyciągnął rękę. Jednak Erik nie wziął jej, tylko nadal stał z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Johan cofnął dłoń.

— Możesz mówić mi Johan. Mama wymyśliła tego wujka, ale chyba ani tobie, ani mnie to nie odpowiada, prawda? — Uśmiechnął się niepewnie.

— Tak.

Johan zerknął w głąb holu.

— To Leny? To znaczy, to walizki twojej mamy?

Erik nie odpowiedział.

— Tak?

— Nie wiem...

— Nie? — Johan spojrzał na niego zaniepokojony. — Wszystko okej?

Chłopiec skinął głową.

— Jest już gotowa?

— Tak — powiedział Erik głucho.

— Mógłbyś ją zawołać? — poprosił Johan, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

— Jest na górze — powiedział Erik.

Zostawił otwarte drzwi, odwrócił się i ruszył przez hol. Przeszedł przez kuchnię i skierował się w stronę schodów prowadzących do piwnicy. Z dołu dochodziły odgłosy szorowania, zapach skóry i terpentyny. Kiedy zszedł na dół, zobaczył ojca szorującego drewniane rusztowanie, na którym zwykle rozpinał skóry, żeby wyschły. Na stole leżała maseczka na usta i nos. Erik wziął ją i zawiązał na twarzy. Pociągnął za rzemyki, żeby maska dokładnie przylegała. Przez chwilę stał, wsłuchując się we własny oddech, który, zniekształcony przez filtr maski, brzmiał niemal tak, jak wcześniej oddech ojca. Znajomy dźwięk, bezpieczny, tak jak wypełniające piwnicę zapachy. Erik pochylił się i wszedł pod stół. Siedział w ciemności, oparty plecami o ścianę. Wsłuchiwał się we własny oddech i w odgłosy dobiegające od stołu, przy którym pracował ojciec, aż nagle wszystko zagłuszył dochodzący z piętra krzyk Johana.

25.

Był wczesny wieczór, więc Wydra była tylko w połowie wypełniona gośćmi. Z szafy grającej dochodził głos Patsy Cline, śpiewającej *Crazy*. Thomas usiadł przy barze i zamówił zestaw. Johnson zerknął na niego, po czym zaczął otwierać piwo.

— Dowiedziałeś się czegoś?

Thomas skinął głową, czekając, aż Johnson napełni mu szklankę czymś mocniejszym. Kiedy to się stało, wychylił ją jednym haustem i popił piwem.

— Mówię ci to oczywiście w zaufaniu — zaczął.

Rozpiął suwak kurtki i wyjął z kieszeni kopię policyjnego raportu dotyczącego zatrzymania Maszy. Położył na blacie dwie kartki, przesunął je w stronę Johnsona. Ten wziął je i sięgnął po okulary do kieszeni na piersi. Kiedy je znalazł, zaczął powoli czytać, poruszając przy tym ustami. W końcu spojrział na Thomasa.

— Ale tu nic nie ma.

— Wszystko wskazuje na to, że gdzieś tu się szwenda.

— Tak, tylko gdzie? Nie mogę pokazać tego Nadii — powiedział, wymachując kartkami raportu.

— Możesz spróbować jej to przekazać w jakiś delikatny sposób.

— Delikatny?

— Nie sądzisz, że zdążyła się domyślić, czym zajmuje się jej córka?

— Nie wiem — westchnął Johnson, odkładając na bok papiery. — Nie mógłbyś spróbować wyciągnąć czegoś jeszcze?

— Wyciągnąć? Nie rozumiem.

— Popytać tu i tam.

Thomas odchylił się od baru.

— Nie, zapewniam cię, że nie.

— Ravn, do licha, znasz to środowisko!

— Właśnie dlatego. Nie sądzisz chyba, że spacer na Skelbækgade załatwi sprawę?

— Od tego mógłbyś zacząć.

— Nie, obiecałem, że się czegoś dowiem, i się dowiedziałem. Koniec, kropka. Sprawa jest zakończona — stwierdził Thomas, rozkładając ręce.

Johnson nalał mu kolejną szklaneczkę szkockiej.

— W ten sposób Nadia nie odzyska córki.

— Sam popytaj, jeśli sądzisz, że to coś da.

— Ty znasz środowisko.

— Jeśli jeszcze raz użyjesz słowa „środowisko”, to wyjdę.

Johnson starł ścierką blat.

— Ale ty wiesz, jak gadać z ludźmi. Jesteś gliną, do cholery.

— Jestem urlopowanym gliną.

— Masz doświadczenie, Ravn.

Johnson przypominał Thomasowi Møffego. Ten sam smutek w oczach, to samo błagalne spojrzenie, któremu człowiek w końcu ulegał.

— Teraz może być już wszędzie — stwierdził Thomas. Wziął papiery i włożył je

z powrotem do kieszeni. — Nie ma pewności, czy w ogóle jest w kraju.

Sięgnął po szklanekę whisky, wypił łyk i zamyślony spojrzął na Johnsona.

— Jedyne miejsce, w którym mogą coś o niej wiedzieć, to Gniazdo.

— Gniazdo. Brzmi nieźle — powiedział Johnson. — A co to jest?

Thomas podrapał się po czole.

— To organizacja, która pomaga dziewczynom z ulicy. Mają świetlicę na Gasværksvej. Znam kobietę, która prowadzi to miejsce. Z dawnych czasów.

— Pogadaj z nią.

— Nie wiem, czy mnie jeszcze pamięta.

— Zapewniam cię, że nie należysz do tych, których się zapomina.

Johnson chciał odstawić butelkę na półkę, ale Thomas przytrzymał mu rękę.

— Myślę, że zasłużyłem na jeszcze jednego.

— Jasne — skinął głową Johnson. — Tylko nie byłem pewien, czy pijesz w pracy.

Na Gasværksvej lało jak z cebra. Nagle na niebie pojawiła się jedna z takich chmur, jakie w kilka sekund potrafią sprawić, że całe ulice pustoszeją. Thomas przeszedł przez mokrą drogę; nagle usłyszał pisk hamulców i zaraz potem głośnie trąbienie. Kierowca wyraźnie sygnalizował mu swoje niezadowolenie. Thomas spojrzął na niego obojętnie i ruszył w stronę jaskrawego szyldu zawieszzonego nad drzwiami Gniazda.

Wszedł do niewielkiej recepcji, gdzie natychmiast wyszła mu na spotkanie potężnie zbudowana kobieta w różowym dresie. Zagroziła mu drogę.

— Rozumiem, że leje, ale sądzę, że pomyliłeś lokale, kolego — odezwała się głosem, który ciął powietrze niczym skalpel.

— Jest Rosa? — spytał Thomas, zdejmując kaptur przemoczonej kurtki.

Kobieta zmrużyła oczy.

— Jesteś gliną, prawda?

— Umówiłem się z Rosą, czeka na mnie.

— Gliniarza zawsze rozpoznam, nawet w przebraniu. Nie ujdzie mojej uwagi.

— To przydatna umiejętność. Powiesz jej, że jestem?

Kobieta przeprowadziła go przez pokój, w którym siedziało kilka kobiet, popijając kawę. Weszli do niewielkiej kuchni.

— Jest tu jakiś gliniarz. Twierdzi, że jest z tobą umówiony.

Rosa podniosła wzrok znad garnka, w którym coś mieszała. Była to opalona kobieta tuż przed czterdziestką. Miała na sobie jasną brzoskwińową sukienkę. Blond włosy przytrzymywała szeroka opaska w tym samym kolorze.

— Nasza rodzima Grace Kelly, tyle że z Vesterbro — powiedział Thomas, uśmiechając się.

— Thomas!

Kobieta wyglądała na lekko zaskoczoną. Odłożyła łyżkę, podeszła do Thomasa i uściśniła go.

— Dawno się nie widzieliśmy. Twój telefon mnie zaskoczył.

— Zwykle tak działam na ludzi.

Thomas znał Rosę jeszcze z młodości. Był wtedy początkującym policjantem, a ona zajmowała się pracą społeczną w okolicach Istedgade i Halmtorvet. Toczyli swoje batalie, kiedy

policja organizowała naloty na prostytutki. Patrzyli na siebie złym okiem aż do mistrzostw Europy w piłce nożnej, które wygrała Dania. Wtedy, całkowicie przypadkowo, spotkali się w Fælledparken. Oboje byli pijani. I tak jakoś się to wówczas potoczyło, że zakończyli wieczór u niej w domu. Thomas nadal pamiętał, jak namiętnie się wtedy kochali. Skończyło się na tym jednym razie, ale od tamtej pory stosunki między nimi układały się znacznie lepiej.

— Nie widzieliśmy się parę lat. Nadal pracujesz w śródmiejskiej komendzie?

— Tak, można tak powiedzieć.

— Ledwie cię poznałam. Zapuściłeś brodę... Jesteś jakby bardziej wyluzowany

— powiedziała, patrząc na jego zniszczone ubranie.

— Człowiek się starzeje.

— Masz żonę, dzieci?

— Ani żony, ani dzieci — odparł, odwracając głowę.

— Samotny wilk?

— Tak jakby. A co u ciebie?

— Mam tu wystarczająco dużo zajęć — zatoczyła ręką wokół siebie. — A czas tak szybko leci.

— Cholernie szybko — pokiwał głową.

— Awansowałeś? Teraz ty tam rządzisz?

— Przeciwnie. Prawdę mówiąc, zostałem wysłany na urlop.

Rosa zmarszczyła czoło; wyraźnie się zmartwiła.

— Coś poważnego?

— Nie, musiałem po prostu zwolnić tempo.

Wiedział, że nie zabrzmiało to przekonująco, a Rosa była osobą, która potrafiła przejrzeć każdego. Na szczęście nie drążyła tematu.

— Posłuchaj — zaczął, rozpinając kurtkę — skontaktowałem się z tobą, ponieważ potrzebuję informacji o pewnej dziewczynie.

Wyjął zdjęcie Maszy, ale zanim zdążył podać je Rosie, ta położyła rękę na jego przedramieniu.

— Dobrze wiesz, że nie udzielam żadnych informacji o dziewczętach, które tu przychodzą.

— Ale ja tylko usiłuję pomóc — zaczął jej pospiesznie tłumaczyć.

— Pomóc? — Rosa oparła się o stół, skrzyżowała ręce na piersiach. — Policja i ja najczęściej różnie rozumiemy to słowo.

— Mówiłem ci, że jestem na urlopie.

Opowiedział jej pokrótce o zniknięciu Maszy i odnalezieniu w rejestrze policyjnym informacji, z których wynikało, że dziewczyna mogła być prostytutką.

— Więc nie jest o nic oskarżona? Nie chodzi o to, żeby ją złapać i wsadzić za kratki?

— Jestem tu, bo jej matka się niepokoi. To wszystko.

Rosa wzięła do ręki zdjęcie, na którym Masza pozowała nad kanałem.

— Widziałaś ją kiedyś?

Pokręciła głową.

— Zdjęcie nic mi nie mówi. Pracowała tu w okolicy?

— Nie wiem. Przypuszczam, że działała głównie w hotelach.

— Z dziewczynami do towarzystwa rzadko mamy do czynienia. Trzymają się razem do czasu, kiedy zaczynają ćpać i lądują na ulicy.

— Kiedy będzie jedzenie? — rozległ się głos za Thomasem.

Do kuchni zajrzała jedna z kobiet, które siedziały w pokoju. Pachniała mocno perfumami.

— Jestem cholernie głodna — powiedziała, lekko sepleniąc.
— Za pięć minut — odparła Rosa. — Jackie, widziałaś tę dziewczynę? — spytała, pokazując jej zdjęcie.
Jackie wychyliła się do przodu i zmrużyła oczy. Nałóg odcisnął piętno na jej wychudzonej twarzy.
— Nie. A co, ona twierdzi, że mnie zna? Jak ma na imię?
— Masza — odpowiedział Thomas. — Zniknęła. Już jakiś czas temu.
— Masza? Znam z pięćdziesiąt dziewczyn, które mają tak na imię. Pewnie pochodzi z Europy Wschodniej?
— Z Litwy.
— Nieważne skąd. Z Łotwy, z Litwy, skądś tam. Zbijają ceny, prawda, Rosa?
Rosa uśmiechnęła się uprzejmie.
— Pytanie brzmi, czy ją kiedyś widziałaś?
— Nie — zaprzeczyła kobieta, kręcąc głową. — Kiedy będzie jedzenie? — nie dawała za wygraną.
— Za pięć minut. Strasznie jesteś dzisiaj niecierpliwa.
Rosa oddała zdjęcie Thomasowi, który schował je do wewnętrznej kieszeni kurtki.
— Dzięki za pomoc. Uznałem, że powinienem spróbować. Miło było cię zobaczyć.
— I nawzajem. Może któregoś dnia umówimy się na kieliszek wina?
— Jasne.
— Nie musimy czekać, aż nasza reprezentacja znowu wygra — powiedziała i uśmiechnęła się.
— Zadzwoń — obiecał Thomas, wiedząc, że pewnie nigdy tego nie zrobi.
Już chciał się odwrócić i odejść, kiedy nagle przyszło mu coś do głowy.
— Miała chłopaka, pewnie był jej alfonsem. Jakiś Rosjanin, miał na imię Ivan albo Igor.
Mówi ci to coś?
Rosa pokręciła głową.
— Obecnie ulice obstawiają głównie Nigeryjczycy i Rumuni. Ale spróbuj dowiedzieć się czegoś w ruskim klubie.
— W ruskim klubie?
— Na Colbjørnsensgade. Przychodzą tam głównie bandyci i oszuści.
— Dzięki, Rosa.

26.

Kiedy Thomas opuścił Gniazdo, deszcz wciąż jeszcze padał. Nigdzie w pobliżu nie było widać taksówki. Włożył więc kaptur i ruszył Istedgade, kierując się w stronę Colbjørnsensgade i wspomnianego przez Rosę ruskiego klubu. Nie bardzo wierzył, że jego wizyta w tym miejscu coś da, ale uznał, że powinien spróbować. Nigdy nie słyszał o takim klubie. Melby pewnie wiedziałby coś więcej, w końcu zajmował się imigrantami z Europy Wschodniej. To znaczy, zanim został nowym partnerem Mikkela. Jednak Thomas nie palił się, żeby prosić go o pomoc. Doszedł do rogu, skręcił i znalazł się na Colbjørnsensgade. Mniej więcej w połowie ulicy zauważył opuszczony lokal sklepowy z matowymi szybami. Drzwi były uchylone, ze środka dochodziły dźwięki z telewizora. Przez szparę w drzwiach zobaczył kilku starszych mężczyzn o słowiańskim typie urody, siedzieli i oglądali mecz w telewizji. To musiał być klub, o którym wspominała Rosa. Przez moment zastanawiał się, czy po prostu nie wejść do środka. Był jednak pewien, że nawet jeśli któryś z obecnych tam mężczyzn zna Igora czy Ivana, to na pewno nie opowie o tym włóczędzie z ulicy. A już tym bardziej, gdy się okaże, że włóczęga tak naprawdę jest gliniarzem. Minął klub i poszedł dalej. Wśród zaparkowanych na ulicy samochodów dostrzegł nagle czarne bmw z błyszczącymi felgami i wielkim spoilerem z tyłu. Właściwie samochód niczym się nie wyróżniał spośród innych wypasionych beemek na ulicy, z wyjątkiem jednego: na lusterku wisiało drzewko zapachowe Wunder-Baum. To oczywiście mógł być przypadek, ale coś mu mówiło, że samochód należy do Rosjanina.

Schował się w pobliskiej bramie. Zrobił to odruchowo, postąpił tak, jak zwykle postępował setki razy wcześniej w podobnych sytuacjach, tym bardziej że był przemoczony do suchej nitki. Próbował rozplynać się w mroku, stać się niewidoczny. Jednak nie mógł się uspokoić. Sytuacja przypominała mu jego ostatnie zadanie, które wykonywał z Mikkelem. Dostali cynk o dostawie haszyszu dla jednego z *bandidos* i zdecydowali się śledzić wejście do kamienicy, w której mieszkał. Niestety, do dostawy nie doszło, sprawa się przedłużała, co sprawiło, że bardzo późno wrócił do domu. I nie zdołał pomóc Evie. Nie był w stanie powstrzymać krwawienia z jej otwartej rany na głowie. Wyszedł z bramy, jakby z niej uciekał. Przebiegł przez ulicę i ruszył do niewielkiego całonocnego sklepu, znajdującego się nieopodal. Zamierzał kupić kilka piw, ale jego wzrok padł na butelki z mocniejszym alkoholem; stały na półce za plecami pakistańskiego sprzedawcy. Poprosił o whisky, Tullamore, i trzy browary. Zapas na bezsenność na „Biance”. Sprzedawca włożył wszystko do białej foliowej torby i zażyczył sobie sto siedemdziesiąt pięć koron. Kiedy Thomas zaczął szukać pieniędzy, zauważył kątem oka, że do sklepu weszła para młodych ludzi. Blondynka w różowej imitacji futra oraz młody mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce i okularach zsuniętych na tył głowy. Cyklistówkach. Oakleys. Poprosił o dwadzieścia prince'ów, cały czas kłócąc się z dziewczyną po rosyjsku. Thomas zwrócił uwagę, że facet bez przerwy pociąga nosem. Pewnie przed chwilą wciągał kokę, pomyślał. Wziął torbę ze swoimi zakupami i wyszedł ze sklepu. Zatrzymał się na zewnątrz. Po chwili para wyszła i ruszyła do czarnej beemki. Mężczyzna skierował pilota w stronę samochodu, alarm zapiszczał, błysnęły światła.

— Igor! — zawołał Thomas.

Mężczyzna odwrócił głowę i spojrzął na niego przez ramię. Wyraźnie starał się go gdzieś uplasować, ale po jego oczach widać było, że go nie rozpoznaje.

Thomas ruszył w jego stronę, butelki w torbie stukały o siebie.

— Masz na imię Igor, prawda?

— A co cię to obchodzi? — odburknął mężczyzna, otwierając drzwiczki.

— Zaczekaj... Chciałem cię tylko o coś zapytać.

— O co ci chodzi, koleś? Naprawdę się czy co?

— Chodzi mi o Maszę.

Mężczyzna zamarł na moment.

— Nie znam żadnej Maszy. Kim ty w ogóle jesteś?

— Nie bardzo rozumiem. Byłeś jej facetem, prawda?

— Kim ty jesteś, do cholery? — powtórzył mężczyzna, spoglądając na niego nerwowo.

— Wiesz, gdzie mogę ją znaleźć? — Thomas nie dawał za wygraną.

— Naprawdę nie mam pojęcia, o kim mówisz.

— Daj spokój. Wiem, kiedy ludzie kłamią — powiedział Thomas, mrużąc oczy.

Igor pchnął go mocno, Thomas stracił równowagę i poleciał do tyłu. Upadł, butelki rozbiły się o asfalt.

— Co się dzieje? — zawołała dziewczyna w futrze.

— Wsiadaj, do cholery! — rzucił jej Igor ponad dachem samochodu. — Natychmiast!

Dziewczyna nie wyglądała na zadowoloną, ale posłusznie wsiadła do wozu.

Igor spojrział na Thomasa.

— Trzymaj się ode mnie z daleka, rozumiesz, palancie? Inaczej gorzko tego pożałujesz.

Igor odwrócił się, wsiadł do samochodu, włączył silnik i z dużą prędkością ruszył ulicą.

Thomas wstał i otrzepał ręce z brudu. Piekły go dłonie, otarł je o asfalt, ale nawet tego nie zauważył. Poczul natomiast coś, czego już dawno nie doświadczał, a co pewnie można było nazwać instynktem łowczego. Chciał dorwać Igora, nieważne, za jaką cenę. I dowiedzieć się, co się stało z tą dziewczyną. Z Maszą.

27.

Za ogromnym mahoniowym biurkiem w niewielkim gabinecie na tyłach Key Clubu siedział Slavros. Piękny antyczny mebel zajmował większą część pomieszczenia i kontrastował z tanimi meblami z czarnej skóry oraz wiszącymi na ścianach plakatami nagich kobiet. Światło w pokoju było przytłumione, z baru dochodziły ciche, głębokie basy, niczym rytmiczne odgłosy bębna. Slavros i drugi, krótko ostrzyżony mężczyzna zajęci byli pakowaniem prezentów świątecznych. Słysząc było, jak obcisła skórzana kurtka trzeszczy za każdym razem, kiedy Slavros się pochylał.

— Nie używaj tyle taśmy klejącej, Michaił — wysyczał. — Nie będą mogły otworzyć. Michaił pokiwał głową i usunął kawałek przyklejonej już taśmy.

Slavros zerknął na Maszę, która siedziała przy biurku na jednym ze skrajnych krzeseł.

— Zawsze odmawiam, kiedy ekspedientki proponują, że zapakują mi prezent. Wolę robić to sam, tak jest bardziej osobiście — powiedział, podnosząc paczkę. — Nie uważasz?

Masza skinęła głową i przelknęła ślinę.

— Nie żeby to miało dla nich jakieś znaczenie. Ich interesuje przede wszystkim to, co jest w środku. Ale ważne, że człowiek się stara.

Masza znów skinęła głową. Slavros zaczął się denerwować, bo taśma bez przerwy się zwijała. W końcu odciął kawałek i wziął nową, którą zakleił papier. Z zadowoleniem oglądał efekt końcowy.

— Kiedy w końcu wydusisz z siebie, po co tu przyszedłeś?

Wziął rolkę papieru, odmierzył kolejny kawałek.

— Ja... Coś się wydarzyło. Coś, co nie powinno było się wydarzyć.

— Tyle zdążyłem się domyślić.

Slavros sięgnął po nożyczki, odciął kolejny kawałek.

— Jednej z dziewczyn powinęła się noga.

— Czyli? Przedawkowała?

— Nie. Chodzi o to, że... — Masza zaczerpnęła głęboko powietrza. — Chodzi o to, że jedna z dziewczyn jest w ciąży.

Slavros odłożył nożyczki, spojrzał na jej brzuch.

— Który to miesiąc?

— Nie, nie chodzi o mnie. To Tabitha.

— Ta czarna?

— Tak.

Slavros pokręcił głową.

— Czarne są głupie.

— Cholernie głupie — dodał Michaił. — Mówiłem, żebyś dał sobie z nią spokój.

Slavros spojrzał na niego i mężczyzna zamilkł.

— Który to miesiąc?

— Czwarty, może nawet piąty.

— Ach, tak!

Slavros odchylił się w krześle, przyglądając się jej badawczo.

— I dopiero się o tym dowiedziałeś?

— Tak.
Spojrzał na Michaiła.
— Przypomnij mi następnym razem, że dziewczyny mają być chude.
Michaił pokiwał głową.
— Nie mogą być tłuste ani czarne — potwierdził.
— Jak się dowiedziałas?
— Przyszła do mnie i poprosiła, żebym z tobą porozmawiała.
— Mieszasz się w nie swoje sprawy.
— Tak, wiem. Zwykle zajmuję się sobą, dotrzymuję naszej umowy. Pomyślałam jednak, że pewnie chciałbyś o tym wiedzieć. Poza tym ona potrzebuje pomocy.
Masza próbowała zachować spokój, ale czuła, że drżą jej kolana.
Slavros przechylił głowę i się uśmiechnął.
— Oczywiście, że jej pomogę. My zawsze sobie pomagamy. Dobrze, że przyszłaś. Gdzie ona jest?
— W swoim pokoju.
Slavros skinął na Michaiła. Mężczyzna odłożył ozdobny papier i zniknął za drzwiami.
Slavros wyjął z kieszeni zwitek banknotów, odliczył kilka.
— Masz.
— Nie dlatego przyszłam.
— I nie dlatego ci je daję. Wesołych Świąt.
Masza wstała, sięgnęła po banknoty, ale Slavros je przytrzymał.
— A ty nie masz dla mnie prezentu?
— Oczywiście, że mam.
Puścił banknoty, pozwolił, żeby je wzięła. Potem rozpiął spodnie. Masza okrążyła biurko i usiadła mu na kolanach. Zaczęła jęczeć i wykonywać mechaniczne ruchy, poruszać się w górę i w dół. W górę i w dół.

„Wigilia, 2010

Wesołych Świąt, mamusiu. Myślę o tobie. O naszych wspólnych Wigiliach dawno temu. Zawsze starałaś się wrócić wcześniej z pracy. I przynieść coś dobrego. Ciasto, słodycze. Kiedyś nawet przytargałaś choinkę. Pamiętam, że miała tylko kilka gałązek, ale to była nasza choinka. I nasze Boże Narodzenie. Teraz jest mi wstyd, że nie okazywałam ci wdzięczności. Że nigdy nie kupiłam ci żadnego prezentu. Że nigdy nie podziękowałam ci za wszystko, co mi dawałaś. Wtedy uważałam, że to za mało. Czy możesz mi wybaczyć?

Pomyślałam, że może Slavros umieści Tabithę w szpitalu i w ten sposób uda jej się uwolnić. Nieważne, czy z dzieckiem, czy bez. Że machnie ręką na jej dług, byle tylko trzymała język za zębami. Uzna, że tak będzie dla wszystkich najlepiej. Ale okazało się, że nie. Powinnam była wiedzieć, że Slavros nigdy z niczego nie rezygnuje. Że to diabeł wcielony.

Tabitha jest teraz w swoim pokoju, naszprycowana prochami i wszelkim możliwym świństwem. Truciznami, które mają zabić płód. Wywołać skurcze, jak mówi Lulu. Sześć godzin i będzie po wszystkim. Wszystko zostanie usunięte, płód urodzi się martwy. Urodzi się. To słowo nie jest chyba na miejscu. Lulu twierdzi, że to morderstwo, bo płód Tabithy to dziecko. Tyle że takie maleńkie. Nikt z nas, tu w klubie, nie wie, jak małe. Jedne dziewczyny twierdzą, że pewnie ma z pięć centymetrów, inne, że nawet dwadzieścia. Ale wszystkie są zgodne, że przypomina dziecko. Ma rączki, nóżki, paluszki, główkę, usta, oczy, w ogóle wszystko. Na samą myśl robi mi się niedobrze. Mam ochotę krzyczeć, ale valium tłumi wszystko.

Pierwszy dzień świąt. Tabitha krwawi. Krwawi. Krwawi. Krwawi. Nie byłam przy tym, nie widziałam porodu, czy jak to nazwać. Ale dziecka już nie ma. Widziałam, jak Lulu wynosi z pokoju zakrwawione prześcieradła, ubrania i papier toaletowy, i wrzuca wszystko do kontenera za klubem. W Tabicie pewnie niewiele już tej krwi zostało. Martwimy się o nią, przynajmniej wszystkie dziewczyny tak twierdzą. Pewnie uświadamiają sobie, że to mogły być one. Każda z nas mogła się wykrwawić jak Tabitha.

Slavros poszedł do niej razem z psychopatą. Psychopata ma na imię Poul. Facet zajmował się różnymi rzeczami, był portierem, ale pracował też w szpitalu, jako opiekun. Aż go wyrzucili za kradzież leków. Jest naszym klientem. Kiedyś przyszedł też do mnie, kręci go zadawanie bólu, biczowanie. Akurat był tu na jakiejś imprezie. Biedna, umierająca Tabitha.

Drugi dzień świąt. Święta to dla nas złoty czas. Nigdy nie zarabiamy tyle, ile wtedy. Nawet w klubie tyle nie wyciągałam. Byki wróciły. Kiedy rodziny wymieniają się prezentami, faceci ruszają w miasto i krążą po ulicach. Bez przerwy mamy klientów. Tabitha przestała krwawić, ale cały czas śpi. Prawie nie chodzi. Nie mówi o tym, co się wydarzyło. Lulu twierdzi, że Poul usunął jej prawie wszystko. Wyskrobał. Co za określenie. Lulu twierdzi, że pewnie już nigdy nie będzie mogła zajść w ciążę. Sama Tabitha nic nie mówi, leży i gapi się w sufit, i faszeruje się żółtymi pigułkami, które dał jej Poul. Dziewczyny mówią, że jest leniwa. Leniwa czarnucha. Slavros pewnie zaraz wykopie ją z łóżka. To tylko kwestia czasu. Jej dług rośnie. *Big time*. Wszystko kosztuje, a Slavros rozliczy ją z każdego prześcieradła, które musiał wyrzucić, bo je zakrwawiła. Moje tygodniowe rozliczenie jest w porządku. Zostało mi jeszcze jakieś siedem, osiem miesięcy, ale zaczynam widzieć światełko w tunelu. Wierzę, że nadejdzie dzień, kiedy to wszystko się skończy. Kiedy spłacę dług. Wtedy cię odwiedzę, mamó. W przyszłym roku, latem... Może”.

28.

W ciemnościach pod stołem dobiegł Erika odgłos kroków ojca. Zbiegał po schodach. Erik zamknął oczy, podciągnął nogi i wstrzymał oddech. Próbował odgrodzić się od całego świata, od wszystkiego, a przede wszystkim od tego, co przed chwilą wydarzyło się w łazience. Nagle poczuł na sobie ręce ojca. Dłonie w gumowych rękawiczkach chwyciły go za bluzę i wyciągnęły spod stołu. Zerwały z twarzy czarną maseczkę, która potoczyła się po podłodze.

— Co ty zrobiłeś? Na litość boską, co ty zrobiłeś? — krzyczał ojciec.

Potrząsnął nim i uderzył go w twarz, aż echo poniosło. Ból był niemal wybawieniem.

— Przepraszam... Przepraszam — dukał Erik.

Ojciec w końcu przestał krzyzczeć i osunął się na brudną podłogę obok niego. Patrzył w sufit i szlochał, od czasu do czasu wycierając nos. Znalazł dłoń Erika, przycisnął ją do siebie.

— Nie zrobiłem tego specjalnie. Nie chciałem, żeby umarła — powiedział Erik.

— O czym ty myślałeś?

— Nie wiem... — Erik przywarł mocniej do ojca, poczuł pod policzkiem sztywny skórzany fartuch. — Nie wiem — powtórzył. — Wiem tylko, że nie chciałem, żeby od nas odeszła.

— Erik, do diabła. Zabiłeś ją! — Erik zaczął płakać; ojciec pogładził go po włosach. — Jak mogłeś!

— To się po prostu stało...

— Nieprawda. Musiałeś myśleć o tym już od jakiegoś czasu. Dlaczego wzięłeś strzykawkę?

— Mówiłeś, że jest niebezpieczna.

— Ale dlaczego? Nie potrafię tego zrozumieć!

— Nie wiem, tato... Widziałem was w sypialni... Widziałem, jak leżałeś na mamie z rękami na jej szyi... Ja... Ja chciałem ją tylko zatrzymać. Ty też tego chciałeś. Naprawdę mnie nie rozumiesz?

Łzy spłynęły ojcu po policzkach.

— Trochę pewnie rozumiem — odparł Bertil, przeciągając dłonią po swoich rzadkich włosach. — Ale nie sądzę, żeby inni to zrozumieli.

— Co teraz będzie? — spytał Erik, przestraszony.

Ojciec pokręcił głową.

— Przepraszam za wszystko, na co cię naraziliśmy. To moja wina.

— Nie, tato.

— Owszem, moja. Teraz jednak musimy jakoś to wszystko ogarnąć.

— Zawiadomisz policję?

Ojciec skinął głową.

— Muszę.

Erik zaczął płakać.

— Dobrze, tato. Rozumiem. Ale co się teraz ze mną stanie?

— Nie wiem. To wszystko wydaje się takie niesprawiedliwe.

Bertil wstał z podłogi, sztywny fartuch zatrzeszczał. Oparł się o stół i przyciągnął Erika do siebie.

— Boję się — powiedział chłopiec. Drżał.

— Ja też się boję — przyznał ojciec.

Objął synka ramieniem i razem ruszyli w stronę schodów prowadzących na górę, do domu.

Kiedy weszli do sypialni, usłyszeli szum wody i zawrozcenie Johana. Podeszli bliżej — Erik cały czas próbował chować się za plecami ojca — i weszli do zaparowanej łazienki.

W środku, w kabinie, siedział Johan, obejmując bezwładne ciało Leny. Ze wszystkich otworów leciała jej krew, skóra była żółta, przypominała pergamin. Johan próbował ją ratować, robiąc sztuczne oddychanie.

— To nic nie da — stwierdził Bertil.

Johan podniósł głowę, spojrział na niego.

— Musimy coś zrobić.

— Jej organy przestały funkcjonować. W takiej sytuacji śmierć następuje niemal natychmiast.

— Wezwaliście karetkę?

— Ona nie żyje. Nie możemy nic zrobić.

Słowa Bertila pozbawiły Johana ostatniej nadziei; puścił ciało Leny, osunął się po wyłożonej kafelkami ścianie i wybuchnął niepoohamowanym płaczem.

— Dlaczego... Dlaczego...?

— Wydarzyła się tragedia — wymamrotał Bertil.

Erik ścisnął mocno dłoń ojca, poczuł chłodną powierzchnię gumowej rękawiczki.

— Trzeba wezwać policję — łkał Johan. — Do diabła, jak to się mogło stać?

Bertil puści dłoń Erika i podszedł do Johana.

— Tego właśnie musimy się dowiedzieć.

— A czego tu się dowiadywać? Lena została zabita. Przez niego... — Johan oskarżycielsko wskazał palcem na Erika.

Chłopiec spuścił głowę.

Bertil milczał. Dotknął palcami warg, powędrował wzrokiem po łazience.

— Przyjechałeś ją zabrać.

— Przecież wiem.

— Chciałeś ją zabrać od rodziny.

— To nie powód, żeby ją zabić! — wykrzyczał Johan w stronę Erika.

— Tak... — wymamrotał Bertil, pogrążony w myślach. — Ale Lena zaczęła żałować swojej decyzji. Nie chciała już mieć z tobą do czynienia. Kochała swoją rodzinę, syna, nie była w stanie nas opuścić...

— O czym ty mówisz? — Johan się podniósł. — Oszalałeś?

— Bynajmniej. To ty oszalałeś. Z zazdrości. Nie chciałeś się pogodzić z jej odmową. Uznałeś to za porażkę. Dlatego włamałeś się tu, kiedy Lena brała prysznic, a ja z Erikiem byliśmy w piwnicy.

Johan wstał. Pchnął Bertila, próbując go wyminąć, ale Bertil złapał go za rękaw i mocno przytrzymał.

— Puść mnie. Jeśli nie zadzwonisz na policję, ja to zrobię.

— I co im powiesz? Twoje słowo przeciwko mojemu... Naszemu. Wszędzie są twoje odciski palców, no i masz motyw.

— Oszalałeś.

— Nie, po prostu zamierzam chronić syna.

— Nie moim kosztem. Poza tym zabił Lenę strzykawką z twojego warsztatu. Jak wytłumaczysz to policji? — spytał Johan, wycierając oczy.

— Masz rację — przytaknął Bertil. — To jest wątpliwy punkt. W tym policja mogłaby się z tobą zgodzić.

Johan wyswobodził się z jego uchwytu.

— Obaj macie nie po kolei w głowie — powiedział, zerkając to na Bertila, to na Erika.

— Być może — przytaknął Bertil. — Ale żyjemy — dodał.

Zanim Johan zdążył zareagować, Bertil wyciągnął niewielki skalpel, który miał ukryty w lewej rękawiczce, i przeciągnął nim lekko po szyi Johana. Precyzyjne, czyste cięcie; z otwartej tętnicy trysnęła krew. Johan otworzył szeroko usta, uniósł dłonie do szyi. Próbował coś powiedzieć, ale z ust leciała mu krew.

Bertil zmarszczył brwi.

— Mam wrażenie, że ukradłeś tę strzykawkę, kiedy ostatnio byłeś w naszej piwnicy. W każdym razie my — pokazał ręką na siebie i Erika — szukaliśmy jej ostatnio i nie mogliśmy nigdzie znaleźć...

Johan padł na kolana, pierś miał całą we krwi i nadal krwawił.

— Oczywiście to wszystko spekulacje, ale przypuszczam, że policja uzna je za wiarygodne. Tym bardziej że powiem im, że Lena się ciebie bała i dlatego pożyczyła ode mnie skalpel, żeby w razie czego móc się przed tobą obronić. Pewnie wzięła go ze sobą do łazienki. Bardzo się ciebie bała. To jedyne logiczne wytłumaczenie tego wszystkiego. — Lekko pchnął Johana nogą, mężczyzna przewrócił się i upadł na podłogę.

Bertil rzucił skalpel, tak żeby leżał obok Leny. Przez chwilę przyglądał się scenie. Nagle odwrócił się do Erika.

— Tak jest dobrze czy może powinna trzymać go w ręku?

Erik stał jak sparaliżowany.

— Jak sądzisz?

Chłopiec ostrożnie podszedł bliżej, spojrzał naabinę.

— Tak, sądzę, że tak będzie bardziej autentycznie.

Bertil schylił się, wziął skalpel i włożył go Lenie do ręki. Uniósł nogę, przeszedł przez ciało i sięgnął po strzykawkę. Chwytał ją dwoma palcami, włożył w rękę Johanowi, tak żeby zostały na niej jego odciski palców, a potem rzucił ją w kąt kabiny.

— Teraz dobrze? — spytał Erika.

Chłopiec zdążył się cofnąć, stał teraz pod drzwiami i rozglądał się po niewielkiej łazience. Ciało zasłaniała para. Z kabiny wystawała noga Leny, zza zaparowanej szklanej ścianki widać było jej nagie ciało. Johan leżał martwy na podłodze ze zdziwionym wyrazem twarzy i poderżniętym gardłem. Ten obraz przypominał Erikowi aranżacje w piwnicy.

— Musimy zawiadomić policję.

— Tak, tato.

— Pamiętaj, że nie wolno ci się załamać. Musimy trzymać się historii, którą ci przed chwilą przedstawiłem.

— Tak, tato.

Bertil spojrzał na niego uważnie.

— Dobrze, że to się tak skończyło. Inaczej zrobiłoby się straszne zamieszanie. Wszyscy bardzo byśmy to przeżyli. A tak zostaną nam dobre wspomnienia, uszanujemy pamięć twojej matki.

— Tak, tato.

— A jeśli chodzi o Johana, to świat tylko zyska na jego odejściu. Wierz mi, że nikt nie

będzie za nim tęsknił.

— Tak, tato.

— Kocham cię, Eriku, wiesz o tym, prawda?

— Ja też cię kocham, tato.

Erik rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na łazienkę. Scena była godna piedestału. Oczyma duszy widział ją między szybującym myszołowem a wiewiórką jedzącą orzecha. *Here he comes, here he comes... here he comes*, słyszał w głowie wesołą melodię, którą śpiewał Hopalong Cassidy. Podniósł wzrok, spojrzał na ojca i spytał spokojnie:

— Myślisz, że uda nam się naprawić jelenia?

29.

Lodowato zimna klatka schodowa cuchnęła uryną. Na trzecim piętrze przed drzwiami do mieszkania Igora stał ukryty w ciemnościach Thomas. Mieszkanie znajdowało się w pobliżu zlikwidowanej fabryki ciasteczek sojowych na Bryggen. Położone na nabrzeżu domy z widokiem na morze pierwotnie miały być ekskluzywnymi apartamentami, ale kryzys finansowy sprawił, że milionerzy nie wykazali nimi zainteresowania. W krótkim czasie dzielnica zamieniła się w getto, gdzie po zapadnięciu zmroku nikt nie mógł czuć się bezpieczny.

Rzemyk, na którym wisiała policyjna odznaka, uwierał Thomasa w szyję. Czuł bużującą adrenalinę, niemal jak za dawnych czasów. Poprosił Mikkela o odszukanie numeru rejestracyjnego samochodu Igora i podanie mu jego adresu. Mikkel ostrzegł go, żeby nie popełnił jakiegoś głupstwa i nie dał Braskowi pretekstu do usunięcia go ze służby. Jednak w tym momencie dla Thomasa najważniejsze było to, żeby dostać się do mieszkania Igora i sprawdzić, czy znajdzie tam coś, co pomogłoby mu trafić na ślad Maszy.

Schylił się, uniósł ostrożnie klapę na listy i zajrzał do środka. W przedpokoju było ciemno, w mieszkaniu panowała idealna cisza. Wyprostował się i sięgnął do kieszeni po zestaw narzędzi. Znalazł śrubokręt; okazało się, że idealnie pasuje do cylindra zamka. Z policyjnego rejestru dowiedział się, że Igor ma wyrok w zawieszeniu za kradzieże. Niestety, nie na tyle wysoki, żeby deportować go z Danii, ale wystarczyło drobne przewinienie, żeby następnym razem dostał kilka lat za kratkami i bilet w jedną stronę do Mińska czy dokądkolwiek, skąd pochodził.

Thomas zaklął. Trzęsły mu się ręce i nie potrafił wyjąć cylindra. W końcu zrezygnował, cofnął się nieco, uniósł nogę i kopnął w drzwi. Futryna pękła, drzwi się otworzyły. Przez chwilę nasłuchiwał, ale na klatce nadal panowała cisza. Wszedł do ciemnego korytarza, a potem dalej do pokoju.

Igor chyba nie korzystał z pomocy żadnej sprzątaczkii, bo cały pokój zaślany był butelkami, jakby przed chwilą odbywała się tu szalona impreza. Thomas zauważył błyszczącą srebrną rurkę, leżącą między butelkami na stoliku. Błat obok niej był pokryty cienką warstwą białego pyłu. Thomas przeszedł przez pokój do sypialni. Łóżko było nieposłane, na podłodze leżały porozrzucane ubrania. Pokój cuchnął potem i piwem. Thomas uniósł nogę, ominął zużytą prezerwatywę i ruszył do szafy stojącej po drugiej stronie pokoju. Zaczął sprawdzać jej zawartość. Na półkach poutykane były męskie ubrania, najwyraźniej Igor mieszkał tu sam. Kiedy Thomas otworzył ostatnie drzwi, z szafy wyleciała niemal cała jej zawartość. Schylił się i zaczął przerzucać rzeczy. Było tam wszystko: stare paragony, pornosy, buty do gry w piłkę nożną, pozbawiona strun gitara i kilka papierowych toreb. Wyrzucił ich zawartość na podłogę. Nagle jego uwagę zwróciło pomięte zdjęcie. Podniósł je i próbował rozprostować. Przedstawiało Igora i jakąś dziewczynę, siedzących na masce czarnego bmw. Natychmiast ją rozpoznał. To była Masza. Schował zdjęcie do kieszeni. Właściwie znalazł to, po co przyszedł, ale postanowił jeszcze trochę poszperać. Resztki koki na stoliku i nieustanne pociąganie nosem Igora sugerowały, że w mieszkaniu mogą być narkotyki. Z doświadczenia wiedział, że są trzy miejsca, w których ludzie zwykle ukrywają towar: pod łóżkiem, w lodówce albo w kiblu, w rezerwuarze. Schylił się i sprawdził pod łóżkiem. Na pierwszy rzut oka niczego tam nie było, ale kiedy powiodł ręką po szczebelkach, niemal natychmiast trafił na niewielką foliową torebkę, wciśniętą

między materac a dno łóżka. Wyjął ją. Był w niej biały proszek, zapewne kokaina albo amfetamina. Igor okazał się równie przewidywalny jak większość.

Nagle z przedpokoju dobiegł go jakiś głos, ktoś puścił wiązanekę po rosyjsku. Thomas schował torebkę do kieszeni i wrócił do pokoju. Po drugiej stronie stał Igor, czerwony ze złości.

Na widok Thomasa otworzył szeroko oczy. Pokręcił głową, jakby nie bardzo rozumiał, o co chodzi.

— To ty? Co, do cholery...

Zacisnął pięści i ruszył w jego stronę.

Thomas spokojnie pokazał mu odznakę.

— Tak, to ja. Thomas Ravnsholdt, wydział dochodzeniowy kopenhaskiej policji.

Igor zatrzymał się i spojrzał na odznakę, wyraźnie zбитy z tropu.

— Miałeś włamanie — poinformował go Thomas.

— Co takiego?

— Miałeś włamanie — powtórzył Thomas głośno i wyraźnie. — Ktoś wyważył drzwi i włamał ci się do mieszkania.

— A ty co tu robisz, do cholery?

— Akurat byłem w pobliżu. Na szczęście chyba nic nie zginęło. Nawet nie wzięli prochów, które znalazłem pod twoim łóżkiem.

Wyjął niewielką torebkę i zamachał nią Igorowi przed nosem.

— To... To nie jest moje.

— Jasne — odparł Thomas, uśmiechając się krzywo. — Ale założę się, że technicy będą mieli tu trochę pracy. Przejrzą każdy kąt, wszystko przepuszczą przez wyżymaczkę.

— Fuck! — zaklął Igor, przelękając ślinę.

— To właściwe określenie twojej obecnej sytuacji. Dlatego siadaj na tej kanapie i odpowiadaj na pytania!

Igor posłusznie usiadł.

— Biorąc pod uwagę to, co już masz na koncie, pewnie trochę posiedzisz, a potem z przyjemnością odprowadzę cię na samolot.

— Kto mnie wsypał?

— To twoje największe zmartwienie?

Igor wzruszył ramionami.

— Kto? — powtórzył.

— Masza. Masza cię wsypała.

Igorowi opadła szczęka. Przewrócił oczami.

— Masza? Nie znam nikogo o takim imieniu...

Thomas wyjął pomięte zdjęcie i rzucił je Igorowi.

Chłopak zerknął na nie, ramiona mu opadły.

— To ona was na mnie naprowadziła?

— A jak sądzisz?

Igor patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

— Nie mam jej tego za złe. Zrobiłem jej straszną rzecz, nadal się tego wstydzę. Możesz jej to powiedzieć?

Thomas usiadł na oparciu czarnego skórzanego fotela.

— Nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Dlatego do ciebie przyszedłem.

— Ale przecież...

— Posłuchaj, w tej chwili jestem twoim najlepszym przyjacielem — powiedział, podtykając mu pod nos torebkę z białym proszkiem. — Ale decydujące dla naszej przyjaźni

będzie to, co mi teraz powiesz. A mianowicie: gdzie ona jest?

— Naprawdę nie wiem.

— Kiedy ostatnio ją widziałeś?

— Jakieś dwa lata temu. Przysięgam.

— Gdzie to było?

Igor spuścił głowę.

— Gdzieś na Amager.

— Możesz być nieco dokładniejszy?

— Na Yderlandsvej, w dawnym warsztacie samochodowym.

— Ciekawe miejsce. Co tam robiliście?

Igor wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

— Co ona tam robiła? — powtórzył Thomas.

— Pomogła mi w cholernie kiepskiej sytuacji.

— Jakiej sytuacji?

— Takiej, z jakiej nie ma dobrego wyjścia — powiedział Igor, zapalając papierosa.

Wypuścił dym. — Dług karciany. *Big time*.

Thomas pokiwał głową.

— Rozumiem, że Masza miała tam obsłużyć kilku klientów?

— Nie tylko.

— Czyli?

Igor rozłożył bezradnie ręce.

— Musisz zrozumieć, sytuacja naprawdę była beznadziejna.

— Opowiedz mi o tym.

Igor pokręcił głową.

— Zawarłem umowę z pewnymi ludźmi. Zadbalem, żeby dług przeszedł na Maszę.

Thomas wstał.

— Czy ja dobrze zrozumiałem? Sprzedałeś swoją dziewczynę, żeby dali ci spokój?

— Tak... Nie... To nie było tak. Załatwiłem jej... pracę. Tak było.

— Wierzysz w to?

Igor nie odpowiedział.

Thomas widział, że sprawa nie daje mu spokoju, zżera go od środka.

— Muszę mieć nazwiska.

— Nie mogę ci ich zdradzić. Wiesz, jak to jest.

— Tak, dokładnie wiem, jak to jest. Dlatego albo powiesz mi, kto był w tym warsztacie, albo wstukam wszystko do systemu: koka, handel ludźmi i różne inne łajdactwa. A potem pójdę do waszego klubu na Colbjørnsensgade i powiem, że siedzisz na komisariacie i sypiesz.

Wówczas nie będziemy musieli tracić czasu na rezerwację biletu na lot do Mińska. Jestem dziwnie pewien, że twoi kumple wcześniej się o ciebie zatroszczą.

— To byli faceci z Bałkanów. Nie znałem ich — powiedział Igor.

— Nazwiska! Dalej!

— Sporo czasu minęło...

— Już!

— Milan. Jeden z nich miał na imię Milan.

— Tak jak klub piłkarski?

— Tak, *whatever*. Drugi to Lucian.

— Masza jest teraz z nimi?

— Nie.

— Więc gdzie, do cholery?

— Lucian przekazał ją dalej takiemu jednemu, dla którego miała pracować.

— Nazwisko.

Igor zaciągnął się nerwowo papierosem.

— Nazywa się Slavros. Vladimir Slavros. Prawdziwy gangster. Bonzo. Świetnie zorganizowany.

— Gdzie go znajdę?

Igor pochylił się nad stołem, zgasił papierosa w popielniczce.

— Nie mam pojęcia. Nikt nie szuka Slavrosa. To on znajduje ciebie. Większość orientuje się, kiedy jest już za późno.

— Zaraz zleję się w gacie.

— Jeśli będziesz na tyle głupi, żeby zacząć go szukać...

Thomas pokręcił głową i ruszył do drzwi.

— Co z koką? — spytał Igor, wskazując na torebkę. — Przydałaby mi się działka.

— Koka? Spłynęła w kibelku.

— Tam było ze dwadzieścia kresek, do cholery!

— Wystawiasz moją cierpliwość na próbę — powiedział Thomas.

Nie miał pojęcia, kim byli Milan, Lucian czy Slavros. Podejrzał jednak, że Mikkel albo Melby ich znają. Musi pogadać z Mikkelem i poprosić go o kolejną przysługę.

30.

Było dobrze po północy, ulice eleganckiej dzielnicy willowej, Mälärhöjden, dawno opustoszały. Tylko gdzieś tam za oknami widać było włączone telewizory, świadczące o tym, że nie wszyscy mieszkańcy poszli już spać. Na jeziorze Mälaren, kryjącym się za pierwszym rzędem willi, pojawiały się tu i ówdzie czerwone światła frachtowców. Na podjeździe willi na końcu ulicy stał nie najnowszy już model Mercedesa Benz SEL, z 1972 roku. Czarny lakier i chromowane listwy lśniły w świetle ulicznych latarni. Samochód był w równie idealnym stanie, jak wtedy gdy trzydzieści osiem lat wcześniej opuszczał salon w Sollentunie.

Mężczyzna siedzący za kierownicą włożył ciemne okulary i ściągnął na czoło kraciasty kaszkiet. Z wewnętrznej kieszeni palta z owczej wełny wyjął czarne rękawiczki samochodowe z cielej skóry, po czym starannie naciągnął je na dłonie. Przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik, sześćioipółlitrowy V8, zaryczał. Mężczyzna sięgnął do schowka i wyjął z niego niewielkie metalowe pudełeczko. Była w nim ampułka morfiny oraz stara metalowa strzykawka. Usunął osłonkę ochraniającą igłę i przebił ampułkę. Napełnił strzykawkę roztworem morfiny, uniósł ją do góry i ostrożnie wcisnął tłoczek, aż na czubku igły pojawiły się krople roztworu. Wtedy zakrył igłę kapturkiem i położył strzykawkę na konsoli między przednimi siedzeniami samochodu. Był gotowy, teraz pozostało mu tylko zwabić odpowiednią zwierzynę. Jedną z kandydatek na jego liście.

Dwadzieścia minut później czarny mercedes dotarł do centrum Sztokholmu. Po obu stronach głównej arterii dzielnicy Norrmalm wznosiły się opustoszałe o tej porze budynki biurowe. Żółte światło przednich reflektorów mercedesa padało na gładką jak lustro jezdnię, oświetlając stojące wzdłuż ścian domów dziewczęta, marznące w cienkich ubraniach. Wpatrywały się nieruchomo w samochód jak stado dzikich zwierząt, oślepionych światłem. Ich widok sprawił mężczyznę w radosne podniecenie. Zanucił coś cicho, bębniąc palcami w kierownicę. Kiedy dotarł mniej więcej do połowy Mäster Samuelsgatan, zjechał na bok. Z cienia wyszła szczupła blondynka na wysokich szpilkach. Podeszła do samochodu. Mężczyzna opuścił przednią szybę, dziewczyna pochyliła się i zajrzała do ciemnej kabiny samochodu.

— To znowu ty — mruknęła, nieco zawiedziona, żując gumę. — Znow chcesz tylko popatrzeć, czy może nabrałeś odwagi?

— Mogłabyś uprzejmie pokazać mi piersi? — spytał kryjący się w ciemnościach mężczyzna.

— Uprzejmie? — roześmiała się dziewczyna. — Niezły z ciebie dziwak.

Cofnęła się o kilka kroków i rozpięła cienką satynową kurtkę, obnażając piersi.

— Mam nadzieję, że nie jesteś *chubby chaser*, bobym się nie nadawała.

Dziewczyna ścisnęła niewielkie, nieco obwisłe piersi; brodawki zeszywniały.

— Wręcz przeciwnie — powiedział mężczyzna. — Lubię drobne dziewczyny. Twoja tkanka ma niską zawartość tłuszczu, to bardzo dobrze.

Otworzył drzwi samochodu, dziewczyna zapięła kurtkę i wsiadła, samochód ruszył. Dziewczyna wyciągnęła przerwatwę.

— Pięć stów i nie działam analnie, sprzedam...

— W porządku. Żadnych takich tam... Od dawna jesteś chora?

— O co ci chodzi?

— Od czasu, kiedy cię ostatnio widziałem, sporo zeszczuplałaś.

— Życie jest ciężkie — odparła dziewczyna bezdzwięcznym głosem, wyglądając przez boczną szybę. — Możemy pojechać za tory...

Wskazała na jedną z bocznych ulic, ale mężczyzna nie skręcił, tylko dalej jechał prosto. Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na niego.

— Znasz jakieś inne miejsce...?

— Pojedziemy do raju — powiedział i zanim zdążyła zareagować, wbił jej w udo igłę i docisnął tłoczek.

Skutek był natychmiastowy, dziewczyna skuliła się w fotelu. Mężczyzna odłożył strzykawkę na konsolę między siedzeniami i dłonią w rękawiczce pogładził swoją ofiarę po włosach.

— Słodkich snów...

Powoli wybudzała się z drzemki. Światło jarzeniówek na suficie oślepiło ją, zmrużyła oczy. Próbowwała wstać, ale mocne rzemienie, którymi jej nagie ciało było przywiązane do leżanki, trzymały mocno. Leżankę oparto o ścianę pod kątem czterdziestu pięciu stopni, dzięki czemu widziała całą piwnicę. Wzdłuż wszystkich ścian stały regały. Wąskie półki były zastawione najróżniejszymi szklanymi pojemnikami z kolorowymi płynami. Obok nich znajdowały się papierowe torby, z których wystawały gumowe węże i probówki. Zwróciła uwagę na słoiki stojące na najwyższej półce. W pierwszym była żaba w formalinie, obok stał słoik z wężem. Powoli docierało do niej, że w tych wszystkich naczyniach znajdują się ropuchy, żaby i inne gady. Wychyliła się nieco, żeby lepiej widzieć, i wtedy zauważyła wypchane zwierzęta, umieszczone na niższych półkach. Bażanty, kruki, wiewiórki, lisy, szczeniaki psa oraz dziwne, groteskowo wyglądające zwierzę, będące połączeniem sowy i zająca.

Przy stole w drugim końcu pomieszczenia stał mężczyzna w białym fartuchu. Był odwrócony do niej plecami. Cienką szklaną pipetą wlewał płyny do wąskiej, przezroczystej kolby; potem eleganckim ruchem dłoni zaczął je ostrożnie mieszać.

Dziewczyna pociągnęła za rzemienie, ale nie była w stanie się wyswobodzić.

— Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Kiedy mężczyzna odwrócił się do niej, zamarła ze zdumienia. Miał na sobie przydymione okulary ochronne i specjalną maseczkę, chroniącą usta i nos. Z kolbą w ręku ruszył w jej stronę.

Dziewczyna znów zaczęła się szarpać. Przeszywający ból w łonie sprawił, że spojrzała w dół. Zobaczyła tkwiącą w pachwinie wielką strzykawkę, podłączoną gumowym wężem do niewielkiego urządzenia, umieszczonego na stojącym obok stoliku na kółkach.

— Ratunku! — zawołała.

Nikt nie odpowiedział.

Mężczyzna położył jej dłoń na ramieniu.

— Proszę, zachowuj się spokojnie. Zrobisz sobie krzywdę — odezwał się. Maseczka sprawiała, że jego głos brzmiał głucho.

— Pozwól mi odejść — poprosiła dziewczyna, patrząc na niego błagalnie. — Nikomu nic nie powiem.

— Spokojnie!

Delikatnie poklepał ją po głowie. Odwrócił się, zerknął na stół i się pochylił. Trzy gumowe węże łączyły stojącą na stoliku aparaturę ze szklanymi pojemnikami, w których były rozmaite przezroczyste ciecz. Ostrożnie zaczął wlewać płyn z kolby do ostatniego pojemnika. Ciecz zmieniła kolor na lekko żółty.

— Puść mnie, proszę — szlochała dziewczyna.

Mężczyzna uniósł palec, próbując ją uciszyć.

— Proszę, nic teraz nie mów. Zakłócasz przebieg procesu.

Skupił się ponownie na aparaturze. Wystukał jakieś cyfry, aparat zaszumił, wbudowana pompka zaczęła pompować płyny.

— Puść mnie, psychopato! — krzyknęła dziewczyna.

— Twoje zachowanie jest nieodpowiednie — odparł mężczyzna spokojnie.

Zaczęła go wyzywać, czym doprowadziła do tego, że poirytowany wcisnął jeden z trzech zielonych guzików na klawiaturze. Gumowym węzem popłynęła przezroczysta ciecz. Dotarła do strzykawki tkwiącej w pachwinie dziewczyny. Jej działanie było natychmiastowe. Dziewczyna jęknęła, krzyki ustały. Jej wzrok stał się mętny, oblizwała usta, jak po dobrym posiłku.

— Co mi podałeś?

— Roztwór morfiny, sto pięćdziesiąt miligramów.

— Nie rób mi krzywdy — prosiła, szlochając. — Będę dla ciebie miła. Zobaczysz, pokażę ci sztuczki, jakich nigdy...

Mężczyzna pokiwał głową.

— Ciesz się, że w końcu próbujesz współpracować, to ułatwi i przyspieszy proces.

— Process — zachichotała dziewczyna.

Mężczyzna wstukał nową kombinację cyfr i wcisnął kolejny zielony guzik.

— Przykro mi, ale za chwilę odczujesz pewien dyskomfort.

— Przywykłam do różnych rzeczy — odpowiedziała dziewczyna, patrząc na niego tępym wzrokiem. — Co mi podajesz?

— Roztwór formaliny, kwasu solnego, cynku i...

— Co takiego?

Gumowym węzem popłynęła ciecz. Kiedy dotarła do żyły, ciałem dziewczyny wstrząsnęły silne skurcze, krzyknęła z bólu. Ponownie próbowała się oswobodzić, ale grube rzemienie trzymały mocno, wrzynały się w skórę. Z ust poleciała jej piana, spojrzała na mężczyznę przekrwionymi oczami.

— Spokojnie. Proces przebiega prawidłowo — powiedział, przyglądając się jej uważnie.

— Za chwilę będzie po wszystkim...

Mężczyzna spojrzął na zegarek; dziewczyna krzyczała, wydając niezrozumiałe dźwięki. Nagle jej ciało wygięło się w łuk, rzemienie zatrzeszczały, ale nie puściły. Dokładnie po czterdziestu trzech sekundach ciało się odprężyło. Mężczyzna wcisnął ostatni zielony guzik i podszedł do swej ofiary. Delikatnie wsunął niemal przegryziony język z powrotem do ust i zamknął jej oczy. Kiedy żółtawa ciecz dostała się do ciała dziewczyny, na jej twarz powrócił kolor, jakby nagle ożyła. Mężczyzna pogładził ją delikatnie po włosach i przyglądał się swojemu dziełu.

— Nareszcie — powiedział ze wzruszeniem.

W tym momencie kolor zniknął z twarzy trupa, skóra zabarwiła się na żółto. Mężczyzna zabrał rękę i wrócił pospiesznie do aparatury. Sprawdzał dane na wyświetlaczu.

— To nie może być prawda. To nie fair! — zawołał, bliski płaczu.

Zerknął na ciało, które w skąpym świetle wyglądało jak mumia. Przygnębiony, sięgnął do zwisającego z sufitu kołowrotka i przyciągnął go bliżej leżanki. Poluzował rzemienie, przytrzymujące ciało dziewczyny, umocował łańcuch pod jej biustem, zaczepił o hak kołowrotka i zaczął ciągnąć. Po chwili ciało znalazło się jakieś trzydzieści, czterdzieści centymetrów nad podłogą. Pchnął je i zaczął powoli przesuwając w stronę starej cynowej balii. Sięgnął po wiszący na haku skórzany fartuch, włożył go. Następnie otworzył drewnianą skrzynkę z narzędziami

i wyjął z niej markowy skalpel Havalon — na drewnianej ręczce widniał wyryty kozioł. Zmienił stare ostrze na nowe, dwudziestosześcimilimetrowe. Westchnął głęboko i znów spojrzął na ciało zwisające z kołowrotka. Niepowodzenie eksperymentu przysporzy mu teraz sporo pracy. Postanowił zacząć od lewej strony; zrobił głębokie nacięcie, luzując skórę twarzy.

Tydzień później mężczyzna stał przy blacie w mrocznej piwnicy, przypatrując się kawałkowi sztywnej pianki, który obrabiał w tokarce. Pianka miała kształt ręki, musiał jeszcze przetrzeć ją drobnoziarnistym papierem ściernym. Kiedy skończył, odmierzył kawałek od ramienia do łokcia. Sprawdził w notesie, w którym miał zapisane wszystkie pomiary. Jego praca wymagała dużej dokładności. Musiał zeszlifować jeszcze pół milimetra. Kiedy skończył, wyjął piankę z tokarki, odwrócił się i podszedł do stojącego obok regału modelu naturalnej wielkości. Model składał się z połączonych ze sobą kawałków pianki i przypominał nieco drewnianego pajacyka. Tylko twarz była oddana z większą precyzją. Rysy zmarłej dziewczyny były jak wyrzeźbione. Mężczyzna przykręcił rękę i wrócił do balii stojącej na podłodze obok stołu. W środku leżała wyprawiona skóra. Początkowo miał nadzieję, że uda mu się ją zdjąć w jednym kawałku, ale praca mu nie szła i musiał podzielić skórę na sześć mniejszych części. Prawdę mówiąc, nie miało to większego znaczenia, bo i tak zamierzał ją pobielić wapnem, żeby zakryć szwy. Schylił się, wyjął z cieczy jeden kawałek i podszedł z nim do modelu. Ostrożnie ułożył skórę na plecach, właściwie zarzucił ją, jakby to był płaszcz. Kiedy skóra wyschnie, skurczy się i wtedy będzie mógł ją dokładniej naciągnąć. Przyglądał się swojemu dziełu. Dziewczyna będzie ładniejsza niż za życia. Będzie się prezentować bardziej majestatycznie. Oczywiście, nie będzie idealna, próbował bowiem jedynie ratować sytuację. Chciał ukryć swoją porażkę. Doskonale o tym wiedział i było mu wstyd. Wierzył jednak, że w końcu uda mu się stworzyć wymarzone dzieło. Na szczęście miał długą listę kandydatek. Sztokholm był ich pełen. Pełen bezdomnych drobnych dziewcząt z Europy Wschodniej. Obiecał sobie, że następnym razem bardziej się przyłoży.

31.

Nocne niebo rozświetliły petardy. Miasto świętowało nastanie nowego roku. Kaskady złota, błękitu, zieleni i czerwieni sypały się na pokryte dymem dachy. W okolicach Norrmalm trwała kanonada, prostytutki i ich klienci wzdrygali się przy każdej kolejnej eksplozji. Na Malmskillnadsgatan samochody miały dziewczęta, głośno trąbiąc. Młodzi chłopcy w samochodach świetnie się bawili, przez opuszczone szyby wyzywali dziewczyny, przekrzykiwali się nawzajem. Kobiety odpowiadały im, czasem pluły za nimi, czasem im wygrażały.

Masza wysiadła z czerwonego audi.

— Szczęśliwego Nowego Roku! — zawołał za nią mężczyzna.

— Nawzajem — odpowiedziała.

Trzasnęła drzwiami i podeszła do Izy, stojącej w towarzystwie dwóch innych dziewczyn.

— Był wart zachodu? — spytała Iza.

— Cztery stowy. Ale dupek chciał oczywiście bez gumy. Bo przecież jest sylwester. Co to za argument? — pokręciła głową Masza.

— Zgodziłaś się?

— No wiesz? Aż taką kretynką nie jestem.

Wyjęła z kieszeni niewielką torebkę białego proszku.

— Zwinęłaś mu?

— *Yes!*

— Co to? — odezwała się Lulu, stojąca za ich plecami.

Masza znów pokręciła głową.

— Jeśli wygląda na kokę, to znaczy, że...

— Że to jest koka — dokończyła Iza. — Poczęstujesz?

Wysypały biały proszek na małe lusterko Lulu, wciągnęły działkę.

Iza skrzywiła się i sięgnęła do torby po napoczętą butelkę smirnoffa. Podała koleżankom.

— Że też odważyłaś się pójść do Slavrosa. Szacun. Tym bardziej że chodziło o tę czarnuchę. Slavros nie lubi, kiedy ktoś miesza się w nie swoje sprawy.

— Chrzanić Slavrosa — Masza pociągnęła łyk z butelki.

Dziewczyny roześmiały się nerwowo, jakby się bały, że Slavros usłyszy je w swoim pokoju w klubie.

— Gdzie jest Tabitha? — spytała Masza.

Rozejrzała się, ale nigdzie jej nie dostrzegła.

— Pojechała z klientem — odpowiedziała Lulu.

— Mam nadzieję, że nie z tym od mercedesa?

— Z kim?

— Z tym facetem w czarnym mercedesie. Tym świrem, co tu się czai od czasu do czasu.

Ostrzegałam was przed nim!

— A który z nich nie jest świrem? I wszyscy się czają — stwierdziła Iza, sięgając po butelkę.

— Tamten jest inny. To... — zaczęła Masza i urwała. Poczowała suchość w gardle, kokaina najwyraźniej przestawała działać. — To diabeł wcielony — dokończyła po dłuższej chwili.

— Uspokój się. To była furgonetka — powiedziała Lulu. — Wsiadła do furgonetki. Ledwie się wdrapała, widać było, że ją boli. Nie doszła jeszcze do siebie po tej skrobance.

— Nie używaj tego słowa, Lulu. Na samą myśl wszystko zaczyna mnie boleć...

W tym momencie na chodniku obok nich wylądowała puszka z reszką piwa, obryzgując je pianą.

— Szczęśliwego Nowego Roku, dziwki! — wrzasnął przyszczaty chłopak przez opuszczoną szybę.

Jego kumpel docisnął gaz i odjechali. Iza rzuciła za nimi pustą butelką po wódce, ale nie trafiła. Narobiła hałasu, jednak nikt nie zareagował. Nawet ludzie Slavrosa, przebywający w knajpie po drugiej stronie ulicy. Siedzieli, patrząc tępo przez okno. Palili papierosa za papierosem i czekali, aż minie noc.

— Mam jeszcze coś do picia — odezwała się Lulu, wyciągając z kieszeni kurtki butelkę tullamore dew.

Gdzieś w oddali rozległ się pisk opon, zza rogu z dużą prędkością wyjechał samochód. Masza odwróciła się i zobaczyła jadącą w ich stronę żółtą furgonetkę.

— Gliniarze go gonią czy co? — rzuciła Iza.

Furgonetka podjechała bliżej, kierowca ostro zahamował i wóz wpadł w lekki poślizg. Masza zauważyła krwawy ślad ręki na drzwiach od strony pasażera. Kierowca, niski, pulchny mężczyzna w sztruksowych spodniach, wyskoczył z samochodu. Miał rozpięty rozporek, spodnie mu opadały, przydeptywał sobie nogawki.

— Coś z nią jest nie tak — wyjąkał, przeciągając ręką po długich, zmierzwionych włosach. — Bardzo nie tak.

Masza i pozostałe dziewczęta cofnęły się, mężczyzna okrążył furgonetkę.

— Musicie zająć się koleżanką — powiedział.

Otworzył drzwi od strony pasażera, te z krwawym śladem ręki. W środku na siedzeniu leżała Tabitha. Nie dawała znaku życia. Mężczyzna chwycił ją i zaczął wyciągać z kabiny. Po zewnętrznej stronie uda dziewczyny spływała strużka krwi. Mężczyzna położył ją na chodniku.

— Musicie się nią zająć! — zawołał.

Dziewczyny stały nieruchomo i wpatrywały się w Tabithę, wokół której powstawała kałuża krwi.

— Co jej zrobiłeś? — spytała Masza.

— Nic! Nie zdążyliśmy nawet zacząć, kiedy nagle... coś się stało — powiedział mężczyzna i skierował się w stronę samochodu.

— Musisz zawieźć ją na pogotowie! — krzyknęła za nim Masza.

— Nie mieszajcie mnie do tego!

— Musisz jej pomóc, bydlaku!

— Daj mi spokój! Przywiozłem ją tutaj, chociaż równie dobrze mogłem ją zostawić przy torach.

Mężczyzna wskoczył do wozu, zatraskując za sobą drzwi. Dodał gazu i ruszył przed siebie.

— Nie żyje? — spytała Lulu. Przerażona zasłoniła usta dłonią.

— Jeśli tak wygląda, to pewno tak jest — mruknęła Iza.

Masza przykucnęła i dotknęła dłoni Tabithy. Była zimna. Potrząsnęła nią lekko, wymówiła jej imię, ale nie doczekała się żadnej reakcji.

Wokół nich zaczął się zbierać wianuszek ciekawskich. Po chwili zjawili się ludzie Slavrosa i kazali wszystkim odsunąć się od Tabithy. Masza poczuła, że ktoś kładzie jej rękę na ramieniu.

- Chodź, idziemy stąd — usłyszała.
- Ale przecież nie możemy jej tak zostawić...
- Idziemy — przerwał jej Michał i pociągnął ją za sobą.

„2011. Pierwszy dzień nowego roku. Roku, który zapowiada się równie podle, jak poprzedni. Nikt nic nie mówi. Nikt nie wie, co się stało z Tabithą. Nikt nie chce wiedzieć. Śniła mi się dzisiaj. Wyglądała jak anioł. Czarny anioł z orszaku świętej Łucji. Uśmiechała się i sprawiała wrażenie zadowolonej. Nucila coś. Powiedziała mi «okej» i uśmiechnęła się. «Okej, wszystko jest okej», nucila na tle przesuwających się chmur. Ale ja wiem, że nic nie jest okej. Wiem, że 2011 rok będzie rokiem przeklętym. Boję się, mam. Cholernie się boję tego, co może się wydarzyć. Bo to, co mnie czeka...”

32.

Późnym popołudniem na nabrzeżu ukazał się niebieski golf, służbowy wóz wydziału dochodzeniowego. Zatrzymał się na wysokości „Bianki”. Ze swojego miejsca na tylnym pokładzie Thomas zobaczył, jak wysiadają z niego Mikkel i Melby. Ponieważ nie chciał, żeby wchodzili na pokład, postanowił wyjść im naprzeciw. Zszedł na nabrzeże, przybił piątkę z Mikkelem i spojrzał na Melby’ego, który lekko skinął mu głową zza maski samochodu.

— Dowiedziałeś się czegoś? — spytał Mikkela.

— Niczego specjalnego.

— Igor kłamał?

Mikkel pokręcił głową.

— Nie mamy powodu, żeby tak sądzić. Chodzą słuchy, że u Kaminskiego rzeczywiście gra się czasem o duże pieniądze. Niewykluczone, że brał udział w takiej grze.

— Czemu już dawno nie zamknęliście tej speluny?

— Bo kiedy się zjawiamy, zawsze udaje im się ukryć gdzieś forszę — powiedział Melby.

— To twoja łódź? — spytał, wskazując na „Biancę”.

— Tak.

— Przydałoby się pociągnąć ją farbą. — Melby uśmiechnął się głupio.

Thomas zignorował uwagę i spojrzał na Mikkela.

— Myślisz, że Kaminski może coś wiedzieć o Maszy? Da się z niego coś wyciągnąć?

Mikkel wzruszył ramionami.

— Rusczy nie należą do najbardziej gadatliwych. Kiedy zgarniamy ich na przesłuchanie, spuszczaają żelazną kurtynę.

— A Milan?

Mikkel pokręcił głową.

— Sprawdziliśmy. Nic na niego nie mamy.

— Lucian?

— Też nic.

— Slavros?

— Slavros to bardzo niegrzeczny chłopiec — zaczął Melby. — Weteran wojny w Czeczenii. Podobno wyprawiał tam straszne rzeczy. Robi interesy w całej Europie. Interpol od dawna go szuka. Bez skutku, facet jest sprytny.

— Jakie interesy robi?

— Handluje bronią, narkotykami i ludźmi. Jednak do tej pory nikomu nie udało się go na niczym złapać. Jest świetnie zorganizowany i trzyma dyscyplinę.

— Wiadomo przynajmniej, gdzie przebywa?

— Ma rodzinę w Szwecji, jest właścicielem kilku klubów ze striptizem w Sztokholmie. Może więc jest gdzieś w Szwecji. Ale pewnie się przemieszcza.

— Szwedzi mają coś na niego?

— Rok temu był zamieszany w incydent z udziałem prostytutek z Europy Wschodniej. Jedna z dziewczyn zmarła w tajemniczych okolicznościach na terenie dworca kolejowego, ale nie wszczęto nawet dochodzenia.

— Slavros mnie nie obchodzi, obchodzi mnie Masza.

— Mamy informacje o kilku przypadkach zniknięcia prostytutek. Sztokholm nie jest bezpiecznym miejscem dla takich dziewczyn jak Masza.

— Kopenhaga jest niewiele lepsza.

Mikkel wzruszył ramionami.

— Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, nie sądzę, aby istniało jakieś prawdopodobieństwo, że się odnajdzie. Pewnie dawno już stała się pozycją w statystykach.

— Jakich statystykach?

— Tych, które pokazują, że co miesiąc ponad pięć tysięcy młodych kobiet, pełnych nadziei, przekracza granice Unii Europejskiej. Większość z nich wraca po jakimś czasie do domu, ale niektóre po prostu znikają z powierzchni ziemi. I nigdy nie zostają odnalezione.

— Sporo panienek, niektóre nawet bardzo ładne — roześmiał się Melby.

W tym momencie odezwała się jego komórka. Odwrócił się i odebrał.

Thomas spojrzął na Mikkela.

— Miałeś przyjść sam.

— Melby ma rozeznanie w tych kręgach — odpowiedział policjant, jakby chciał się wytłumaczyć. — Kiedy wrócisz do wydziału? — spytał, zmieniając temat.

— Nie jestem pewien, czy w ogóle wrócę.

— Dlaczego?

— Nie widzę w tym żadnego sensu.

— A w tym, co teraz robisz, widzisz?

Thomas spojrzął na kanał.

— Nie, właściwie też nie. Dlatego zamierzam z tym skończyć.

Mikkel przyglądał mu się przez chwilę.

— Wyglądasz jak...

— Wiem.

— Jak myślisz, co powiedziała by Eva, gdyby cię teraz zobaczyła?

— Przestań, Mikkel. Nie dręcz mnie.

Mikkel kopnął kilka kamyków.

— Przepraszam. Chcę tylko, żebyś wiedział, że brakuje nam ciebie.

Melby zagwizdał.

— Mamy robotę — zawołał, wsiadając do samochodu.

Mikkel odwrócił się i chciał odejść, ale Thomas złapał go za rękę.

— A co z Igorem?

— To znaczy?

— Temu palantowi nie powinno się upiec.

— Co chcesz, żebym zrobił?

— Spuściłem mu w kiblku co najmniej trzydzieści gramów koki. Podejrzewam, że wkrótce załatwi sobie nowy towar.

— Więc wkrótce go odwiedzę — powiedział Mikkel i oswobodził rękę.

— Dzięki — mruknął Thomas. — Zajrzyj pod łóżko.

— Na razie, Ravn — rzucił policjant, ruszając w stronę samochodu.

Pół godziny później Thomas udał się do Wydry. Opowiedział Johnsonowi, czego się dowiedział. Johnson słuchał w milczeniu i robił wrażenie coraz bardziej zasmuconego.

— Cokolwiek się stanie, Igorowi i tak się upiecze — powiedział, upijając łyk kawy.

— Powinno się go powiesić za jaja.

— Całkowicie się z tobą zgadzam — przytaknął Thomas. — Życie jest do dupy.

— Powinniśmy odwiedzić gościa. Dać mu do zrozumienia, że takich rzeczy się nie robi.

Thomas wypił łyk piwa.

— Igor będzie miał za swoje. Mikkel i technicy dobiorą mu się do tyłka. Jeśli cokolwiek znajdą, koleś zostanie deportowany.

— To i tak za mało. Takie jest moje zdanie.

Johnson pokręcił głową i sięgnął po paczkę papierosów. Zapalił i wydmuchał chmurę dymu.

— Czy to znaczy, że ona jest gdzieś w Szwecji?

— Kto wie? Niewykluczone. Tak czy inaczej, podejrzewam, że w Danii jej nie ma.

Johnson podrapał się po głowie.

— Nie wiem, co powiedzieć Nadii. Nie pojechałbyś ze mną?

Thomas spojrział na niego zdziwiony.

— Ja? Co ci przyszło do głowy, na litość boską?

— Nie uczyli was tego?

— Czego?

Johnson znów zaciągnął się papierosem.

— Jak przekazywać złe wiadomości.

Thomas pokręcił głową.

— Tego nie można się nauczyć.

— Pomyślałem, że jako gliniarz masz doświadczenie w tego typu sprawach. Bo, jak już uzgodniliśmy, życie jest do dupy.

— To prawda, ale to nie ja mam jej to powiedzieć. — Thomas odstawił piwo i westchnął głęboko. — Mogę tylko powtórzyć, że życie jest do dupy, Johnson. Z drugiej strony możesz oszczędzić jej niektórych szczegółów.

— Co masz na myśli?

— Powiedz jej coś pozytywnego.

— Czyli?

— Powiedz, że Masza ruszyła w świat szukać szczęścia. W pewnym sensie to prawda.

— Oszalałeś? — Johnson spojrział na niego z niesmakiem i zgasił papierosa w popielnicze. — Miałbym kłamać jej prosto w twarz?

— Próbuję ułatwić ci zadanie.

— Bardzo dziękuję. W takich sytuacjach trzeba ludziom mówić prawdę, Ravn

— powiedział Johnson, sięgając po kolejnego papierosa. — Nic innego się nie sprawdza.

— W porządku. Tylko mnie w to nie wciągaj — zastrzegł się Thomas, dopijając piwo.

33.

„Na Malmskillnadsgatan nie ma już dziewczyn. Samochody byków zastąpiły policyjne radiowozy, jedne z kogutem, inne bez. Nawet nie wiedziałam, jak ta ulica się nazywa, dopóki nie zaczęli o niej mówić w telewizji. Normalna ulica, taka jak wszystkie. A teraz wszędzie o nas głośno. W wiadomościach na okrągło podają, kogo zatrzymano, kogo deportowano. Podobno w tym kraju kupowanie seksu jest zakazane. Ha! Dobry żart! Przecież wiem, ilu byków obsługujemy. We wczorajszych wiadomościach jakaś pani minister stała dokładnie w miejscu, w którym leżała Tabitha. Pani minister rozwodziła się nad tym, ilu gliniarzy wysłali na ulice, opowiadała różne bzdury, nie wszystko do końca zrozumiałam. A co z nami? Kto nam pomoże?

Poza tym nic nie zmienia faktu, że niewiele brakowało, a Tabitha przejechałaby się na tamtą stronę. Teraz leży nieprzytomna w szpitalu. Pewnie Slavros w końcu jej odpuścił, skasował jej dług, ale pewności nie mam. Biedna Tabitha. Nigdy nie była szczególnie bystra, ale bycie warzywkiem to nie jest przyjemna perspektywa”.

Masza, Lulu i Iza siedziały w Key Clubie, w boksie najbardziej oddalonym od sceny. Iza wydmuchiwała leniwie kłęby dymu, wyraźnie widoczne w niebieskim świetle reflektorów. Na scenie tańczyła jedna z nowych dziewczyn. Wiła się wokół rury, wysunęła do przodu silikonowe piersi i zakończyła szpagatem na podłodze. Nikt jednak nie docenił jej wysiłków, bo z klubu wymiotło wszystkich klientów.

— Myślicie, że kiedyś wrócą? — rzuciła Masza, rozglądając się po pustym lokalu.

— Kto? Byki? — spytała Iza. — Pewnie się pojawią, kiedy wszystko się uspokoi. Fiutki same znajdą drogę. Na razie jednak strach bierze górę nad chucią.

— Są żałośni! — roześmiała się Lulu.

— Ale brakuje ci ich? — odezwała się Iza.

— Ich pieniędzy, tylko ich pieniędzy.

— O tym mówię, kretynko.

Iza wzięła torebkę i odeszła od stolika.

— Potrzebuję działeczki — wymruczała Masza pod nosem.

Spojrzała w stronę baru, przy którym Slavros krzyczał na barmana. Nie słyszała dokładnie słów, ale widziała, jak Slavros raz za razem uderza faceta w kark. Teraz gdy nie zarabiał, stał się jeszcze bardziej kłótlivy i złośliwy niż wcześniej. Masza starała się trzymać od niego z daleka. Zgasiła papierosa i natychmiast zapaliła kolejnego. Pomyślała, że muszą być dla niego dużym obciążeniem, skoro nie mógł ich wysłać na ulicę, a klub świecił pustkami. Poza tym istniało ryzyko, że gliniarze zrobią nalot na lokal. Ostatnio zdarzyło się to w kilku innych klubach w mieście. Rozumiała frustrację Slavrosa, groziło mu nawet kilka lat za kratkami. Poza tym, jeśli sytuacja będzie się przedłużać, będzie musiał podjąć jakieś decyzje, żeby ograniczyć straty. Niewykлучone, że odpuści im długi i pozwoli odejść, bo nie będzie chciał ryzykować, że wpadną w ręce gliniarzy. Uśmiechnęła się do siebie. Może jednak coś dobrego z tego wszystkiego wyniknie, pomyślała. Oczywiście nie dla Tabithy, ale może...

Sekundę później otworzyły się drzwi na korytarz i do klubu wpadł Michaił.

— Gliny! — wrzasnął zdyszany. — Gliny idą!

Muzyka zamarła, zapalono światła. Powstała panika. Striptizerki zeskoczyły ze sceny,

chwyciły porozrzucane ubrania i zaczęły biec na górę. Masza, Lulu i Iza ruszyły za nimi, pospieszane przez Slavrosa i jego ludzi. Na szczęście były przygotowane na taką sytuację, w pokojach stały spakowane torby z ich rzeczami. Były gotowe do ucieczki.

Masza wpadła do pokoju, zrzuciła szpilki, włożyła buty bez obcasów, chwyciła palto oraz stojącą na łóżku czarną torbę Nike i wybiegła na korytarz. Z dołu dochodziły krzyki, odgłosy tłuczonego szkła i przewracanych mebli. Słyszała, jak gliniarze krzyczą, że wszyscy mają się położyć na podłodze. Podążyła za innymi dziewczynami, które rzuciły się na schody prowadzące na strych.

— *Go, go, go...* — słychać było w ciemnościach.

Biegająca przed Maszą Iza potknęła się. Masza chwyciła ją za rękę i podtrzymała.

— Dzięki — rzuciła Iza, przerażona.

Po chwili były już na strychu. Szybko przeszły na drugą stronę pomieszczenia, skąd mogły przejść na korytarz sąsiedniej posesji i zejść tylnymi schodami na podwórze. Zaczęły zbiegać wąską klatką schodową. Jakiś siwy starszy mężczyzna w poplamionym podkoszulku otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Na widok gromady kobiet otworzył szeroko oczy ze zdziwienia i pospiesznie zamknął drzwi. Za moment pewnie zadzwoni na policję.

Masza i pozostałe dziewczyny wyszły na ciemne podwórko. Uderzył je nocny chłód. Od strony ulicy dochodził ryk syren policyjnych.

— *Go, go, go...* — rozległo się znów za nimi.

Po chwili zostały wepchnięte do dwóch furgonetek, a kilka minut później minęły policyjne radiowozy, stojące przed klubem.

Masza razem z innymi leżała na podłodze samochodu. Ciemne nocne niebo rozświetlały światła radiowozów i reflektory stacji telewizyjnych.

Slavros został wyprowadzony w kajdankach. Umundurowany funkcjonariusz pomachał niecierpliwie kierowcom furgonetek, nakazując im jechać dalej. Masza i dziewczyny minęły spokojnie klub.

W pustym mieszkaniu panowało przejmujące zimno. Naga żarówka u sufitu rzucała blade światło na siedzące na podłodze dziewczyny. Z mieszkania obok dobiegały podniesione głosy, w mieszkaniu piętro niżej ktoś słuchał muzyki na pełny regulator, słychać było dudnienie basów. Michaił i drugi mężczyzna zaczęli rozdzielać dziewczynom koce. Masza otuliła się szczelnie, mimo że koc śmierdział kocimi szczynami.

— *No noise, no light, see you tomorrow* — powiedział Michaił.

Zgasił światło i po chwili zniknął razem z drugim mężczyzną.

Masza wpatrywała się w ciemność. Słyszała, jak cichną kroki mężczyzn. Kiedy trochę się rozgrzała, wstała i włączyła światło. Kilka dziewcząt zaczęło protestować, powtarzając słowa mężczyzn.

— Zamknijcie się! — uciszyła je Iza.

Masza podeszła do okna, zapaliła papierosa i wyjrzała na ulicę. Mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze, miała widok na całe Rinkeby. Bloki wyglądały jak jarzące się w ciemnościach silosy.

— Powinniśmy dać nogę — usłyszała za sobą głos Lulu.

— I dokąd pójść? — spytała Iza. — Slavros nie pozwoli nam odejść, dopóki nie spłacimy długów.

— Może być do tego zmuszony — odezwała się Masza.

— Jak to?

— Wkrótce się okaże.

Masza zgasiła papierosa na parapecie i usiadła na podłodze. Zamknęła oczy, próbując odseparować się od wszystkiego, jak to zwykle robiła, kiedy była z bykami. Po części jej się udało, powoli zapadła w drzemkę.

Następnego ranka Michaił wrócił razem z dwoma innymi mężczyznami. Wydarzenia ostatniej nocy postarzyły go o dobre dziesięć lat. Zaklaskał w dłonie, aż echo poniosło. Dziewczyny, które nie wszystkie jeszcze do końca się rozbudziły, zaczęły powoli dochodzić do siebie.

— Znaleźliśmy się w kiepskiej sytuacji — zaczął z silnym rosyjskim akcentem, przyglądając im się uważnie. — Gliny zamknęły Key Club. Slavros został aresztowany. Oskarżyli go o wszystko, co możliwe. Niech to szlag. Teraz gliniarze szukają was.

Dziewczyny spojrzały po sobie i przestraszone zaczęły wymieniać się uwagami.

— Cisza! Słuchajcie mnie uważnie. Żadna z was nie pracowała dla Slavrosa. Jeśli ktoś, obojętnie kto, zacznie was wypytywać, macie mówić, że go nie znacie. Nigdy go nie spotkałyście. Jesteście po prostu turystkami. W drodze do domu.

Iza nachyliła się do Maszy.

— Chyba masz rację — powiedziała cicho. — Puści nas...

Masza się uśmiechnęła; była spokojna.

— Jeśli któraś doniesie na Slavrosa, osobiście się nią zajmę. Rodzona mamusia jej nie pozna, rozumiemy się?

W pokoju rozległy się ciche głosy, dziewczyny kiwały głowami.

— Kiedy będziemy mogły wyjść z tej nory? — spytała Iza.

Michaił odwrócił się do niej.

— O co ci chodzi? Zaraz dostaniecie jedzenie i kawę. Później załatwimy wam jakieś materace.

Iza spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Chcesz powiedzieć, że mamy ściągać tu klientów?

— Oczywiście, że nie. W ciągu tygodnia znajdziemy wam wszystkim pracę w solariach na mieście.

— W solariach? — spytała Masza zdziwiona.

Michaił pokiwał głową.

— Arkan ma całą sieć. Dwadzieścia pięć salonów, każdy z zapleczem. Gliny nie mają pojęcia, co tam się dzieje, ale klienci tak. Dawno już nie było tak wielu chętnych na słońce — roześmiał się, zadowolony ze swojego dowcipu.

— Kto to jest Arkan? — spytała Masza.

— Wasz nowy szef. Slavros wszystko z nim załatwił. Nie macie powodu do zmartwienia. Będziecie dobrze zarabiać.

— Przejął rachunki?

— Rachunki? O czym ty mówisz? — zirytował się Michaił.

— Czy Arkan wie, ile która z nas wisi Slavrosowi?

Michaił pokręcił głową.

— Źle mnie zrozumiałaś. Zaczynamy wszystko od początku. Dług każdej z was został ustalony na dziesięć tysięcy euro — powiedział, wzruszając ramionami.

Masza wstała, koc spadł jej z ramion.

— Nikomu nie jestem tyle winna. Mój dług wynosi cztery tysiące. Koniec, kropka.

— Od dzisiaj wynosi dziesięć tysięcy. Siadaj!

— Chrzęć się! Mam rachunki ze Slavrosem. Cztery tysiaki i ani grosza więcej.

Oczy Michaiła ciskały gromy.

— Slavros niczego takiego mi nie przekazał. Wszystkie wisicie po równo. Wszyscy siedzimy w tej samej łodzi. Dlaczego ciebie miałyby obowiązywać inne zasady?

— Bo mam swoje rozliczenia ze Slavrosem. Bo przynoszę mu więcej kasy niż inne — powiedziała, wskazując na siedzące w pokoju dziewczyny. — Rozumiesz?

Michaiłowi zaczęła drżeć powieka. Podeszedł, chwycił ją za szyję i przycisnął do ściany. Uderzyła o nią głową.

— Mam dosyć twojego biadolenia! Czy to jasne, czy mam ci to dać wyraźniej do zrozumienia? — Wyjął cienki nóż i dotknął czubkiem jej policzka tuż pod prawym okiem. — Ile teraz jesteś nam winna? Możesz mi powiedzieć? — wysyczał.

— Tyle... ile powiedziałaś.

— Bardzo dobra odpowiedź. Zamierzasz dalej marudzić?

— Nie. — Masza przełknęła ślinę.

Michaił odsunął nóż od jej twarzy.

— Jednak masz trochę rozumu.

Dziewczyna dotknęła ręką szyi i gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

— Siadaj! — rozkazał Michaił, wskazując ręką koc.

Masza posłusznie wykonała polecenie.

Michaił spojrział na dziewczyny, złożył nóż i schował go do kieszeni. Widać było, że napawa się ich strachem.

— Pamiętajcie: nie znacie żadnego Slavrosa.

Dziewczyny skinęły głowami, Michaił uśmiechnął się chłodno.

— Za tydzień wszystko będzie jak dawniej. Tylko spokojnie. Spokojnie.

34.

Był wczesny ranek. Nad kanałem Christianshavn niedawno wstało słońce. Thomas stał na pomoście nawigacyjnym i spoglądał w dół. Nałożył na pomost grubą warstwę mydła, mając nadzieję, że uda mu się pozbyć zielonego nalotu, który niczym dywan pokrywał deski pokładu. Sięgnął po szczotkę i zaczął szorować.

— Wcześniej zaczynasz, Ravn — zawołał Eduardo ze swojego kecza.

Stał w kokpicie, ubrany jedynie w spodnie od dresu, i ziewając, drapał się po brzuchu.

— Myjesz łajbę?

— Najwyższa pora.

— O wpół do siódmej rano?

— Przepraszam, jeśli cię obudziłem. Nie mogłem spać, więc wstałem.

— *No problema*. Zresztą już widać różnicę — oświadczył Eduardo, wskazując na pokład.

— Jeszcze trochę, a odzyska dawną urodę.

Thomas pokiwał głową.

— Jej właściciel na pewno o to zadba.

— Zamierzasz ją sprzedać?

— Tak, chyba się poddałem — powiedział Thomas. Przerwał pracę i spojrzał na przyjaciela. — Zamierzam przenieść się do mieszkania.

— Super. Ale to nie powód, żeby sprzedawać „Biancę”.

— Mam wrażenie, że nie ogarniam wszystkiego. A szkoda, żeby tkwiła tu i się marnowała. Zasłużyła na lepszy los.

— Ale przecież lubisz swoją łajbę.

— To prawda.

Thomas wylał na pokład trochę wody z wiadra.

— Poza tym twoje miejsce jest tutaj — ciągnął Eduardo, niezrażony.

Thomas nie odpowiedział. Zaczął szorować pokład.

Eduardo przetarł oczy.

— Chętnie pomogę ci doprowadzić ją do porządku.

— Dziękuję, ale mam wrażenie, że ona wymaga nieco więcej pracy i czasu, niż obaj jesteśmy w stanie jej poświęcić. Prawie nic tu nie działa tak jak trzeba.

— Jest aż tak źle?

Eduardo stanął na palcach, jakby chciał się lepiej przyjrzeć łodzi.

— Tylne pokłady jest cały przegniły. Silnik padł, a z prądem sam wiesz, jak jest

— powiedział Thomas, wskazując na skrzynkę na nabrzeżu. — Pacjent ledwie dyszy — dodał.

— Nadal uważam, że nie powinienesz jej sprzedawać. Gdybyś potrzebował pomocy, daj znać.

— Rozpuść wici. Tanio ją sprzedam.

Eduardo pozdrowił go i zniknął w kajucie.

Thomas wylał na pokład ciepłą wodę z wiadra. Zaczęła parować.

Mimo że planowany wielki rejs nigdy się nie odbył, uderzyło go, jak wiele jego dobrych wspomnień wiązało się z „Biancą”. To było ich miejsce w środku miasta. Jego i Evy. Rodzaj działki pływającej na wodzie. Na pokładzie pili białe wino i jedli kielbaski z grilla.

Kiedy skończył szorować pomost, wziął się do czyszczenia drewnianego relingu. Mimo chłodnego wiatru pocił się, w końcu zrzucił kurtkę. Koło południa reling był już oczyszczony. Znalazł wiaderko z olejem lnianym i podważył pokrywę śrubokrętem. Tłusta woń oleju mieszała się z zapachem morza. Poczul na policzkach promienie słońca, zamknął oczy i rozkoszował się chwilą. Czuł, że fizyczna praca dobrze mu zrobiła. Pomyślał, że jeśli nie zacznie padać, zdąży pociągnąć reling olejem, zanim zrobi się ciemno.

— Thomas Ravns... holdt? — usłyszał nagle z nabrzeża.

Uniósł głowę i zobaczył starszą kobietę, która stała pochylona, walcząc z wiatrem. Minęła chwila, zanim rozpoznał matkę Maszy.

— Johnson powiedział mi, gdzie znajdę pana łódź.

— W porządku — uśmiechnął się Thomas. — Wejdzie pani tutaj?

Kobieta zerknęła niepewnie na pokład leżący dobre półtora metra niżej. Pokręciła głową przecząco. — Nie, dziękuję. Nie chcę być nachalna. Przyszłam, żeby podziękować za informacje o mojej córce.

— Przykro mi, że tak niewiele mogłem zrobić — powiedział Thomas i ponownie się uśmiechnął.

Nadia stała w milczeniu. Po dłuższej chwili Thomas spytał, czy jest jeszcze coś, w czym mógłby jej pomóc.

— Tak... — zaczęła z lekkim wahaniem. — Chciałabym nawiązać kontakt z córką.

— Oczywiście, doskonale to rozumiem, ale...

— Johnson powiedział, że mieszka teraz w Szwecji. Tylko gdzie?

To niespodziewane pytanie zaskoczyło Thomasa. Podrapał się w kark.

— Dokładnie nie wiem... Chyba w Sztokholmie.

— Ma pan jej adres?

— Nie. Co dokładnie przekazał pani Johnson?

— Że Masza jest w Szwecji. Że wyjechała, żeby zobaczyć kawałek świata. Podobno pracuje dla kogoś bardzo ważnego. Zna go pan?

Thomas przełknął ślinę.

— Nie, niestety nie — odparł, przeklinając w duszy Johnsona.

— Więc nie ma pan jej adresu?

— Przykro mi.

— Ale Johnson mówił... — Nadia zamilkła, patrzyła na niego z rozpaczą. — Coś jej się przytrafiło, tak? Coś, o czym Johnson mi nie powiedział?

— Nie, nie sądzę — zaprzeczył pospiesznie Thomas. Podszedł do burty i spojrzał na kobietę. — Po prostu sytuacja jest nieco skomplikowana.

— Masza jest w niebezpieczeństwie?

— Szczerze mówiąc, nie wiem.

— Ale zna pan mężczyznę, dla którego pracuje? Widziałam to w pana oczach. Nie potrafi pan kłamać.

— Nie znam go, ale słyszałem o nim. Nazywa się Slavros. Jest kryminalistą, ale to jeszcze o niczym nie przesądza.

— Johnson mówił, że Masza opiekuje się jego dziećmi.

— Johnson mówi różne rzeczy — zaczął Thomas, nieco poirytowany, szybko jednak się opanował. — Przykro mi, że nie mogę pani pomóc. Musi pani czekać, aż córka wróci.

Nadia zaczęła płakać.

— Ona nie wróci. Czuję to.

Thomas nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Stał i wyłamywał palce.

Nadia otarła łzy.

— Mógłby pan tam pojechać?

— Dokąd?

— Do Sztokholmu. Poszukać Maszy.

— Przykro mi — powtórzył Thomas, uśmiechając się niepewnie.

— Pokryję koszty podróży. Zapłacę panu. To nie problem. Mam oszczędności.

— Nie chodzi o pieniądze. Po prostu nie mam czasu.

— Zapłacę za pana czas.

— Nie wiem, gdzie ona jest. To wcale nie jest pewne, że w Sztokholmie.

— Może pan spróbować ją odszukać. Tak jak tutaj. Na pewno ją pan odnajdzie. Jestem tego pewna.

Nadia sprawiała wrażenie zdesperowanej. Nie, do cholery, nie zamierzał mówić, że jej córka została sprzedana jakiemuś alfonsowi i prawdę mówiąc, wcale nie ma pewności, czy jeszcze żyje. Być może Johnson sądził, że uda mu się zepchnąć wszystko na niego, ale jeśli tak, to się mylił. Z drugiej strony nie chciał zostawiać Nadii samej. Zasłużyła na to, by poznać prawdę. Odwrócił się i sięgnął po kurtkę, która wisiała na klamce drzwi do kajuty.

— Pomoże mi pan? — spytała Nadia z błyszczącymi oczami.

— Chodźmy do Johnsona.

35.

Thomas otworzył drzwi do Wydry. Pierwsi wieczorni goście zdążyli już zająć miejsca przy stolikach pod oknem, słychać było ciche rozmowy. Nadia podążyła za nim do baru, gdzie Johnson stał i czytał gazetę. Uniósł głowę, na ich widok drgnęła mu nerwowo powieka.

Thomas wysunął stołek barowy i wskazał go Nadii. Kobieta pokręciła głową. Stała obok, ściskając kurczowo torebkę. Thomas usiadł na wolnym stołku.

— Napije się pani czegoś?

— Nie — odpowiedziała Nadia, zmieszana.

Thomas wzruszył ramionami i zamówił piwo. Johnson sięgnął po butelkę, otworzył i postawił przed nim. Thomas wziął ją i zaczął obracać w ręku. Cały czas patrzył na Johnsona. Żaden z nich się nie odezwał. W końcu Thomas uniósł butelkę do ust i wypił łyk.

— O co chodzi? — nie wytrzymał Johnson, spoglądając to na Thomasa, to na Nadię.

Kobieta szybko spuściła głowę i zaczęła się wpatrywać w czubki swoich butów.

— Rozumiem, że wytłumaczyłeś Nadii okoliczności zniknięcia Maszy — zapytał Thomas, stawiając butelkę na blacie baru.

— Tak, na tyle, na ile mogłem.

Johnson wziął do ręki ścierkę i zaczął pucować szklanki.

— A więc Masza jest w Szwecji, prawdopodobnie w Sztokholmie.

— Dostałem tę informację od ciebie, Ravn. Tak czy inaczej, dobrze, że uwolniła się od tego Igora — zwrócił się do Nadii.

Nadia nie odpowiedziała.

— A czym się tam zajmuje? — nie odpuszczał Thomas.

Johnson zamrugał.

— Przecież wiesz...

— Odśwież mi pamięć, proszę.

— Masza jest... — zaczął Johnson i zerknął na Nadię. — Jest opiekunką do dzieci. Dobrze mówię, Ravn?

— Mnie nic o tym nie wiadomo.

Johnson odstawił szklankę i szybko sięgnął po następną.

— Mam wrażenie, że tak mówiłeś...

— Nie! — zaprzeczył Thomas i zaczerpnął powietrza. — Należy trzymać się prawdy. Mam rację?

Johnson nie odpowiedział. Nawet nie patrzył w jego stronę.

— A prawda jest taka — ciągnął Thomas — że nikt nie wie na pewno, co się stało z Maszą. Gdzie obecnie przebywa ani co robi.

— Przecież... — zaczęła Nadia, ale Thomas ją powstrzymał.

— Dlatego nie mogę pani pomóc. Na tym kończy się moje zadanie.

— Tak, rozumiem. Oczywiście... — wymamrotała kobieta, ściskając rączkę torebki.

— Ravn zrobił wszystko, co mógł — wszedł jej w słowo Johnson. — Miejmy nadzieję, że Masza wkrótce się pojawi. Trzymajmy kciuki, żeby jej się udało... Cokolwiek zamierza.

Johnson skinął głową Thomasowi i posłał mu pojednawczy uśmiech. Thomas nie zareagował.

— Nie mogę jej tak zostawić — odezwała się Nadia, walcząc ze łzami. — Dlatego chciałabym, żeby pojechał pan do Szwecji i jej poszukał. Ostatnia próba.

— Przykro mi — powiedział Thomas, wypijając kolejny łyk piwa. Johnson spojrział na niego i odstawił wypucowaną szklankę.

— Może to nie taki głupi pomysł.

— To znaczy?

— Mógłbyś się zorientować, czy ona naprawdę tam jest. — Johnson uśmiechnął się do Nadii. — Uważam, że to dobry pomysł.

— Nie — oświadczył Thomas stanowczo, odstawiając butelkę.

— Dlaczego?

— Chociażby dlatego, że nie mam na to czasu.

— Nie jesteś na urlopie?

Thomas zignorował pytanie.

— Biorąc pod uwagę informacje, jakie udało nam się zebrać, uważam, że to bardzo kiepski pomysł. Przykro mi, ale nie sądzę, żeby była duża szansa na jej odnalezienie.

Nadia pokiwała głową.

— Ale jakaś szansa istnieje — upierał się Johnson.

— Nigdzie się nie wybieram — oświadczył Thomas stanowczo.

Johnson odłożył ścierkę.

— Do diabła, Ravn, polecisz samolotem, to chwila... — przerwał i zawiesił głos. — Poza tym wiesz, w jakim środowisku należy jej szukać...

— Przestań z tym środowiskiem!

— Porozmawiasz z miejscowymi gliniarzami. Przecież tak właśnie działacie.

— Zrozum wreszcie, że ja się nigdzie nie wybieram.

— Szybciej doleć do Sztokholmu niż na Jutlandię.

— Świetnie, tylko że ja nie wybieram się ani do Sztokholmu, ani na Jutlandię.

— Tu chodzi o dziewczynę, która zaginęła — powiedział Johnson, odchylając się do tyłu.

— No to sam tam pojedź.

Johnson pokręcił głową.

— Ty wiesz, jak to się robi, ja nie. Ravn się na tym zna — dodał, zwracając się do Nadii. Odwrócił głowę i spojrział na Thomasa. — Zdobyłeś bardzo dużo informacji. Odwaliłeś kawał dobrej roboty. Naprawdę mi zaimpono...

— Przestań, do cholery! — przerwał mu Thomas.

Goście przy stolikach odwrócili głowy.

— Przykro mi, że muszę to pani powiedzieć, ale prawda wygląda tak, że sytuacja Maszy jest bardzo kiepska. Właściwie to w Danii też nie była najlepsza. Podejrzewam, że nigdy nie przyznała się pani do tego, w jaki sposób zarabia pieniądze. Chociaż jestem przekonany, że gdzieś w głębi duszy pani o tym wie. Te torebki, ciuchy, buty nie spadały jej z nieba. Nie zarabia się tyle, robiąc ludziom manicure...

— Ravn, do diabła — próbował mu przerwać Johnson.

— Miałam podejrzenia — odpowiedziała Nadia cicho.

— Jej związek z Igorem tylko pogorszył sprawę. Jeśli naprawdę obawia się pani o jej życie, radzę zgłosić to policji. Zaczną jej szukać, nawet jeśli do zaginięcia doszło już jakiś czas temu. Nasza policja na pewno skontaktuje się z kolegami w Szwecji, może nawet z Europolem.

— Dobrze — odparła Nadia ledwie słyszalnie.

— To gównu pomoże — rzucił Johnson.

Zapalił papierosa i już po chwili tonął w kłębach dymu.

— Ty też o tym wiesz, Ravn. Jaką wagę gliny przykładają do tego rodzaju spraw?

— Nie wiem.

— Jasne, że wiesz. Co ich obchodzi jakaś zaginiona dziewczyna z Europy Wschodniej. Jeśli ją znajdą, to zaraz ją deportują. Przykro mi, że to mówię, ale tak to wygląda — zwrócił się do Nadii.

Thomas wyjął z kieszeni banknot pięćdziesięciokoronowy. Johnson stał i przyglądał mu się z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

— Tylko ty możesz coś zdziałać, Ravn — nie poddawał się.

— Chcesz za piwo czy nie?

— Daj spokój.

Thomas schował banknot z powrotem do kieszeni.

Nadia posłała mu nieśmiały uśmiech.

— Przepraszam, że w ogóle pana niepokoiłam. To nie pana problem. Jestem wdzięczna za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Mam nadzieję, że pan to wie.

Thomas pokiwał głową, spoglądając na drzwi.

— Módlmy się, by Masza wkrótce wróciła do domu — Nadii łamał się głos. — To mądra dziewczyna. Na pewno potrafi o siebie zadbać. Jeszcze raz przepraszam, że pana w to wciągnęłam...

— Proszę mnie nie przepraszać...

— Tylko widzi pan... — uśmiechnęła się z zażenowaniem. — Od kiedy zniknęła, codziennie zaglądam do jej pokoju. Patrzę na stolik z lustrem, przy którym zawsze się malowała. Uwielbiała, kiedy przychodziłam do niej i szczotkowałam jej włosy. Masza ma długie włosy. Długie, piękne włosy. Jak księżniczka.

— Niech to szlag! — wymamrotał Thomas, pocierając policzek z kilkudniowym zarostem.

— Tak ją nazywałam. Moją małą księżniczką.

— Dobrze, poddaję się.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Rozumiem, że płacisz za bilet? — Thomas zwrócił się do Johnsona.

— Oczywiście.

— I fundujesz jakiś porządny hotel?

— Wszystko idzie na mój rachunek.

— Także ewentualne koszty.

Johnson uniósł rękę, jakby chciał go powstrzymać.

— W granicach rozsądku — zastrzegł.

Thomas zwrócił się do Nadii.

— Pojadę tam i się rozejrzę. To wszystko, co mogę zrobić. Na tym koniec.

— Dziękuję, dziękuję — powiedziała Nadia i objęła go szczupłymi rękami.

Thomas poczuł się zażenowany niespodziewaną bliskością i próbował się uwolnić z jej objęć. Nadia okazała się jednak nadspodziewanie silna. Przyciągnęła go do siebie.

— Dziękuję, Thomasie. Jesteś aniołem.

— Bynajmniej — wymamrotał pod nosem.

36.

„Słońce Hawajów — jakbyś tam był”, głosił napis na wyblakłej tabliczce, zawieszony na ścianie szczytowej budynku. Okno wychodzące na ulicę zaciągnięte było cienkimi, żółtymi firankami, które zdawały się świecić w niebieskawym świetle włączonych solariów.

Przed kabinami czekała grupa około dziesięciu mężczyzn. Większość zerknęła niecierpliwie na opaloną dziewczynę z płowymi włosami, stojącą za ladą recepcji. W pewnym momencie dziewczyna uniosła rękę z długopisem i zaczęła szybko liczyć mężczyzn, energicznie żując gumę. Po chwili wcisnęła przycisk telefonu.

— Muszę wam kilku podesłać, mamy tłok. To bardzo stresujące.

Po drugiej stronie słuchawki rozległy się trzaski.

— Właśnie jemy. Przyjmij to do wiadomości albo kudły ci z głowy powyrywam — odpowiedziała Masza.

W tym momencie do recepcji podszedł starszy mężczyzna.

— Ile to jeszcze potrwa?

Dziewczyna spojrzała na niego i zamachała długopisem.

— Właśnie jedzą...

— Można w tym czasie zakosztować słoneczka? — Mężczyzna skinął głową w stronę kabin.

— Jasne.

W niewielkiej kuchni na zapleczu siedziały Masza i Iza, obie w szlafrokach. Powietrze było ciężkie od dymu papierosowego. Z pokoju obok dochodziło trzeszczenie poluzowanych sprężyn. Masza położyła słuchawkę obok aparatu, żeby nikt im nie przeszkadzał. Nalała wódki do kubków stojących na stoliku.

— Może Lulu będzie mogła wziąć któregoś, kiedy skończy?

Iza zapaliła papierosa i mętym wzrokiem przyglądała się Maszy, była bardziej naćpana niż zwykle. Masza zaczęła się zastanawiać, gdzie chowa prochy. Pomyślała, że dobrze byłoby wiedzieć, tak na wszelki wypadek, gdyby kiedyś zabrakło jej działki. Albo gdyby Iza nagle zniknęła. Byłoby szkoda, gdyby dobry towar się zmarnował.

— Niewiele brakowało, a uwierzyłabym w to, co opowiadałaś temu bydlakowi, Michałowi. Że miałaś umowę ze Slavrosem. Naprawdę byłaś aż tak naiwna, żeby mu wierzyć?

— O co ci chodzi? Naprawdę zawarł ze mną umowę.

Iza parsknęła śmiechem, z nosa i ust poleciał jej dym.

— Umowę? Ze Slavrosem? Uwierzyłaś w te bajki, które ci opowiadał?

Masza wypila łyk herbaty.

— Jasne, że nie. Wymyśliłam to wszystko na poczekaniu. Miałam nadzieję, że Michał połknie haczyk — powiedziała i odwróciła głowę.

Iza się roześmiała.

— Daj spokój. Nie jestem głupia. Naprawdę mu uwierzyłaś.

— I co z tego? — wyszczała Masza. — Skoro jesteś taka mądra, to dlaczego już dawno się stąd nie zmyłaś?

— A niby dokąd miałabym pójść? Na księżyc? Slavros wszędzie nas znajdzie.

— Jeśli nie ma żadnych rachunków, to co mamy do stracenia?

— Życie, nasze zasrane życie — odparła Iza.

Z pokoju obok dobiegało monotonne zawodzenie sprężyn. Masza potarła skronie zmęczonym gestem.

— Odłożyłaś coś? — spytała Iza.

Masza zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie. A ty?

— Mam drogie przyzwyczajenia — oświadczyła Iza, pociągając nosem.

— Powinniśmy zaryzykować.

— To znaczy?

— Kto nas zatrzyma? Ta blondyna w recepcji?

Iza pokręciła głową. Zgasiła papierosa i natychmiast zapaliła następnego.

— Nie mów takich bzdur.

— Naprawdę uważam, że powinniśmy dać nogę. Teraz.

— Zapominasz o Slavrosie.

— Slavros siedzi w kiciu. A Arkan, to bydlę, nie odważy się nas ścigać. Może najwyżej poszczuć nas tym swoim starym pudlem.

— Nienawidzę kundla. Bez przerwy liże sobie tyłek.

— Arkan ma za dużo do stracenia. Na pewno nie chce, żeby gliny zwróciły uwagę na jego solaria. Wykorzystajmy to, że po nalocie na Key Club wszyscy alfonsi zapadli się pod ziemię.

Iza zmrużyła oczy.

— Nie opowiadaj takich bzdur. Gdybym doniosła na ciebie Michaiłowi albo Arkanowi, zarobiłabym parę tysiaków.

— Ty nie donosisz.

— Kto tak powiedział? Może jesteś trochę zbyt naiwna?

Masza odchyliła się na krześle.

— Boisz się, Iza?

— Kto powiedział, że się boję? Ja się niczego nie boję.

— Nie? — uśmiechnęła się Masza. — Niedawno odkryłam, gdzie blondyna trzyma utarg.

— Dzienny?

— Może nawet więcej — odparła Masza. — Sama wiesz, że Michaił jest przerażony i wcale się nie pali, żeby tu przychodzić. Podejrzewam, że trzymają tu forszę z całego tygodnia. Nie trzeba być geniuszem, żeby obliczyć, ile tego jest.

Iza zamyśliła się, jakby próbowała liczyć w głowie.

— Z pięćset tysięcy — podpowiedziała jej Masza. — Może nawet nieco więcej. Do wzięcia jutro.

Iza zamarła z papierosem w ustach.

— I dokąd byś pojechała?

— Do domu. Do Danii. Do mojej mamy. I zaczęła wszystko od początku.

— To marzenia...

— Być może. A ty? Co byś zrobiła?

— Nie wiem. Wróciłabym do domu, do przyjaciół. Tych, którzy jeszcze żyją. Dlaczego sama nie doprowadzisz tej forszy?

— Bo się boję.

Iza zaciągnęła się papierosem i szybko zgasiła go w popielniczce. W pokoju obok rozległy się głośne jęki. Iza dopiła wódkę z kubka.

— Jak masz na imię?

Masza spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Przecież wiesz. Karina.

— Nie chodzi mi o twoją ksywkę, tylko o prawdziwe imię.

Masza przełknęła ślinę.

— Masza — powiedziała. — Mam na imię Masza.

Pomyślała, że dziwnie to zabrzmiało. Tutaj, w tej kuchni. Tak jakoś pusto.

— Maaasza... — powtórzyła Iza, jakby smakując jej imię. — Ładnie. Ja się nazywam

Petra. Brzydko, prawda?

Masza pokręciła głową.

— Nie. Prawdę mówiąc, pasuje do ciebie.

Petra wyciągnęła do niej rękę.

— Miło cię poznać, Masza.

Masza się roześmiała.

— Mnie też miło cię poznać, Petra — powiedziała i podała jej rękę.

Petra przytrzymała jej dłoń.

— Wiesz, że teraz nie ma już odwrotu?

— Nie ma — potwierdziła Masza.

Nagle w drzwiach ukazała się Lulu. Była naga, obok niej stał młody chłopak, uczeń malarski, w białym kombinezonie roboczym. Skinął im pospiesznie głową i zniknął. Masza podała Lulu kubek z wódką.

Lulu opróżniła go jednym haustem.

— Nie zamierzacie dzisiaj nic robić? — spytała.

Nie otrzymała odpowiedzi.

37.

Thomas rozejrzał się po kajucie. Włożył do reklamówki miskę i karmę Møffego oraz starą pogryzioną tenisówkę, którą pies znalazł niedaleko Wydry i która teraz stała się jego najlepszą przyjaciółką. Thomas właśnie wrócił z mieszkania, gdzie wziął prysznic i wrzucił kilka rzeczy do sportowej torby. Jakbym szykował się do ucieczki, pomyślał. Poczł wyrzuty sumienia.

Møffe skamlał i patrzył na niego smutnymi oczami.

— To tylko kilka dni, Møffe. Wróć, zanim zdążysz się za mną stęsknić.

Pies mlaskał i kręcił łbem, z pyska ciekła mu ślina.

— Eduardo będzie się tobą opiekował. Zobaczysz, będzie ci u niego dobrze. Tylko bardzo proszę, nie załatwiał się na pokładzie.

Sięgnął po kurtkę. W wewnętrznej kieszeni miał kartkę od Nadii ze zdjęciem dwóch kotków bawiących się motkiem włóczki. Prosiła go, żeby dał ją Maszy, jeśli ją spotka. Tekst na odwrocie był po litewsku. Nie miał pojęcia, co napisała Nadia, domyślał się, że prosiła córkę, by wróciła do domu. Schylił się i wziął psa na smycz. Sięgnął po torbę stojącą na kanapie i wyszedł z kajuty, ciągnąc za sobą Møffego.

— Eduardo! — zawołał w stronę otwartego kokpitu łodzi przyjaciela.

Chwilę później Eduardo otworzył drzwi i wyszedł na pokład. Był w slipkach.

— Jeszcze się nie ubrałeś? — zdziwił się Thomas. — Jest druga. Jesteś chory?

Eduardo pokręcił głową.

— *Señorita* — powiedział, wskazując ręką na kajutę.

Thomas pokręcił głową i podał mu najpierw psa, a potem torbę z jego rzeczami.

— Jestem ci bardzo wdzięczny.

— *No problema*. Jak mógłbym ci odmówić? Teraz gdy Johnson zwałł wszystko na ciebie.

— Wiesz, jaki on jest.

— Sam powinien ruszyć tyłek.

Thomas się uśmiechnął.

— Nawet gdyby to zrobił, na niewiele by się to zdało.

— Masz broń? — spytał Eduardo, przyglądając mu się z powagą.

— Dlaczego pytasz?

— Czy masz przy sobie służbowy pistolet?

Thomas potrząsnął torbą.

— Nie. Jak to sobie wyobrażasz? Miałbym wziąć go ze sobą na pokład?

Eduardo wzruszył ramionami.

— Jedziesz do niebezpiecznego kraju, *amigo*. Powinieneś na siebie uważać.

— Lecę do Szwecji. Do krainy volvo. Nie sądzę, żeby mi tam coś groziło. Zresztą, już dawno zwróciłem pukawkę.

— Zaczekaj, Ravn! — Eduardo odwrócił się i zniknął w kajucie.

Minęło kilka minut, Thomas zaczął się niecierpliwic. W końcu Eduardo wyłonił się z kajuty, trzymając w ręku grubą teczkę na dokumenty. Podał ją Thomasowi.

— Co to jest, na litość boską?

Thomas spojrzął na gruby plik wycinków.
— Research. Pomyślałem, że może ci się przydać.
— Research? A konkretnie?
— Wydrukowałem kilka artykułów poruszających problem prostytucji w Szwecji...
— To miło z twojej strony, ale nie zamierzam...
Chciał oddać teczkę, ale Eduardo go powstrzymał.
— Nie, weź i przeczytaj je. Wtedy zrozumiesz mój niepokój.
— Eduardo! — rozległ się kobiecy głos. — Kiedy przyjdiesz?
— Tam jest prawdziwy Dzik Zachód. Prawdziwi bandyci, a nawet jeszcze gorzej.
Thomas włożył teczkę do torby.
— Mają tam nawet seryjnego mordercę...
— Będę uważał.
Eduardo pomachał mu i zniknął w kajucie.

Thomas ruszył Dronningensgade w stronę placu Christianshavns Torv. Do odlotu samolotu zostało jeszcze sporo czasu. Przeszedł przez ulicę do znanej cukierni Lagkagehuset, mieszczącej się na rogu, i kupił torbę cynamonowych bułeczek. Następnie skręcił w Sankt Annægade, przy której znajdował się antykwariat Victorii. Pchnął drzwi i usłyszał dźwięk małego mosiężnego dzwoneczka. Poczul zapach świeżo zaparzonej kawy.

— Do Szwecji? — zdziwiła się Victoria z ustami pełnymi ciasta.
Siedzieli przy biurku ustawionym za ladą sklepową. Victoria przesunęła na bok książki, żeby zrobić miejsce na filiżanki i torbę z bułeczkami. Kończyła drugą drożdżówkę i przymierzała się do kolejnej. Jak na tak szczupłą sylwetkę, miała zadziwiający apetyt.
— Tam są tylko łosie i neonaziści.
— Eduardo też mnie ostrzegał.
— Powinieneś go posłuchać. Wiesz, że Szwecja jest tym krajem w Europie, w którym najczęściej dochodzi do kazirodztwa? To znaczy, zaraz po Bułgarii...
— Nie wiedziałem.
— Nie rozumiem cię — ciągnęła Victoria. — Zawsze marzyły ci się rejsy do różnych egzotycznych zakątków świata, a nagle okazuje się, że wybierasz się do Szwecji.
— Tak się złożyło.
— Nawet nie wiedziałam, że ta twoja łajba nadaje się do pływania.
— Nie nadaje się. Za dwie godziny mam samolot — powiedział Thomas. Odwrócił się i zerknął na regał stojący za jego plecami. — Nie masz przypadkiem jakiejś mapy Sztokholmu?
— Sztokholmu? — powtórzyła Victoria, coraz bardziej zdziwiona. — Chcesz mi powiedzieć, że lecisz do Sztokholmu?
— Tak jest napisane na moim bilecie. Spójrz: Arlanda.
— Bo widzisz, Szwecja to Szwecja, ale Sztokholm to zupełnie co innego. Nawet rodowici Szwedzi nie lubią sztokholmczyków.
— Znajdziesz mi jakąś mapę? — spytał Thomas, wyraźnie zmęczony.
— Jak chcesz — Victoria podniosła się z krzesła. — Ale pamiętaj, że cię ostrzegałam.
Poprawiła szelkę, która nieco się poluzowała, po czym podeszła do regału. Przeciągnęła palcami po grzbietach książek, aż w końcu znalazła to, czego szukała. Wyjęła przewodnik i rzuciła Thomasowi, który złapał go w powietrzu. *Podróżujemy do Sztokholmu*.
— To wydanie z 2002 roku. Sprzed ponad dziesięć lat.
— Mówiłeś, że potrzebujesz mapy — powiedziała Victoria, wracając na krzesło. — Tu

masz jedną dużą i kilka mniejszych, do poszczególnych dzielnic. Mając je przy sobie, nie możesz zablądzić.

— Ile jestem ci winien?

Victoria sięgnęła po kolejną cynamonową bułeczkę.

— Potraktuj to jako prezent. I pamiętaj, że kielbasa to po szwedzku *korv*, żebyś nie chodził tam głodny. I unikaj szwedzkich drożdżówek z cynamonem. Wszędzie je sprzedają, ale to nie to, co nasze cynamonowe bułeczki — stwierdziła, sięgając po kolejną.

— Tak jest — odpowiedział Thomas, wkładając przewodnik do torby.

— Kiedy wracasz?

— Mam nadzieję, że jak najszybciej.

— Sztokholm — powtórzyła Victoria, posyłając mu oskarżycielskie spojrzenie. — Na litość boską — dodała i pokręciła głową.

Thomas sięgnął po filiżankę z kawą.

— Mam wrażenie, że nie zdążyłem ci jeszcze porządnie podziękować.

Victoria na chwilę przestała przeżuwać.

— Podziękować? Za co?

— Za to, że po śmierci Evy nie zaczęłaś mnie traktować jak trędowatego. Ludzie albo mnie unikali, albo bez przerwy mi powtarzali, jak bardzo jest im przykro. A ty nie. Byłaś tak samo nieznośna jak zawsze. To dużo dla mnie znaczyło.

Victoria uśmiechnęła się szeroko i znów zaczęła jeść bułeczkę.

— Nie masz mi za co dziękować. Po prostu zawsze bardzo lubiłam Evę, a za tobą nigdy nie przepadałam.

Thomas uniósł filiżankę, jakby chciał wznieść nią toast.

— Czuję dokładnie to samo — powiedział i dopił kawę.

38.

„Siedzę w McDonalddie na Dworcu Centralnym w Sztokholmie i czekam na Petrę, która poszła do toalety. Spóźniłyśmy się nędzne dziesięć minut na pociąg do Kopenhagi. Teraz czekamy na ekspres, który wcale nie jest taki ekspresowy. Podróż zajmuje pięć godzin! Ale i tak bardzo się cieszę. Wciąż nie mogę tego pojąć. Że siedzimy tu, na dworcu. Jest tyle rzeczy, o których chciałabym ci opowiedzieć, mam. I tyle, o których nigdy się nie dowiesz. Tyle rzeczy, których żałuję. Tyle chciałabym zmienić. Obiecuję, że znów wszystko będzie dobrze. Żałuję, że nie potrafię przypomnieć sobie twojego numeru telefonu. Miałam go w głowie, ale gdzieś się ulotnił, tak jak wiele innych rzeczy. Mam nadzieję, że nadal mieszkasz w naszym starym mieszkaniu na Burmeistergade. I pomyśleć, że tak bardzo tęsknię za tą norą. Znajdziemy sobie inne mieszkanie, ty i ja. Mam pieniądze. Ja i Petra, moja przyjaciółka, w końcu się zdecydowałyśmy. Szkoda, że nie widziałas, jak wybiegamy z solarium Arkana. Wyglądałyśmy jak te dwie dziewczyny w tym filmie, który kiedyś razem oglądałyśmy. Uciekały przed gliniarzami i w końcu wjechały samochodem w przepaść, na pewno pamiętasz tę scenę...

...Zaplanowałyśmy nasz skok w najdrobniejszym szczególe. Nikomu nic nie zdradziłyśmy. Nawet Lulu nic nie wiedziała. I dobrze, bo nie ma nic na sumieniu. A swoje już wycierpiała. Wszystko przebiegło zgodnie z planem. O dziesiątej zostałyśmy przewiezione z mieszkania do klubu Hawaii, jak zwykle. Spakowałyśmy ubrania do mojej torby, żeby nikt niczego nie podejrzewał. Na wszelki wypadek przygotowaliśmy historyjkę, że chcemy zrobić pranie, tam, w solarium. Gdyby na przykład Michał się do nas przytrzymał albo któryś z kierowców. Ale nikt niczego nie zauważył. Może z głupoty, a może dlatego, że tak naprawdę jest im wszystko jedno. Ale pewnie z głupoty! Wiedziałyśmy, że koło południa w solarium zjawi się Arkan ze swoim pudłem po tygodniowy obrót. Weźmie wszystkie zarobione przez nas pieniądze i włoży do swojej teczki. Więc kiedy skończyłyśmy przedpołudniową zmianę, przystąpiłyśmy do działania. Pracująca w recepcji blondyna, Tea, która przyjmuje byków, nieźle się zdziwiła, kiedy wyszłyśmy ubrane z zaplecza. Spytała, dokąd się wybieramy, i rzuciła, że klienci czekają. Co przecież widziałyśmy, bo wszędzie stali faceci. Powiedziałyśmy, żeby zamknęła dziób, i poszłyśmy do ostatniej kabiny. Ktoś, Arkan, a może ona, powiesił na drzwiach kartkę, że kabina jest nieczynna. Rzeczywiście, była nieczynna, ponieważ całą górną część instalacji zdemontowali, żeby zrobić miejsce na skrytkę. Kiedy odsunęłyśmy panel, bardzo się zdziwiłyśmy. W środku było dziesięć kopert! Z naszą forszą i z forszą z okolicznych solariów. Chciałam natychmiast wyjść, ale Petra uparła się, żeby policzyć, ile tego jest. Przeliczyła banknoty z sześciu kopert, kiedy nagle do kabiny wmaszerowała Tea z nożem kuchennym w ręku. Okazało się, że tylko w tych sześciu kopertach było ponad sto tysięcy! Blondyna wpadła w szal i próbowała zabrać Petrze koperty. Krzyczała, że kiedy Arkan się o wszystkim dowie, gorzko tego pożałujemy. Wtedy Petra uderzyła ją w głowę. Najwyraźniej miała wprawę, bo blondyna poleciała na podłogę, a z jej złamanego nosa buchnęła krew. Nie było powodu zostawać tam dłużej, więc dałyśmy nogę. Byki patrzyły za nami. Żaden się nie ruszył, chociaż blondyna zawodziła i błagała o pomoc. Sto czterdzieści jeden tysięcy szwedzkich koron! Banknoty z dwóch ostatnich kopert przeliczyłyśmy w taksówce na dworzec. Teraz zostało nam sto czterdzieści. Taksówkarz, w turbanie, dostał tysiąka za kurs i za to, żeby trzymał język za

zębami. Był w porządku”.

Masza podniosła głowę znad zeszytu i powiodła wzrokiem po stolikach. Między stolikami a krzesłami stały bagaże podróżnych, którzy siedzieli i jedli śniadanie. Masza pochłonęła przed chwilą dwie tacki frytek i truskawkowego shake’a. King size. Spojrzała na zegarek i zaczęła się zastanawiać, gdzie jest Petra. Toaleta w restauracji nie działała, więc poszła poszukać toalety na dworcu. Masza zerknęła w stronę drzwi i schowała zeszyt do torby. Najchętniej zostałaby tu, w McDonalddie, gdzie mogła się ukryć w tłumie ludzi. Nie miała ochoty szwendać się po dużej hali dworcowej, ryzykując, że zostanie rozpoznana. Bała się nie tylko Michaiła i Arkana. Jeśli jakiś gliniarz poprosiłby ją o pokazanie dokumentów, pewnie natychmiast zostałaby aresztowana. I straciłaby wszystkie pieniądze. Spojrzała na dwie koperty leżące w torbie. Pozostałe osiem miała Petra. Myśl, że spacerowała po dworcu ze stoma tysiącami koron, sprawiła, że Masza natychmiast wstała i ruszyła do wyjścia.

Weszła do ogromnej hali dworcowej, wysoko sklepionej i pewnie dlatego przypominającej jej nieco katedrę; była pełna tłoczących się podróżnych. Zaczęła się rozglądać za toaletą, dostrzegła tabliczkę i już miała ruszyć w jej stronę, kiedy nagle zobaczyła dwóch funkcjonariuszy w mundurach. Jeden z nich rozmawiał przez walkie-talkie, drugi rozglądał się po hali. Odwróciła się do nich plecami, udając, że szuka czegoś w kieszeni. Serce niemal wyskoczyło jej z piersi. W policyjnym walkie-talkie coś zatrzeszczało, wzdrygnęła się, przestraszona. Ale policjanci minęli ją, kierując się w stronę McDonalda. Po chwili zauważyła, że wchodzi do środka.

— *Hey, baby!* — usłyszała za sobą egzaltowany głos.

Odwróciła się i zobaczyła Petrę, która nagle ją pocałowała, wkładając jej język niemal do gardła. Masza zrobiła krok w tył.

— Co ty wyprawiasz?

Zauważyła małe źrenice i błogi uśmiech na ustach.

— Naćpałaś się?

Petra uśmiechnęła się niewinnie.

— Rano mówiłaś, że nic nie masz!

— Bo nie miałam.

— Kupiłaś coś — wyszeptowała Masza.

— Szłam do toalety i wpadłam na Silasa.

— Kto to jest Silas?

— Znasz go. Taki zabawny facet z zajęczą wargą i małym wackiem — powiedziała Petra, pokazując palcami, jak małym.

Masza pokręciła głową.

— Nie znam go. Co mu powiedziałaś? Wie, dokąd jedziemy?

Petra wzięła się pod boki.

— Oczywiście, wyznałam mu, że właśnie zwinęliśmy Arkanowi sto czterdzieści tysiąków i wybieramy się do Kopenhagi. A jak sądzisz?

— Ale co on robił w damskiej toalecie?

Petra spuściła głowę.

— Wyskoczyłam na Klarabergsgatan. To pięć minut stąd.

— Zwariowałaś?

— Wyluzuj. Silas był sam. Dilerzy tak wcześniej nie wstają. Wpadasz w paranoję. Chodź do kibelka, podzielimy się.

— Nie, dzięki.

— Jak to nie? Nie chcesz koki?

— Wracam do domu. Nie chcę się naćpać.

Petra się roześmiała.

— Pociąg jest za dwie godziny, a podróż trwa pięć. Sama mówiłaś.

Masza pokiwała głową.

— Aż tak długo koka nie działa. Zanim dotrzesz do domu, do mamy, będziesz czysta.

— Nie, naprawdę nie chcę. Skończyłam z tym.

Petra spojrzała na nią bez przekonania.

— Okej. Tylko nie narzekaj, kiedy zaczniesz się trząść w pociągu — powiedziała, roześmiała się i znów pocałowała ją w usta. — Jesteś dzisiaj bardzo atrakcyjna.

— A ty kompletnie zwariowałaś. Widziałam, jak gliny wchodzi do McDonalda.

Chodźmy w drugą stronę. Znajdziemy jakieś spokojne miejsce, gdzie będziemy mogły poczekać do odejścia pociągu.

Petra wzięła ją pod rękę i ruszyły przez ogromną halę dworcową. Petra wchodziła do każdego sklepu, który mijaly po drodze, a Masza wiernie jej towarzyszyła. Po półgodzinie miały dwie torby pełne zakupów: czasopism, słodczy, ciast. Kupiły też kawałek szynki, chusteczki higieniczne, puzzle z misiami, Zieloną Księżniczką i Misiem Motocyklistą, oraz sześciopak piwa. Niebieskiego prippsa. W kawiarni tuż obok zejścia na peron dziesiąty znalazły wolny stolik. Masza poszła do baru po café latte. Zobaczyła ich, kiedy wracała do stolika. Trzech krótko ostrzyżonych facetów, górujących nad wszystkimi. Szli, rozglądając się, jak wilki polujące na zwierzynę. Na czele kroczył Michaił. Masza upuściła kubek, kawa opryskała Petrze nogi.

— Uważaj, do diabła. Co ty wyprawiasz?

— Idziemy stąd. Natychmiast. Michaił tu jest.

Petra wstała i zaczęła zbierać torby.

— Zostaw je, uciekajmy...

— Moja Zielona Księżniczka...

Masza pociągnęła ją za sobą. Lawirowała między stolikami, nie spuszczając wzroku z trzech mężczyzn, którzy cały czas się zbliżali.

— Co teraz? — spytała Petra, wpadając na potężnie zbudowanego kelnera. Niewiele brakowało, a upuściłby tacę.

Masza rozejrzała się i tuż za kawiarnią spostrzegła zejście na peron.

— Chodź! Tędy!

Pobiegly do schodów, próbując wmieszać się w tłum pasażerów. Od strony kawiarni dobiegły ich krzyki. Masza odwróciła się i zobaczyła, jak Michaił i jego ludzie torują sobie drogę w tłumie. Szli w ich stronę.

— Zobaczyli nas!

Masza próbowała przecisnąć się przez tłum, co okazało się prawie niemożliwe. Tym bardziej że Petra ledwie była w stanie za nią nadążyć. W końcu Masza chwyciła ją za rękę i pociągnęła z powrotem do głównej hali. Kawałek dalej stał Michaił ze swoimi ludźmi i obserwował schody.

— Dokąd idziemy? — wydyszała Petra.

Masza nie odpowiedziała, tylko pociągnęła ją za sobą w kierunku ruchomych schodów, prowadzących na dolny peron, skąd odjeżdżały pociągi kolejki podmiejskiej. Spojrzała na wiszące pod sufitem ekrany, żeby sprawdzić, z jakiego peronu odchodzi najbliższy pociąg.

— Tam! — usłyszała nagle nad sobą głos Michaiła.

Odwróciły się. Przy balustradzie owalnej niszy, otwartej na halę dworcową, stał Michaił

i patrzył w ich stronę.

— Chodź! — krzyknęła Masza i pociągnęła za sobą Petrę.

Michaił uznał, że nie ma czasu do stracenia, przeskoczył balustradę i spuścił się dwa metry w dół. Upadł, poturlał się po posadzce peronu. Dwaj pozostali mężczyźni zawahali się, ale po chwili poszli jego śladem.

Masza i Petra zaczęły uciekać wąskim, wykutym w skale korytarzem, prowadzącym na podziemny peron.

— Pospiesz się, bo nie zdążymy — popędzała Masza.

— Nie mogę szybciej — wołała zdyszana Petra.

Po chwili znalazły się na peronie, na którym kilka osób czekało na kolejkę podmiejską. Dochodzące z tunelu głucho dudnienie zapowiadało, że pojazd zaraz wjedzie na peron.

— Gdzie jest ten cholerny pociąg? — krzyczała Petra.

Masza rozejrzała się z desperacją. Nie miały żadnej możliwości ucieczki, musiały czekać. Nagle zobaczyła, że Michaił i jego ludzie schodzą na dół. Rosjanin dostrzegł ją i pokręcił głową.

— Co robimy? — spytała Petra i zaczęła się powoli cofać wzdłuż peronu.

— Nie wiem.

— Ja tam nie wrócę, nie wrócę...

— Ratunku! — krzyknęła nagle Masza.

Jej krzyk odbił się echem od ścian tunelu. Niektórzy z oczekujących odwrócili głowy. Krzyknęła jeszcze raz, ale nikt nie zareagował. Michaił był coraz bliżej, biegł w ich stronę.

— Stacja końcowa, kurwy! — zawołał, uderzając dłonią o dłoń.

Nagle w ciemnym tunelu ukazał się rozpędzony pociąg. Petra odwróciła się do Maszy i uśmiechnęła się.

— Na razie, Masza! — zawołała. Przesłała jej całusa, po czym odwróciła się do Michaiła. Mężczyzna się zatrzymał.

— Chcesz forse? — krzyknęła. Wyciągnęła z kieszeni jedną kopertę, wyjęła z niej banknoty i rzuciła mu.

Michaił zasłonił się ręką, jakby się przed nimi bronił.

— Łap je! — zawołała Petra.

Michaił próbował łapać fruwające w powietrzu banknoty.

W tym momencie pociąg wjechał na peron. Petra skoczyła i rzuciła się prosto pod koła. Uderzyła o przednią szybę, rozległ się huk, ciało upadło na tory. Hamulce zawyły, pociąg gwałtownie się zatrzymał. Dookoła fruwały banknoty, które Petra miała schowane na brzuchu.

Michaił chwycił Maszę.

— Puść mnie! — krzyknęła.

Próbowała się uwolnić, ale był silniejszy i pociągnął ją za sobą. Żaden ze zszokowanych pasażerów nie zauważył incydentu. Kiedy go kopnęła, wyciągnął nóż. Ostrze przeszło przez materiał sukienki, poczuła je tuż pod prawym zębem.

— Gdyby nie to, że na ciebie czekają, nie cackałbym się z tobą!

— Powiedz Arkanowi, żeby pocałował swojego pudła w dupę!

Dwaj pozostali mężczyźni podbiegli do nich i pomogli Michaiłowi odciągnąć ją z peronu.

— Kto mówi o Arkanie? — powiedział Michaił, składając nóż. — Masz pecha. Gliniarze właśnie zwolnili Slavrosa.

Masza spojrzała na niego przestraszona.

39.

Niewielki Boeing 737 z osiemdziesięcioma trzema osobami na pokładzie, głównie skandynawskimi biznesmenami, szybko wznosił się do góry, zostawiając w dole ciężkie deszczowe chmury wiszące nad Sundem. Thomas wychylił się w stronę okna i zobaczył znikający w dole most nad cieśniną. Kiedy kilka minut później podeszła do niego stewardesa, zamówił podwójną wódkę z dużą ilością lodu. Jego sąsiad, starszy mężczyzna w dwurzędowym garniturze, zerknął na niego spod oka.

— *Business or pleasure?* — spytał po angielsku z wyraźnym szwedzkim akcentem.

— Praca czy wakacje? — spróbował po chwili po duńsku.

— Ani jedno, ani drugie — odpowiedział Thomas i odwrócił się do okna. Mężczyzna zostawił go w spokoju.

Kiedy stewardesa przyniosła mu wódkę, wyjął z torby artykuły przygotowane przez Eduarda. Niektóre z nich były też jego autorstwa. Odnosił wrażenie, że Eduardo przygotował kopie wszystkich artykułów na temat prostytucji w Szwecji, które w ostatnim czasie ukazały się w jego gazecie. Pisano w nich o handlu ludźmi, cały czas przybierającym na sile, mimo podejmowanych kroków i zmian w prawie. Przerzucał kolejne artykuły. Rozpoznał nazwisko szwedzkiego komisarza, który ostatnio wypowiadał się w związku z policyjnymi nalotami na sieć sztokholmskich solariów. Okazało się, że tak naprawdę były one przykrywką dla klinik masażu. Komisarz nazywał się Karl Luger. Thomas poznał go kilka lat temu na międzynarodowym seminarium zorganizowanym przez Scotland Yard w Londynie. Luger wywarł na nim wówczas dobre wrażenie. Przypomniał sobie, że komisarz bez przerwy wydzwaniał do żony, która właśnie rodziła. Kiedy seminarium się skończyło, poród nadal trwał. Thomas wrócił do artykułów. Docenił, że Eduardo chciał mu pomóc, ale ilość materiału go przytłaczała. Tak naprawdę potrzebował jedynie rady, od czego powinien zacząć. Powrócił do lektury, znalazł artykuł, w którym opisywano ostatnie naloty policji w Sztokholmie i okolicy. Według autora artykułu, prostytutki działały głównie w okolicach dworca i w rejonie ulic Malmskillnadsgatan i Mäster Samuelsgatan. W artykule wspomniano też o klubach ze striptizem, położonych nieco na północ od wspomnianego rejonu. Wyjął z torby mapę i zaznaczył na niej miejsca wymienione w artykule. Już miał schować wycinki z powrotem do teczki, kiedy nagle jego wzrok padł na czarno-białe zdjęcie dołączone do jednego z artykułów. Przedstawiało mężczyznę z bródką satyra i czarnymi włosami, zaczesanymi do tyłu. Wąskie oczy i ściągnięte usta sprawiały, że robił wrażenie psychopaty. Thomasowi od razu skojarzył się z seryjnym mordercą, Charlesem Mansonem. Spojrzał na napis pod zdjęciem: „Vladimir Slavros, rosyjski biznesmen, zatrzymany w związku ze śmiercią prostytutki na sztokholmskim dworcu”. Przebiegł wzrokiem artykuł. Autor opisywał epizod sprzed kilku lat. Niezidentyfikowana kobieta w wieku mniej więcej trzydziestu lat, prawdopodobnie prostytutka, wypadła na szyny i została przejechana przez pociąg. Nagrania z kamer monitoringu pozwoliły zidentyfikować kilku ludzi Slavrosa, między innymi niejakiego Michaiła Ivanova. Nikt jednak nie został oskarżony. To była pewnie ta sprawa, o której wspominał Mikkel. Thomas opróżnił szklanke. Świat był pełen popaprańców, takich jak Slavros. Na szczęście nie był to jego problem. Jego zadanie było proste. Dał sobie trzy dni na znalezienie Maszy. Jeśli na nią trafi, przekaże jej kartkę od matki i wróci do Kopenhagi. Nie zamierzał przekonywać dziewczyny do powrotu. Nie zamierzał też wyciągać z niej żadnych

informacji na temat tego, co robiła. Im szybciej wróci do Christianshavn, tym lepiej.

Uniósł pustą szklankę, dając znak przechodzącej obok stewardesie, żeby mu ją ponownie napełniła.

40.

Pięść trafiła Maszę w przeponę, odczuła to jak uderzenie młotkiem. Zabrakło jej powietrza, jęknęła. Po chwili poczuła następne uderzenie, a potem kolejne i jeszcze kolejne. Nie mogła zaczerpnąć powietrza, miała wrażenie, że się dusi. Upadła na kamienną posadzkę. Przed jej oczami majaczyły sylwetki pozostałych dziewczyn, odnosiła wrażenie, że tańczą wokół niej. Powoli odzyskiwała oddech. W ustach czuła krew. Nie mogła otworzyć lewego oka, prawym dostrzegła Slavrosa. Stał nad nią w czarnej skórzanej kurtce z zaciśniętymi pięściami. Knykcie miał pomazane krwią, jej krwią. Zaczęła się czołgać, byle dalej od niego. Dotarła do ściany, próbowała wstać.

Slavros odwrócił się do Michaiła, który stał obok w towarzystwie dwóch mężczyzn. Tych samych, którzy pomagali mu jej szukać.

— Ile czasu jestem na wolności, Michaił?

Mężczyzna nerwowo wzruszył ramionami.

— Dzień — rzucił krótko.

— Nie! — wrzasnął Slavros, uderzając go w pierś.

Michaił zrobił trzy kroki do tyłu.

— Jestem na wolności cztery i pół godziny!

— Wiem. Super, że znów jesteście z nami — wymamrotał Michaił.

— A wiesz, że gliny przesłuchiwały mnie ponad tydzień? Nie pozwalając mi się wyspać.

Dali mi do celi dwóch psychopatów, cholernych pedziów, więc musiałem cały czas czuwać.

Wiesz, co człowiek wtedy czuje? Wiesz?

— Złość... — powiedział Michaił i spuścił wzrok.

— To za mało powiedziane. Zapewniam cię. A potem wychodzę i co? Awantura, bo zachowaliście się jak gnojki i pozwoliliście, żeby trzy kurwy podprowadziły forszę mojemu przyjacielowi, panu Arkanowi.

Slavros odwrócił się do Arkana, który jako jedyny z nich wszystkich siedział na krześle. Był to sześćdziesięcioletni mężczyzna o twarzy naznaczonej bliznami po ospie i wąskich ustach, skrywanych pod kruczoczarnymi, kiepsko ufarbowanymi wąsami. Na jego kolanach, na połach palta z owczej wełny leżał rudy pudel miniaturowy.

— Jestem bardzo zawiedziony — Arkan lekko sepleniał. Poprawił się na plastikowym krześle, które zatrzęszczało pod jego ciężarem.

— Bardzo mi przykro — powiedział Slavros. — Myślałem, że mogę zaufać moim dziewczętom. Jeśli człowiek nie potrafi dotrzymać danego słowa, to co mu pozostaje?

— Zawarliśmy umowę... — odezwała się Masza schrypniętym głosem.

Slavros odwrócił się i spojrzał na nią.

— Co takiego?

— Zawarliśmy umowę. Nie ja ją zerwałam.

Slavros zrobił krok w jej stronę. Masza się skuliła.

— Tak, to prawda, zawarliśmy umowę — powiedział Slavros. — Więc czemu kradłaś? Dlaczego nie zaczekałaś, aż wyjdę? Sądziłem, że macie dla mnie trochę szacunku. Szczególnie po tym, co dla was zrobiłem — wyciągnął palec w stronę Lulu, która stała w grupie razem z pozostałymi dziewczynami. Zakrwawiony nos i sine ślady na szyi mówiły same za siebie.

— Lulu nie miała z tym nic wspólnego. To ja i Petra, to znaczy ja i Iza, wzięliśmy pieniądze. A zrobiłyśmy to dlatego, że Michaił stwierdził, że jesteśmy ci winne dziesięć tysięcy euro.

— I dlatego postanowiłyście ukraść dwieście tysięcy szwedzkich koron.

— Sto czterdzieści tysięcy — sprostowała Masza, patrząc na Arkana, który nie odrywał wzroku od swojego pudła.

— Co najmniej dwieście — upierał się. — Dwieście tysięcy w banknotach, które fruują teraz w tunelach metra.

Slavros spojrział na niego podejrzliwie, Arkan zamilkł.

— Dziesięć tysięcy mniej czy więcej nie ma znaczenia. Obiecałem panu Arkanowi porządne dziewczyny, którym można zaufać — oświadczył Slavros. Rozejrzał się dookoła.

— A komu teraz mogę zaufać?

— Winne jesteśmy ja i Iza. Nikt inny nie miał z tym nic wspólnego.

Slavros spojrział na pudła na kolanach Arkana. Pies leżał na plecach i pozwalał się gładzić po brzuchu.

— Ma obrożę od Gucciego?

— Nic nie jest dla niego za dobre.

— Ja mam pasek od Gucciego — powiedział Slavros. Odpiął go i szybkim ruchem wyciągnął ze spodni. — Lulu! — zawołał.

Dziewczyna spojrziała na niego z przestraszeniem.

— Lulu nie miała z tym nic wspólnego — powtórzyła Masza.

— Lulu, pokaż, że jesteś posłuszna. Chodź tutaj.

Lulu zrobiła krok do przodu, Slavros pokręcił głową.

— Nie, nie. Na czworakach. Pokaż, że jesteś równie posłuszna, jak Pelle.

Lulu doczołgała się do jego stóp, usiadła. Slavros chwycił mocniej pasek.

— Wiesz, Arkan, że psa można bić tylko do pewnego momentu. Potem w jego mózgu zaczyna się coś dziać i zwierzę przestaje słuchać. Natomiast kiedy jest przerażony, wtedy gotów jest rzucić się w ogień albo skoczyć do głębokiej wody.

— Proszę — zaczęła błagać go Lulu. — Ja o niczym nie wiedziałam.

Slavros przyłożył palec do ust, uciszył ją. Po chwili schylił się i założył jej pasek na szyję niczym smycz.

— Widzisz, jak ładnie wyglądasz. Jak Pelle. Potrafisz szczekać? Hau, hau?

— Hau, hau...

— Dobry piesek, jeszcze raz.

— Hau... Hau...

— Głośniej!

— HAU, HAU!

— Podaj łapę.

Lulu wyciągnęła prawą rękę. Stojące za nią dziewczyny zaczęły chichotać. Slavros rozłożył ręce i uśmiechnął się zadowolony.

— Słucha, widzicie?

— To dobrze, ale ja nadal nie mam pieniędzy — odezwał się Arkan kwaśno.

— Wiem. Problem polega na tym, że nie jestem w stanie trzymać ich na smyczy. Ani Lulu, ani innych. Dlatego ważne jest wychowanie. Słyszałeś o Pawłowie?

— Właścicieli klubu Lux? — spytał Arkan.

— Nie. O Iwanie Pietrowiczu Pawłowie. Laureacie Nagrody Nobla.

— Nie znam go.

— Badał zachowania psów. Stał się sławny. Za każdym razem, kiedy karmił swoje psy, dzwonił małym dzwoneczkiem. Po jakimś czasie psy zaczęły kojarzyć dźwięk dzwonka z jedzeniem. Kiedy rozlegał się dzwonek, zwierzętom zaczynała się wydzielać ślina. To był odruch. Nie miały na to wpływu. Pawłow zmienił ich świadomość, rozumiesz? Problem polegał na tym, że skutek był ograniczony w czasie. Dlatego co jakiś czas musiał wszystko powtarzać.

— Do czego zmierzasz?

— Do tego, że nie można wymusić na psie całkowitego posłuszeństwa. W końcu to tylko pies. Kiedy przychodzi co do czego, zawsze instynkt bierze górę. I wrodzona pazerność. Dlatego trzeba próbować nad nim zapanować. Pokazać, co się stanie, jeśli będzie nieposłuszny. Dać mu przykład, którego nie wymaże nawet ze swojej ograniczonej pamięci. To musi być coś dramatycznego, coś, co będzie brzęczeć mu w mózgu dłużej niż dzwonek Pawłowa.

Slavros chwycił pasek obiema rękami i pociągnął. Rzemień zaczął się wrzywać w szyję Lulu. Dziewczyna szarpnęła się, próbując się od niego uwolnić. Wtedy Slavros postawił jej nogę na plecach i zmusił ją, by niemal położyła się na podłodze.

— Przestań! Ona nic nie zrobiła! — zawołała Masza.

— Chcesz zająć jej miejsce? Tak?

Slavros mocniej zacisnął pasek.

Masza zamilkła, oparła się o ścianę.

Lulu nadal próbowała się uwolnić. Rzuciła głową na wszystkie strony, słychać było, jak trzeszczą jej kręgi szyjne. W końcu opadła z sił. Opuściła ręce wzdłuż ciała, przestała oddychać. Slavros poluzował chwyt, Lulu się przewróciła. Na jej dżinsach po wewnętrznej stronie ud widać było plamę moczu.

Arkan kilka razy przełknął głośno ślinę, tuląc do siebie Pellego. Stojące za nim dziewczyny zaczęły płakać. Slavros przeszedł przez ciało Lulu i nachylił się nad Maszą. Chwycił ją za brodę, zmusił, by uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Iza i Lulu miały szczęście. To tobie przyjdzie za wszystko zapłacić. Wyciągnąłem cię z piekła, wtedy w tamtym warsztacie, a teraz znów trafisz do piekła. Dopilnuję, żeby trafiali do ciebie najgorsi psychopaci w całym mieście. Wszyscy wariaci poznają twoje imię i twoje ciało. Zrobię to nie tylko po to, żeby cię ukarać, ale też dlatego, że ci najokrutniejsi zbrodniecy są najhojniejsi dla tych, którzy pozwalają im spełniać ich najmroczniejsze marzenia.

— Idź do diabła...

— Nie ja. Ty.

Slavros wstał i spojrzał na dziewczyny.

— Dzyń, dzyń — unióś dłoń, jakby miał w niej niewidzialny dzwoneczek. — Wracamy do pracy. Pan Arkan musi odzyskać swoje pieniądze.

41.

Thomas otworzył drzwiczki minibarku i wyjął cztery małe butelki. Otworzył pierwszą z nich i przystawił do ust, nawet nie sprawdzając jej zawartości. Odchylił głowę i opróżnił butelkę. Gin. Sięgnął po następną. Minął łóżko z narzutą w wypukłe wzory i podszedł do okna. Na dworze było już ciemno, w pokojach w kamienicy naprzeciwko hotelu paliły się światła. W jednym z nich zobaczył parę starszych ludzi. Kobieta i mężczyzna siedzieli przed telewizorem i trzymali się za ręce. Otworzył szeroko okno, podmuch wiatru pochwycił firankę, załopotała. Do mikroskopijnego pokoiku na czwartym piętrze wpadły dźwięki z ulicy, ruchliwej Västmannagatan. Był sobotni wieczór, grupa nastolatków wybierała się na miasto, rozmawiali głośno. Thomas zatrzymał się w hotelu o dumnie brzmiącej nazwie Colonial Hotel. Dwie gwiazdki nijak nie pasowały do pompatycznej nazwy, ale najważniejsze dla Thomasa było to, że hotel mieścił się w centrum miasta, niedaleko Malmskillnadsgatan. A właśnie tam zamierzał rozpocząć swoje poszukiwania Maszy albo kogoś, kto ją znał. Usłyszał brzęczenie komórki. Leżała na łóżku; obejrzał się, zobaczył, że wibruje, i zerknął na wyświetlacz. Dzwonił Johnson. Piąty raz w ciągu pięciu godzin. Pierwszy raz zadzwonił, kiedy Thomas jechał kolejką z lotniska do centrum. Chciał wiedzieć, jak idą poszukiwania, czy Thomas znalazł już jakiś ślad Maszy. Thomas wytłumaczył mu, że nie zdążył jeszcze nawet dotrzeć do hotelu. Postanowił nie odbierać komórki; znalazł bluzę, włożył ją i dziesięć minut później był już w drodze do hotelowego holu. Sprawdził w kieszeni, czy ma ze sobą zdjęcie Maszy oraz kartkę od jej matki.

Przewodnik z mapami zostawił w pokoju, ale przestudiował je dokładnie, żeby wiedzieć, jak dotrzeć do miejsc, które zamierzał odwiedzić. Nie chciał udawać zagubionego turysty. Kogoś, kto sprawia wrażenie łatwego łupu. Nie znał panujących tu obyczajów, ale wiedział, że gdyby taka sytuacja zdarzyła się w okolicach Skelbækgade w Kopenhadze, miałby przechłapano.

Thomas skręcił w Tunnelgatan, którą wkrótce doszedł do Malmskillnadsgatan. Zaczynał lodowaty wiatr, żałował, że nie ubrał się cieplej. Noc zapowiadała się na zimną i długą. Mijając lokal na rogu, naciągnął kaptur. KGB Bar, głosił szyld nad drzwiami. Duży, przestronny lokal wyglądał zachęcająco, wewnątrz było już sporo gości. Ludzie śmiali się, bawili. Gdyby nie zadanie, którego się podjął, pewnie by tam wszedł i usiadł na wolnym stołku barowym, który wypatrzył przez okno. Nawet w Szwecji mieli chyba single malt. Zerknął na numer domu, mając nadzieję, że kiedy będzie wracał do hotelu, bar będzie jeszcze otwarty.

Dotarł do Malmskillnadsgatan. Ulica była brzydka, nijaka — wysokie, puste o tej porze biurowce, duży ruch, samochody i kursujące całą noc autobusy. Ruszył szerokim chodnikiem. Mijały go auta, od czasu do czasu słyszał głuchy dźwięk klaksonu. Już po chwili zauważył pierwsze dziewczyny. Wyzywające stroje i wysokie lakierowane boty, błyszczące w świetle reflektorów, nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do ich profesji. Za każdym razem, kiedy jakiś samochód podjeżdżał do chodnika, dziewczyny wychodziły z cienia, proponując swoje usługi. Tak jak w Kopenhadze, jak wszędzie na świecie. Widok był smutny, sprawiał mu przykrość.

Minął trzy dziewczyny chowające się w bramie jednego z biurowców. Paliły papierosy i próbowały się ogrzać, przestępując z nogi na nogę. Natychmiast go zauważyły.

— Witaj, skarbie — powiedziała jedna z nich drżącym głosem.

Nie zwalniając kroku, zerknął w ich stronę. Obie miały dość ciemną karnację, pewnie pochodziły z Ameryki Południowej. Miały po osiemnaście, może dwadzieścia lat. Zaczął się zastanawiać, co sprawiło, że znalazły się właśnie w tym miejscu. Nawet jeśli przed czymś uciekały, trudno było sobie wyobrazić, że mogło to być gorsze od pieprzenia się ze Szwedami w dziesięciostopniowym mrozie. Szedł dalej, mijal kolejne grupy dziewczyn. Wszystkie były bardzo młode i pochodziły z różnych stron świata. W centrum Sztokholmu znajdowała się reprezentacja wszystkich nacji.

Ruch cały czas był duży. Co chwila przy chodniku zatrzymywały się prywatne samochody albo taksówki. Jedne dziewczyny wysiadały, drugie natychmiast do nich wsiadały. Zaczął się zastanawiać, gdzie załatwiały interesy. Pamiętał z mapy, że niedaleko był duży park, poza tym ulica leżała parę kroków od dworca. W ciągu godziny zdążył obejść cały teren. Większość młodych dziewczyn stała przy głównej ulicy, zostawiając boczne starszym koleżankom i transwestytom. Żadna z dziewczyn nie była podobna do Maszy. Wrócił na Malmskillnadsgatan, żeby sprawdzić, czy nie doszedł ktoś nowy. Ledwie zdążył skręcić w ulicę, natychmiast podeszła do niego jedna z dziewczyn. Miała pewnie ze dwadzieścia lat, chociaż ostre rysy twarzy sprawiały, że wyglądała na starszą. Miała jasną cerę i farbowane blond włosy.

— Chcesz się zabawić? — zagadnęła go po szwedzku z wyraźnym słowiańskim akcentem.

Ubrana była w krótką kurtkę z króliczego futra. Thomas przypomniał sobie okrycie, które widział w pokoju Maszy w mieszkaniu jej matki. Poza tym między nią a Maszą nie było jednak żadnego podobieństwa.

— Szukam pewnej dziewczyny — powiedział.

Dziewczyna odparła rezolutnie, że w takim razie dobrze trafił, i natychmiast spytała, na co ma ochotę.

Thomas pokręcił głową, rozpiął kurtkę i wyjął zdjęcie Maszy.

— Ma na imię Masza. To jej szukam. Może ją znasz?

Dziewczyna rzuciła szybkie spojrzenie na zdjęcie i pokręciła głową. Oblizła wargi i ponownie zaoferowała swoje usługi.

— *Make you reeealy happy.*

Poprosił, żeby jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. Może jednak ją zna. Dziewczyna zaczęła energicznie kręcić głową.

— W porządku, dzięki — rzucił Thomas.

Schował zdjęcie do kieszeni, odwrócił się i poszedł dalej. Słyszał, jak dziewczyna coś za nim krzyczy.

Pytał inne dziewczyny, ale bez powodzenia. Odniósł wrażenie, że stojące tu młode kobiety właściwie się nie znają. Były skupione na samochodach zatrzymujących się na ich kawałku chodnika i robiły wszystko, żeby nie dopuścić do nich konkurencji.

Zrobił kolejną rundę. Za każdym razem, kiedy zaczynała go któraś z dziewczyn, zatrzymywał się i pokazywał jej zdjęcie. Kiedy po raz trzeci przechodził Malmskillnadsgatan, dziewczyna w kurtce z królika splunęła za nim i zaczęła mówić coś szybko po rosyjsku. Natychmiast pojawiło się obok niego dwóch facetów w wielkich puchowych kurtkach i ciężkich butach. Mieli krótko obcięte włosy, przypominali mu kopenhaskich jugogangsterów.

— Hej, szefie — zawołał jeden z nich. — Co się dzieje?

— Dokuczasz dziewczętom? — odezwał się drugi, zanim Thomas zdążył się odezwać.

— Nikomu nie dokuczam, po prostu trochę się przyglądam.

Mężczyźni zagroździ mu drogę.

— Tu nie ma nic do oglądania. Albo się decydujesz, albo spadasz! Rozumiemy się?

Thomas skinął głową.

— Nie jestem taki pewien — powiedział drugi mężczyzna. Wyjął ręce z kieszeni, zacisnął dłonie i zerknął na ulicę.

— *Dawaj!* — krzyknął nagle ten pierwszy.

Mężczyźni wyminęli Thomasa i zniknęli.

Ulicą przejechał radiowóz. Dwaj umundurowani policjanci posłali mu podejrzliwe spojrzenie, ale nie zatrzymali się. Thomas przyglądał się funkcjonariuszom, którzy spokojnie mijali prostytutki i ich klientów, nie interweniując. Nikt by się nie domyślił, że w tym kraju kupowanie seksu jest nielegalne, i to już od dziesięciu lat.

Ruszył dalej ulicą. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Jeśli znajdzie Maszę, będzie to łut szczęścia większy niż wygrana w lotto. Przypomniawszy sobie lokal KGB i wolne miejsce przy barze. Perspektywa wydała mu się kusząca, lecz nie zawrócił, szedł dalej. Chciał jeszcze sprawdzić kilka nocnych klubów ze striptizem, które znajdowały się niedaleko stąd.

42.

Thomas zatrzymał się przy sklepie z damską bielizną na Drottninggatan. Wystawę zdobiły dwa nadmuchiwane manekiny w bieliźnie erotycznej. Coś mu się nie zgadzało. Pod tym adresem powinien być klub Heart Beat, a nie sklep z akcesoriami umilającymi seksualne igraszki. Postanowił wejść i zapytać. Niewielki lokal sklepowy wypełniony był erotycznymi gadżetami. Pod jedną ścianą stała zamykana gabłota ze sztucznymi penisami różnej wielkości. Na tyłach sklepu mieścił się dział z pejcami, łańcuchami i kajdankami. Na ladzie paliły się dwie świece zapachowe, wypełniające słodkawą wonią całe pomieszczenie. Thomas podszedł do ekspedientki, która stała za ladą i przeglądała pismo o motorach. Była to dość potężnie zbudowana kobieta z kolczykami w wargach, uszach i w nosie. Jej ręce zdobiły rozległe tatuaże.

— Szukam klubu ze striptizem. Nazywa się Heart...

— W piwnicy — przerwała mu kobieta, wskazując leniwie dłonią na schody w rogu lokalu. — Wstęp wynosi sześć stów.

Thomas zerknął w stronę schodów. Wyjął z kieszeni zdjęcie Maszy i położył je na ladzie.

— Wiesz może, czy znajdę tam tę dziewczynę?

— Zejdź i sprawdź. Wstęp kosztuje sześć stów.

— Jestem zainteresowany pod warunkiem, że ona tam jest.

Ekspedientka uniosła głowę znad pisma.

— Sześć stów — powtórzyła.

Thomas odliczył pieniądze i położył na ladzie.

— Uważaj na schodach, żebyś nie uderzył się w głowę — ostrzegła kobieta, wkładając banknoty do kieszeni.

Thomas schylił się i ruszył w dół krętymi schodami, które po chwili zaprowadziły go do niewielkiej piwnicy. Zamontowane na suficie reflektorki dawały ostre czerwone światło, równie intensywne, jak głośne techno lecące z głośników na barze. Przy rurze na środku wiła się młoda dziewczyna w stringach. Na skórzanych kanapach wokół sceny siedziało trzech mężczyzn. Po drugiej stronie lokalu za barem stała dziewczyna w obcisłym gorsecie i rytmicznie uderzała w dłonie. Thomas ruszył w jej stronę. Dziewczyna, Azjatka, uśmiechnęła się do niego.

— Cześć, skarbie! — zawołała, usiłując przekrzyczeć muzykę. Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

Thomas podszedł bliżej, zamówił piwo.

Dziewczyna postawiła na ladzie prippsa i znów mrugnęła do niego zachęcająco.

— *Happy times, right?*

Thomas pochylił się nad barem.

— Dużo was tu dzisiaj pracuje?

Dziewczyna wskazała na scenę i na siebie.

— Chcesz, żebym dla ciebie zatańczyła? — uśmiechnęła się.

Thomas pokręcił głową i wyjął zdjęcie Maszy.

— Znasz ją?

— *Sorry* — powiedziała Azjatka i wzruszyła ramionami.

Kiedy numer się skończył, dziewczyny zamieniły się miejscami. Ta, która przysłała do baru, też była Azjatką. Uśmiechała się równie promiennie, jak jej koleżanka, i też zaczęła klaskać w dłonie. Thomas pokazał dziewczynie zdjęcie Maszy, ale ona także jej nie rozpoznała. Postawił jej piwo. Dowiedział się, że razem z koleżanką przyjechały do Szwecji trzy miesiące temu.

Wcześniej były w Holandii i w Niemczech.

— Berlin, Leipzig i Hamburgery — poinformowała go.

Zaproponowała, że dla niego zatańczy, a kiedy odmówił, zostawiła go i podeszła do mężczyzn siedzących na kanapie przed sceną.

Dziesięć minut później Thomas znów szedł Drottninggatan. Następnym miejscem na jego liście był Kitty Club, leżący kilka przecznic dalej.

Usłyszał sygnał komórki, sięgnął po nią do kieszeni. Dzwonił Johnson.

— Co nowego? — usłyszał w słuchawce jego głos.

— Nic.

Głębokie westchnienie.

— Na pewno szukasz we właściwych miejscach, Ravn? To ważne.

— Przeszedłem wzdłuż i wszerz cały Sztokholm.

Gdzieś z głębi dobiegły go krzyki.

— Muszę kończyć... — powiedział Johnson.

— Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiem.

Johnson się rozłączył, Thomas schował aparat do kieszeni.

Skręcił za rogiem obok 7-Eleven i ruszył pnąc się pod górę ulicą do Kitty Clubu.

Z sąsiadującego z klubem lokalu z shoarmą unosił się zapach frytury. Thomas kupił falafel i zjadł go na ulicy. Jedząc, przypatrywał się smutnej fasadzie budynku, w którym mieścił się Kitty Club. Nazwa była wypisana dość niestarannie dużymi srebrnymi literami. Jedno „t” w słowie „Kitty” leżało na boku. Pod farbą widoczny był poprzedni szyld. Co prawda, został zamalowany, ale nazwa nadal była czytelna. „Key Club”. Thomas przypomniał sobie tę nazwę z jednego z artykułów Eduarda. Dawny klub Slavrosa. Wyrzucił do śmietnika niedojezony falafel i wszedł do środka.

Kitty Club nie był bardziej ekskluzywny niż odwiedzony przez niego wcześniej Heart Beat, natomiast był znacznie większy i miał więcej klientów. W boksach na owalnych kanapach siedziały młode kobiety w minispódniczkach oraz ich klienci. Głównie mężczyźni w średnim wieku albo grupy bardzo młodych chłopców. Na scenie na środku lokalu dwie dziewczyny tańczyły do melodii z *Titanica*.

Podeszła do niego dziewczyna o ciemnej karnacji, ubrana w krótką, kobaltowoniebieską satynową sukienkę. Uśmiechnęła się do niego.

— Mamy wolny stół — powiedziała, wskazując na jedną z kanap.

— Okej.

— Wstęp jest płatny, ale obejmuje butelkę bąbelków — dodała. Wzięła go pod rękę i poprowadziła w stronę sceny.

— Ile kosztuje miejsce na kanapie?

— Normalnie trzy i pół tysiąca, ale może być dwa siedemset.

Thomas uwolnił się z jej uchwytu.

— Dziękuję, chyba jednak poszukam miejsca przy barze.

Opuścił dziewczynę i ruszył w stronę baru, gdzie siedziało już sporo osób. Melodia z *Titanica* została zastąpiona Joe Cockerem, a na miejsce tancerek na scenę weszła kobieta w czerwonym lakierowanym gorsecie i po chwili zaczęła się rozbierać.

Thomas spojrzął na bramkarzy, którzy cały czas bacznie przyglądali się gościom. Potężnie zbudowani, krótko ostrzyżeni, o wyraźne słowiańskich rysach. Podejrzał, że są z Rosji albo z Bałkanów, co mogłoby sugerować, że chociaż klub zmienił nazwę, Slavros nadal

był jego właścicielem. Z kilkunastu dziewczyn, które krążyły wokół gości, żadna nie przypominała Maszy. Wszystkie były młodsze, wyglądały jak duże dzieci. Zasmuciło go to.

— Jesteś podobny do Daniela Craiga — odezwała się siedząca obok niego młoda blondynka w czarnej minispódnicy.

— Do kogo? — spytał.

— Do tego aktora, który grał Jamesa Bonda. Nie znasz go?

— On nie jest blondynem?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Jestem okropnie spragniona.

— Chcesz? — spytał Thomas, wskazując na butelkę piwa.

Pokręciła głową i zanim się zorientował, kelner postawił przed nią kieliszek szampana.

Thomas pomyślał, że przyjdzie mu za niego słono zapłacić. Wzniesli toast.

— Jesteś Duńczykiem? Jak masz na imię?

— Thomas.

— Twoje zdrowie, Thomasie z Danii. Jestem Lizza. Przez dwa z. Przyjechałeś tu na urlop czy do pracy?

Thomas rozejrzał się po lokalu.

— Szukam pewnej dziewczyny. Uciekła z domu.

Lizza roześmiała się.

— No to trafiłeś pod właściwy adres. Wszystkie od czegoś uciekłyśmy. Co nie znaczy, że jesteśmy niedobre — dodała, układając usta w podkówkę.

— Jak długo tu jesteś?

— W Szwecji? Zdecydowanie za długo.

— A tu w klubie?

— Dlaczego pytasz? Jesteś gliną?

Dziewczyna zaczęła mu się przyglądać, zmarszczyła brwi.

Thomas pokręcił głową.

— Nie, nie jestem gliniarzem. Pomagam matce, która próbuje się dowiedzieć, co się stało z jej córką.

— Prawdziwy z ciebie dzentelmen. Jak ta dziewczyna ma na imię?

— Masza.

Thomas wyjął zdjęcie i pokazał je dziewczynie.

Lizza pokiwała głową.

— Kogoś mi przypomina.

— Widziałaś ją tutaj? — spytał Thomas, odstawiając szklanek z piwem.

Lizza posłała mu szelmowskie spojrzenie.

— Kiedy? Gdzie? — dopytywał się Thomas.

Dziewczyna oddała mu zdjęcie i przytuliła się do niego.

— Chodź ze mną na górę. Tam jest przyjemniej. Będziemy mogli swobodniej porozmawiać. — Odchyliła głowę i spojrzała mu głęboko w oczy. — Ja też muszę coś z tego mieć — wyszeptła.

— Wiesz, gdzie ona jest?

— Mam apartament nowożeńców. Pójdiesz ze mną?

Przeciągnęła dłonią po jego klatce piersiowej, odwróciła się i ruszyła w stronę schodów.

Śledził ją wzrokiem. Zobaczył, jak rozmawia z jednym z bramkarzy. Skinęła głową w jego stronę i zniknęła w korytarzu. Nie potrafił powiedzieć, czy dziewczyna była z nim szczerą. Wiedział jednak, że jeśli odejdzie i nic więcej się nie dowie, będzie go to potem dręczyć. Sięgnął po

szklankę i szybko ją opróżnił.

Pięć minut później stał w wąskim korytarzu na pierwszym piętrze i pukał do drzwi pokoju numer trzy. Zapłacił dwa i pół tysiąca krótko ostrzyżonemu facetowi w tanim smokingu, który stał w głębi korytarza.

— Masz dwadzieścia minut. Bądź grzeczny — ostrzegł go mężczyzna z powagą.

Lizza otworzyła drzwi i zaprosiła go do środka. Zdążyła już zdjąć sukienkę, stała przed nim w stringach i koronkowym staniku, który ciasno opinał jej silikonowe piersi. Thomas rozejrzał się po małym, ciemnym pokoju. Łóżko, szafa i toaletka w rogu. To było całe wyposażenie apartamentu.

— Nie położysz się na łóżku? Możemy zacząć od masażu — powiedziała, dotykając dłonią jego rozporka.

Odsunął jej rękę.

— Wolę, żebyś opowiedziała mi o Maszy. Gdzie mogę ją znaleźć?

Dziewczyna chwyciła go za rękę.

— Chodź, połóż się i zapomnij o Maszy. Masz mnie. Będę twoją małą Maszą.

Uwolnił się z jej uchwytu, zrobił krok do tyłu.

— Mówię serio. Jeśli wiesz, gdzie ona jest, powiedz mi. Oczywiście zapłacę ci za to.

— Pokaż mi jeszcze raz to zdjęcie — powiedziała Lizza i wyciągnęła rękę.

Thomas pokazał jej zdjęcie, wyrwała mu je.

— Ładna. I taka niewinna. To aktualne zdjęcie?

— Zrobione jakieś dwa lata temu. Zniknęła w 2010 roku.

— W 2010? — powtórzyła Lizza, przewracając oczami. — To chyba jednak jej nie znam. Już miała oddać mi zdjęcie, kiedy nagle zmieniła zdanie.

— Zaczekaj chwilę — powiedziała.

Zdjęła z wieszaka cienkie jedwabne kimono, owinęła się nim i zniknęła za drzwiami.

Thomas rozejrzał się po nędznie wyglądającym pokoju z plamami wilgoci na ścianach. Jeśli to jest apartament dla nowożeńców, to nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, w jakim stanie były pozostałe pokoje. Uniósł głowę. Na szafie leżała sportowa torba. Pewnie z jej rzeczami, pomyślał. Nie zdziwiłby się, gdyby Lizza pracowała i mieszkała w tej norze.

Po kilku minutach Lizza wróciła.

— Rozmawiałam z dziewczynami. Jedna z nich ją pamięta — powiedziała, oddając mu zdjęcie. — Wyjechała już dawno temu...

— Wyjechała? Dokąd?

— Do domu.

— Do Sankt Petersburga? — spytał, żeby ją sprawdzić.

Lizza skinęła głową, zdjęła kimono i odwiesiła je na miejsce.

— Tak — potwierdziła, po czym wskazała na łóżko.

— Chcesz?

— Do kogo należy to miejsce?

— Nie mam pojęcia.

— Do Slavrosa? Do Vladimira Slavrosa?

— Nie znam nikogo takiego. Za dużo pytasz. Chodź.

Thomas schował zdjęcie do kieszeni, wyjął pięćset koron i dał je dziewczynie. Nie chciał tu dłużej zostawać. Lizza najwyraźniej go okłamała. Nikt nie znał Maszy.

— Dziękuję za pomoc. Uważaj na siebie, Lizza.

Podszedł do drzwi, otworzył je.

— Thomasie z Danii! — usłyszał nagle jej głos.
Odwrócił się.
— Powiedz jej matce, że wszystko jest w porządku.

43.

Thomasa obudziło brzęczenie komórki, leżącej tuż obok jego ucha. Otworzył oczy. Oślepiło go wpadające przez okno ostre światło dnia, więc z powrotem zamknął oczy i sięgnął po omacku po komórkę, żeby ją wyłączyć. Kiedy w końcu ją znalazł, zaczął wciskać różne klawisze, ale komórka nadal dzwoniła. Pozwolił jej wypaść z ręki. Bolała go głowa, miał sucho w gardle. Zorientował się, że spał w ubraniu.

— Ravn — usłyszał z daleka. — Ravn, do cholery! Odezwij się.

W końcu otworzył oczy i znów spojrzął na komórkę. Macając po omacku, najwyraźniej wcisnął nie ten klawisz, który zamierzał wcisnąć, i odebrał połączenie.

— Tak? — odpowiedział schrypniętym głosem. — Czego chcesz?

— Jesteś pijany?

— Już nie. A o co chodzi?

— Jest po dwunastej, a ty brzmisz, jakbyś jeszcze nie wstał.

— Nie śpię i jestem ubrany — powiedział i zaczął kasłać.

— Dowiedziałeś się czegoś?

Thomas usiadł na łóżku. Kręciło mu się w głowie, miał mdłości.

— Niewiele. To nie ma sensu.

— Może poszłoby ci lepiej, gdybyś nie...

— Nie piłem, to znaczy tylko trochę. Zszedłem cały Sztokholm w dziesięciostopniowym mrozie. Tylko że jej tutaj nie ma, do diabła!

— Nadia wpadła tu dzisiaj. Twierdzi, że w ciebie wierzy. Trzyma za ciebie kciuki i ma nadzieję, że przywieziesz jej dobre wiadomości.

Thomas podrapał się po głowie.

— Cudu nie zdziałam.

— Nie możesz jej zawieść. Chodzi o jej córkę.

— Niech cię szlag, Johnson. To nie ja wpadłem na ten genialny pomysł, żeby tu przyjechać.

— Posłuchaj...

— Muszę kończyć.

Thomas rzucił komórkę i wybiegł do łazienki. Zdążył unieść deskę i zwymiotował.

Potem siedział jakiś czas na podłodze w łazience, oparty o ściankę kabiny prysznicowej. Nalał wody do kubka i próbował wypić kilka łyków. Że też Johnson musiał zadzwonić i nawrzeszczeć mu do uszu właśnie wtedy, kiedy miał najgorszego kaca. Gdyby mógł pospać jeszcze kilka godzin, pewnie zaoszczędziłoby mu to wyprawy do kibla. Próbował przypomnieć sobie nocne wydarzenia. Po wizycie w Kitty Clubie odwiedził jeszcze kilka innych lokali. Jeden gorszy od drugiego. I znalazł Maszę. Stała naprzeciwko niego, mówiąc: *Hello, how are you?* A potem: *Special price, my friend*. Widział ją we wszystkich młodych kobietach, które spotykał w klubach i na ulicy. Nieważne, skąd pochodziły, jaki miały kolor skóry. Wszystkie były nią. Wszystkie od czegoś uciekały. Albo od kogoś. Wszystkie zostały komuś sprzedane. Potem przez kogoś kupione i znów sprzedane. Wszystkie żyły bez cienia nadziei na lepszą przyszłość. Sprawiały wrażenie młodszych od Maszy. Zastanawiał się, ile czasu musi minąć, żeby już do niczego się nie nadawały? Kilka lat? Może miesięcy? Z każdą godziną jego poszukiwania wydawały mu się coraz bardziej bezcelowe. W końcu poddał się i poszukał schronienia w barze KGB. Znalazł wolne krzesło, wypił whisky, single malt, i piwo, heinekena. Zyskał

w Sztokholmie nowych przyjaciół. Nie żeby zdołał ich rozpoznać, gdyby dzisiaj spotkał kogoś z nich na ulicy, ale bar przyjemnie kontrastował ze smutnymi klubami ze striptizem. Ludzie pili, śpiewali. Głównie ballady Everta Taubego. Opowiadali dowcipy — po szwedzku, po duńsku, o Szwedach, o Duńczykach. Wpadł w oko jednej kobiecie, Monice, która przypominała ciemnowłosą wokalistkę z Abby i wyraźnie go sobie upatrzyła. Pamiętał, że powiedziała mu, iż jest przystojny. Natomiast nie pamiętał, czy się całowali. Może tylko miała na to ochotę? Nagle przypomniała mu się Eva i ogarnął go smutek. Podniósł się z podłogi.

Odkręcił kran, pozwolił, by woda leciała, wszedł pod prysznic i powoli zaczął zdejmować z siebie ubranie.

Bufet śniadaniowy w Colonial Hotel dawno już zamknięto. Thomas ruszył więc w stronę Kungsgatan i dzielnicy Norrmalm. Znalazł niewielką kawiarnię, wszedł i zamówił kawę i dwa croissanty. Jednak młody kelner z włosami ściągniętymi w koński ogon i z dużą ilością pierścionków na palcach powiedział, że zostały już tylko bułeczki z cynamonem. Thomas przypomniał sobie, że Victoria radziła, aby ich unikał, więc zadowolił się kawą. Sięgnął po leżący na sąsiednim stoliku egzemplarz „Expressen” i zaczął go przeglądać. Na środkowych stronach zobaczył artykuł o bulwersującym zabójstwie. Od kilku lat nieznaną sprawca zabija prostytutki, a potem porzuca ich ciała, zamienione w białe posągi, na okolicznych wysypiskach. Do tej pory odnotowano sześć ofiar. Motywy działania sprawcy pozostają nieznanne. Psychologowie, z którymi rozmawiali dziennikarze, podejrzewają, że mogą być natury religijnej bądź seksualnej.

Kelner wrócił z kawą, Thomas odłożył gazetę. Spojrzał przez duże panoramiczne okno i zadumał się. Na ulicy panował duży ruch, patrzył na samochody i spieszących ludzi. Próbował przekonać sam siebie, że rzeczywiście zrobił wszystko, co mógł. Że kontynuowanie poszukiwań byłoby stratą czasu i pieniędzy. Na wizyty w nocnych klubach wydał już co najmniej sześć tysięcy. Nie sądził, żeby Johnson był skłonny mu je zwrócić, a od Nadii nie miał sumienia ich żądać. Zastanawiał się, czy nie przebukować biletów i jeszcze dzisiaj nie wrócić do domu. Johnson będzie oczywiście niezadowolony. Będzie mu wypominał, że za łatwo się poddał. Dopił kawę i postanowił zamówić jeszcze jedną filiżankę. Wyjął z kieszeni kartkę z kociątkami na odwrocie. Najprościej byłoby zostawić ją tutaj, na stoliku, a potem wytłumaczyć to jakoś Nadii. Ale był zbyt dobrze wychowany, żeby okłamywać starsze kobiety, które straciły dzieci. „Powiedz jej matce, że wszystko jest w porządku”, przypomniał sobie słowa Lizzy.

— Niech to szlag — wymamrotał.

— Słucham? — usłyszał głos kelnera.

— Poproszę jeszcze jedną kawę. I babeczkę z cynamonem...

Kelner skinął głową, po czym zniknął. Thomas wyciągnął z kieszeni komórkę i zaczął przeglądać kontakty. Znalazł to, czego szukał. Wybrał numer.

— Główny Zarząd Policji — usłyszał głos dyżurnego po drugiej stronie.

44.

Karl Luger podał Thomasowi rękę i się uśmiechnął. Na jego okrągłych policzkach ukazały się dwa dołeczki. Od ich ostatniego spotkania sporo przytył. Jakies piętnaście, może nawet dwadzieścia kilogramów, pomyślał Thomas.

— Dobrze znów cię widzieć, Ravn. Przyznaję, że twój telefon mnie zaskoczył. Kiedy ostatnio się widzieliśmy? Jakies cztery, pięć lat temu?

Poluzował granatowy krawat, który wyraźnie mu przeszkadzał.

— Chyba z sześć — powiedział Thomas. — Na seminarium w Scotland Yardzie. Widzę, że nadal masz miśka — wskazał dłonią na maskotkę siedzącą na biurku, niewielkiego misia w mundurze angielskiego policjanta, który był dołączony do dyplomu ukończenia kursu.

Karl podążył za jego ręką.

— Trochę to żenujące, prawda?

— Nie, też gdzieś go mam — skłamał Thomas. — To twoja żona i córeczka? — spytał, pokazując na zdjęcie, obok którego stała maskotka.

— Tak, to Louisa. W przyszłym roku idzie do szkoły.

— Pamiętam, że właśnie wtedy miała się urodzić.

Karl uśmiechnął się.

— A co u ciebie? Masz dzieci?

Thomas pokręcił głową.

— Ale ożeniłeś się. Z... — Szwed pstryknął palcami, próbując przypomnieć sobie imię.

— Z Evą — odpowiedział mu Thomas.

— Eva! Właśnie. Adwokatka. Pamiętam, jak żartowałeś, że ledwie zatrzymasz jakiegoś łajdaka, ona...

— Ona już go wypuszcza — uśmiechnął się Thomas.

— Wciąż jesteście razem?

— Tak, tak. Wszystko w porządku.

Thomas powędrował wzrokiem po pokoju. Tutejszy dział dochodzeniowy różnił się istotnie od tego, w którym sam kiedyś pracował. Pomieszczenia były duże, jasne, na biurkach panował porządek. Na każdym stał pecet, a wszyscy urzędnicy byli ubrani w koszule z krawatami. Poczuł się jak w banku. Karl zaproponował kawę, więc wyszli na korytarz, gdzie stał automat. Karl zaczął mu opowiadać o swoim ostatnim awansie. Był teraz szefem sekcji odpowiadającej za przestępstwa w sieci.

— W zasadzie nic się nie zmieniło. Tyle że przestępcy przenieśli się do sieci. To dotyczy wszystkich branż. Prostyucji, handlu ludźmi, narkotyków, kradzieży. Nawet rockersi mają już iPady.

Uśmiechnął się i sięgnął po kubki z kawą.

— Ale nie muszą już nocami ganiać po ulicach. Wiesz, jak męczące bywają takie zadania. Thomas skinął głową i podążył za nim. Podeszli do biurka, Karl wskazał mu krzesło.

— A co u ciebie?

— Wszystko po staremu. Żadnych awansów, nadal ganiam po ulicach.

Karl wyciągnął kubek w jego stronę.

— Wy, Duńczycy, jesteście bardziej na luzie. Z tym zarostem wyglądasz jak gwiazda rocka. U nas by to nie przeszło — roześmiał się i wypił łyk kawy.

— Tak, zauważyłem. Jesteście bardziej formalni — odparł Thomas, drapiąc się po

brodzie. — Ale też mój szef raczej nie wysunąłby mojej kandydatury na gliniarza roku.

— Przyznaję, że to mnie dziwi. Pamiętam, jak świetnie radziłeś sobie na kursie.

Karl wyjął z pudełka chusteczkę higieniczną i postawił na niej kubek z kawą.

— Opowiedz mi coś więcej o tej sprawie, o której wspomniałeś przez telefon.

— Jak już ci mówiłem, szukam młodej Litwinki, która zaginęła w dwa tysiące dziesiątym roku. Jest prostytutką. Wiele wskazuje na to, że została sprzedana i trafiła do Szwecji.

— Jak wiele innych młodych kobiet, niestety. W ostatnich latach przeżywamy prawdziwy zalew prostytutek, ściągają tu z całego świata.

— Wprowadziliście zakaz kupowania usług seksualnych. To nie pomaga?

Karl przeciągnął się na krześle.

— Niech szlag weźmie tę ustawę. To był szatański pomysł. Dawniej mieliśmy dobre kontakty z dziewczynami. Teraz są przerażone. Nie mamy pojęcia, co się dzieje w środowisku. Dziewczyny są bardziej narażone niż kiedykolwiek. Dochodzi do gwałtów, pobić. Dzieją się naprawdę okropne rzeczy. A jakby tego było mało, mamy jeszcze psychopatę, który ma już kilka zabójstw na sumieniu. Szuka ofiar wśród prostytutek. Zabija dziewczyny i je preparuje. Boże drogi — westchnął Karl.

— Zostawia je na wysypiskach?

— Znasz tę sprawę?

— Czytałem o niej rano w „Expressen”. Rzeczywiście nieprzyjemna.

— W czym mogę ci pomóc?

— Pomyślałem, że może macie w systemie jakieś informacje o dziewczynie, której szukam.

— To oficjalna prośba? — spytał Karl, patrząc na niego poważnie.

— Nie. Po prostu znam jej matkę, to wszystko.

— Wiesz, ile dziewczyn znika tu każdego roku?

— Podobno całkiem sporo. Tym bardziej twoja pomoc może się okazać nieoceniona.

Karl wygładził krawat, który niczym wąż wił się na jego grubym brzuchu.

— Jeśli nie jest to sprawa stricte policyjna...

Thomas wychylił się na krześle.

— Proszę cię tylko, żebyś sprawdził, czy macie w systemie jakieś informacje. Coś, co być może wskaże nam jej miejsce pobytu, cokolwiek.

— Rozumiem cię, ale żeby móc to zrobić, musiałbyś dopełnić formalności. Duńska policja powinna się z tym do nas zgłosić oficjalnie. Osobiście zwalniałem ludzi za mniejsze przewinienia. Nie możemy używać systemu do celów prywatnych, nawet jeśli motywy są jak najbardziej szlachetne.

— Okej, rozumiem.

Karl zerknął na zegarek, dając w ten sposób znak, że ich krótkie spotkanie dobiegało końca.

— Mężczyzna, któremu została sprzedana, nazywa się Slavros. Mówi ci to coś?

— Vladimir Slavros?

Thomas skinął głową.

— To pewna informacja?

— Raczej tak. Mam świadka.

— Możemy liczyć na zeznanie?

— Obawiam się, że nie. W Danii członkowie wschodniej mafii raczej na siebie nie donoszą.

— Podobnie jak u nas.

Karl złożył ręce, dotknął palcami ust i się zamyślił.

— Sądysz, że dziewczyna, oczywiście, jeśli ją znajdziemy, będzie skłonna zeznawać przeciwko niemu?

— Taka możliwość zawsze istnieje.

— A więc chętnie byśmy z nią porozmawiali.

— Co znaczy, że powinieneś włączyć komputer — powiedział Thomas. Skinął głową w stronę monitora i się uśmiechnął.

Karl westchnął głęboko.

— Masz jakieś dane? — spytał, siadając do klawiatury.

Thomas podał mu dane Maszy. Karl wpisał je, a po chwili na ekranie ukazał się napis: „Brak danych”.

— Powiniennem się tego spodziewać — mruknął Karl.

— To znaczy?

Karl odwrócił się na krześle.

— Od początku mojej pracy w wydziale próbujemy znaleźć coś na Slavrosa.

— Czyli to już trochę trwa.

— Ja sam, Dahl i Lindgren poświęciliśmy mu wiele tysięcy godzin pracy. Wymienieni funkcjonariusze unieśli wzrok znad komputerów, kiwając głowami.

— Dlaczego nie możecie go złapać?

Mężczyźni uśmiechnęli się.

— Slavros jest na tyle sprytny, że zawsze trzyma się z tyłu. Osobiście nie jest w nic zaangażowany — powiedział Lindgren.

Mężczyzna był pewnie w wieku Karla, miał duże, pełne wargi i ciemne włosy, uczesane z przedziałkiem.

— Działa przez pośredników, to nie on popełnia przestępstwa.

— A w tych nielicznych przypadkach, kiedy udało nam się wnieść przeciwko niemu oskarżenie, świadkowie zawsze w końcu się wycofywali — dokończył Karl.

— Tylko raz byliśmy naprawdę blisko — odezwał się Lindgren.

— Kiedy to było?

— Kilka lat temu. Zrobiliśmy wtedy nalot na jeden z jego klubów. Key Club.

— Który teraz nazywa się Kitty Club?

— Tak, zmieniał nazwę kilka razy, ale nadal należy do Slavrosa.

— Co się wtedy stało?

— Przed naszym przybyciem udało mu się ewakuować wszystkie dziewczyny. I sprawa upadła.

— Jednak klub nadal działa — zdziwił się Thomas.

— To prawda, ale czasy się zmieniły. Teraz nawet członkowie rodziny królewskiej chadzają do klubów ze striptizem — powiedział Karl z ironią w głosie.

— A co ze Slavrosem? Wiecie, gdzie jest?

— Wszędzie i nigdzie. Udaje mu się skutecznie nas unikać.

— Ale nadal go szukacie?

— Oficjalnie tak. Jednak sprawa nie jest już priorytetem. Kto by się przejmował losem jakichś cudzoziemek? To nie przysparza głosów wyborców. I Slavros z tego korzysta.

— Czytałem o pewnym incydencie na Dworcu Głównym w Sztokholmie, już jakiś czas temu. Podobno zajmowałeś się tą sprawą. Zatrzymaliście wtedy kilku ludzi Slavrosa. Jak to się dalej potoczyło?

— Na dworcu? Na Centralnym, tak?

— Tak. prostytutka wpadła pod pociąg.
Dahl uśmiechnął się znad klawiatury.
— Miała przy sobie mnóstwo forsy. Chłopcy jeszcze przez dwa dni biegali po dworcu i zbierali banknoty.
— Kogoś o coś oskarżono?
— Nie. To było samobójstwo. Ale pieniądze należały do Slavrosa. Jego ludzie gonili tę dziewczynę i tę drugą, która z nią była. Widać to na nagraniach z monitoringu.
— Kim była ta druga dziewczyna?
— Nie mam pojęcia. Przesłuchano tylko tych trzech mężczyzn. Ale prawdopodobnie też była prostytutką. Nie mieliśmy z nią kontaktu.
— Slavros był w to zamieszany?
— W jakiś sposób na pewno — odpowiedział Karl. — O ile dobrze pamiętam, sprawa dotyczyła jeszcze jednego faceta. Nazywał się Aron...
— Arkan — poprawił go Dahl. — Kompan Slavrosa. Był właścicielem sieci solariów, które stanowiły przykrywkę dla burdela Slavrosa. Ta dziewczyna, która zginęła, a zapewne także pieniądze, pochodziły właśnie stamtąd.
— Slavros kontrolował wówczas sporą część środowiska — wyjaśnił Lindgren.
— Arkan mógł znać Maszę?
— Niewykluczone. Pytanie, czy coś by powiedział — Karl rozłożył ręce.
— Do tej pory milczał jak grób — wszedł mu w słowo Lindgren.
— Gdzie on teraz jest?
— W Hall. To zakład karny niedaleko Södertälje. Zostanie tam przez najbliższe pięć lat — oznajmił Karl i ponownie spojrzął na zegarek. — Przepraszam, ale naprawdę nie mam już czasu.
— Jasne, nie będę ci przeszkadzał.
Thomas wstał i pożegnał się z funkcjonariuszami. Karl odprowadził go do drzwi.
— Miło, że wpadłeś, Ravn. Przykro mi, że nie możemy ci pomóc. Jeśli znajdziesz dziewczynę i jeśli będzie wiedziała coś na temat Slavrosa, daj nam znać.
Thomas skinął głową.
— Co muszę zrobić, żeby odwiedzić Arkana?
— Wybrać się na krótką przejażdżkę. Godzina jazdy samochodem.
— Możesz się skontaktować z dyrekcją więzienia i wpisać mnie na listę odwiedzających?
— Oczywiście — uśmiechnął się Karl. — Arkan nie jest niebezpieczny. Ale Lindgren ma rację. Pytanie brzmi, czy zechce ci coś powiedzieć.

45.

Tuż po dziewiątej Thomas wyruszył taksówką ze Sztokholmu w stronę Södertälje. Stare volvo ślimaczyło się w porannym korku, w radiu Lisa Nilsson śpiewała o „miejscu w sercu”. Thomas wyjrzał przez okno. Właśnie mijali po jednej stronie Ikeę, po drugiej jezioro Mälaren. Uznał ten widok za kwintesencję Szwecji.

— Jedzie pan odwiedzić kumpla? — rzucił kierowca, sennym wzrokiem zerkając w lusterko na Thomasa. Miał duże, rude bokobrody, a na głowie zdecydowanie za mały skórzany kaszkiet.

Thomas wymruczał coś, co mogło znaczyć „tak” albo „nie”, a tak naprawdę znaczyło, że ma kaca i nie chce rozmawiać. Poprzedniego wieczoru zrobił kolejną rundę po nocnych klubach, ale nie dowiedział się niczego więcej o losie Maszy. Na koniec trafił znów do KGB. W barze nie było tak tłoczno, jak poprzedniego wieczora, ale było piwo i jim beam.

— Znam paru chłopaków, którzy siedzą w Hall — nie poddawał się taksówkarz. — Mało zabawne miejsce, może mi pan wierzyć. Klawisze nikomu nie przepuszczą. Wie pan, o co mi chodzi?

Taksówkarz znów zerknął na niego w lusterku. Kiedy się uśmiechał, widać było tytoń pod górną wargą.

— Człowiek pierdnie, a już grozi mu areszt. Co takiego zrobił pański kumpel?

— Słucham?

— Pański kumpel. Ten, który siedzi w pudle. Co takiego zrobił? Dilował? Kradł? Bił żonę? — uśmiechał się taksówkarz.

— To nie jest mój kumpel.

— Nie? A może jest panu winien forszę?

Kierowca znów chciał się uśmiechnąć, ale powstrzymał się, widząc kamienną twarz Thomasa.

— Widzę, że nie jest pan stąd. Przyjechał pan z Danii?

— Tak.

— Z Kopenhagi?

— Tak.

— W Danii gliniarze też zachowują się jak świnie?

Thomas westchnął głęboko.

— Owszem — odparł. Nachylił się i pokazał kierowcy swoją legitymację policyjną.

— Może pozwolimy Lisie Nilsson śpiewać w spokoju?

Taksówkarz zakasłał, niewiele brakowało, a byłby połknął tytoń.

— Jasne. Oczywiście.

Thomas usiadł wygodniej i przypatrywał się mijanym po drodze skałom i drzewom. Przez nagie korony prześwitywały gdzieniegdzie wody Mälaren. Gdzieś w dali na jego szarych wodach majaczył frachtowiec. Razem z Evą planowali kiedyś rejs wzdłuż wschodniego wybrzeża Szwecji. Chcieli zatrzymać się na Gotlandii, a potem popłynąć dalej do Krabbefjärden. Stamtąd zaś kanałem Södertäljeleden do jeziora Mälaren i do Sztokholmu, do leżącego w jego sercu portu Wasa. Siedzieliby na pokładzie, jedli kraby i pili szampana, patrząc, jak słońce zachodzi nad Starym Miastem. Thomas nie mógł się doczekać, kiedy wróci do domu i sprzeda łódź.

Poczuł, że w kieszeni wibruje mu telefon. Spojrzał na wyświetlacz — zobaczył, że dzwoni Eduardo. Rozmawiał z nim rano. Prosił, żeby zorientował się, co gazety pisały o Arkanie.

Żeby znalazł mu jakieś informacje, które pomogą zmusić faceta do mówienia. Przyjaciół obiecał zaspanym głosem, że zajmie się wszystkim, gdy tylko dotrze do redakcji.

— Arkan przyjechał do Szwecji z Turcji. W 1968 roku. Miał czternaście lat. Przyjechał razem z całą rodziną. Szwecja przeżywała wtedy prawdziwy boom imigracyjny.

W głębi słychać było hałas, nerwowe pokrzykiwania, najwyraźniej gazeta za chwilę szła do druku. Thomas musiał bardzo się skupić, żeby usłyszeć, co mówi Eduardo.

— Arkan był najstarszy z czterech braci. Jego ojciec był piekarzem, rodzina mieszkała w Rinkeby, to takie sztokholmskie blokowisko, odpowiednik naszego Vollsmose.

— Wiesz coś o jego przestępczej przeszłości?

— Niewiele. Nie możesz spytać miejscowej policji?

— Chronią swoje dane, jakby w grę wchodziło bezpieczeństwo państwa.

Eduardo roześmiał się.

— W przypadku Arkana wydaje się to umotywowane.

— O czym ty mówisz?

— Okres jego świetności to lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte. Organizował wtedy polowania dla różnych szlach. Połączone z imprezami. Panienci, prochy, wszystko bardzo dyskretnie, w jakichś dworach na wsi.

— Powiedziałeś: szlach. Kogo miałeś na myśli?

— Wszystkich, od przemysłowców po członków zarządów. Chodzą słuchy, że nawet członkowie rodziny królewskiej brali w tym udział. Kiedy zatrzymano Arkana, dostał karę grzywny, chociaż groziło mu kilka lat więzienia. Co wiele mówi o jego ówczesnych kontaktach. Potem jednak został wykluczony z tego środowiska. W 2002 roku w „Expressen” ukazał się o nim artykuł. *Od ulubieńca elit do klienta pomocy społecznej*. Tytuł mówi sam za siebie.

— Kiedy nawiązał kontakt ze Slavosem?

— Nie mam pojęcia. Jedyna sprawa, w którą obaj byli na pewno zamieszani, to skandal z solariami. Solaria, podobnie jak wcześniej polowania, stanowiły przykrywkę dla zupełnie innej działalności, tyle że w tym przypadku z usług korzystali zwykli Szwedzi. Myślisz, że Masza mogła dla niego pracować?

— Właśnie tego chcę się dowiedzieć. Masz coś jeszcze?

— Nie.

— A jak Møffe?

W słuchawce rozległo się westchnienie.

— Mam wrażenie, że tęskni za tobą. W każdym razie zjada mi garderobę.

— Zawsze potrafił docenić jakość.

— *Realmente?* A wiesz, że ma problemy jelitowe?

— Ma wrażliwy żołądek.

— Tak czy inaczej, nie jesteś jedynym miłośnikiem psów.

— Nie rozumiem?

— Arkan był przez wiele lat przewodniczącym NSPF.

— Brzmi jak nazwa jakiejś organizacji neonazistowskiej.

— Bynajmniej. To skrótowiec nazwy szwedzkiego stowarzyszenia miłośników pudli.

— Na razie, Eduardo.

— Kiedy wracasz?

— Planuję jutro, chyba że pojawi się jakiś nowy trop.

Thomas rozłączył się i schował komórkę do kieszeni.

Dwadzieścia minut później taksówka skręciła z Nynäsvägen w ulicę Halldalan, przy której za grubymi murami leżał zakład karny.

Thomas siedział w niewielkiej salce odwiedzin przy stoliku przytwierdzonym do podłogi i czekał, aż strażnik przyprowadzi z celi Arkana. Zamontowane na suficie świetlówki dawały zimne, nieprzyjemne światło. Pokoje przesłuchań bywają przyjemniejsze niż to pomieszczenie, pomyślał Thomas. Mimo licznych prób modernizacji były zakład poprawczy z ubiegłego stulecia nadal straszyl. Rozległ się zgrzyt zamka, po chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Arkan. Strażnik pozdrowił Thomasa i wyszedł, zostawiając ich samych.

Thomas wstał z krzesła i wyciągnął rękę do Arkana. Uścisnęli sobie dłonie. Ręka więźnia była zimna i miękka jak ciasto. Mężczyzna uśmiechnął się i przeciągnął palcami po rzadkich wąsach nad górną wargą. Najwyraźniej je farbował, Thomas zauważył na nich resztki czarnego tuszu. Arkan miał na sobie szare spodnie z ostro zaprasowanymi kantami, różową koszulę, a na szyi jedwabny fular w kropki. Ubranie było eleganckie, ale sprawiało wrażenie zbyt obszernego. Thomas pomyślał, że mężczyzna pewnie schudł podczas wieloletniego pobytu w więzieniu.

— Zaciekawil mnie pan, panie Ravnsholdt — odezwał się Arkan, siadając naprzeciwko niego. — Skąd my się znamy? Z dawnych czasów?

— Nie — odparł Thomas. — Nigdy się nie spotkaliśmy.

Thomas zrobił wcześniej zakupy w piekarni; otworzył torbę i wyjął cynamonowe bułeczki.

— Drożdżówki z cynamonem. Bardzo dziękuję — powiedział Arkan, sięgając po jedną. — Należy pan do Stowarzyszenia Chrześcijan? — spytał, odgryzając kęs. — Chętnie porozmawiam i o Bogu, i o Chrystusie, chociaż tu ich raczej nie widzimy — dodał i czubkiem palca usunął z wąsów kilka okruchów.

Thomas uśmiechnął się.

— Nie jestem ze Stowarzyszenia Chrześcijan. W ogóle nie jestem szczególnie religijny. A przyszedłem tu, bo potrzebuję pańskiej pomocy.

— Ach, tak. A konkretnie?

— Szukam pewnej dziewczyny.

Arkan zaczął się śmiać.

— Znałem niezliczoną liczbę dziewcząt, zapewne więcej niż wielu innych. A o co chodzi? Zakochał się pan w jakiejś? — zapytał, mrugając porozumiewawczo.

— Nie, nie. Nie o to chodzi.

— Jeśli chce pan mojej rady, to niech pan się trzyma od nich z daleka. Kobietom nie można ufać. Kobieta to diabelskie nasienie. Pomagałem im, robiłem dla nich wszystko. I myśli pan, że któraś mi za to podziękowała?

— Ma pan na myśli swoje solaria?

Arkan uśmiechnął się.

— Jest pan naszym dawnym klientem? Bywał pan w nich? Sprytnie to wymyśliliśmy, prawda? *A nice set up*, jak by powiedzieli Amerykanie.

— Rzeczywiście, sprytnie. Podobnie jak organizowane przez pana polowania — powiedział Thomas, starając się, by jego głos brzmiał uprzejmie.

Arkan uderzył się po udach.

— Tak, to były czasy — śmiał się. — Potem już nikt nie urządzał takich imprez.

— Słyszałem, że wszyscy na nich bywali...

— Wszyscy, którzy mieli jakąś pozycję. VIP-y.

— Łącznie z królem.
Arkan uśmiechnął się.
— Na ten temat nie chcę się wypowiadać. Na temat wielkości jego członka też nie — zachichotał.
Thomas też się uśmiechnął. Sięgnął dyskretnie do kieszeni i wyjął zdjęcie Maszy.
— Muszę przyznać, że jest pan dowcipny. Ale wróćmy do moich poszukiwań — położył przed mężczyzną zdjęcie Maszy. — To jest dziewczyna, której szukam.
Arkan zerknął na zdjęcie. Zamrugął nerwowo i szybko odwrócił wzrok.
— Nigdy jej nie widziałem.
— Jest pan pewien?
Thomas lekko uderzył palcem w zdjęcie, zmuszając Arkana, żeby znów na nie spojrział.
— Na pewno — odpowiedział mężczyzna drżącym głosem.
Thomas spojrział mu w oczy.
— Ma na imię Masza. Matka jej szuka.
Arkan zacisnął usta.
— Dziewczyna ma szczęście, że w ogóle ktoś o niej pamięta. Siedzę tu sam jak kolek. Świat o mnie zapomniał. Jest pan moim pierwszym gościem.
— Kilka lat temu Masza została sprzedana mężczyźnie o nazwisku Slavros. Wiem, że ze sobą współpracowaliście.
— Jesteś gliną? — spytał Arkan, odsuwając się od stolika. — Tak?
Thomas zignorował jego pytanie.
— Dlaczego chronisz faceta, przez którego tu wylądowałeś? Wzięłeś wszystko na siebie, prawda?
Arkan skrzyżował ręce na piersiach i milczał.
— Dlaczego nigdy nie wpadł, żeby ci za to podziękować?
— Czy to kolejna żalonna próba ze strony policji, żeby zmusić mnie do wsypania Slavrosa? Jesteście żalśni, niech was szlag. Naprawdę sądziliście, że jakiś duński pies sprawi, że się załamie i zacznę sypać?
— Siadaj, jeszcze nie skończyłem.
— Ale ja skończyłem i chcę wracać do celi.
— Siadaj!
Arkan spojrział na niego ze zdziwieniem. Powoli wrócił na krzesło.
— Dziękuję — powiedział Thomas spokojnie. — Pomagam matce tej dziewczyny. Nie obchodzi mnie, czym się zajmowaliście, ty i Slavros. Nie z tego powodu tu jestem. Chcę tylko znaleźć dziewczynę.
— Ale jesteś policjantem, prawda?
— Na przymusowym urlopie. Na czas nieokreślony. I raczej nie planuję powrotu. Niektórzy pewnie powiedzieliby, że jestem bezrobotny. Zresztą niewykluczone, że w końcu skończę na zasilku — wyjaśnił Thomas, posyłając Arkanowi porozumiewawcze spojrzenie.
— Dlaczego ta dziewczyna jest dla ciebie taka ważna? — spytał Arkan. — Posuwałeś ją?
— Nigdy jej nie spotkałem.
— Posuwałeś jej mamuszkę?
— Prawie jej nie znam. Jeden z moich przyjaciół przedstawił nas sobie i opowiedział mi o jej problemie.
— Były policjant o miękkim sercu, litujący się nad biednymi i pokrzywdzonymi. A sądziłem, że to ja jestem żalsony.
Thomas odchylił się na krześle.

— Pomóż mi. Im szybciej znajdę dziewczynę, tym szybciej wrócę do Danii.
— Do domu, do rodziny? Do żony i dzieciaków?
— Nie. Jak sam powiedziałaś, kobietom nie można ufać. Wracam do psa. Tęskni za mną. Arkan uniósł brwi.
— Masz psa?
— Pudła — skłamał Thomas. — Nie wiem, jak to się mówi po szwedzku.
— Pudel, tak samo — powiedział Arkan i nagle złagodniał. — Ile ma lat?
— Dwa. Wabi się Møffe.
— Jeszcze prawie szczeniak.
— W każdym razie tak się zachowuje.
— Sam też kiedyś miałem pudła. Nawet kilka. Ale Pelle, ten ostatni, był wyjątkowy. Thomas się uśmiechnął.
— A gdzie teraz jest Pelle?
— Zabili go. Uśpili, kiedy się okazało, że idę do więzienia — powiedział Arkan ze smutkiem. — A podobno w Szwecji nie ma kary śmierci.
— Biedny Pelle.
Thomas wziął zdjęcie Maszy i schował je do kieszeni.
— Jeśli rzeczywiście jej nie znasz, to trudno. Przepraszam, że niepotrzebnie zabrałem ci tyle czasu. Ale miło było pogadać.
Arkan uniósł głowę, jakby nagle się obudził.
— Nie ma powodu, żeby Møffe niepotrzebnie za tobą tęsknił.
— To znaczy?
— Mam na myśli tę dziewczynę. Przypomniałem sobie. Mam wrażenie, że miała jakoś inaczej na imię, ale jestem pewien, że ją widziałem.
— Gdzie? Kiedy?
— To nie ma znaczenia, bo ona nie żyje.
— Nie żyje? Jesteś pewien?
Arkan pokiwał głową.
— Z różnych powodów nie mogę wdawać się w szczegóły. A jeśli to gdzieś wycieknie, to zaprzeczę, że taka rozmowa w ogóle się odbyła.
— Rozumiem, ale podaj mi chociaż kilka informacji, żebym miał co przekazać jej matce.
— Pracowała w jednym z moich solariów. Sam nigdy jej tam nie spotkałem — powiedział, odwracając wzrok. — Ukradła mi sporo pieniędzy, naprawdę dużo. A Slavros za nią odpowiadał. Więc ją ukarał. To miała być lekcja dla innych dziewczyn.
— Zabił ją?
Arkan się zawahał.
— Nie, jej nie. Zrobił coś gorszego.
— Co może być gorsze od śmierci?
— Zabrał ją do Arizony.
— Do Stanów?
— Nie, nie. Arizona to takie miejsce na północ od Rinkeby, w pobliżu Hjulsty. Nawet policja niechętnie tam zagląda. Zostało tak nazwane na wzór podobnego miejsca w byłej Jugosławii.
— Musisz mi to dokładniej wytłumaczyć.
— Kiedy na Bałkanach szalała wojna domowa, był tam taki teren, na którym schodziły się granice kilku krajów. Po jakimś czasie powstała tam neutralna strefa, wielkości mniej więcej dwóch, może trzech boisk do piłki nożnej. I właśnie w tym miejscu utworzono targ, gdzie

handlowano wszystkim. Można tam było kupić kawior, alkohol, broń, narkotyki, kobiety, części zapasowe, szynkę w puszcze. Wszystko, jeśli tylko miało się dolary. Kiedy wojna się skończyła, wojska NATO zrównały to miejsce z ziemią. Ale dawne powiązania pozostały. Sieć działa dalej. Serbowie, Chorwaci, Rosjanie, Turcy — powiedział Arkan, wskazując na siebie. — Nadal ze sobą współpracujemy i ciągle dołącza do nas ktoś nowy. Wszystkie europejskie metropolie mają swoje Arizony. Londyn, Paryż, Berlin, Sztokholm. Handluje się tam kradzionym towarem, ludźmi. Sprzedaje się ludzi na aukcjach. Podobno najbardziej spektakularne kradzieże, do których dochodzi w Skandynawii, właśnie tam biorą swój początek. Tam rodzą się pomysły.

— Co Masza tam robi?

— Targ Arizona to piekło na ziemi. Ale i w piekle ludzie potrzebują chwili odprężenia. Slavros prowadzi tam burdel. Nie jest to miłe miejsce, łagodnie mówiąc. Trzyma tam kurwy, których usługi sprzedaje psychopatom.

— I Masza tam pracuje?

— Pracowała. To wszystko działo się dawno temu. Nikt nie ma szans przeżyć tam dłużej niż kilka miesięcy. Jej już tam nie ma. Na pewno.

46.

Masza z trudem trzymała w ręku długopis, musiała ścisnąć go z całej siły. Rzuciła pojedyncze słowa na kartkę w zeszyte. W brudnej koszuli nocnej siedziała skulona na wąskiej kozetce pod kinkietem wiszącym na ścianie. Słaba żarówka była jedynym źródłem światła w ciemnym, klaustrofobicznym pomieszczeniu. Oprócz wąskiej kozetki mieściła się tu jeszcze tylko maleńka umywalka w rogu. Cuchnęła uryną, jej własną i klientów. Zza cienkich ścian dochodziły krzyki i jęki. Przywykła do nich, z czasem stały się częścią burdelowej codzienności. Zatkąła dłonią jedno ucho, żeby skupić się na pisaniu. Miała nadzieję, że to wszystko wkrótce się skończy.

„2011, tak przynajmniej sądzę. Nie mam pojęcia, jaką mamy porę roku. Straciłam poczucie czasu. Bo czas nie ma tu żadnego znaczenia. Jest tylko cierpienie i są krótkie przerwy na sen. Tyle że sen nigdy nie jest długi, zawsze zostaje przerywany. Nie pisałam od czasu, kiedy Slavros mnie tu przywiózł. Teraz moje poprzednie życie wydaje mi się snem. Bajką, którą ktoś kiedyś mi opowiedział. Nie pamiętam już, jak wyglądają kolory. Tu wszystko jest ciemne, szare. Nie pamiętam brzmienia muzyki, jedyne, co do mnie dociera, to krzyki. Nie pamiętam słów, jedyne, co słyszę, to jęki. Jęki we wszystkich językach świata. Sama przestałam już mówić. Początkowo porozumiewałam się z innymi dziewczynami przez cienkie ściany. Ale potem przestałam. To nie ma sensu. O czym miałybyśmy rozmawiać? O czym miałybyśmy śnić? Nie ma nadziei. Blizny na moich nadgarstkach mówią same za siebie. Próbowałam stąd uciec, ale udaremni mi ucieczkę. Opatrzyli mi ręce. Zaglądają do mnie nawet wtedy, kiedy nie mam klientów. Przecież we mnie zainwestowali. Nie poznałabyś mnie, mamo. Sama siebie nie poznaję. Heroina sprawiła, że wychudłam, zaczynam tracić zęby. Moje ciało stało się bezkształtne. Jestem jak worek. Ale heroina łagodzi ból. Burdel przeżywa rozkwit. Harujemy jak niewolnice. Można odnieść wrażenie, że gliny przegnały wszystkie byki z ulic Sztokholmu i teraz wszyscy przychodzą do nas”.

Z korytarza doszedł do niej jakiś dźwięk. Usłyszała, że ktoś wkłada klucz do zamka. Szybko zamknęła zeszyt i schowała go pod materac. Po chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł chłopak w luźnych spodniach i dresowej bluzie z kapturem. To był Kemal, jeden z młodych mężczyzn, którzy ich tu pilnowali. Rzucił jej kanapkę zawiniętą w folię.

— Jedz.

Wzięła kanapkę. Zawsze dostawała to samo. Herbatniki, cukierki, batoniki i kanapki. Może chłopcy kradli je z kiosku przy metrze? A pieniądze, które dawał im Slavros, zatrzymywali dla siebie?

Kemal sięgnął do kieszeni i wyjął niewielki pakunek, kulkę owiniętą w srebrną folię.

— Masz, ćpunko.

Próbowała ją złapać, ale kulka upadła i potoczyła się po podłodze. Szybko zeskoczyła z kozetki.

— Jesteś na głodzie? — roześmiał się Kemal.

— Przydałaby mi się jeszcze jedna działka.

Pokręcił leniwie głową.

— Znasz zasady.

Wyciągnęła do niego chudą, drżącą rękę.

— Ostatnio dałeś mi jakieś gówno. Musisz mi dać więcej, żeby klienci nie narzekali.

Kemal odwrócił się i wyjrzał na korytarz.

— A co ja z tego będę miał?

Dziesięć minut później wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Masza wstała z kozetki, włożyła koszulę. Dwie srebrne kulki położyła na podłodze obok kanapki. Zaczęła nasłuchiwać odgłosów z korytarza, ale wszędzie panowała cisza. Podeszła do kozetki i odsunęła ją od ściany. Schyliła się, obiema rękami poluzowała jeden z paneli. Odsunęła go. W ścianie była dziura, mniej więcej wielkości pudełka od zapalek, w której było schowanych dziesięć srebrnych kulek. Wyjęła je. Zapaliła świeczkę, wzięła kawałek folii aluminiowej i zaczęła podgrzewać heroinę. Zebranie takiej ilości wymagało dużo silnej woli. Jej ciało wyło z bólu, niekiedy była bliska szaleństwa. Głód narastał. Ale udało jej się zebrać dwanaście porcji. Zaczęła zasysać ciemny płyn do strzykawki. Zawiązała gumowy wężyk na ręce, znalazła żyłę. Wbiła igłę i wcisnęła tłoczek, do samego końca. Natychmiast poczuła działanie narkotyku. Zaczęło jej szumieć w głowie, pokój zniknął. Łagodnym łukiem zatoczyła się na kozetkę, opadła na nią z cichym jękiem. Ogarnęła ją fala ciepła. Światło zaczęło mrugać, tańczyć. Nagle stało się ostre. Miała wrażenie, że idzie w stronę lodowatego słońca. Widziała je wśród nagich gałęzi drzew, okalających drogę, którą szła. Po chwili siedziała już na przednim siedzeniu ogromnego samochodu. Nogi miała oparte o przednią szybę, głowę położyła na ramieniu kierowcy. Z lusterka nad nią zwisało drzewko zapachowe. Wunder-Baum. Patrzyła, jak kołysze się na boki, i zakręciło jej się w głowie. Chciała spojrzeć na kierowcę, ale nie była w stanie unieść głowy. Próbowwała się podnieść, wstać, ale nie mogła. W końcu zrezygnowała. Siedziała i przyglądała się drzewom i wiszącemu nisko nad ziemią słońcu, które powoli znikało za horyzontem, ustępując miejsca wszechogarniającej ciemności.

Masza otworzyła oczy. Nad nią stał Slavros. Przyglądał się jej dzikim wzrokiem, w ręce trzymał strzykawkę z adrenaliną. Jej ucieczka dobiegła końca. Nagle wszystko się zatrzymało, jakby samochód, którym przed chwilą jechała, wpadł na drzewo.

Zaczerpnęła gwałtownie powietrza. Bolało ją całe ciało, jakby ktoś obdarł ją ze skóry.

— Witaj z powrotem — wycedził Slavros przez zęby. — Trochę to trwało, zanim cię dobudziliśmy.

Uciekła od niego w róg pokoju. Za Slavrosem stał Kemal z dwoma innymi mężczyznami. Z nosa Kemalowi tryskała krew, domyśliła się, że to dzieło Slavrosa. Był szybki. Zdążył złamać nos Kemalowi, przynieść ampułki z adrenaliną i przywrócić ją do życia. Widziała, jak ociera pot z czoła.

— Naprawdę myślałaś, że tak łatwo się wywiniesz? — powiedział i rzucił strzykawkę na podłogę. — Wyjdiesz stąd, kiedy ja ci pozwolę. Ani sekundy wcześniej!

Spojrzał na nią i się skrzywił.

— Jak ty wyglądasz? Nie dbasz o siebie.

Masza spojrzała na poplamiony materac i swoją brudną koszulę.

— Kiedyś byłaś piękna. Miałaś w sobie to coś. Przypominałaś anioła. Nie jesteś już dobrą inwestycją. Utrzymanie ciebie kosztuje więcej, niż nam przynosisz. Zdajesz sobie z tego sprawę?

— Więc pozwól mi umrzeć, do cholery!

— Wszystko w swoim czasie — pogłodził się po brodzie. — To zadziwiające, jak długo wytrzymałaś. Mogę cię traktować jak ciekawy eksperyment.

Schylił się i podniósł niewielką toaletkę, w której przechowywała narzędzia. Wyjął z niej strzykawkę, zapalniczkę i pozostałe rzeczy.

— Wygląda na to, że nie muszę już marnować na ciebie prochów. Skoro radzisz sobie bez nich...

— Slavros, proszę cię...

Chwyciła go za rękę. Slavros uwolnił się z jej uchwytu, uciszył ją.

— Za późno błagać Slavrosa, Boga czy kogokolwiek, rozumiesz? Nikt cię nie usłyszy. Ty już nie istniejesz.

47.

Thomas przeszedł przez recepcję i ruszył po schodach na drugie piętro, gdzie mieścił się wydział dochodzeniowy policji. Po drodze z metra złapał go deszcz, był przemoczony do suchej nitki. Część funkcjonariuszy zakończyła służbę i była właśnie w drodze do domu. Czuł na sobie ich podejrzliwe spojrzenia. Nie rozumieli, co ten zarośnięty i przemoczony osobnik robi w samym sercu aparatu bezpieczeństwa. Może tak naprawdę powinien siedzieć w areszcie?

Thomas wpadł zdyszany do pokoju, w którym wciąż jeszcze przebywało kilka osób, wśród nich Karl Luger. Stał przy biurku i wkładał dokumenty do skórzanej teczki.

— Dobrze, że jeszcze cię złapałem — powiedział Thomas, ruszając w jego stronę.

Karl odwrócił się i spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Ravn? Na litość boską, jak się tu dostałeś?

Thomas odchrząknął.

— Pokazałem w recepcji moją legitymację i powiedziałem, że jestem z tobą umówiony.

— Ze mną?

— Chciałem cię poinformować, czego się dowiedziałem od Arkana.

— Mogłeś zadzwonić. — Karl zamknął teczkę.

— Macie jeszcze nagrania z metra z tego dnia, w którym zginęła ta prostytutka?

— Nie sądzę. Czemu pytasz?

— Bo jestem niemal pewien, że tą drugą dziewczyną była Masza.

— Arkan ci to powiedział? — spytał Lindgren z tyłu.

— Między wierszami — odparł Thomas. — Kto mógłby ewentualnie mieć te nagrania?

— zwrócił się znów do Karla.

— Posłuchaj — zaczął Karl, wyjmując z kieszeni palta czarne skórzane rękawiczki

— przeglądaliśmy te nagrania w dyżurce na dworcu. Jestem pewien, że już dawno ich nie ma.

— Nie zarekwirowaliście ich?

— Nie — powiedział Lindgren, nie podnosząc głowy znad komputera. — Skoro nie wnieśliśmy oskarżenia...

— Nawet gdyby naprawdę była na nich Masza, to nadal niczego nie dowodzi

— stwierdził Karl.

— Ale mielibyśmy dowód, że wtedy jeszcze żyła. Że była tu, w Sztokholmie.

Niewykluczone, że ma jakieś informacje o Slavrosie.

— To wydarzenia sprzed dwóch lat — wszedł mu w słowo Karl.

— A jednak — upierał się Thomas, nie bardzo rozumiejąc niechęć Karla. — Poza tym Arkan powiedział mi, gdzie ona ewentualnie może być.

— To znaczy? — spytał Karl.

— W Arizonie. To taki targ, gdzie...

— Nie musisz mi tłumaczyć, znam to miejsce. Ale nawet jeśli Arkan mówi prawdę, to minęło już kilka lat.

— Arkan mówi prawdę. Opisał mi wszystko ze szczegółami. Jeśli Masza tam jest, grozi jej niebezpieczeństwo. Podobno mało która dziewczyna przeżywa to piekło.

— Nie wiedziałem, że są tam prostytutki — powiedział Karl, zerkając na Lindgrena.

Funkcjonariusz uniósł głowę znad komputera.

— Też o tym nie wiedziałem, chociaż nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczony. To przeklęte miejsce.

— Więc na co jeszcze czekamy? — spytał Thomas, rozkładając ręce. — Dlaczego nie wyślecie tam patrolu?

Thomas wskazał na drzwi, jakby oczekiwał natychmiastowej reakcji. Karl uśmiechnął się łagodnie.

— Jeździmy tam z rzadka i tylko wtedy, gdy jest to absolutnie konieczne, zwykle pod presją polityków.

— To może być ważny trop.

Karl udał, że go nie słyszy.

— Nigdy nie jedziemy tam bez wsparcia oddziału specjalnego, czyli stu pięćdziesięciu ludzi w pełnym rynsztunku bojowym. Z gazem łzawiącym, pałkami i psami. A potem ruszamy do Rinkeby i Hjulsty, żeby gasić płonące kontenery i bić się z miejscowymi gangami, bo nadepnęliśmy im na odcisk. Ostatnio zaprowadzenie spokoju zajęło nam tydzień. Około sześciu tysięcy godzin pracy naszych ludzi.

— Myślałem raczej o drobnym rekonesansie. Ja i ty, bez krawata i służbowej teczki.

Lindgren parsknął, z trudem powstrzymywał śmiech. Thomas zauważył, że kręci głową.

— Ravn, mój czas w terenie już się skończył — oświadczył Karl.

— Czyżbyś się wypalił?

— Nie, ale jestem realistą. Poza tym, prawdę mówiąc, więcej bandytów łapiemy za pomocą laptopów, niż ganiając za nimi po ulicach. Prawda, Lindgren?

— To trochę jak w grach komputerowych. Mamy niezłe wyniki. Dużo trafień.

— Nie obchodzą mnie bandyci. Chcę znaleźć tę dziewczynę.

Thomas wyjął z kieszeni przewodnik z mapą Sztokholmu i rozłożył ją na biurku.

— Możesz przynajmniej pokazać mi, gdzie to jest?

Karl spojrział na przewodnik i zmarszczył czoło.

— Naprawdę chcesz tam jechać?

— Tak, do cholery!

— Powodzenia — rzucił ironicznie Lindgren.

Karl spojrział łaskawie na mapę, którą Thomas przed nim położył.

— Tych terenów tu nie ma — rzucił poirytowany. — To jest tam dalej — pokazał coś na mapie. — Po drugiej stronie Rinkeby i Hjulsty, za złomowiskiem. Sądzę, że dojeżdża tam metro. Ale odradzam ci tę eskapadę.

Thomas zamknął przewodnik i schował go do kieszeni.

— Za złomowiskiem? Tym, na którym znajdujecie martwe dziewczyny?

— Tak. Dlaczego o to pytasz?

— Nie sądzisz, że może być jakiś związek? Miedzy Arizoną a tymi zabójstwami?

— Niebezpośredni. A teraz naprawdę muszę iść. Już jestem spóźniony. Muszę odwieźć Louise na lekcję tańca.

— Ale dopuszczasz możliwość, że istnieje jakiś związek?

— Nie. Te sprawy nie są ze sobą w żaden sposób powiązane. Zostały zbadane dokładniej niż morderstwo Olofa Palmego.

— Którego zabójcy wciąż nie udało wam się znaleźć — uśmiechnął się Thomas.

— No dobrze, przyznaję, to nie był najlepszy przykład. Ale powtarzam, że nie mamy żadnych powodów, by przypuszczać, że zabójca działa właśnie tam.

— A co z ofiarami? Wiecie coś o nich?

Karl znów zerknął na zegarek.

— Wszystkie są białej rasy, w wieku od osiemnastu do dwudziestu dwóch lat. Ani odciski palców, ani badania DNA niczego nie dały. Współpracujemy ściśle z Europolem, ale nie zdołaliśmy zidentyfikować ofiar.

Lindgren wstał od biurka.

— Pójdę już — rzucił.

Karl skinął mu głową ze zniecierpliwieniem.

— Wiecie, dlaczego sprawca maluje ciała na białe? — dopytywał się Ravn.

— Nie maluje, tylko pobielą wapnem — powiedział Lindgren, zakładając długą kurtkę puchową. — Poza tym to w zasadzie nie są ciała.

— Nie rozumiem?

Lindgren zamilkł i spojrzał na Karla, jakby za dużo powiedział.

— Sprawca zdejmuje skórę z ofiar, a następnie je preparuje — zaczął tłumaczyć Karl.

— Na ofiary wybiera prostytutki. Dziewczyny, których nikt nie będzie szukał.

— Dziewczyny, których — według Arkana — w Arizonie jest całe mnóstwo.

— Jak już mówiłem, nigdy podczas naszych nalotów nie trafiliśmy na prostytutki. Może jednak Arkan z ciebie zadrwił?

— Może, chociaż wątpię. Mam wrażenie, że akurat w tej kwestii był ze mną szczerzy. Czy to możliwe, żeby Masza była wśród jego ofiar?

— Nie. Chociaż pewnie to niewykluczone. Była w Szwecji, w czasie gdy do nich dochodziło.

— Macie zdjęcia ofiar?

— Są zastrzeżone.

— Słucham? Kpisz sobie ze mnie? Były publikowane w prasie. Możesz mi je znaleźć?

— Ravn, na litość boską. Po raz dziesiąty tłumaczę ci, że się spieszę. Muszę odwieźć córkę na zajęcia.

— Ciesz się, że masz kogo odwozić!

Jego głos odbił się od ścian dużego pomieszczenia. Karl i Lindgren spojrzeli na niego z przestachem. Thomas rozłożył ręce.

— Przepraszam za ten wybuch. Chcę po prostu odnaleźć dziewczynę i zabrać ją do domu, do matki. A przy okazji podać ci Slavrosa na srebrnej tacy. To byłby dobry początek szerszej skandynawskiej współpracy — zakończył i uśmiechnął się do mężczyzn.

Ani Karl, ani Lindgren nie odwzajemnili uśmiechu.

— Po twojej ostatniej wizycie zadzwoniłem do Kopenhagi. Rozmawiałem z inspektorem Braskiem, twoim szefem. Powiedział, że jesteś na urlopie.

Thomas podrapał się po głowie.

— Powiedział dlaczego?

— Z powodów osobistych, stres i tak dalej. Może byłoby lepiej, gdybyś wrócił do domu, zamiast szukać po świecie jakiejś dziewczyny. Jestem pewien, że twoja rodzina tęskni za tobą, tak samo jak moja za mną.

Thomas zagryzł policzek.

— Pokaż mi te zdjęcia i dam ci spokój.

Karl pokręcił głową, ale odłożył teczkę i pociągnął Thomasa za sobą do regału stojącego za biurkiem Lindgrena. Wyjął jedną z teczek z dokumentami i zaczął przeglądać papiery. Znalazł koszulkę ze zdjęciami nadesłanymi z zakładu medycyny sądowej. Wyjął fotografie i rozłożył je na blacie biurka niczym karty makabrycznej kabaly.

— Dwie pierwsze ofiary możesz pominąć. Obie zginęły w 2009 roku.

Thomas przyglądał się pobielonym wapnem ciałom. Twarze dziewcząt zlewały się

w jedną. Były niemal identyczne. Ich biała skóra sprawiała dziwne wrażenie.

— Wyglądają jak posągi — powiedział Thomas.

— Dziennikarze nazwali je białymi aniołami — odezwał się Lindgren.

— Według jednej teorii motywem działania sprawcy jest skrajna nienawiść do kobiet.

Dlatego profanuje ciała, a potem zostawia je na złomowisku — dodał Karl.

— Jak je zabija?

— Prawdopodobnie wstrzykuje im truciznę w pachwinę. — Lindgren pokazał ślady po igle, widoczne na powiększeniu. — Lekarze medycyny sądowej znaleźli w tkankach ślady nadtlenu wodoru, formaliny, gliceryny, cynku i kwasu solnego. Trujący koktajl, który zabija.

— Dość skomplikowany sposób uśmiercania ludzi. Wiecie, dlaczego akurat taki wybrał?

— Podobnych składników używa się do balsamowania ciał — wyjaśnił Karl.

Thomas wziął do ręki jedno ze zdjęć i zaczął mu się dokładnie przyglądać.

— Mówiłeś, że preparuje ciała, a więc używa jedynie skóry.

— To prawda.

— Więc środki konserwujące nie są mu potrzebne.

— Też nie potrafimy wytłumaczyć, dlaczego pozbawia je życia właśnie w ten sposób.

Najwyraźniej jest to osoba bardzo zaburzona.

— Podejrzewacie kogoś?

Karl pokręcił głową.

— Nie. Chociaż przesłuchaliśmy już chyba wszystkich specjalistów od taksydermii w całym kraju.

— Łącznie z patologami — dodał Lindgren. — Co też niczego nie dało.

— A co ze Slavrosem? Mógłby coś takiego robić?

— Jak już mówiłem, nie znaleźliśmy żadnych powiązań między Arizoną a ciałami, a tym samym Slavrosem. — Karl spojrzął na zdjęcia. — Masza jest wśród nich?

Thomas pokręcił głową.

— Na szczęście chyba nie.

— Naprawdę muszę już iść — oświadczył Karl i zaczął zbierać zdjęcia.

— Dziękuję za pomoc. Na razie — powiedział Thomas.

Karl pokiwał głową.

— Wracaj szczęśliwie do domu, Ravn — rzucił.

Jego słowa zabrzmiały jak polecenie.

48.

Masza otworzyła oczy. W pokoju panowała całkowita ciemność. Nie wiedziała, jak długo spała. Kilka minut, kwadrans, może kilka godzin? Czas przestał istnieć. Miała wrażenie, że ktoś nad nią stoi. Ktoś był w jej pokoju. Skuliła się w rogu. Napięła mięśnie. Zwykle kiedy zbliżał się do niej byk, słyszała go już z daleka, na schodach. Kiedy wchodzili, była przygotowana. Tak by nic nie czuć, kiedy ją będą pokrywali. Sięgnęła po omacku do kontaktu, żeby zapalić kinkiet wiszący nad łóżkiem. Wcisnęła przycisk, ale nic się nie wydarzyło.

— Chyba nie działa. Już próbowałem — odezwał się mężczyzna w ciemnościach.

Usiadł na łóżku, odsunęła się mimowolnie.

— Mnie to nie przeszkadza. Lubię ciemność — zapewnił ją.

— Więc nich tak zostanie — powiedziała.

Znów była na głodzie. Trzęsa się, nie kontrolowała ciała. W jednej chwili się pociała, a zaraz potem marzła. Chciała jak najszybciej go obsłużyć i mieć to już za sobą.

— Nie rozbierzesz się?

— Jeśli ci to nie przeszkadza, to chciałbym chwilę posiedzieć.

— Jak chcesz — odparła. Zęby jej szczękały.

— Wszystko w porządku?

— Tak.

— Mogę przynieść ci wody.

— Dziękuję, ale nie sądzę, żeby woda mogła mi pomóc.

— Mam też valium. I piersiówkę. Może chcesz się napić?

— Piersiówkę?

Słowo wydało jej się dziwne. Zaczęła się zastanawiać, czy już je kiedyś słyszała. Próbowała dojrzeć coś w ciemności, ale widziała tylko cień mężczyzny na ścianie.

— Przydałby mi się łyk na wzmocnienie.

Mężczyzna sięgnął po pigułki i podał jej. Poczowała zapach płynu po goleniu. Pachniał cytryną. Byki zwykle śmierdziały alkoholem i papierosami, czasem rzygowinami, a czasem czymś jeszcze gorszym. Połknęła pigułki i popiła brandy z małej buteleczki obciążonej skórą.

— Chyba wypiałam wszystko — powiedziała, oddając mu pustą piersiówkę. — Dobrze.

— Nie przejmuj się.

Zaczęła gwałtownie kasłać. Mężczyzna poklepał ją delikatnie po plecach.

— Chyba jesteś chora.

— Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się w pełni zdrowa.

Mężczyzna wciągnął powietrze nosem i wypuścił ustami.

— Okropna tu wilgoć. Pewnie masz grzybicę płuc.

— Mam wrażenie, że wilgotne powietrze to mój najmniejszy problem — odparła Masza, pociągając nosem.

— Zabezpieczasz się? Przepraszam za tak niedyskretne pytanie.

— W porządku. Tak, próbuję się zabezpieczać.

Mężczyzna sięgnął po jej dłoń. W pierwszym momencie pomyślała, że może chce po prostu potrzymać ją za rękę. Nagle poczuła jego kciuk na nadgarstku.

— Co ty robisz?

— Chciałem sprawdzić ci puls. Jest bardzo słaby. Jeśli odwrócisz się do mnie plecami, osłucham ci płuca.

— Jesteś lekarzem?

— Nie.

Mężczyzna chwycił ją za ramiona i obrócił delikatnie.

— Oddychaj głęboko — rozkazał, przykładając ucho do jej pleców.

Próbowała zaczerpnąć powietrza i zaczęła kasłać.

— Nie zdziwiłbym się, gdybyś miała zapalenie płuc. Może nawet gruźlicę. Kaszlesz krwią?

— Bez przerwy.

Zaczął macać jej ręce, dotknął piersi i wychudzonych nóg. Ale nie tak jak zwykle robiły to byki, raczej jak lekarz.

— Jaki masz procent tłuszczu?

— Słucham?

— Zgaduję, że poniżej dziesięciu. Co dostajesz do jedzenia?

— Nie wiem — wzruszyła ramionami. — Czasem jakąś kanapkę. Albo słodczyce. Nie odżywiam się dobrze. Powiedz, czy ty już tu kiedyś byłeś?

— Ważne są płyny. Pij dużo wody. Żeby ciało nie wyschło.

— Mówisz o mnie, jakbym była rośliną — zachichotała.

Valium i brandy sprawiły, że nagle poczuła się lekka. Oparła się o niego, żeby go lepiej widzieć, ale ciemność nie pozwalała jej dojrzeć twarzy.

— Pytałam, czy już tu kiedyś byłeś? — Uderzyła go lekko w klatkę piersiową.

— Nie — odpowiedział. — Kiedy zaczęłaś odstawiać prochy?

— Odstawiać — zachnęła się. — Po prostu przestali mi dawać.

— Kiedy?

— Kilka dni temu. Gdzie my się spotkaliśmy? Jestem pewna, że gdzieś cię już widziałam.

W Key Clubie?

— Nigdy tam nie byłem. Od paru dni, mówisz? — W jego głosie słychać było zawód.

— Więc musi minąć jeszcze trochę czasu. Zanim ustąpią objawy odstawienia. I odzyskasz kontrolę nad ciałem.

— Pewnie tak. Ale co to ma za znaczenie?

— Zaburzają proces — powiedział mężczyzna i wstał.

— Co takiego? Jaki proces? Powiedz, gdzie się spotkaliśmy? Rozpoznaję twój głos.

— Jestem pod wrażeniem. Po tak długim czasie. Przyjmuję to niemal jak komplement.

Masza znów próbowała zapalić światło. Dokręciła żarówkę, ale lampa nadal nie działała.

— Powiedz, kiedy się spotkaliśmy?

— W zeszłym roku, w Boże Narodzenie. Na Malmskillnadsgatan. Był przeraźliwie zimny dzień.

— Tam zawsze jest przeraźliwie zimno.

— Od dawna szukałem takiej dziewczyny jak ty. I nagle pojawiłaś się przede mną.

Wyróżniałaś się wśród innych. Nie mogłem oderwać od ciebie oczu. Siedziałem kilka godzin w samochodzie i przyglądałem ci się. Mam wrażenie, że długo czekałaś, bo w końcu postanowiłaś zaryzykować i podeszłaś do mnie. Wsadziłaś głowę przez szybę. Rozmawialiśmy.

Przez moment.

— Jaki masz samochód? — spytała łamiącym się głosem.

— Widziałem, że nie jesteś jeszcze gotowa. Byłaś zbyt pulchna. I zbyt oporna. Pamiętam, że powiedziałem, że wrócę. Byłem przekonany, że masz potencjał. Że nie jesteś upadłym

aniołem.

— Powiedz, jaki masz samochód!

— Mercedes SEL.

— Czarny?

— Zgadza się. Z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, to klasyka.

Pamiętasz?

Masza cofnęła się na kozetce. Zaciśnęła dłonie.

— Nie dotykaj mnie. Jeśli coś mi się stanie, Slavros cię zabije.

— Jesteś tego pewna?

— Nikomu nie pozwolił mnie skrzywdzić. Jestem jego inwestycją. Jeśli coś mi zrobisz, już jesteś martwy.

— A nie przyszło ci do głowy, że to Slavros przywołał mnie z ciemności?

Nie zdołała nic powiedzieć. Nie mogła oddychać.

— Wkrótce się zobaczymy. Kiedy miną objawy odstawienia. Pamiętaj, żeby pić dużo wody. Twoja skóra musi być elastyczna. Wtedy jest łatwiejsza w obróbce. To bardzo ważne. Dla całego procesu.

Mężczyzna odwrócił się, wyjął klucz i otworzył drzwi. Żaden byk nie miał klucza od jej pokoju. Mieli go tylko Slavros i jego ludzie. A więc to, co mówił, było prawdą. To Slavros go tu sprowadził. Chciał się jej pozbyć.

Mężczyzna wyszedł na korytarz. W słabym świetle widziała jego jasne kręcone włosy i elegancki szary garnitur. Usłyszała, jak zamyka za sobą drzwi.

49.

Była dwudziesta trzecia trzydzieści. Thomas stał w ostatnim wagonie metra zmierzającego w stronę stacji Hjulsta. Poza trzema Somalijczykami w kolorowych hiphopowych ubraniach, w wagonie był tylko on. Jeden z chłopaków pisał coś czarnym mazakiem po ścianie wagonu, dwóch pozostałych paliło i słuchało muzyki z białych słuchawek, które mieli na uszach. Od czasu do czasu zerkali na Thomasa, jakby chcieli dać mu do zrozumienia, że to jest ich terytorium. To ich pociąg. Ich kraj. Mimo to Thomas po raz pierwszy od przyjazdu do Sztokholmu miał wrażenie, że jest u siebie. Jakby miasto nareszcie go do siebie dopuściło, tu, w tym cuchnącym moczem wagonie metra, pędzącym sto dziesięć kilometrów na godzinę. Poczł się niemal jak za dawnych czasów, kiedy razem z Mikkelem, w cywilu, nieogoleni, w dresowych kurtkach z kapturami na głowach polowali na *bad guys*. Wtedy ulica była ich. To oni byli ulicą. A może w ten sposób próbował dodać sobie pewności siebie? Być może. Tak czy inaczej, było to przyjemne uczucie.

Hamulce zapiszczwały, kiedy metro zwolniło, zbliżając się do stacji Rinkeby. Somalijczycy wstali i leniwym krokiem ruszyli do drzwi. Chłopak, który malował po ścianach wagonu, rzucił Thomasowi szybkie spojrzenie. Uniósł do góry pojemnik z tuszem i zanim wyskoczył z wagonu, wycelował nim w policjanta. Thomas zachował kamienną twarz.

Po chwili metro ruszyło dalej, w stronę Tensty. Thomas wysiadł na stacji końcowej. To była Hjulsta. Budynek stacji znajdował się pośrodku dużego kompleksu bloków. Plac, na który Thomas wyszedł, tętnił życiem. Minął rząd sklepów, między innymi warzywniak i bar z grillem, oba otwarte mimo późnej pory. Zgodnie ze wskazówkami Karla, powinien iść dalej, do Tenstavägen, a potem przejść niemal kilometrową kładką dla pieszych, prowadzącą nad ogródkami działkowymi, do terenów przemysłowych po drugiej stronie.

Dwadzieścia pięć minut później stał przy drodze i zaglądał przez płot do terminalu towarowego Schenkera. Zaczęło silnie wiać, marzł. Miał wrażenie, że powinien był skręcić nieco wcześniej. Był zły na siebie, że nie wypytał Karla dokładniej. W końcu jednak postanowił iść dalej ciemną ulicą. Po chwili minął wysoką na kilka metrów bramę wjazdową, prowadzącą na złomowisko. Wielkie reflektory oświetlały sterty poskręcane metalu, sięgające nocnego nieba. To pewnie tu znajdowano martwe dziewczyny. Zatrzymał się i przez chwilę przyglądał stertom złomu. Nagle zobaczył biegnące w jego stronę psy. Owczarki alzackie. Ujadały, na pyskach miały pianę. Dobiegły do bramy, Thomas mimowolnie zrobił kilka kroków w tył. Umieszczenie ciała na złomowisku nie było łatwe, a tym bardziej sześciu ciał. Sprawca musiał dobrze znać okolicę, może bywał tu regularnie. Gdyby to od Thomasa zależało, nie marnowałby czasu na rozmowy z konserwatorami i patologami. Szukałby kogoś, kto bywał w okolicy. Mężczyzny, który najwyraźniej swobodnie się tu poruszał. Który szukał swoich ofiar w mroku nocy, zabijał je, a potem preparował ich ciała w jakimś pobliskim warsztacie. By potem znów je tu przywieźć i porzucić. Ale to nie była jego sprawa.

Dotarł do końca drogi. Ulica kończyła się ślepo, jeśli nie liczyć wąskiej szutrowej ścieżki, prowadzącej do pobliskiego lasu. Widział w oddali kołyszące się na wietrze gałęzie. Usłyszał hałas, odwrócił się. Zobaczył nadjeżdżającą dużą ciężarówkę ze zgaszonymi światłami. Kierowca zwolnił, skręcił ostro, niewiele brakowało, a towar wysypałby się na drogę. Thomas patrzył za

ciężarówką, która zostawiła za sobą tumany kurzu. Po chwili pochłonęły ją ciemności. Wiedział, że znalazł drogę do Arizony.

Szedł kilkaset metrów gęstym, ciemnym lasem. Zobaczył w oddali lunę ogniska. Kiedy podszedł bliżej, ujrzał pierwsze postaci. Jacyś ludzie stali przy ognisku przed szeregiem niskich baraków. Dobrze zbudowany mężczyzna o słowiańskich rysach w luźnym skórzanym płaszczu wziął z wysokiej sterty kilka desek i rzucił je w ogień. Płomienie buchnęły, wysyłając iskry do nieba. Mężczyźni przytupywali, podając między sobą butelkę wódki. Thomas spojrzął na wąską drogę za nimi, gdzie przy parkanach stały pick-upy. Ruszył dalej; mijając mężczyzn, skinął im głową, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Na skrzyni pierwszego pick-upa siedziały dwa pitbule, przywiązane łańcuchami. Mniejszy z nich miał naderwane ucho i silnie krwawił. Pewnie brał udział w jakiejś walce, pomyślał Thomas. Psy zaczęły warczeć. Przeszedł na drugą stronę. Zatrzymał się przed szeroko otwartą bramą. Tak naprawdę były to przytwierdzone do muru masywne drzwi, pochodzące z okrętowego kontenera. Nieco w głębi widać było zrujnowany warsztat. Szyby w oknach były wybite, na ścianie od frontu wisiała tabliczka z wyblakłym, ledwie czytelnym napisem: „Johannesons Bygg AB”. Minął warsztat i ruszył dalej drogą, wzdłuż której leżały różne budynki. Sądząc po stanie, w jakim się znajdowały, czasy świetności dawno już miały za sobą.

Nagle droga skręciła. Wysokie mury po obu jej stronach tworzyły coś w rodzaju lejka. Można było odnieść wrażenie, że jest to jedyna droga prowadząca do Arizony. Może dlatego ktoś na murze wypisał sprayem *Snipier alley* — aleja Snajperów.

Gdzieś z głębi dochodziły odgłosy ciężkiego techno. Zauważył, że wokół kilku ciężarówek kłębi się spory tłum mężczyzn. Byli to głównie Słowianie i ludzie z Bliskiego Wschodu. Handlowano spirytusem i papierosami.

Z pobliskiego warsztatu dochodziło zawroźnienie palnika acetylenowo-tlenowego. Thomas zajrzał do środka przez otwartą bramę. W głębi działki stały eleganckie samochody. Duże mercedesy, kilka beemek i jedno maserati. Z pilnika leciały iskry. Thomas domyślił się, że przebijano numery, zanim samochody wyruszą do nowych właścicieli gdzieś w Europie Wschodniej. Minął warsztat i nagle dostrzegł dużą ciężarówkę, która wcześniej minęła go na drodze. Rozładowywano przyczepę, zdejmując z niej kolejne kartony z logo Samsunga i Sony. Przekładano je do czekających obok furgonetek. Mieszkańcy Sztokholmu, ci, którzy mieli właściwe kontakty, będą mogli jutro skorzystać z okazji i kupić tanie płaskie telewizory.

Dotarł mniej więcej do środka ulicy, kiedy nagle się zatrzymał. Obok na działce zobaczył dwa niskie baraki, stojące naprzeciwko siebie. Z pierwszego z nich dochodziły dźwięki techno. Drzwi były otwarte, ruszył do nich i zajrzał do środka. Wewnątrz na ciągnących się wzdłuż całego lokalu ławkach siedziało z dziesięciu mężczyzn. Pulchne kobiety z nagimi biustami podawały piwo. Na stolikach leżały pieniądze, broń, stały otwarte butelki wódki i kartony pełne papierosów.

Thomas wycofał się i ruszył do następnego baraku. Wszedł do środka. Barak wyglądał mniej więcej tak samo jak poprzedni. Tylko pod ścianami zamiast ław stały białe plastikowe fotele, zwrócone frontem w stronę prowizorycznej sceny, na której dwie anorektyczne dziewczyny w brudnych gorsetach tańczyły, trzymając się za ręce. Naćpane, kołysały się na boki, nie zwracając uwagi na niezadowolone buczenie publiczności.

Thomas podszedł do baru znajdującego się po drugiej stronie lokalu i zamówił piwo

u ciemnoskórego barmana w dresowej kurtce z kapturem. Mężczyzna nalał piwa do dzbanka i postawił go przed nim.

— Poproszę jeszcze szklankę.

Mężczyzna wziął do ręki brudną szklankę i postawił ją obok dzbanka.

— Dwieście — rzucił.

Thomas wyjął banknoty i podał je barmanowi. Zauważył, że chłopak niedawno musiał brać udział w jakiejś bójce. Nos miał spuchnięty i nieco krzywy.

— Spokojny wieczór — zagaił, nalewając piwo do szklanki.

Chłopak cofnął się i oparł o ścianę. Milczał.

— Te dwie to wszystko, co macie do zaoferowania? — spytał Thomas, pokazując na dziewczyny na scenie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

Piwo było ciepłe i śmierdziało stęchlizną. Ale Thomas i tak zdążył wypić niemal pół dzbanka, zanim dziewczyny na scenie zrzuciły gorsety i zakończyły występ. Kiedy schodziły ze sceny, mężczyźni zaczęli polewać je piwem. Dziewczyny uciekły na zaplecze. Na scenę weszła potężnie zbudowana i bardzo pijana kobieta w średnim wieku. Zaczęła obracać się jak niedźwiedź w cyrku. Publiczność znów zaczęła buczeć.

Thomas siedział, czekając na rozwój wydarzeń. Kiedy kobieta z niejakim trudem się rozebrała, na scenę wróciły dziewczyny, które występowały poprzednio. Zostawił niedopite piwo i wrócił do pierwszego baraku, skąd dochodziło coraz głośniejsze techno. Przybyło też sporo nowych gości. Na ławkach zaczynało brakować miejsc. Kiedy minęła go jedna z kelnerek w stroju topless, zamówił dzbanek piwa i spytał mimochodem, czy Masza dzisiaj tu występuje.

— Ja nic nie wiem — odpowiedziała kobieta z wyraźnym obcym akcentem. Posłała mu obojętne spojrzenie.

— Nie znasz Maszy czy nie wiesz, czy dzisiaj występuje?

Kobieta podniosła głowę i spojrzała na niego. Gruba warstwa makijażu sprawiła, że wyglądała jak zombie.

— Coś ty za jeden, do cholery?

— Przyjaciel — odparł spokojnie Thomas, podając jej trzy stowy.

Kobieta włożyła banknoty do majtek.

— Są tylko te dziewczyny, które widzisz — powiedziała, wskazując ręką dookoła.

— Jeśli dasz mi jeszcze dwie stowy, możemy pogadać.

— Gdzie?

Zadał to pytanie, żeby się dowiedzieć, czy jest jakieś miejsce, w które dziewczyny zabierają klientów. I w którym być może była Masza.

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Masz chyba samochód? — rzuciła i wróciła do baru.

Thomas postanowił nie czekać, aż wróci z jego piwem, i wyszedł na zewnątrz. Nie zauważył żadnego innego miejsca w okolicy, które chociaż przypominałoby burdel. To musiało być tutaj. To tu trafiła w końcu Masza. To tu tańczyła na zaimprovizowanej scenie razem z innymi nieszczęśnikami. Ale to było dawno. Arkan miał rację. W takim miejscu nie można długo przetrwać.

Nagle dostrzegł barmana. Stał i palił, pisząc SMS. Thomas podszedł do niego. Postanowił zaryzykować i przycisnąć chłopaka.

— Szukam dziewczyny — zaczął.

Chłopak wskazał ręką na scenę, nie podnosząc głowy znad komórki.

— Pewnej szczególnej dziewczyny.

— Ach, tak — powiedział chłopak, strzepując popiół.

— Jestem gotów zapłacić.

— Ach, tak.

— Nawet całkiem sporo.

— Tak?

— Pięć tysięcy.

Chłopak podniósł głowę.

— Pięć tysięcy?

Thomas skinął głową.

— Jak się nazywasz?

— Kemal.

— Okej, Kemal. Sprawa wygląda tak, że szukam pewnej pięknej dziewczyny o imieniu

Masza.

Kemal się roześmiał. Jego białe zęby błyszcząły w ciemności.

— Trafieś pod niewłaściwy adres. Tu nie ma pięknych dziewczyn i żadnej o imieniu

Masza. Tu trafia szmelc, same ćpunkki. Ale za takie pieniądze mogę ci załatwić nawet dwie

— powiedział, wskazując głową w stronę sceny. — Możesz zrobić z nimi wszystko.

— Nie, pięć tysięcy i znajdziesz mi Maszę.

Wyjął zdjęcie i podał je Kemalowi.

Chłopak poświecił komórką. Przyjrzał się zdjęciu.

— No, proszę, kiedyś była całkiem niezła.

— Jak to: była? Znasz ją?

Kemal skinął głową.

— Tak, tylko teraz wygląda trochę inaczej.

— Wszystko jedno. Gdzie ona jest?

— Spokojnie. Gdzie moje pięć tysięcy?

— Dam ci, kiedy mi ją przyprowadzisz.

— Daj mi dwa, to ci ją znajdę.

Thomas się zawahał.

— Zrobi wszystko, czego sobie zażyczysz. Dobrze ją przećwiczyliśmy. Nie będziesz zawiedziony — uśmiechnął się, a jego białe zęby znów błysnęły w ciemności.

Thomas najchętniej by mu je wybił, ale nie zrobił tego, tylko sięgnął do kieszeni i wyjął dwa tysiące.

— Zaczekaj tu — rzucił Kemal. Wziął forszę i zniknął w barze.

Thomas się rozejrzał. Czuł, jak serce mocno bije mu w piersi. W lokalu ciągle przybywało gości. Wiedział, że powinien to wszystko lepiej przemyśleć. Dotknął nerwowo kieszeni, żeby się upewnić, czy ma przy sobie kartkę od matki Maszy. Przekaze ją dziewczynie i jego misja zostanie wypełniona, próbował przekonać sam siebie. Dobrze jednak wiedział, że nie może zostawić jej w tej norze. Dlatego był pełen obaw. Sprawy mogły przyjąć zły obrót. Cholernie zły. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Karla Lugera i nie wymusić na nim, żeby przysłał oddział sztokholmskiej kawalerii. Na pewno tego nie pożałuje, jeśli zeznania Maszy przygwożdżą tego gangstera. Vladimira Slav...

Usłyszał, że drzwi za nim się otwierają, obejrzał się. Zobaczył Kemala w towarzystwie trzech mężczyzn. Natychmiast rozpoznał mężczyznę z włosami ściągniętymi w koński ogon i z bródką satyra. To był Vladimir Slavros.

50.

Thomas zaczerpnął powietrza. Przyglądał się mężczyznom, którzy otoczyli go, pozbawiając jakiegokolwiek możliwości ucieczki. Zaciśnął pięści w kieszeniach, naprężył mięśnie.

Slavros stał i patrzył na niego. Przekręcił nieco głowę, potarł palcami czarną bródkę. Potrząsnął głową, słychać było, jak trzeszczą mu kręgi szyjne. Przypominał boksera szykującego się do walki.

— Słyszałem, że interesujesz się jedną z moich dziewczyn.

— Tak — odpowiedział Thomas. — Fajne przedstawienie — dodał i skinął głową w stronę baraku. — Dlatego pomyślałem, że przydałoby mi się jakieś towarzystwo.

— Jesteś Duńczykiem?

— Tak, pochodzę z Danii.

— Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

— Na Södermalm. — Próbował się uśmiechnąć.

— Kemal mówi, że jesteś zainteresowany konkretną dziewczyną.

— Tak. Interesuje mnie Masza. Nie widziałem jej na scenie. Jest tu dzisiaj?

Slavros zrobił krok w jego stronę.

— Skąd ją znasz?

— Z Key Clubu, oczywiście. Super miejsce.

— To czemu jesteś tutaj?

Thomas przełknął ślinę.

— Ktoś szepnął mi słówko, że mogę ją tu znaleźć. Ale może się mylił?

— Ktoś?

— Nie pamiętam kto — wzruszył nonszalancko ramionami. — Naprawdę tu jest?

— A jeśli tak, to co?

— To chciałbym się z nią zobaczyć. Prawdę mówiąc, zapłaciłem już chłopakowi.

— Pięć tysięcy za kurwę to sporo.

— Tak, ale podobno to wyjątkowa dziewczyna.

— No dobrze, skoro sam się o to prosisz — powiedział Slavros i wymierzył mu cios prosto w wątrobę.

Thomas zgiął się w pół z bólu, ledwie utrzymał się na nogach. Kolejny cios trafił go w szczękę. Przewrócił się, ale Slavros chwycił go za kołnierz i natychmiast podniósł.

— Kłamcę wyczuwam z daleka. A jeśli czegoś nie lubię, to właśnie kłamstwa — wycedził przez zaciśnięte zęby. — A ty jesteś kłamcą.

Przyciągnął Thomasa do siebie i strzelił go z główki.

Thomas dotknął oka, zobaczył krew na palcach. Miał pękniętą brew.

— Przeszukaj go, Michaił — rzucił Slavros, poprawiając skórzaną kurtkę.

Thomas czuł, jak mężczyźni grzebią mu w kieszeniach. Znaleźli portfel, komórkę, klucze, kartkę od matki Maszy i w końcu jego legitymację policyjną. Michaił stał i obracał ją w rękę, jakby nie do końca wierzył własnym oczom. Spojrzał na Slavrosa.

— Facet jest gliną...

Slavros wyszarpnął mu legitymację z dłoni i zaczął się jej przyglądać.

— Prawdziwa? No, mów! — spojrzał na Thomasa.

— Tak. Prawdziwa, do cholery.

— Mówiłem, że kłamstwo rozpoznaję z daleka. — Pokręcił głową. — Zacznijmy od

początku. Skoro najwyraźniej nie jesteś z Södermalm, to skąd?

— Z Kopenhagi. Pracuję w kopenhaskiej policji, w dochodzeniówce.

— A niby czego u mnie szuka policja kopenhaska?

Thomas powoli zaczął podnosić się z ziemi. Nadal miał mroczki przed oczami, bał się, że zaraz się złamie.

— Współpracujemy ze szwedzką policją — powiedział tak przekonująco, jak potrafił.

— Odnoszę wrażenie, że jesteś tu sam.

Slavros rozejrzał się dookoła i się uśmiechnął.

— Obaj wiemy, że jeśli miałyby być nas tu więcej, to tylko z eskortą oddziału szturmowego.

— A więc stanowisz forpocztę?

— Możesz to określić, jak chcesz. Ale jeden telefon i sytuacja się zmieni.

— Tak? — Slavros zaczął gładzić bródkę. — Dlaczego jej szukasz? Tej dziewczyny.

— Duńska policja wniosła przeciwko niej oskarżenie, nawet kilka — skłamał Thomas.

— Moim zadaniem jest sprowadzić ją z powrotem do Danii.

— I szwedzka policja ci w tym pomaga?

— Oczywiście.

Pięść Slavrosa trafiła go w twarz. Poleciał na ziemię, poczuł w ustach smak krwi. Zanim zdążył się pozbierać, gangster znów zaatakował. Kopnął go w brzuch, Thomas poczuł, że uszło z niego całe powietrze.

— Naprawdę masz mnie za takiego kretyna? — wrzeszczał Slavros, stojąc nad Thomasem. — Myślisz, że jestem nic nieznaczącym pionkiem, który nie ma pojęcia, co się dzieje? Wiem, gdzie w tym momencie jest każdy gliniarz. I którą z moich kurew posuwa. Jakie naloty kierownictwo planuje, na które wyraża zgodę. Wiem wszystko, do cholery. Więc nie pieprz mi głupot. Jesteś tu sam, nie masz żadnego wsparcia. Powinieneś zostać w domu, w tej swojej żalosnej małej Danii, zamiast zabierać mi czas.

Slavros kopnął go jeszcze raz, po czym odszedł na bok, zaczerpnął powietrza, otarł pot z czoła i poprawił włosy.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego mnie okłamujesz? Naprawdę sądzisz, że ujdzie ci to płazem? Jesteś aż tak ograniczony? Tak arogancki, tak bardzo duński, że wierzysz, że ci to daruję?

Thomas wypluł krew, która zebrała mu się w ustach, i spojrzał na Slavrosa.

— Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale radziłbym ci mnie puścić.

Slavros pokręcił głową.

— Przyrowadź psy — rzucił do Michaiła.

— Slavros, do cholery, to glina!

— I co z tego? Boisz się odznaki Myszki Miki? Powiedziałem, żebyś poszedł po psy!

Michaił pokiwał głową i odszedł.

Thomas próbował wstać, ale Slavros postawił nogę na jego piersi i pchnął go do tyłu.

— Nie tak szybko. Dlaczego nie powiesz mi prawdy? Naprawdę chcesz, żebym poszczał na ciebie psy? Wolałbym uniknąć krzyku i widoku krwi.

— Jeśli nie wrócę, będziesz miał na głowie całą sztokholmską policję. I to szybciej, niż sądzisz.

— Naprawdę w to wierzysz? — powiedział Slavros i pokręcił głową.

W tym momencie wrócił Michaił z dwoma pitbulami. Psy szarpały za łańcuch, na którym je trzymał. Z pysków leciała im piana, żółte oczy świeciły w ciemności. Slavros chwycił łańcuch i podprowadził psy bliżej Thomasa. Pitbule natychmiast zaczęły skakać mu do twarzy. Thomas

próbował się wycofać, ale ludzie Slavrosa zagroździ mu drogę.

— W mniej niż dwadzieścia sekund obdzierają człowiekowi twarz ze skóry. Szybciej niż pirania.

Slavros poluzował nieco łańcuch. Thomas poczuł zęby psa na łydce. Drugi pitbul stał tuż przy jego twarzy z obnażonymi kłami. Kiedy próbował zasłonić ją dłonią, pies zatopił zęby w jego rękę. Slavros pociągnął za łańcuch i psy niechętnie puściły zdobycz.

— Daję ci ostatnią szansę. Dlaczego szukasz tej dziewczyny?

Thomas dotknął swojej krwawiącej dłoni.

— Chcę zabrać ją do domu, do cholery! Matka na nią czeka!

— Bardzo szlachetnie. Ale to kłamstwo, zresztą tak jak wszystko, co mówisz. Dlaczego miałaby wracać do Danii? Co to za sprawa, w której ją oskarżono?

— Nie ma żadnej sprawy.

— Znów kłamiesz. Znam Danię. Od lat macie oko na Kaminskiego. Czy to ma coś wspólnego z nim? Ze mną?

— Nie. Obiecałem przekazać Maszy wiadomość. To wszystko. Dać jej kartkę, którą znaleźliście w mojej kieszeni — powiedział, wskazując na kartkę, którą Michaił rzucił na ziemię. Slavros się schylił. Podniósł ją i spojrzał na kocięta. Przeczytał tekst na odwrocie, po czym zmiął kartkę.

— Bardzo wzruszające, co nie zmienia faktu, że jesteś gliniarzem. I nie mów mi, że się mną nie interesujecie — rzucił zmiętą kartkę na ziemię.

— Nic takiego nie powiedziałem. W całej Europie policja coś na ciebie ma. Nie tylko w Szwecji czy w Danii. Wszyscy cię szukają i wszyscy chętnie wsadziliby cię za kratki, ale to nie moja sprawa. Jestem na przymusowym urlopie. Chcę tylko pogadać z dziewczyną i przekazać jej wiadomość od matki. Zaraz potem znikam.

— Na przymusowym urlopie? Dlaczego?

— Z powodu stresu. Zresztą, czy to nie wszystko jedno? — Thomas rozłożył ręce. Psy zaczęły warczeć.

— Nie wyglądasz na faceta, który łatwo się stresuje. Dlatego po raz kolejny pytam: dlaczego?

— Nie twoja sprawa.

— Jeśli chcesz zachować twarz, radzę ci odpowiedzieć.

Thomas spojrzał na psy, potem na Slavrosa. Znów wypluł krew, tym razem jednak z pogardą.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Nawet bardzo.

— No, więc dobrze. Zostałem wysłany na urlop, bo jakiś łobuz, pochodzący pewnie z tego samego kraju co ty, włamał się do mojego mieszkania i zabił moją żonę, podczas gdy ja miałem dyżur. Dlatego.

— Złapaliście go?

— Nie, kutas nadal jest na wolności. Zadowolony?

Slavros spojrzał na niego, podrapał się po brodzie. Ściągnął łańcuch i się roześmiał.

— To najbardziej żalosna historia, jaką w życiu słyszałem. Ale teraz przynajmniej wiem, że mówisz prawdę. Bóg chyba nie bardzo cię lubi.

Znów się roześmiał, ale przekazał łańcuch Michaiłowi, który zabrał ze sobą psy.

— Mogę zobaczyć się z Maszą? — spytał Thomas, wstając.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo ja tak mówię. A poza tym jej tu nie ma.

— A wiesz, gdzie jest?

Slavros pokręcił głową.

— Nie, ale dziewczyny zwykle nie zostają tu długo.

— Więc nie masz pojęcia, co się z nią stało?

— Radzę ci jak najszybciej o niej zapomnieć, jeśli ci życie miłe. Wynoś się stąd, póki możesz, i trzymaj się ode mnie z daleka!

— Słyszałeś, co powiedział Slavros? — usłyszał za sobą czyjś głos.

Ktoś pchnął go mocno w plecy. Thomas, nie czekając dłużej, ruszył w stronę szosy.

51.

Masza usłyszała kroki na korytarzu i okryła się szczelniej kocem. Stanowił jej jedyną ochronę przed tym, który wybrał ją na swoją kolejną ofiarę. Wiedziała, że jest zdana na jego łaskę.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Slavros. Towarzyszyli mu Michaił i Kemal. Przed chwilą słyszała ujadanie psów Slavrosa. Zastanawiała się, kto tym razem padł ich łupem. Pewnie jakiś pijaczyna, który rozdrażnił Slavrosa i teraz konał gdzieś w rowie.

Slavros skrzywił się i zatkał nos.

— Czy nikt tu nie sprząta? Cuchnie gorzej niż w kiblu.

Kemal wzruszył ramionami.

— Klientom jest wszystko jedno.

Slavros stanął nad kozetką, Masza czuła, że jej się przygląda.

— Wygląda bardziej na martwą niż na żywą — odezwał się Michaił, stojący za jego plecami.

— Ale nadal oddycha. I staje się dla nas coraz większym obciążeniem. Poza tym za dużo wie.

— Mogę ją sprzątnąć, jeśli chcesz — zaofiarował się Michaił. — Psy nadal są głodne. A resztki zagrzebiemy gdzieś w lesie.

— I zabierzemy Hienie danie, które mu obiecaliśmy? Kiedy ty wreszcie zaczniesz myśleć?

— Mam dosyć tego psychola. Jego też powinniśmy się pozbyć.

— Naprawdę? — Slavros pokręcił głową. — Jeśli moje psy mnie czegoś nauczyły, to tego, że nie należy kasać ręki, która cię karmi.

Slavros znów przekrzywił głowę, kręgi szyjne zatrzęszczały.

— Albo, tak jak w przypadku Hieny, ręki, która cię chroni. Mówił, że kiedy wróci?

— Kiedy miną jej objawy odstawienia — powiedział Kemal. — To podobno zaburza principia? Nie mam pojęcia, o co mu chodziło.

— Zaburza proces, małopłodzie. Proces. Ten facet to artysta.

Slavros kopnął w kozetkę, na której leżała Masza.

— Masz jeszcze jakieś objawy? Masz czy nie?

Masza nie odpowiedziała. Patrzyła na niego w milczeniu.

— Wygląda na zdrową. Zadzwoń i powiedz, że może ją sobie wziąć. Mam dosyć gapienia się na jej gębę.

Kiedy mężczyźni wyszli, Masza wyjęła zeszyt spod materaca. Naostrzyła ołówek, pocierając grafit o ostry tynk. Niewiele z niego zostało, właściwie tylko maleńki kawałek, który kruszył się jej w palcach. Ale nie miało to już większego znaczenia. Nie miała wiele do napisania. Nie miała też dużo czasu. Hiena zabije ją i porzuci na wysypisku, tak jak robił to już wiele razy wcześniej z innymi dziewczynami. Przynajmniej miała pewność, że ktoś znajdzie jej ciało. Może nawet pokażą je w telewizji. Wtedy wszyscy się dowiedzą, jaki los ją spotkał. Może ta świadomość pozwoli matce zaznać nieco spokoju.

„Jeśli mnie jeszcze pamiętasz, mamó, to proszę, wybac mi”.

52.

Z głośnika umieszczonego w suficie męskiej toalety dochodziły łagodne rytmy bossa novy. Było wpół do drugiej w nocy. Thomas stał przy najdalszej umywalce od wejścia w dworcowej toalecie i próbował oczyścić głęboką ranę po zębach pitbula. Przed wjazdem na obwodnicę udało mu się złapać taksówkę. Kierowca upierał się, że zawiezie go na pogotowie, ale on odmówił. Poprosił tylko, żeby podjechał do nocnej apteki. Taksówkarz zostawił go przed apteką na Klarabergsgatan. Thomas kupił kilka opakowań gazy, plastry i buteleczkę jodiny do dezynfekowania drobniejszych ran. Większość zużył na opatrzenie szramy biegnącej wzdłuż lewej łydki. Po przemyciu owinął nogę gazą. Oczyścił też ranę na rękę i założył opatrunek. Spojrzał w lustro. Widok nie był zachwycający. Krew z rozciętego łuku brwiowego zastygła na policzku i na brodzie. Dotknął spuchniętego grzbietu nosa. Bolał go jak diabli, ale na szczęście nie był złamany. Opróżnił wiszący na ścianie toalety pojemnik chusteczek jednorazowych i zaczął myć twarz. Kiedy skończył, próbował skleić rozcięty łuk brwiowy, ale plaster nie chciał się trzymać. W końcu poddał się, wziął kilka chusteczek i przyłożył je do oka. Nie miał wątpliwości, że zostanie mu blizna, swoista pamiątka z pobytu w Sztokholmie. Przypominająca o tym, że takie dupki jak Slavros zawsze wygrywają.

Z dworca przeszedł ulicą Olofa Palmego prosto do baru KGB. Już z daleka słyszał dochodzącą stamtąd muzykę i donośne głosy gości, którzy stali na zewnątrz i palili papierosy. Podszedł do drzwi i zaczął się przeciskać przez tłum. Jakiś szeroki w barach facet w czarnym płaszczu zagroził mu drogę.

— Przykro mi, ale mamy zamknięte.

— Nie zauważyłem — odparł Thomas, rozglądając się.

— Proponuję, żebyś wrócił do domu. Mam wrażenie, że na dzisiaj masz już dosyć

— stwierdził bramkarz, przyglądając mu się uważnie.

— Tylko jedno piwo. Naprawdę. — Thomas popatrzył na niego błagalnie.

— Przykro mi, ale wypijesz je gdzie indziej. To jest porządny lokal — dodał bramkarz, marszcząc brwi.

— Tak? Naprawdę?

— Tak. Naprawdę — powtórzył bramkarz, demonstrując swoje szerokie bary.

Thomas zawrócił i znów zaczął się przepychać przez tłum.

Dwie przecznice dalej na Kungsgatan znalazł irlandzki pub. Irlandczycy okazali się bardziej gościnni, wszedł do środka bez żadnych problemów. Lokal był w połowie pusty, szybko znalazł wolny stół przy długim mahoniowym barze. Zamówił guinnessa i jamesona. Wypił whisky i szybko zamówił kolejną szklankę. Wyjął komórkę i położył przed sobą na blacie.

— Ciężka noc? — zagadnął go rudy barman.

Thomas skinął głową.

— Nawet nie wiesz jak bardzo.

Barman nalał mu następną kolejkę. Na koszt lokalu. Thomas uznał, że to będzie chyba jego najmiłsze wspomnienie ze Szwecji. Po półgodzinie i kilku drinkach poczuł, że ból powoli mija. W barze przybywało gości, z głośników leciał folk rock na cały regulator. Sięgnął po komórkę i poszedł do toalety mieszczącej się w drugim końcu lokalu. Wszedł do boksu

najbardziej oddalonego od wejścia, usiadł na sedesie i zamknął za sobą drzwi. Cisza była dojmująca. Odetchnął głęboko, oparł się o rezerwuar i wybrał numer. Minęła dobra chwila, zanim ktoś odebrał.

— Johnson — usłyszał w słuchawce.

W tle grała muzyka, jakaś kobieta śmiała się głośno. W Wydrze bawiono się w najlepsze. Przywitał się z Johnsonem.

— Ravn? Wszystko w porządku?

— Tak, po prostu jestem trochę zmęczony.

— Późno dzwonisz. Właśnie miałem zamykać. Masz jakieś dobre wieści?

— Nie...

— Znalazłeś ją? Nadia cały dzień wisi mi na telefonie.

— Co mówiła?

— Pytała, jak idą twoje poszukiwania. Znalazłeś jakiś ślad?

Thomas pochylił głowę. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Nie wiedział, jak ma przekazać Johnsonowi to, czego się dowiedział.

— Jesteś tam, Ravn?

— Tak, jestem.

— Masz coś nowego?

— Nowego? — powtórzył, żeby zyskać na czasie.

— Masz dziwny głos. Na pewno dobrze się czujesz?

— Tak... Znalazłem Maszę.

— Znalazłeś ją? To świetna wiadomość...

— Tak...

— Wszystko z nią w porządku?

— Tak, biorąc pod uwagę okoliczności.

— Co masz na myśli? Gdzie się z nią widziałeś?

Thomas potarł brew, rana znów się otworzyła, poczuł strużkę krwi na policzku. Oderwał kawałek papieru toaletowego, przyłożył do czoła i wrócił do rozmowy.

— W klubie. Drogim jak cholera. Nie wpuściliby cię tam. Dziana klientela, eleganciki, garniaki, biznesmeni.

— Więc nadal jest prostytutką — Johnson był nieco zawiedziony.

— Tak, ale tylko sobie dorabia, jak to określiła. W końcu udało jej się spłacić dług.

Pracuje już na własny rachunek. I uczy się. Chce zostać kosmetyczką. Tak mi przynajmniej powiedziała.

— To już coś.

— Jej wybór. Ale wyglądała dobrze. Jest zdrowa.

— Dałeś jej kartkę od Nadii?

Thomas rozsunął nogi i wrzucił zakrwawiony papier do sedesu.

— Tak, oczywiście. Bardzo się wzruszyła. Widziałem, że miało to dla niej duże znaczenie. Była mi bardzo wdzięczna. Koniecznie przekaż to Nadii.

— Dała ci swój adres? Numer komórki?

— Nie.

— Ravn, do diabła. Nadia na to liczyła.

— Odniosłem wrażenie, że Masza nie chce się z nią kontaktować. W każdym razie jeszcze nie teraz. Uznałem, że nie mam prawa na nią naciskać. Przekaż Nadii, że wszystko z nią w porządku.

— Dobrze, w końcu to jest najważniejsze. Musi cierpliwie czekać...

— Muszę kończyć.
— Wracaj do nas. Jeszcze parę dni, a zaczniesz mi brakować tego kawałka, który puszczaś na okrągło.

— Zdzwonimy się.

— Ravn?

— Tak?

— Jestem z ciebie dumny.

— Przestań.

— Dlaczego? Nie ma już wielu takich ludzi jak ty. Prawdziwy z ciebie facet.

Thomas wiedział, że takie słowa z ust Johnsona są największym komplementem.

— Skoro tak twierdzisz.

— Może cała ta sprawa stanie się początkiem czegoś nowego? Może w końcu twój los się odmieni.

Thomas się rozłączył. Wrócił do baru i dalej pił. Kiedy barman oświadczył, że zamykają, wyciągnął kartę visa, zapłacił za resztę jamesona, schował butelkę pod kurtkę i zabrał ją ze sobą.

53.

Była trzecia w nocy, kiedy Thomas uznał, że zablądził i nie ma sensu, żeby dalej szukał hotelu. Stanął na rogu Drottninggatan i Mästar Samuelsgatan i oparł się o wystawę z kolorowymi kartkami, reklamującymi liczne promocje. Miał wrażenie, że cały czas chodzi w kółko. Pewnie dlatego, że ciemne budynki biurowe i niezliczone sklepy sprawiały, że wszystkie ulice w centrum wyglądały tak samo. Butelka whisky, którą zdążył już opróżnić, też nie wyostrzyła jego zmysłu orientacji.

Nagle poczuł, że nogi nie chcą go dalej nieść, zaczął się osuwać po szybie i w końcu wylądował na ziemi. Alkohol osłabił jego wrażliwość na czynniki zewnętrzne, mimo to czuł, jak mróz szczypie go w twarz.

Doczołgał się do jakiejś bramy, gdzie było nieco cieplej i zaciszniej. Skulił się w kącie. Musiało być co najmniej dziesięć stopni mrozu. Pomyślał, że właśnie w taką pogodę zamarzają bezdomni, narkomani i pijacy. Jako młody funkcjonariusz był kilka razy wzywany do takich przypadków. Pamiętał, że zmarli wyglądali zwykle bardzo spokojnie. Z wyjątkiem jednego bezdomnego, którego znaleziono w pobliżu Portu Południowego. Ale tamten różnił się od innych głównie dlatego, że jego pies zaczął już zjadać mu twarz.

Zamknął oczy. Mimo późnej godziny na ulicy wciąż panował spory ruch. Bez przerwy mijały go dziewczęta w cienkich sukienkach i na wysokich obcasach. Ich klienci przychodzili i odchodzili. Interes kręcił się w najlepsze. Wiele razy widział przed sobą Maszę, ale nie był w stanie jej dosięgnąć. Znów zamknął oczy, mróz i alkohol zrobiły swoje, zaczął powoli zapadać w drzemkę. Ogarnął go błogi spokój. Spokój, jakiego nie było mu dane zaznać od niepamiętnych czasów. Nie potrafił powiedzieć, jak długo spał, gdy nagle zobaczył przed sobą jakąś jasną postać. Kobieta miała na sobie kostium w kolorze złota i srebrzyste włosy. Położyła mu rękę na ramieniu, poczuł promieniujące od niej ciepło. Pociągnęła go łagodnie za sobą, jakby chciała, żeby podążył za nią w stronę światła. A on nawet chętnie by za nią poszedł, tylko właśnie w tym momencie zobaczył wokół siebie inne postaci. Stały w milczeniu i przypominały mu anioły. Uśmiechnął się błogo w pijackim zamroczeniu.

— Kochanie, nie możesz tu tak leżeć — odezwała się kobieta o srebrzystych włosach. Potrząsnęła nim łagodnie.

Thomas otworzył oczy i przestraszony spojrzął na trzy kobiety, które się nad nim pochylały. Wszystkie miały na sobie jednakowe żółte kurtki puchowe.

— Możesz zamarznąć na śmierć — powiedziała jedna z kobiet, uśmiechając się do niego. — Chodź z nami. Dostaniesz kubek gorącej zupy — dodała, wskazując na furgonetkę stojącą za jej plecami.

Tylne drzwi furgonetki były otwarte, w bagażniku urządzono niewielką kuchnię polową. Jedna z kobiet nalewała gorącą zupę z metalowych pojemników do kubków, które podawała prostytutkom zebranych wokół furgonetki.

— Kim jesteście? — spytał Thomas.

Zdezorientowany przyglądał się starszym paniom.

— Jesteśmy Nocne Sowy. Wolontariuszki. Staramy się czynić to miasto bezpieczniejszym.

— Nie boicie się o siebie?

Kobiety się roześmiały.

— Mama Tove patroluje ulice już od dwudziestu lat. Jest prawdziwą legendą. Bohaterką.

— Dokładnie osiemnaście — poprawiła ją Tove.

Spojrzała na Thomasa.

— Nie powinieneś jechać na pogotowie? To nie wygląda dobrze.

Thomas pokręcił głową i wstał.

— Dziękuję, ale naprawdę nic mi nie jest. Będę wdzięczny, jeśli pokażecie mi drogę do mojego hotelu. Hotel Colonial.

— Najpierw dostaniesz zupę, a potem obejrzę twoje oko — oświadczyła Tove.

Chwyliła go za rękę i pociągnęła w stronę furgonetki, gdzie było więcej światła.

— Dasz panu kubek zupy? — zwróciła się do ciemnoskórej dziewczyny siedzącej w środku.

Młoda kobieta spojrzała na Thomasa z niedowierzaniem.

— Zupa jest dla dziewczyn. Dlaczego miałabym go częstować?

— Ponieważ pomagamy wszystkim dzieciom ulicy — oświadczyła Tove i sięgnęła do kieszeni po plastry.

— To wina takich jak on, że w ogóle tu jesteśmy — powiedziała kobieta, ale naląła mu kubek zupy. — Bez chleba. Nie starcza nam dla wszystkich — rzuciła buńczucznie.

— Jestem pewna, że gorąca zupa dobrze ci zrobi — zwróciła się Tove do Thomasa i uśmiechnęła się do niego.

Kobieta podała mu kubek, Thomas podziękował.

Tove poprosiła, żeby podszedł bliżej do światła i podniósł głowę. Przyklepiła mu świeży plaster.

— Nie muszę chyba tłumaczyć dorosłemu mężczyźnie, że mało jest spraw, za które warto się bić.

— To nie ja wywołałem tę bójkę — odparł Thomas i wypił łyk zupy. — Rozumiem, że znacie sporo miejscowych dziewczyn?

— Znamy wiele, to prawda.

— Szukam dziewczyny, która zaginęła kilka lat temu. Może ją gdzieś spotkałaś?

Thomas rozpiął kurtkę i wyjął zdjęcie Maszy. Pokazał je Tove.

Kobieta przyglądała mu się chwilę.

— Wydaje mi się, że jej nie znam, ale nie mogę wykluczyć, że ją gdzieś widziałam. Cały czas spotykamy tu nowe dziewczęta. Pewnie z tysiąc rocznie. Jest duża rotacja.

— Skąd masz to zdjęcie?! — krzyknęła nagle czarnoskóra dziewczyna.

Wyrwała zdjęcie z rąk Tove.

— Ależ Tabitha. Oddaj panu zdjęcie.

— Jak powie, skąd je ma.

— Dostałem je od jej matki — odpowiedział Thomas, zaskoczony. — Znasz Maszę?

— Kłamiesz! — krzyknęła dziewczyna. — Wiem, kim jesteś. Tym facetem, przed którym Masza nas ostrzegała. Tym od czarnego mercedesa. Tym, który wypycha dziewczyny i maluje je na białą. Jesteś seryjnym mordercą! — wykrzyczała, oskarżycielsko wyciągając palec w jego stronę.

Trzy prostytutki, które stały wokół furgonetki, zaczęły się pospiesznie cofać.

— Zadzwońcie po policję! To on! — krzyczała Tabitha.

Jedna z dziewczyn wyjęła z kieszeni satynowej kurtki nóż sprężynowy i rozłożyła go.

— Spokojnie — Tove położyła dłoń na ramieniu Tabithy. — Sara, schowaj ten nóż, natychmiast. Znasz mój stosunek do broni.

Dziewczyna złożyła nóż i odłożyła go.

— Przyjechałem tu, żeby ją odszukać — powiedział Thomas. Wyjął swoją legitymację

policyjną i pokazał zebranych wokół niego kobietom. — Robię przysługę jej matce. Jeśli któraś z was wie, gdzie jest Masza, będę wdzięczny za informację.

Tabitha oddała mu zdjęcie i skrzyżowała ręce na piersiach.

— Tabitha, znasz ją? — spytała Tove.

Dziewczyna skinęła głową.

— Tak, kiedyś uratowała mi życie. Była dla mnie jak starsza siostra — dodała ze łzami w oczach.

— Kiedy widziałaś ją ostatni raz?

— Parę lat temu. Zanim trafiłam do szpitala po tej okropnej historii.

— Domyślasz się, gdzie może teraz być?

Dziewczyna pokręciła głową.

— Wtedy wszystkie pracowałyśmy dla Slavrosa, tego bydlaka. On na pewno wie.

— Już z nim rozmawiałem — odezwał się Thomas, wskazując na swoją poturbowaną twarz.

— Slavros ci to zrobił...? Kiedy?

Thomas opowiedział o swojej krótkiej wizycie w Arizonie.

— Arizona to piekło na ziemi — stwierdziła Tabitha ze strachem w głosie.

— Slavros powiedział, że Masza wyjechała.

Tabitha pokręciła głową.

— Stamtąd mało kto wychodzi żywy. Pewnie umarła.

— Nie zauważyłem nic, co wskazywałoby na to, że tam jest.

— Przykro mi, ale nie możemy ci pomóc — oświadczyła Tove. — Musimy jechać dalej.

Ale życzę ci powodzenia.

Thomas skinął głową i wyrzucił papierowy kubek.

Tove wytłumaczyła mu, jak dotrzeć do hotelu, który leżał zaledwie kilka przecznic dalej, i odwróciła się do pozostałych kobiet, które już zaczęły zamykać furgonetkę.

— Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam — odezwała się Tabitha. — Wcale nie wyglądasz na takiego, co wypycha ludzi.

— Daj spokój.

— Może jednak lepiej, że Masza nie żyje. Że nie musi się już dłużej męczyć w piwnicznym burdelu Slavrosa.

— W piwnicznym burdelu? Nie rozumiem.

Tabitha spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— W Arizonie. Slavros ma tam burdel w piwnicy, głęboko pod ziemią.

54.

Thomas wszedł do kawiarni na Hantverkargatan, gdzie serwowano gorące śniadania. Długi, wąski lokal, znajdujący się zaledwie dwie przecznice od siedziby policji, był wypełniony po brzegi. Goście jedli przy długich stołach. W powietrzu unosił się mdły zapach frytury i sosów. Można było odnieść wrażenie, że trafiło się do portowego grill-baru. Thomas zaczął się rozglądać wśród gości, głównie urzędników w garniturach, pracujących albo w pobliskim budynku policji, albo tuż obok, w urzędzie gminy. Przy jednym ze stolików pod oknem zauważył Karla w towarzystwie Dahla i Lindgrena. Zaczął się przepychać przez tłum; dotarł do stolika i przywitał się z mężczyznami.

Karl uniósł wzrok i zdziwiony skinął głową.

— Smacznego — powiedział Thomas. — W wydziale powiedzieli mi, że pewnie cię tu znajdę.

Wysunął wolne krzesło i usiadł naprzeciwko Karla. Dahl i Lindgren rzucili mu szybkie spojrzenia. Niecałą dobę po spotkaniu ze Slavrosem twarz Thomasa nadal była opuchnięta, jedno oko miał czarne.

— Przewróciłeś się? — spytał Lindgren, co wywołało uśmiechy na twarzach jego kolegów.

— Można tak powiedzieć — skwitował zaczepkę Thomas. — Krawężniki w Arizonie są wysokie.

— Wybrałeś się tam mimo moich ostrzeżeń? — spytał Karl.

— Nie miałem wyboru.

— Znalazłeś dziewczynę?

Karl zaczął kroić twarde szare mięso leżące przed nim na talerzu.

— Nie, ale dowiedziałem się paru ciekawych rzeczy.

— To super. Naprawdę?

Thomas pokiwał głową.

— Spotkałem wieczorem dziewczynę, która powiedziała mi, że...

— Ravn, posłuchaj.

Karl odłożył widelec oraz nóż do steków i spojrzał na Thomasa. Widać było, że zaczyna się niecierpliwić. Poluzował krawat.

— Mój dzień zaczyna się o szóstej, kiedy budzi się Louisa. Nie narzekam, ale to jeszcze dziecko. Trzeba pomóc jej się umyć, ubrać, naszykować jej śniadanie, spakować tornister. Potem odwożę ją do zerówki, a następnie Susan do Karolinska, bo tam pracuje. Później zawracam i ruszam w drugą stronę. Jadę w korkach przez całe miasto, odbierając po drodze pierwsze służbowe telefony. Kiedy w końcu docieram na komendę, zaczyna się prawdziwy dzień pracy. Dziesięć godzin spotkań, zebrań, przesłuchań, znów spotkań, a potem jeszcze odprawa, sam wiesz, jak to jest. Kiedy skończę, jadę odebrać Susan, o ile już wcześniej nie wróciła do domu metrem. Czasem odbieram jeszcze Louise z lekcji tańca, zbiórki zuchów czy innych zajęć, a ma ich sporo. Jeśli to akurat moja kolej, to dodatkowo robię zakupy. Potem jemy późny obiad, podczas którego czasem sprawdzam pocztę. Potem oglądam wiadomości, razem z Susan, żebyśmy mogli powiedzieć, że mamy jeszcze jakieś wspólne życie, po czym idziemy prosto do łóżka. A następnego dnia wszystko zaczyna się od początku. Rozumiesz, do czego zmierzam?

— Przykro mi, ale nie bardzo.

— W ciągu dnia mam tylko chwilę wolnego. A dokładnie pół godziny. Trzydzieści minut,

kiedy mogę zająć się swoimi sprawami albo po prostu niczym. Trzydzieści minut, kiedy odgradzam się od otaczającego mnie świata.

— To te trzydzieści minut, które spędzasz tutaj?

— Dokładnie, Ravn. Tylko tutaj mogę się całkowicie odprężyć. — Karl spojrzął na zegarek. — Zostało mi jeszcze siedem minut. Czy to coś ważnego?

Thomas odchylił się na krzesło i wzruszył ramionami.

— Wiem, że jesteś zajęty, i przykro mi, jeśli masz poczucie, że życie potraktowało cię niesprawiedliwie, ale mam informację, która pozwala się domyślać, gdzie jest Masza.

— Więc czemu tam po nią nie pojedziesz? — wymamrotał Lindgren z ustami pełnymi jedzenia.

Thomas zignorował go; przyglądał się Karlowi.

— Wczoraj w nocy, po wizycie w Arizonie, dowiedziałem się od pewnej młodej kobiety, która pracuje dla Nocnych Sów, tak chyba się nazywają...

— Formacja babć — rzucił Karl nieco ironicznie. — Częstość ludzi kawą, tak?

— Zupa — poprawił go Thomas. — Jedna z kobiet rozpoznała Maszę na zdjęciu.

Powiedziała mi też, że Slavros prowadzi burdel w Arizonie.

— I nie zauważyłeś go, kiedy tam byłeś?

— Jest ukryty pod ziemią — powiedział Thomas, wskazując wymownie palcem na podłogę. — Pod klubem ze striptizem. Podobno umieszcza tam „zużyte” prostytutki. Żyją tam w nieludzkich warunkach.

— Dlaczego twój kontakt nie zgłosił nam tego wcześniej?

— Skąd mogę wiedzieć? Może nie ma do was zaufania?

— A skąd wiesz, że mówi prawdę?

— Nie widzę powodu, dla którego miałyby kłamać.

— Może nie lubi Slavrosa albo policji, albo ciebie — rzucił Karl. Dahl i Lindgren uśmiechnęli się.

— Albo mężczyzn w ogóle — dodał Lindgren. — Tak jak wiele dziwek.

— Mówisz to z własnego doświadczenia? — odgryzł się Thomas, po czym znów zwrócił się do Karla. — Mówię poważnie. Wystarczy mały nalot i wszystkiego się dowiemy.

A przynajmniej będzie można zamknąć to miejsce.

— Mówisz poważnie? — powtórzył Karl ironicznie. — A gdybyś był na moim miejscu, gdybym to ja przyjechał do Danii i zwrócił się do ciebie z taką prośbą, to jak byś zareagował? Nie oczekiwałbyś przynajmniej jakichś dowodów?

Nie czekając na odpowiedź Thomasa, rzucił serwetkę i wstał od stolika.

— Mój wolny czas się skończył. Muszę wracać do pracy. Lekko licząc, czeka na nas dwieście ważnych spraw.

— Uważasz, że wysłanie patrolu do Arizony jest zbyt kłopotliwe?

— Tłumaczyłem ci już, że wymaga to dużego zaangażowania z naszej strony.

Zaangażowania, które jest potrzebne gdzie indziej.

— Możesz złapać Slavrosa na gorącym uczynku. To nie ma dla ciebie znaczenia?

Karl westchnął głęboko.

— I co z tego, że Slavros ma tam burdel? Takie burdele są w różnych miejscach. Jest mi wszystko jedno, czy leżą w rejonie Hjulsty, na Södermalm, czy na Starym Mieście, pod ziemią, czy nad ziemią. Wszystkie działają nielegalnie i mam nadzieję, że z czasem uda nam się je zlikwidować. Najpierw chcemy oczyścić centralne części miasta, potem weźmiemy się do obrzeży. Mamy pewne priorytety. I właśnie dlatego nigdy nie wolno nam się angażować w takie sprawy osobiście. Nigdy!

Thomas odwrócił wzrok.

— Nie polecam kotleta po myśliwsku — dodał Karl, pokazując na swój talerz, na którym został kawałek twardego, szarego mięsa. — Miłego dnia.

— Wracaj do domu, do Kopenhagi — dodał Lindgren, klepiąc go po ramieniu.

Thomas siedział jeszcze chwilę i patrzył, jak Karl i jego dwaj asystenci opuszczają lokal. Kiedy wyszli, spojrział na stolik. Nie miał apetytu, a resztką kotleta wywołała u niego odruch wymiotny. Obok talerza błyszczał nóż do steków. Nachylił się nad stołem, wziął nóż, wytarł go z sosu i schował do kieszeni.

Wyrzwał przez okno. Na zewnątrz zaczął padać śnieg. Ale wiedział, że nie ma wyboru. Musi wrócić do Arizony.

55.

Powoli zapadał zmierzch. Płatki śniegu wirowały, pokrywając białą warstwą dachy baraków Arizony. Z miejsca w kabinie niewielkiego dźwigu na działce firmy budowlanej AK Byggnadsfirma Thomas mógł obserwować całą okolicę. Zamiast iść szutrową drogą, prowadzącą bezpośrednio do Arizony, skręcił w las, mając nadzieję, że znajdzie jakąś inną ścieżkę, która też zaprowadzi go do celu. Okazało się jednak, że wszystkie działki są ogrodzone wysokimi murami, tworzącymi razem jakby wał ochronny wokół Arizony. Przeszedł spory kawałek, zanim znalazł miejsce, w którym mur był wyraźnie zmurszały. Klub Slavrosa leżał na drugim krańcu targu. Nadal nie wiedział, jak się tam dostać w taki sposób, żeby nikt go nie zauważył. Zastanawiał się, czy nie poczekać, aż zapadnie zmrok, a potem nie spróbować prześlizgnąć się aleją Snajperów, jednak ryzyko, że zostanie zauważony, było za duże. Przyglądał się dachom, które — pokryte śniegiem — wyglądały jak biała mozaika. Nie miał pewności, czy baraki ciągną się aż do miejsca, w którym Slavros ma klub, ale wyglądało na to, że idąc po ich dachach, mógł zajść całkiem daleko.

Ostrożnie wyszedł na ramię dźwigu, kierując się w stronę zwisającego na końcu haka. Lekka konstrukcja trzeszczała pod jego ciężarem. Kiedy doszedł do końca, chwycił się obiema rękami zardzewiałego drutu i spojrzał w dół. Zastanawiał się, czy wiszący sześć metrów niżej duży żółty kosz udźwignie jego ciężar. Powoli zaczął się zsuwać po drucie. Rana na lewej ręce się otworzyła, więc nie mógł chwycić go mocniej. Zaczął się szybko osuwać w dół, drut palił go w dłonie. W końcu puścił się i upadł. Uderzył o blaszany dach — rozległ się głośny huk, gdzieś w oddali zaczęły szczekać psy. Dłuższą chwilę leżał cicho, wpatrując się w czarne niebo i wirujące płatki śniegu. Próbował spokojnie oddychać. Po chwili psy przestały ujadać. Podniósł się i zaczął rozglądać. Hałas najwyraźniej nikomu nie wydał się niepokojący, więc ruszył powoli po dachu w stronę muru rozdzielającego dwie działki. Przeszedł ostrożnie nad drutem kolczastym na szczycie muru i zeskoczył na dach sąsiedniego baraku, leżący dobre pół metra niżej. Zaczął biec po śliskiej powierzchni, cały czas zerkając na prowadzącą tuż obok drogę. Niedaleko, w świetle włączonych reflektorów, stała grupa mężczyzn. Rozmawiali, pijąc piwo z puszki. Thomas przebiegł niemal nad ich głowami, strząsnął nawet trochę świeżego śniegu, ale żaden z mężczyzn nie zwrócił na to uwagi. Doszedł do końca dachu i ruszył dalej po rusztowaniu wzdłuż budynku. Niezauważony przez nikogo, dotarł do sąsiedniej działki, na której znajdował się niewielki warsztat samochodowy. Wewnątrz otwartego garażu kilku — czterech, może pięciu — mężczyzn było w trakcie rozbierania bentleya. Samochód miał najwyraźniej zostać sprzedany na części, mężczyźni właśnie mocowali się z silnikiem. Thomas przeskoczył na dach stojącej w pobliżu wiaty samochodowej. Zrobiony z pleksi zatrzeszczał złowieszczo pod jego ciężarem. Następna wiatła była oddalona o jakieś pół metra od tej, po której dachu właśnie szedł. Przez szczeliny leciały płatki śniegu, padały na stojące pod wiatą czarne bmw. Jeden z mężczyzn pracujących przy bentleyu obejrzał się. Szturchnął drugiego.

— Co się stało?

— Słyszałeś coś?

— Słyszę, jak pierdzisz, a poza tym nic. — Drugi mężczyzna pochylił się i znów zajął się błyszczącym silnikiem V8. — Pomóż mi, do cholery! — rzucił poirytowany.

Pierwszy odwrócił się i chwycił za kołowrotek, do którego przymocowany był silnik.

Pociągnął za łańcuch tak mocno, że metal głośno zazgrzytał.

Thomas ruszył dalej na czworakach po delikatnym dachu wiaty i zaczął się powoli zbliżać do pracujących pod nim mężczyzn. Obserwował ich przez niewielką szparę. Mężczyźni byli skupieni na kołowrotku. Cały czas patrzyli do góry i na pewno zobaczyliby go, gdyby próbował przeskoczyć na kolejny dach. Przeczłogał się więc na drugi kraniec wiaty, gdzie stał cały rząd złomowanych wraków. Były zmiażdżone, płaskie, leżały jeden na drugim, w czterech warstwach. Ruszył po nich. Kiedy dotarł do ostatniego samochodu, zatrzymał się i zaczął się przyglądać placowi, na którym leżały baraki Slavrosa. Z pierwszego dochodziło głośne techno. Z okien ostatniego, w którym były striptizerki, padało czerwone światło. To pewnie pod tym budynkiem jest burdel, pomyślał. Zszedł ze sterty wraków i ruszył przez plac. Zaciągnął kaptur na głowę i podszedł do drzwi. Przez niewielką szybę dostrzegł, że lokal jest pusty. Wolałby, żeby ruch był nieco większy, bo łatwiej byłoby mu ukryć się wśród innych. Pchnął drzwi i wszedł do oświetlonej na czerwono sali. Poczł kwaśną woń potu i piwa. Z baru na drugim końcu lokalu dochodził nieprzerwany szum prądnicy, poza tym panowała cisza. Wyjął z kieszeni nóż do steków i ukrył go w rękawie. Podszedł do baru, a potem ruszył dalej, na zaplecze, gdzie stały skrzynki z alkoholem i palety z piwem. Gdzieś w głębi zauważył otwarte drzwi; stał przy nich mężczyzna i rozmawiał przez komórkę. Thomas rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu. Obok prądnicy zauważył mały otwór w podłodze. Przemknął obok drzwi i dotarł do klapy. Była otwarta, zauważył prowadzące w dół strome schody. Postanowił zejść na dół, drewniane stopnie zatrzeszczały. Wąski piwniczny korytarz oświetlała zamocowana na suficie świetlówka, światło migotało. Uderzył go odór odchodów, zakasłał i poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Szybko ruszył przed siebie. Po obu stronach korytarza były drzwi, zza niektórych dochodziły głośne jęki i krzyki. Usłyszał kroki na schodach, po chwili zobaczył czyjeś duże buty. Szybko podszedł do najbliższych drzwi, przyłożył do nich ucho i zaczął nasłuchiwać. W pokoju było cicho, otworzył drzwi i wszedł do środka. Minęła chwila, zanim jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Na wąskiej kozetce w rogu leżała chuda dziewczyna w brudnej koszuli nocnej. Jej blada skóra niemal świeciła w mroku, długie, zmierzwione włosy sterczały na wszystkie strony. Kiedy się do niej zbliżył, automatycznie uniosła koszulę, obnażając łono. Thomas zauważył dwie głębokie rysy po wewnętrznej stronie ud. Dziewczyna leżała na łóżku, wpatrując się w sufit, i cicho nuciła kołysankę. Thomas podszedł, zsunął jej koszulę na nogi. Dziewczyna przestała nucić, powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Potrzebuję twojej pomocy — powiedział Thomas. — Żebyśmy wszyscy mogli opuścić to miejsce. Szukam dziewczyny, mniej więcej w twoim wieku. Ma na imię Masza. Wiesz, w którym jest pokoju?

Dziewczyna uśmiechnęła się, odwróciła od niego wzrok i znów zaczęła się wpatrywać w sufit. Podciągnęła sukienkę i zaczęła nucić kołysankę.

Thomas odszedł od kozetki, stanął przy drzwiach i nasłuchiwał. Nie dochodziły do niego żadne dźwięki. Uchylił ostrożnie drzwi i wyjrzał na korytarz. Był pusty. Pomyślał, że jeśli chce znaleźć Maszę, musi zajrzeć do wszystkich pokoiów po kolei, niezależnie od tego, czy są tam klienci, czy nie. Wyszedł na korytarz i podszedł do następnych drzwi. Nie zdążył nawet dotknąć klamki, kiedy nagle drzwi się otworzyły i w progu stanął Kemal. Patrzyli na siebie, zdziwieni. Po chwili Thomas wepchnął go z powrotem do pokoju. Wyciągnął nóż i przyparł chłopaka do ściany.

— Gdzie ona jest? — wysyczał z nożem przy jego grdyce.

— Nie wyjdiesz stąd żywy — wydukał Kemal.

— No to jest nas dwóch.

Przeciągnął lekko ostrzem noża po szyi chłopaka.

— Jest w ostatnim pokoju! W ostatnim pokoju!

W tym momencie dziewczyna, która leżała na kozetce, podniosła się. Była wychudzona i całkowicie łysa. Lewe oko miała spuchnięte, jak po silnym uderzeniu.

— *Putá!* — krzyknęła po hiszpańsku.

Próbowała dosięgnąć Kemala, plunęła na niego. Zrobiło się zamieszanie, nóż wypadł Thomasowi z ręki. Schylił się po niego, a wtedy Kemal uderzył go kolanem w żołądek i wybiegł z pokoju. Thomas próbował odzyskać oddech, zaczerpnął powietrza i po chwili ruszył za nim. Kiedy wybiegł na korytarz, Kemal był już na drugim końcu. Thomas zrezygnował z pościgu i ruszył w stronę ostatniego pokoju. Otworzył drzwi i wszedł w ciemność.

— Masza! — zawołał.

Nikt nie odpowiedział. Podeszedł do kozetki i zobaczył koc zwinięty w rulon. W drzwiach ukazała się łysa dziewczyna.

— Wiesz, gdzie jest Masza? Dziewczyna, która tu mieszkała? — spytał.

— Maszy nie ma. Miała szczęście.

— Jak to nie ma? A gdzie jest?

— Została zabrana, *señor*. Hiena ją zabrał. Zawsze przychodzi po te najsłabsze.

— I nie wiesz, dokąd je zabiera?

— Oczywiście, że wiem. *Con los angeles blancos*. Do białych aniołów. Już nie żyje.

Odpoczywa w pokoju.

— Kiedy ją zabrał? Kiedy zniknęła?

— Wczoraj. Tak mi się wydaje. Albo przedwczoraj, w zeszłym tygodniu, w zeszłym roku. Czas znika, tak jak my. I zamienia się w anioły.

Dziewczyna zamachała rękami i zniknęła w korytarzu.

Z drugiego końca dobiegły podniesione głosy i ujadanie psów. Sięgnął do kieszeni po nóż i w tym momencie przypomniał sobie, że zostawił go w pierwszym pokoju, do którego wszedł. Rozejrzał się za czymś, co mogłoby posłużyć do obrony, ale niczego nie dostrzegł. Odwrócił materac, na podłogę wypadł poślizgnięty zeszyt. Schylił się i podniósł go. Zaczął go kartkować, przeczytał pierwsze linijki. Głosy w korytarzu stawały się coraz donośniejsze.

„29 listopada 2010. Dzień trzydziesty trzeci. Zostało jeszcze ponad czterysta. Mam na imię Masza. Mam dwadzieścia jeden lat. Trafiłam do piekła. To jest mój pamiętnik. Nie piszę go z myślą o kimś konkretnym, piszę go dla siebie... Żeby przetrwać. Tylko dlatego. Żeby pamiętać, że jeszcze żyję...”

Thomas ukrył zeszyt pod kurtką i wybiegł na korytarz. Z drugiej strony zobaczył zmierzających w jego kierunku Kemala ze Slavrosem i dwoma pitbulami. Z jednego z pierwszych pokoi wyszedł na wpół rozebrany klient i zdziwiony przyglądał się scenie. Na widok Thomasa psy zaczęły szczerzyć zęby i ciągnąć za łańcuch. Slavros je spuścił.

Thomas biegł dalej korytarzem, który nagle skręcił, by po chwili zakończyć się ślepo. Psy były tuż za nim, słyszał za sobą ich warczenie. Nagle zobaczył przed sobą opartą o ścianę drabinkę i wskoczył na nią. Pierwszy z psów dotarł do niego i chwycił go za nogawkę. Niewiele brakowało, a straciłby równowagę. Uwolnił się od niego kopnięciem. Słyszał dudniącą nad sobą muzykę. Podniósł głowę i zobaczył drewnianą klapę; wszedł wyżej, naparł na nią plecami. W tym momencie zza rogu wyłonił się Slavros.

— To koniec!

Kłapa się poddała, ryknęła muzyka. Szybko pokonał ostatnie szczeble drabiny. Wszedł i zamknął klapę. Postawił na niej skrzynki z whisky. Chodząca topless barmanka, która rozlewała

piwo, spojrzała na niego zdziwiona.

— Co ty robisz? — spytała, lekko zamroczona.

— Tam na dole grasuje jakiś psychopata. Pilnuj, żeby nie otworzył klapy, a ja pójdę zawiadomić Slavrosa.

Dał jej dwieście koron.

— Tu są sami psychopaci — odpowiedziała dziewczyna. Pokręciła głową i wetknęła banknoty za majtki.

Thomas, nie oglądając się za siebie, ruszył do drzwi. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

— Nie dotarło do ciebie, że masz się tu nie pokazywać? — usłyszał głos Michaiła.

Odwrócił się. Zobaczył jego mętne oczy. Michaił był wyraźnie pijany, ledwie trzymał się na nogach.

— Pożałujesz tego! — wybełkotał niewyraźnie.

Thomas chwycił go za kołnierz i uderzył go z główki. Źle wycelował, uderzenie go zamroczyło, zrobiło mu się czarno przed oczami. Ale Michaił upadł i leżał nieruchomo na podłodze.

Thomas wybiegł na zewnątrz i skierował się w stronę kontenerów stojących w rogu pod murem. Wdrapał się na jeden z nich, a stamtąd wspiął się na mur. Zobaczył wyłaniającego się z baraku Slavrosa z psami; za nim wybiegło dwóch mężczyzn. Psy zaczęły węszyć, usiłując złapać trop. Slavros i dwaj mężczyźni rozglądali się nerwowo, próbując dostrzec coś w mroku. Thomas odbił się od muru i skoczył prawie trzy metry w dół, na pokrytą śniegiem ziemię. Przeturlał się kawalek, wstał i ruszył biegiem przez ciemny las. Czuł na brzuchu zeszyt Maszy, który kleił się do jego spoconej skóry.

56.

„Siedzę w McDonalddie na Dworcu Centralnym i czekam na Petrę, która poszła do toalety. Spóźniłyśmy się nędzne dziesięć minut na pociąg do Kopenhagi... Jest tyle rzeczy, o których chciałabym ci opowiedzieć... Mam pieniądze... Szkoda, że nie widziałaś, jak wybiegamy z solarium Arkana... Jak te dwie dziewczyny w tym filmie, który kiedyś razem oglądałyśmy. Uciekały przed glińiarzami i w końcu wjechały samochodem w przepaść, na pewno pamiętasz tę scenę...”

— *Thelma i Louise* — wymamrotał Thomas do siebie.

Siedział przy ostatnim stoliku w niewielkiej kawiarni w hali dworcowej naprzeciwko McDonalda, o którym Masza pisała w pamiętniku. Przerzucił kartkę i czytał dalej o Michaile, który je gonił, i o Petrze, która rzuciła się pod pociąg. A także o strasznej nocy, kiedy Slavros zamordował Lulu. To było morderstwo z premedytacją. Za takie powinni uznać je Karl Luger i szwedzka policja. Dworcowy zegar pokazywał dwudziestą drugą trzydzieści dziewięć. Thomas czytał pamiętnik Maszy od momentu, kiedy wszedł do metra na stacji w Rinkeby. Czytał i wydzwaniał do Karla, który nadal nie odbierał. To, co wyczytał w pamiętniku, i to, co zobaczył w Arizonie, powinno wystarczyć, żeby policja mogła oskarżyć Slavrosa. Nawet Karl nie będzie mógł odmówić wszczęcia dochodzenia. Co jednak stanowiło marne pocieszenie, bo przecież przybył za późno, żeby uratować Maszę.

— Zamykamy — oświadczył potężnie zbudowany młody kelner. Kolczyk, który miał w nosie, sprawiał, że wyglądał jak byk.

Bez ceregieli wziął filiżankę Thomasa i zaczął ścierać stół brudną szmatą. Thomas zamknął zeszyt i wstał. Idąc przez halę, po raz kolejny wybrał numer Karla. Odezwała się poczta głosowa; rozłączył się, nie zostawiając wiadomości. Podniósł wzrok i spojrzał na wysokie sklepienie. Nagle uderzyło go, że sala dworcowa przypomina wnętrze kościoła Zbawiciela na Christianshavn w Kopenhadze. Takie samo gotyckie sklepienie, chociaż oczywiście nie był ekspertem w tej dziedzinie. Trumna z ciałem Evy stała na końcu głównej nawy, tuż przed ołtarzem. Lekko złamana biel i morze kwiatów. Najbliższa rodzina — jej rodzice i dwaj starsi bracia — siedziała razem z nim w pierwszym rzędzie. Za nimi tłoczyli się w ławkach ludzie z całej dzielnicy, z całego Christianshavn. Niektórzy stali nawet na zewnątrz, w deszczu. Obcy ludzie, którzy przeczytali o wypadku w gazetach i przyszli, żeby udzielić wsparcia. Sama ceremonia wydała mu się dziwnie nierzeczywista. Miał wrażenie, że trumna jest pusta. Że Evy w niej nie ma. Była w pracy, a może wróciła już do domu i poszła na zakupy, do marketu SuperBrugsen na Christianshavns Torv. Przyglądając się ludziom, którzy oplakiwali Evę, jego Evę, czuł narastającą frustrację. Miał ochotę zawołać, żeby poszli do domów, wynieśli się stąd z tym swoim namolnym smutkiem, bo on sam nie czuł nic. Poza niewyobrażalną, wszechogarniającą pustką. Pustką, która cały czas go zżerała i w końcu doprowadziła do tego, że szedł teraz pod wysokim sklepieniem sztokholmskiego dworca.

Nie potrafił opanować drżenia rąk, upuścił zeszyt na podłogę. Natychmiast się schylił i go podniósł. Zdjął go paniczny strach i oblał zimny pot. Oddychał z trudem. Żeby nie upaść, musiał się oprzeć. Poczuł, że hala wiruje mu przed oczami, osunął się ciężko na ławkę. Rozpiął kurtkę, szarpnął zamek błyskawiczny. Próbował powstrzymać płacz. W końcu szloch zwyciężył. Thomas

poczuł skrępowanie, ale nie był w stanie nic zrobić, więc pozwolił łzom lecieć.

Po kilku minutach atak paniki minął. Wziął się w garść, ale oczy nadal go piekły, gardło też. Włożył rękę do kieszeni, wyjął komórkę i znalazł sieć. Wszedł w rejestr ludności i wstukał: Karl Luger. Jeden wynik dla całego okręgu sztokholmskiego. Okazało się, że Karl mieszka niedaleko Mälarhöjden. Wybrał numer i zadzwonił.

— Susan Luger — odezwał się wątpy kobiecy głos.

Thomas przedstawił się jako duński kolega Karla i przeprosił za telefon o tak później porze.

— Czy Karl jest w domu?

— Niestety nie — odpowiedziała Susan. — Chodzi o apel?

— Apel? Nie bardzo rozumiem.

— Doroczne wystąpienie inspektora policji. Potem wszyscy udają się na uroczystą kolację, czy też na stypę, jak to między sobą nazywają.

— Tak, właśnie to miałem na myśli. Nie pamiętam, gdzie odbywa się uroczystość.

— W lokalu Związku Policjantów, na Myntgatan pięć. To tak naprawdę drugi dom Karla — zażartowała Susan. — Proszę pojechać na Stare Miasto i wysiąść przy Brantingtorget. A potem iść za mundurami.

— Dziękuję za pomoc.

— Drobiazg. Ale nie za późno pan się tam wybiera?

— Za późno. To motto mojego życia — odparł Thomas. Po drugiej stronie słuchawki usłyszał śmiech. — Jeszcze raz bardzo pani dziękuję — zakończył.

Thomas wstał z ławki. Mimo późnej pory w hali dworca było gwarno i tłoczno. Podążył za strumieniem ludzi w stronę głównego wyjścia. Na dworze padał śnieg, ludzie bili się o taksówki. W końcu udało mu się zatrzymać jakiś samochód. Usiadł zmarznięty na tylnym siedzeniu i podał taksówkarzowi adres. Kiedy przejechali przez Norrmalm i wjechali na most Vasabroen, prowadzący do Starego Miasta, wyjął z kieszeni zeszyt. Spojrzał na połówkę pierwszej strony, na której Masza napisała swoje imię i nazwisko pismem przypominającym pismo dziecka. Nie była to przyjemna lektura, właściwie nie miał ochoty do niej wracać. Czuł się jednak w obowiązku sprawdzić, czy na ostatnich stronach nie ma czegoś, co obciążałoby dodatkowo Slavrosa, ale też może dawałoby jakąś wskazówkę, gdzie dziewczyna może teraz być.

Zaczął czytać o odwiedzinach Hieny. O tym, jak ją obejrzał i orzekł, że wkrótce będzie gotowa. Rzeczy, o których pisała, były tak straszne, że Thomas czuł, iż momentami przestaje logicznie myśleć. Wiedział jednak, że musi skupić się na faktach. Początkowo podejrzewał, że sprawcą może być Slavros, ale chociaż bywał okrutny, to pamiętnik Maszy uwalniał go od podejrzeń. Jeśli Hiena zabrał Maszę już kilka dni temu, jak twierdziła dziewczyna w piwnicy, to było wielce prawdopodobne, że jej ciało wkrótce pojawi się na jednym z wysypisk w rejonie stacji Hjulsta. Musi przekonać Karla, żeby zaczął nadzorować to miejsce, a może nawet wszystkie wysypiska i złomowiska w obrębie Sztokholmu. Mogliby też zacząć szukać samochodu, o którym Masza wspominała w pamiętniku. To było chyba wykonalne, biorąc pod uwagę, jak niewiele czarnych mercedesów z lat siedemdziesiątych mogło być zarejestrowanych w Szwecji. Na pewno mniej niż sto, pomyślał. Pewnie około dwudziestu.

— Muszę pojechać dookoła — przerwał jego rozważania taksówkarz, kiedy dojechali do Starego Miasta.

— Słucham? — Thomas uniósł głowę znad zeszytu.

— Roboty drogowe. Myntgatan jest teraz jednokierunkowa. — Taksówkarz wskazał na wygrodenie i migające żółte światła.

— Tylko proszę się pospieszyć — powiedział Thomas.

Przewrócił kolejną kartkę pamiętnika. Serce mu krwawiło, kiedy czytał o tym, jak Masza walczyła o przetrwanie. Jak zmagala się z głodem narkotykowym, żeby uzbiarać tyle prochów, by starczyło na złoty strzał. Czuł, jak coraz bardziej nienawidzi Slavrosa. Oburzony i poruszony, czytał o tym, jak Slavros przywrócił ją do życia po kolejnej próbie samobójczej i oddał w ręce psychopaty.

„Jeśli mnie jeszcze pamiętasz, mamó, to proszę, wybacz mi”.

Czytając ostatnie strony pamiętnika, musiał gryźć się w policzek, żeby powstrzymać płacz. Na ostatniej stronie Masza opisywała Hienę jako kogoś, kto stoi nad Slavrosem, wręcz go chroni. Thomas nie bardzo wiedział, jak to rozumieć. Może chodziło o kogoś, kto w rzeczywistości pociągał za sznurki? Znów wyjął komórkę i ponownie wybrał numer Karla. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o organizacji Slavrosa.

— Daleko jeszcze?

— Dwie minuty — odezwał się kierowca.

Karl miał wyłączony telefon, odezwała się poczta głosowa. Thomas rozłączył się i schował komórkę do kieszeni.

— Nie mam tyle czasu — warknął rozdrażniony.

Taksówkarz mruknął coś pod nosem, pewnie jakieś przekleństwo, i po chwili skręcił

w Myntgatan. Thomas już z daleka zobaczył funkcjonariuszy w mundurach, którzy stali i palili papierosy w bramie przed drzwiami żółtego budynku. Wszyscy mieli na sobie galowe mundury, z daleka widać było, że nastroje dopisują.

Taksówkarz zatrzymał się przy chodniku.

— Więc jednak zdążyliśmy — rzucił nieco zgryźliwie.

Thomas podał mu kilka banknotów. Kiedy kierowca szukał reszty, zauważył, że na odwrocie zeszytu było zapisanych jeszcze kilkanaście linijek niemal nieczytelnych słów. Uniósł zeszyt do światła. Pismo było ciemne, litery rozmazane, jakby Masza pisała je ziemią albo sadzą.

— Proszę — powiedział taksówkarz, wydając mu resztę.

— W porządku — wymruczał Thomas pod nosem, próbując odczytać niewyraźny zapis.

„To mój ostatni list, mamó. Wiem, kim jest Hiena, ale to mi nie pomoże.

Michaił zajrzał do mnie w nocy. Był pijany. Na szczęście zbyt pijany, żeby cokolwiek mi zrobić. Drwił sobie ze mnie. Powiedział, że umrę. Że nic mnie nie uratuje. Że moje ciało zostanie wkrótce znalezione na wysypisku. Podobno Hiena już tu jest i niedługo się po mnie zgłosi. Teraz rozmawia w barze ze Slavrosem. Powiedziałam Michaiłowi, że pewnego dnia policja wszystko odkryje i wszystkich ich aresztuje. Niewykluczone, że już są w drodze. Michaił tylko się ze mnie śmiał. Powiedział też, że właśnie dali wycisk takiemu jednemu, co o mnie pytał. Podobno chciał mnie uratować. Nie mam pojęcia, kto to mógł być. Podejrzewam, że Michaił kłamał, żeby mi jeszcze bardziej dokuczyć. Żeby doprowadzić mnie do szaleństwa. Potem powiedział, że skoro i tak mam umrzeć, to zdradzi mi pewną tajemnicę. Hiena nigdy nie został złapany, bo nie jest taki jak reszta. On stoi ponad wszystkim. Ponad prawem.

Hiena to G.L.I.N.I.A.R.Z”.

Thomas zwinął zeszyt i wsadził go do kieszeni.

— Wszystko w porządku, szefie? — zaniepokoił się taksówkarz. — Wygląda pan, jakby zobaczył pan ducha.

Thomas nie odpowiedział, tylko szybko wysiadł z wozu. Stojący obok policjanci obrzucili go przelotnym spojrzeniem. Minął ich i ruszył w stronę dwuskrzydłowych drzwi pod numerem piątym. Michaił na pewno ją okłamał. Naopowiadał bzdur. Tylko dlaczego miałyby to robić? Co by z tego miał? Z drugiej strony pozostawało faktem, że nieznany morderca od pięciu lat bezkarnie grasował w sztokholmskim półświatku. W tej sprawie nikt nigdy nie został zatrzymany, nikomu nie postawiono żadnych zarzutów. Faktem było też, że chociaż Slavros popełniał liczne przestępstwa, nie tylko w Arizonie, pozostawał poza zasięgiem prawa. Jeśli więc Michaił mówił prawdę — kto to mógł być? Jak głęboko sięgała ta sprawa?

Thomas ruszył na górę po szerokich schodach. Z pierwszego piętra dobiegały wesołe śmiechy i gwar rozmów. Nagle pomyślał, że jeszcze poprzedniego wieczoru Masza żyła. Chodził nad jej celą. I wtedy zaczęła kiełkować w nim nadzieja. Może nadal żyje? Może nie jest jeszcze za późno?

Wszedł na piętro, szklane drzwi do biura Związku Policjantów były otwarte. W środku stało około dwudziestu funkcjonariuszy i rozmawiało ze sobą, podczas gdy kelnerki sprzątały ze stołów. Od stolika w głębi lokalu dochodziły głośne krzyki. Sześciu funkcjonariuszy w średnim wieku próbowało wznieść toast, stukając się kieliszkami do koniaku. Przed nimi stały dwie puste karafki.

Thomas zaczął się rozglądać za Karlem. Pokój był niewielki, wąski, przystrojony żółtymi i niebieskimi flagami. Zwrócił się do funkcjonariuszy stojących przy drzwiach.

— Luger? Widziałem go, ale już jakiś czas temu.

— Nie sędzę, żeby wrócił do domu. Musi tu gdzieś być — dodał jego kolega.

Thomas podziękował i ruszył dalej w głąb lokalu. Zwrócił uwagę na oprawione w ramki zdjęcia, zdobiące jedną ze ścian. Uwieczniono na nich różne ważne chwile z życia szwedzkiej policji. Letnie wycieczki, jubileusze. Na jednej fotografii zobaczył Karla Lugera. Policjant w koszuli z krótkimi rękawami stał przed chatą myśliwską w grupie poważnie wyglądających mężczyzn. Napis na tabliczce pod zdjęciem głosił: „Zarząd Szwedzkiego Związku Policjantów, anno Domini 2007”.

— Do licha, Jönsson, ty wpuściłeś tu miejscowych? — zawołał potężnie zbudowany policjant, który podszedł do Thomasa i chwycił go za ramię.

Funkcjonariusze zebrani wokół stołu spojrzeli na niego i roześmiali się.

— Wygląda jak ci z wydziału narkotyków — rzucił jeden z mężczyzn, czerwony na twarzy. — Ivar, schowaj towar! — roześmiał się.

Koledzy mu zawtórowali.

— Wypijesz z nami? — spytał policjant, który stał za Thomasem, wymachując nieotwartą jeszcze butelką koniaku.

Na twarzy Duńczyka pojawił się nieco wymuszony uśmiech.

— Dziękuję, ale szukam Karla Lugera. Nie widzieliście go?

— Pewnie zniknął razem ze striptizerkami — zawołał Jönsson.

Mężczyźni wokół stołu wybuchnęli gromkim śmiechem.

— Niestety nie — odpowiedział policjant trzymający w ręku butelkę koniaku i ruszył w stronę kolegów.

Thomas wyminął stół i podszedł do drzwi prowadzących do ostatniego gabinetu. Były uchylone. Pchnął je i zajrzał do środka. Niewielki pokój został zamieniony w szatnię. Na biurku leżały płaszcze, poza tym pokój był pusty. Gdzieś z podwórka dobiegły jakieś głosy. Przeszedł przez pokój i podszedł do okna. Spojrzał na spory kolisty dziedziniec, czy raczej plac, na którym kilku mężczyzn stało i rozmawiało. Było za ciemno, żeby mógł dostrzec ich twarze. Szybko się odwrócił i przez pokoje ruszył z powrotem do schodów. Zszedł na dół do holu i wyszedł tylnymi drzwiami. Poczul na twarzy zimne nocne powietrze. Wysoko sklepione arkady i centralne położenie sprawiły, że Brantingtorget przypominało mu nieco wewnętrzną rotundę w budynku kopenhaskiej Komendy Głównej. Wokół panowała cisza. Ktokolwiek przed chwilą tu był, musiał już opuścić to miejsce którymś z licznych wąskich pasażów łączących plac z okolicznymi ulicami. Nagle na środku placu zauważył fontannę. Na centralnie umieszczonym podwyższeniu klęczała naga, szczupła kobieta. Podszedł powoli do jasnej postaci, wybijającej się z mroku. Wyprostowana kobieta z włosami do ramion patrzyła przed siebie. Podobieństwo między posągami a zdjęciami zamordowanych i pobielonych wapnem kobiet było uderzające. Jakby sprawca wręcz prześcignął pierwowzór.

Jego drugi dom, powiedziała Susan — przypomniał sobie Thomas. Odwrócił się w stronę rozświetlonych pokoi na pierwszym piętrze budynku, gdzie w kilku oknach stali funkcjonariusze i rozmawiali. Czy Karl siedział tam gdzieś i przez te wszystkie lata przyglądał się kobiecie na dziedzińcu? Czy stała się ona jego obsesją? Ideałem, który pragnął odtworzyć? Odrzucił tę myśl, wydała mu się zbyt fantastyczna.

Ruszył wąskim pasażem, który wyprowadził go na Myntgatan.

— To nie ty szukałeś komisarza Lugera?

Thomas odwrócił się i zobaczył mężczyznę wychodzącego z foyer. Rozpoznał go, spotkali się przy drzwiach na pierwszym piętrze.

— Tak, jest tu gdzieś?

— Musieliście się minąć. Właśnie odjechał do domu.

Funkcjonariusz skinął Thomasowi głową na pożegnanie i ruszył ulicą w stronę parkingu. Thomas zaczął się rozglądać za taksówką. Musi skontaktować się z Karlem. Jeszcze dzisiaj. Nawet jeśli przyjdzie mu wyciągnąć go z łóżka.

58.

Thomas czekał zaledwie pięć minut, które w tej sytuacji wydały mu się wiecznością. W końcu nadjechała taksówka. Rzucił się na jezdnię przed innymi i wskoczył na przednie siedzenie.

— Dokąd? — zawołał śniady taksówkarz, próbując przekrzyczeć głośną hiphopową muzykę, dudniącą w głośnikach.

— Powiem ci, jak wyłączysz ten hałas — odparł Thomas i zaczął szukać w komórce adresu Karla.

Młody chłopak roześmiał się i przyciszył nieco muzykę.

— Za głośno, dziadku?

— Ugglemossvägen 5.

— W Mälarhöjden? U snobów?

— Nie wiem, czy u snobów, ale muszę tam dotrzeć jak najszybciej.

— To znaczy?

Thomas wyjął portfel; zobaczył, że zostało mu jeszcze osiemset koron w gotówce. Dał chłopakowi sześćset.

— Zapnij pasy, dziadku!

Chłopak wcisnął pedał gazu i taksówka gwałtownie przyspieszyła.

Ruch na obwodnicy w stronę Mälarhöjden był wyjątkowo duży. Można było odnieść wrażenie, że z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu wszyscy mieszkańcy Sztokholmu postanowili nagle opuścić centrum miasta. To jednak nie przeszkadzało kierowcy bez przerwy zmieniać pasy i pędzić sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Thomas mimowolnie zapierał się nogami i ścisnął pas. Pomyślał, że słynny rajdowiec formuły jeden, Ronnie Peterson, najwyraźniej miał w Szwecji godnych naśladowców. Taksówkarz obserwował go w lusterku.

— Ten pas na niewiele ci się przyda, jeśli się rozbijemy — uśmiechnął się. — Jesteś pewien, że twoje serce to wytrzyma, dziadku?

— Jeśli skupisz się na jeździe, to wszystko będzie dobrze.

— Wszystko jest pod kontrolą. Dla mnie to pestka. Spokojna przejażdżka.

Znów wcisnął pedał gazu, przyspieszył i zmienił pas na wewnętrzny, omijając zdumionych kierowców na środkowym.

Dziewięć i pół minuty później byli już w Mälarhöjden, po chwili skręcili w Ugglemossvägen.

— Który to numer? — spytał kierowca, przyglądając się mijanym willom.

— Piątka.

— Szlag, dopiero minęliśmy numer dziewięćdziesiąt. To długa ulica, dziadku.

Chłopak znów przyspieszył. Jechali ciemną ulicą, mijając kolejne wille za niskimi, białymi płotami, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Po kilku minutach jazdy zobaczyli przed sobą czerwone światła samochodu. Starego czarnego mercedesa, zauważył Thomas ze zdziwieniem.

— Czy to może być model z lat siedemdziesiątych? — spytał taksówkarza.

— Tak, to stary SEL. Mój szwagier miał taki. Z silnikiem V8. Nie do zdarcia.

Kierowca włączył kierunkowskaz, żeby wyprzedzić mercedesa.

— Jedźmy za nim — poprosił Thomas.

— Myślałem, że się spieszysz — powiedział chłopak i niechętnie ruszył za mercedesem.
— Już nie.

Thomas zaczął pocierać zarost. Jadący przed nimi samochód odpowiadał opisowi Maszy. Wydawało się to dość absurdalne, niemniej tak właśnie było. Wychylił się do przodu, usiłując dojrzeć, kto siedzi za kierownicą mercedesa, ale dymna tylna szyba chroniła przed spojrzzeniami z zewnątrz. Zanotował więc tylko numery rejestracyjne.

— Dajmy mu trochę odjechać.

— Znasz faceta? — spytał taksówkarz.

— Niewykluczone. Gdzie jesteśmy?

Chłopak wyrzwał przez boczną szybę.

— Minęliśmy właśnie numer pięćdziesiąt dwa. Nie chcesz, żeby cię zobaczył?

— Dobrze myślisz.

— Jasne, w porzo — uśmiechnął się chłopak.

Zdjął nogę z gazu i pozwolił czarnemu mercedesowi nieco się oddalić. Jakby złapali rybę na haczyk i nagle poluzowali linkę, pomyślał Thomas.

Kiedy zaczęli się zbliżać do ostatnich domów na ulicy, zobaczyli nagle, jak czerwone światła stopu rozświetlają ciemność przed nimi.

— Zatrzymaj się.

Taksówkarz wykonał polecenie.

— Wyłącz światła.

— Jest ci winien forszę?

Thomas uniósł dłoń, dając mu do zrozumienia, żeby przestał go zagadywać. Duży mercedes zatrzymał się dokładnie przed domem Karla. A to mogło oznaczać tylko jedno: Hieną był Karl Luger. Jako szef policji miał możliwości, żeby wstrzymywać dochodzenie. A jeśli chodziło o motyw, to cóż, psychopaci są wszędzie, więc dlaczego miałoby ich nie być w tej podmiejskiej dzielnicy? Thomas był pewien, że tak właśnie jest. Nerwowo przeciągnął palcami przez włosy. Zastanawiał się, do kogo się z tym zwrócić. Z kim się podzielić swoją wiedzą. No i czy jest szansa, że Masza jeszcze żyje.

— Wyglądasz na zestresowanego, dziadku. Wszystko w porządku?

Thomas pokiwał głową.

— Tak, jak najbardziej.

— Nie chciałbym zostać wplątany w jakąś awanturę. Rozumiemy się?

— Jasne, żadnej awantury.

W tym momencie drzwi od strony pasażera się otworzyły i z mercedesa wytoczył się pijany funkcjonariusz w mundurze. Odwrócił się i trzasnął drzwiami.

— Rany boskie, ululany glina — roześmiał się taksówkarz.

Thomas rozpoznał mężczyznę. W kręgu światła padającego z latarni stał Karl. Pomachał kierowcy mercedesa, który lekko zatrąbił, po czym niepewnym krokiem ruszył przez ogród ścieżką prowadzącą do drzwi domu. Kierowca mercedesa dodał gazu i samochód odjechał.

Nie było czasu do stracenia.

— Za nim! — zawołał Thomas.

— Przestraszyłeś mnie, dziadku. O co tu chodzi?

Thomas rozpiął kurtkę, wyciągnął policyjną legitymację i pokazał taksówkarzowi.

— *Wallah* — rzucił chłopak i rozłożył bezradnie ręce. — Czy ja dobrze rozumiem, że właśnie pomagam gliniarzom? Ukamienują mnie, jeśli to się wyda.

— Stawką jest ludzkie życie.

Na taksówkarzu nie zrobiło to najwyraźniej większego wrażenia, bo obojętnie wzruszył

ramionami.

— Widziałem, że zostały ci jeszcze dwie stówki w portfelu. Przyznaję, że byłbym nimi zainteresowany.

— Są twoje. Jedź!

Taksówkarz skinął głową i ruszył za czarnym mercedesem.

59.

Przez dobre dziesięć minut jechali przez Mälärhöjden w pewnej odległości za czarnym mercedesem. Im bliżej wybrzeża, tym wille stawały się większe, a parkujące przed nimi samochody — bardziej eleganckie.

— Gdzie on się podział, do diabła? — jęknął Thomas.

Skręcili i nagle samochód zniknął im z pola widzenia.

Taksówkarz pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia. Skręcić w tę boczną drogę? — spytał, wskazując ciemną ulicę nieco dalej w głąbi.

— Nie, jedź jeszcze kawałek prosto.

Przejechali kilkaset metrów, do następnego skrzyżowania.

— Skręć tutaj — powiedział Thomas.

Taksówkarz zrobił to, o co prosił.

Kiedy dotarli niemal do końca ślepej uliczki, na podjeździe przed jednym z domów z czerwonej cegły Thomas dostrzegł czarnego mercedesa. Dom był ogromny, z dużymi drzwiami wejściowymi z litego drewna, z czarnymi nitami i żeliwnymi okuciami. Sprawiały wrażenie, jakby przeniesiono je tu ze średniowiecznego zamku. W tym momencie zatrzeszczało radio, centrala próbowała połączyć się z taksówkarzem. Głośny dźwięk go przestraszył. Ściszył radio.

— Wsiadasz?

Thomas dał mu dwieście koron i otworzył drzwi.

— Zaczekasz na mnie? — spytał, wysiadając z samochodu.

— Mam klientów, dziadku. Ale życzę ci powodzenia.

Taksówkarz wyciągnął rękę i zatrzasnął drzwi, zanim Thomas zdążył zaprotestować. Posłał mu przepaszające spojrzenie i odjechał. Kiedy taksówka zniknęła w ciemnościach, na pustej ulicy zapanowała cisza. Thomas spojrzął na ciemne okna domu i nagle poczuł zapach morza. Podeszedłszy do stojącego na podjeździe mercedesa, zajrzał do środka przez boczną szybę. Na miejscu pasażera leżała czapka z daszkiem, ale właściciela nie było. Zbliżył się do zielonej skrzynki na listy, umieszczonej na furtce, i zaczął się rozglądać za tabliczką z nazwiskiem, ale jej nie zauważył. Włożył rękę przez szparę, żeby sprawdzić, czy może w środku jest jakaś poczta. W ten sposób dowiedziałby się, kto tu mieszka. Jednak skrzynka była pusta. Ruszył w stronę drzwi. Na nich też nie było tabliczki z nazwiskiem. Dotknąwszy ostrożnie klamki, stwierdził, że drzwi są zamknięte. Zawrócił, przeszedł przez pokryty śniegiem trawnik i okrążył dom. Ogród przypominał raczej park i ciągnął się aż do brzegu jeziora, gdzie znajdowała się niewielka szopa na łódzie. Stamtąd rozpościerał się widok na Mälaren, w dali widać było światła statków. Ktokolwiek tu mieszkał, musiał sporo zapłacić za taki widok. Thomas odwrócił się i spojrzął na okna na piętrze. Wszystkie miały opuszczone rolety, ale w jednym paliło się światło. Skierował się w stronę domu. Mijając kuchnię, zauważył, że jedno okno jest uchylone. Znalazł w kieszeni długopis, wcisnął go między ramę a skrzydło okna. Po kilku próbach udało mu się podważyć haczyk. Podciągnął się do góry, przecisnął przez wąski otwór i znalazł się na szerokim blacie kuchennym. Zeskoczył na klinkierową podłogę; leżał chwilę bez ruchu, nasłuchując odgłosów z wnętrza domu. Cisza. Podniósł się powoli i rozejrzał po dużej kuchni z aneksem jadalnym. Na dużym, masywnym dębowym stole leżała marynarka od munduru, obok policyjna czapka. Przeszukał kieszenie kurtki, ale nic w nich nie znalazł. Wyszedł do holu. Jedna ściana była zawieszona niewielkimi białymi porożami jeleni. Podeszedł do pierwszych drzwi; okazało się, że

prowadzą do dwóch ogromnych pokoi, które łączyły się ze sobą. W dużym salonie było przeraźliwie zimno, chociaż z otwartego kominka, nad którym wisiało ogromne poroże, dochodził zapach sadzy. W ciemnościach widać było zarysy antycznych mebli. Ludwik XVI. Duży zegar, stojący w rogu pokoju, tykał smutno. Thomas podszedł do niskiego regału, na którym stały fotografie oprawione w srebrne ramki. Czarno-białe portrety rodzinne. Zdjęcie ślubne, mężczyzna w mundurze, małżeństwo z małym chłopcem obok czarnego mercedesa. Thomas wziął je do ręki i zaczął się przyglądać mężczyźnie. Nie rozpoznawał go. Odstawił zdjęcie i wrócił do holu. Usłyszał cichą muzykę dochodzącą z pierwszego piętra. Jakby dźwięki starego dzingla. Ruszył ostrożnie po schodach pokrytych grubym welurowym dywanem. Kiedy dotarł do podestu, zauważył niebieską smugę światła wydostającą się spod drzwi w głębi korytarza. Podszedł bliżej i uchylił je lekko. Zobaczył starszego mężczyznę w okularach o grubych szklach, siedzącego w fotelu przed telewizorem. Obok, na małym stoliku, stała szklanka mleka. Od czasu do czasu mężczyzna maczał w nim herbatnika. Thomas rozpoznał go ze zdjęcia na dole. Starszy pan jeszcze go nie zauważył. Thomas zaczął się obawiać, czy nie dostanie zawału, kiedy w końcu go dostrzeże. Cofnął się do progu, wyjął swoją legitymację i zapukał do drzwi. Uśmiechnął się. Po jakimś czasie mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał na niego. Przyglądał mu się chwilę obojętnie, po czym znów wbił wzrok w ekran telewizora. Zamoczył herbatnika w mleku, odgryzł kawałek. Thomas wszedł do pokoju i spojrzał na telewizor, w którym leciał stary czarno-biały western.

— Co oglądasz? — spytał.

Mężczyzna skończył jeść herbatnika.

— Hopalong... Cassidy, odcinek szósty.

— Jak się nazywasz?

— Hopalong... Cassidy, odcinek szósty.

Thomas skinął głową.

— Ktoś jeszcze jest w domu?

— Hopalong... Cassidy...

— Odcinek szósty. Tak, wiem — wszedł mu w słowo Thomas. Poklepał mężczyznę po ramieniu.

Wyszedł z pokoju i sprawdził pozostałe pomieszczenia. Nie znalazł w nich nikogo. Ktokolwiek zostawił w kuchni marynarkę od munduru i podgrzał starszemu panu mleko, najwyraźniej wyszedł już z domu.

Thomas przyglądał się małej wypchanej wiewiórce, która stała na komódce w holu. Trzymała w łapce żołędź, wyglądała, jakby go jadła. Skojarzyła mu się z kobietami na wysypisku ze zdjęć, które niedawno pokazał mu Karl. Zastanawiał się, czy nie powinien przeszukać szopy na łódź, którą widział wcześniej w ogrodzie, kiedy nagle doszedł go dziwny chrzęst, jakby szczykanie metalu o metal. Dobywał się gdzieś z dołu, spod podłogi. Thomas szybko przeszukał hol w poszukiwaniu drzwi do piwnicy. Nie znalazł ich, wrócił do kuchni. Dźwięk był tu głośniejszy, więc postanowił sprawdzić jeszcze w spiżarni. Zajrzał do środka; zobaczył strome, wąskie schody prowadzące w dół, skąd dochodziła smuga bladego światła. Postanowił zejść i sprawdzić.

Obszedł dookoła dużą cynową wannę, wypełnioną jakimś płynem, i wszedł do piwnicy.

W pomieszczeniu unosił się ostry zapach formaldehydu, z trudem oddychał. Podłużna piwnica zastawiona była regałami, na półkach stały zakurzone szklane kolby, a obok nich wypchane ptaki i najróżniejsze zwierzęta. W głębi zobaczył postać mężczyzny w białym kitlu. Stał odwrócony do niego plecami i poprawiał coś przy stelażu z kołowrotkiem.

Kiedy Thomas podszedł bliżej, zobaczył, że mężczyzna nie jest sam. Na ławie, opartej o ścianę, leżała naga, chuda dziewczyna, przypięta do niej szerokimi skórzanymi rzemieniami. Thomas rozejrzał się szybko za czymś, czym ewentualnie mógłby się bronić, gdyby mężczyzna go zaatakował. Na półce obok zobaczył śrubokręt. Wziął go i ruszył dalej. Kiedy był już bardzo blisko mężczyzny, zatrzymał się i schował za regałem. Przypięta do ławy dziewczyna nie przypominała tej ze zdjęcia, które dała mu Nadia, nie miał jednak wątpliwości, że to Masza. Zauważył strzykawkę w jej pachwinie. Była połączona gumowym węzłem z aparatem umieszczonym tuż obok, na niewielkim stoliku na kółkach. Pod stolikiem stały kolby i pojemniki z różnymi płynami. Nagle mężczyzna się odwrócił i Thomas instynktownie schował się za regał.

— Wiążę z tobą duże nadzieje — zwrócił się mężczyzna do dziewczyny.

Miał lekko świszczący oddech, usta i większą część twarzy zasłaniała maseczka z filtrem.

— Pozwól mi po prostu umrzeć, do diabła — doszły do niego ledwie słyszalne słowa

Maszy.

— To mi się podoba — odpowiedział mężczyzna, zadowolony. — Tamte jęczały, płakały. Mam wrażenie, że to też wpływa na przebieg procesu. Negatywne nastawienie mu nie służy.

— Więc dlaczego mimo to się na to zdecydowałeś?

— Nie należy niszczyć dobrego szkicu. Wtedy człowiek niczego się nie uczy. Nawet jeśli błędy, które popełniamy, są bolesne, trzeba je przyjąć.

— Jesteś chory.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Jestem oddany temu, co robię. Tak to chyba należy określić. Świadomy celu i zaangażowany w jego realizację.

— W realizację czego?

— Mojego życiowego projektu. Mój drogi ojciec — mężczyzna wskazał ręką na górę — był prawdziwym mistrzem konserwacji. Tak przynajmniej uważałem, kiedy byłem dzieckiem. Nauczył mnie preparować trofea myśliwskie, swoje i kolegów. Nie potrafię zliczyć, ile wypchałem bażantów i innych ptaków. I nie tylko. To było wielkie hobby mojego ojca. Zawsze mi powtarzał, że tylko tu, w piwnicy, naprawdę odpoczywa. Tylko tu zapomina o swoich zmartwieniach. I muszę przyznać mu rację. Tu rzeczywiście panuje niezwykły spokój.

Mężczyzna sprawdził coś na wyświetlaczu aparatu i wstukał jakieś dane.

— Kiedy dorosłem i nabyłem więcej doświadczenia, doszedłem do wniosku, że ojciec jest zwykłym amatorem. Bardzo zdolnym, ale amatorem. Zdarzało mu się popełniać różne błędy. Nie zawsze przykładał się tak, jak powinien. Może trudno ci to zrozumieć, ale był to dla mnie ogromny zawód. Mój idol okazał się nie tak idealny, jak sądziłem. Ale to on nauczył mnie podstaw rzemiosła i za to będę mu zawsze wdzięczny.

Mężczyzna schylił się i zmniejszył płomień gazu pod jedną z kolb.

— Potrafisz malować ciała?

— Skarbie... — pokręcił głową. — Traktujesz mnie jak pracownika zakładu pogrzebowego.

— Niesłusznie? — spytała dziewczyna i zmęczona zamknęła oczy.

— Oczywiście, że niesłusznie. Pracownik zakładu pogrzebowego ma sprawić, żeby zmarły wyglądał jak najlepiej. Stworzyć iluzję, że śmierć jest piękna. Oddalić myśli rodziny od

procesów gnilnych zachodzących w ciele zmarłego. Ja natomiast próbuję uchwycić życie. Stworzyć ciało doskonałe. Chcę, by kobiety wyglądały jak żywe. I żeby przetrwały w tym stanie następne tysiąc lat, bez żadnych oznak starości. Żeby stały się symbolem wszystkiego, co żyje.

— Dlaczego wybrałeś mnie? Nie jestem piękna ani...

— Każdy artysta potrzebuje wprawek, zanim zaczniesz pracę nad dziełem swojego życia — przerwał jej mężczyzna. — Na szczęście zawsze miałem na kim ćwiczyć. Ty jesteś jedną z tych, na których mogę wypróbować opracowane przeze mnie techniki. Wiesz, że im niższe BMI, tym lepiej działa chlorek w moim roztworze?

Mężczyzna uśmiechnął się i wskazał ręką na jedną z kolb.

— Poza tym regularne przyjmowanie morfiny i substancji pochodnych ma działanie konserwujące. Niestety, hormon stresu, który aktywizuje się, gdy dochodzi do odstawienia narkotyków, źle wpływa na przebieg procesu. Tak więc ciągle stają przede mną nowe wyzwania. Dawniej, kiedy ludzie jedli mniej śmieciowego jedzenia i używali mniej lekarstw, było łatwiej. Sto lat temu specjaliści od balsamowania nie borykali się z takimi problemami, z jakimi ja dzisiaj mam do czynienia.

Mężczyzna pokręcił głową, następnie wyjął z kieszeni niewielką probówkę, zdjął pokrywkę i wlał znajdujący się w niej płyn do jednej z kolb. Roztwór zmienił kolor, z przezroczystego zrobił się zielony. Szybko zamknął probówkę.

— Jeśli tym razem mi się uda, obiecuję, że nie tylko zachowam twoje ciało, ale umieszczę je na honorowym miejscu. — Mężczyzna wskazał ręką na półkę z wypchanymi zwierzętami. — Nie zdejmę z ciebie skóry i nie wypcham jej, tylko cię zakonserwuję.

— Chrzań się — wymamrotała Masza.

Mężczyzna podszedł do niej. Zdjął z twarzy maskę i otarł krople potu z pełnych warg i z brody. Thomas przyglądał mu się, schowany za stertą skrzynek. Rozpoznał go. To był Lindgren, asystent Karla, jego prawa ręka, najbardziej zaufany współpracownik. To Lindgren był Hieną. Od lat prowadził dochodzenia w sprawach zabójstw, których sam był sprawcą. Chronił go stanowisko, które piastował, niekompetencja szefa i organizacja Slavrosa. Nie musiał się niczego obawiać.

— Nie ma powodu, żebyś używała wulgaryzmów — powiedział Lindgren, pieszcząc piersi Maszy dłonią w gumowej rękawiczce. — Wcale nie jesteś taka brzydka. Kiedyś musiałaś być piękna. To widać. Mężczyźni pewnie tracili dla ciebie głowy. Wy, kobiety, to potraficie. Sprawiacie, że was ubóstwiamy, a potem wysysacie z nas soki, by zaspokoić swoje żądze. Pod tym względem jesteście wszystkie takie same. Prostackie — dodał, gładząc jej włosy. — Dlatego najpiękniejsze, najbardziej doskonałe jesteście po śmierci. Żegnaj, skarbie.

Lindgren odwrócił się, spojrzął na aparaturę i wyciągnął rękę w stronę zielonego przycisku.

Thomas ścisnął śrubokręt. Stał zbyt daleko, żeby dosięgnąć Lindgrena, żeby go powstrzymać. Rzucił więc śrubokręt w kąt piwnicy, trafiając w cynową wannę. Rozległ się głośny brzdęk. Lindgren się odwrócił.

— To ty, tato?

Ponieważ nie usłyszał odpowiedzi, zaczął iść w stronę regału.

— Tato? Wiesz, że nie wolno ci tu schodzić — rzucił w powietrze.

Thomas prześlizgnął się obok półek i podszedł do Maszy. Spojrzała na niego z niepokojem, ale nie odezwała się. Wyjął strzykawkę tkwiącą w jej pachwinie. Nagle poczuł uderzenie w tył głowy. Zobaczył pochylającego się nad nim Lindgrena.

— Do licha, czy to nie nasz gość z Danii? Nigdy się od nas nie odczepisz?

Kopnął Thomasa w brzuch, zrzucił biały fartuch i sięgnął po pistolet, który miał

w kaburze przy pasku.

— Powinieneś być zostać w domu. Nie rozumiesz, że wszystko psujesz? Zakłócasz proces.

Lindgren wyjął pistolet i odbezpieczył go. Nagle wzrok Thomasa padł na leżącą na podłodze strzykawkę. Rzucił się do przodu, chwycił ją i szybkim, precyzyjnym ruchem umieścił w udzie Lindgrena. Mężczyzna zawył, zrobił kilka kroków do tyłu, Thomas zaś podniósł się z podłogi i dotknął ręką przycisku na klawiaturze aparatu. Pompka natychmiast się uruchomiła, gumowym węzłem popłynęła do strzykawki zielona substancja. Lindgren strzelił. Kula trafiła w podłogę, odbiła się od niej rykoszetem. Kiedy ciecz dotarła do jego ciała, mężczyzna zawył z bólu. Ponownie wycelował w Thomasa i wystrzelił. Tym razem kula trafiła w stojące na półkach kolby — szkło rozsypało się na kawałki — odbiła się rykoszetem od regału i przedziurawiła cynową balię. Z dziury zaczęła wyciekać biała ciecz. Lindgren osunął się na podłogę. Oczy zaszyły mu krwią, pistolet wypadł z dłoni, w kącikach ust pokazała się piana. Próbował wyjąć strzykawkę z uda, ale nie był w stanie powstrzymać drżenia ręki. W końcu przewrócił się, upadł i leżał nieruchomo na podłodze. Thomas wstał. Poluzował rzemienie, którymi Masza była przywiązana do ławy. Zdjął kurtkę i okrył nią dziewczynę.

— Dasz radę iść?

Skinęła głową, słyszał, jak szcękają jej zęby.

— Kim jesteś?

— Mam na imię Thomas. Znam twoją matkę. Poprosiła mnie, żebym cię odszukał.

— Tak?

Skinął głową.

— On... nie żyje?

Thomas schylił się i chwilę przyglądał się ciału. Twarz mężczyzny zrobiła się żółta, usta zastygły w niemym krzyku.

— Nie żyje.

— Był gliniarzem?

Thomas skinął głową i sięgnął po komórkę.

— Do kogo dzwonisz?

— Po karetkę.

— Nie — Masza pokręciła głową. — Chcę do domu.

— Najpierw musi cię obejrzeć lekarz.

— Nic mi nie jest. Nie możemy po prostu stąd wyjść?

— Prawdę mówiąc, nie wyglądasz jak okaz zdrowia.

— Ty też nie.

— Potrzebujesz pomocy. Poza tym jestem pewien, że policja będzie chciała zamienić z tobą kilka słów.

Masza gwałtownie pokręciła głową.

— Nie chcę rozmawiać z gliniarzami.

— Nie chcesz zaskarżyć Slavrosa?

— I co to komu da? Slavros jest nietykalny.

Thomas wzruszył ramionami.

— A co z tamtymi dziewczynami? Tymi w piwnicy?

— Sama nie wiem... — Masza zaczęła się trząść i rozplakała się. — Nie możesz po prostu odwieźć mnie do domu?

— Jak chcesz — poddał się Thomas.

— Dziękuję.

Położył jej rękę na ramieniu. Masza cofnęła się, jakby jego dotyk sprawił jej przykrość.
— Jak mnie tu znalazłeś? — spytała po chwili.
Thomas wyjął zeszyt.
— Przeczytałem twój pamiętnik.

60.

Ostre zimowe słońce wisiało nisko między drzewami, jego rozedrgane białe promienie oświetlały stojącego przy drodze starego czarnego mercedesa. Masza siedziała na siedzeniu pasażera, nogi miała oparte o przednią szybę, głowę położyła na ramieniu Thomasa. W piwnicy znaleźli jej torbę z jasnoniebieskim dressem, który miała teraz na sobie. W wielkim skórzanym fotelu wydawała się mała i krucha. Gdy tylko wróca bezpiecznie do Danii, będzie musiał przypilnować, żeby obejrzał ją lekarz. Jeśli nie uda mu się do tego przekonać Maszy, poprosi o to jej matkę. Mieli już za sobą dobre trzysta kilometrów drogi, ale co najmniej drugie tyle dzieliło ich od Christianshavn. Thomas spojrzął na zegarek. Było wpół do siódmej. Zapewne minie jeszcze kilka godzin, zanim Karl Luger się obudzi i dojdzie do siebie. Wtedy zapewne do niego oddzwoni. Thomas nie zamierzał jednak z nim rozmawiać, zanim nie przekroczą mostu na Sundzie i nie poczują się bezpieczni. Był pewien, że kiedy Karl w końcu zrozumie, co się wydarzyło, poruszy niebo i ziemię, żeby się z nimi skontaktować. Piwnica Lindgrena będzie prawdziwą uczną dla wydziału technicznego szwedzkiej policji. Thomas był przekonany, że wystarczy ułamek sekundy, aby technicy potwierdzili, kto stał za zabójstwami kobiet. Demencja ojca Lindgrena była w tej sytuacji błogosławieństwem. Thomas podejrzewał, że starszy pan skończy w miejscowym domu opieki, szczęśliwie nieświadomy tego, co się wydarzyło. Nie był natomiast pewien, jak Karl poradzi sobie z burzą, która z pewnością lada moment się rozpęta. Jego szefowie, politycy i wszystkie media rzucają się na niego, kiedy się okaże, że najbardziej poszukiwany w ostatnich latach zabójca krył się w szeregach policji. Thomas miał nadzieję, że wczorajsze przyjęcie w siedzibie Związku Policjantów było na tyle udane, że Luger będzie miał co wspominać. W najbliższej przyszłości będą to zapewne jego jedyne miłe wspomnienia.

61.

Eduardo wpadł do Wydry razem z młodą, ciemnowłosą dziewczyną, której elegancko przytrzymał drzwi. Oboje byli przemoczeni do suchej nitki.

W środku przy barze siedzieli już Thomas i Victoria, on pił piwo, ona wermut. Møffe, który leżał pod krzesłem Thomasa, zamerdał radośnie.

— Johnson?! — zawołał Eduardo, zdejmując zaparowane okulary.

Po chwili z zaplecza wyszedł Johnson.

— Masz może jakiś ręcznik? Dla mnie i dla *señority*?

— Myślisz, że prowadzę tu spa? — zripostował Johnson, ale schylił się, wyjął z szuflady kilka czystych ścierek i rzucił mu je.

— *Gracias* — wymamrotał Eduardo pod nosem, łapiąc w powietrzu ściereki.

Zaczął się wycierać; Møffe zamruczał niezadowolony, kiedy poczuł na sobie krople wody. Schował się głębiej pod krzesło.

Eduardo zamówił dwa piwa, rozpiął kurtkę i wyjął cały plik szwedzkich gazet, które rzucił na ladę baru.

— Gdzie je znalazłeś?

— Kupiłem. W domu towarowym Magasin, na Kongens Nytorv. Właśnie stamtąd wracamy.

— Nie sądziłem, że taki stary komunista jak ty robi zakupy w takich miejscach

— zażartował Johnson.

— Dla mojego przyjaciela gotów jestem zrobić wszystko — oświadczył Eduardo, klepiąc Thomasa po ramieniu.

Johnson sięgnął po leżący na wierzchu egzemplarz „Expressen”. Na pierwszej stronie widniało duże zdjęcie Erika Lindgrena, na którym wydrukowano czerwonymi literami: „Policjant psychopata”. Pierwsze strony pozostałych gazet były równie dramatyczne.

— Cała Szwecja wrze. Dziwię się tylko, że nikt nie wspomina o tobie — powiedział Eduardo, niemal oburzony.

— A przecież to Thomas go zdemaskował — dodała Victoria. — Co tam piszą?

— Że policja próbuje ustalić przyczynę zgonu — odparł Eduardo.

— Co nie powinno być szczególnie trudne, skoro zostawiłem Lindgrena ze strzykawką wbitą w udo.

Johnson podniósł głowę znad gazety.

— Piszą, że do wykrycia sprawcy doszło przy pomocy duńskiej policji.

— Ravn, właśnie przygotowujemy w redakcji serię artykułów o tej sprawie... — zaczął Eduardo i spojrzał na Thomasa. — Pomyślałem, że mógłbyś naświetlić ją ze swojego...

— Dziękuję, ale nie — przerwał mu Thomas. — Nie chcę, żeby pisano o mnie w gazetach.

Eduardo włożył okulary, które jednak nadal były zaparowane.

— Ludzie mają prawo poznać prawdę. To przecież wyłącznie twoja zasługa.

— Prawdę mówiąc, niewiele mnie obchodzi, do czego ludzie mają prawo.

— Daj spokój, Ravn. Nie przesadzaj z tą skromnością — odezwała się Victoria.

— Chciałabym chociaż raz przeczytać o tym, że pokazaliśmy Szwedom, jak należy załatwiać

sprawy.

— Najważniejsze, że Masza wróciła do domu. Dla mnie na tym sprawa się kończy — oświadczył Thomas i podniósł szklankę, jakby zamierzał wznieść toast.

— A jak ona się czuje? — spytał Johnson. — Nadia jest teraz nieuchwytna.

— Jest w szpitalu na obserwacji. Robią jej wszystkie możliwe badania. Ale jest dobrej myśli. Pielęgniarki bardzo o nią dbają.

— Trudno mi uwierzyć, że będzie w stanie jakoś się po tym wszystkim pozbierać.

— Ja byłabym megaprzerazona, gdybym spotkała takiego psychola — stwierdziła ciemnowłosa piękność.

— Ty w ogóle wyglądasz na lekko przerażoną — oświadczyła Victoria chłodno, wydmuchując dym z papierosa.

— Masza mówiła ci coś... o tym...? — spytał Johnson.

Thomas pokręcił głową.

— Nie. Mam wrażenie, że chciałaby o tym wszystkim jak najszybciej zapomnieć.

— To chyba zrozumiałe — skwitował Johnson. Odłożył gazetę, sięgnął po filiżankę i wypił łyk kawy. — Tak czy inaczej, dobrze się spisalesz, Ravn.

Thomas wzruszył ramionami.

— Po prostu miałem szczęście.

— Samo szczęście by nie wystarczyło. Odwaliłeś kawał dobrej policyjnej roboty.

— A co ty możesz o tym wiedzieć? — odpowiedział Thomas i skrzepowany odwrócił głowę.

— Taka jest prawda. Nie znam nikogo tak upartego jak ty. Jeśli ci na czymś zależy, to nie odpuścisz.

Johnson wyjął butelkę whisky, postawił ją na barze i sięgnął po szklankę. Thomas powstrzymał go.

— Dzięki, ale nie. Jeszcze za wcześnie.

Johnson wzruszył ramionami i odstawił butelkę.

— Ale rozumiem, że jesteś zadowolony?

— Owszem, chociaż wciąż wydaje mi się to takie nierzeczywiste.

Johnson nie do końca rozumiał, co Thomas ma na myśli.

— I co teraz? — ciągnął. — Kiedy wracasz do roboty?

— Nie wiem, czy w ogóle wrócę — Thomas pokręcił głową.

— Pewnie przyjmą cię teraz z otwartymi ramionami.

— Pytanie, czy ja tego chcę. Mam co do tego wątpliwości.

— Dlaczego? Osiągnąłeś więcej niż cała szwedzka policja.

Thomas westchnął głęboko. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć, więc po prostu milczał.

— Przestańcie go dręczyć — wtrąciła się Victoria. — To chyba normalne, że ma wątpliwości. Przed chwilą wrócił ze Szwecji, kraju, który jest ojczyzną wszelkich wątpliwości. Nic dziwnego, że nie bardzo wie, co i jak.

Johnson wytarł blat ścierką i posłał Victorii chłodne spojrzenie.

— A od kiedy ty jesteś taką ekspertką od Szwecji? O ile mi wiadomo, nigdy nie przejechałaś mostem na drugą stronę Sundu.

Oczy Victorii zrobiły się wąskie jak szparki.

— Dobrze wiesz, że moja noga nigdy nie postanie na tym moście, symbolu naszej hańby. To gówno powstało tylko po to, by te ich nic niewarte volva mogły zjeżdżać prosto z taśmy na most i jechać dalej do Europy.

Thomas wstał. Rozmowa przybrała taki obrót, że przestała go interesować.

— To twoja stara śpiewka — odezwał się Johnson. — A wszystko dlatego, że raz zdarzyło ci się zatankować ropę do twojego starego volva amazona. Mam rację?

Wszyscy się roześmieli.

— A to dlatego, że na stacji benzynowej były złe oznaczenia — odbiła piłeczkę Victoria, popijając wermut. — Poza tym to nie było volvo amazon, tylko PV. A tak przy okazji, co z tym starym mercedesem, Thomas? Zamierzasz go zatrzymać?

— Wydział techniczny go zabrał. Pewnie odeślą go do Szwecji.

— Piękny wóz.

— Tak, jeśli się nie wie, co leżało w jego bagażniku.

— Trafiłeś w sedno — stwierdziła Victoria i odstawiła kieliszek.

Thomas wyjął z kieszeni kilka banknotów, ale Johnson pokręcił głową.

— Ja stawiam. Poza tym, dokąd się wybierasz? Leje jak z cebra.

— Na komendę. Wezwali mnie. Szefostwo chce się dowiedzieć, po co pojechałem do Szwecji.

— Powinni dać ci medal.

— Będę miał szczęście, jeśli skończy się na upomnieniu.

Thomas pociągnął za smycz, Møffe warknęła i niezadowolony opuścił ciepłe legowisko.

62.

Thomas wszedł do wydziału dochodzeniowego policji przemoczony do suchej nitki. Wytarł twarz ręką i rozejrzał się, szukając kogoś, kogo by znał. Miał wrażenie, że dookoła widzi same nowe twarze. Møffe otrząsnął się z wody.

— Ravn! — zawołał Mikkel, machając do niego zza biurka.

Thomas pokiwał głową i ruszył w jego stronę. Przyjaciel wstał i zaczął bić mu brawo.

— Gdybyś nie był taki mokry, to...

— Tobyś mnie uściskał — dokończył Thomas i objął Mikkela, który rad nierad poddał się uściskowi.

— Jesteś strasznie mokry — powiedział Mikkel.

Uwolnił się z jego objęć i spojrzał na mokrą plamę na swojej nowej jasnej koszulce.

— Dalesz Szwedom popalić. A ja myślałem, że masz urlop.

Thomas uśmiechnął się skromnie.

— Najwyraźniej nie do końca.

— Podobno w piwnicy było pełno trupów. Same kurwy — odezwał się Melby, który właśnie do nich dołączył.

— Aż tak źle nie było. — Thomas podał mu rękę.

— Jakiś chutliwy psychopata.

— Nie mam pojęcia, co nim powodowało.

Mikkel usiadł na blacie biurka.

— Więc poszedłeś tam, do tej piwnicy, bez żadnego wsparcia, bez broni, bez radia, bez czegokolwiek?

— Niestety, mój glock został tutaj, w szafie na broń — uśmiechnął się Thomas.

Mikkel uderzył go w plecy.

— Do licha, Ravn. Prawdziwy z ciebie Rambo.

— Wiem, że to nie była najbardziej przemyślana decyzja, jaką w życiu podjąłem.

— Dobrze, że wróciłeś. — Mikkel zwrócił się do młodego jasnowłosego policjanta, który siedział przy sąsiednim biurku: — Tim, możesz spakować swoje rzeczy i przesiąść się do Allana.

Tim spojrzał na niego zdziwiony znad komputera.

— Ale to jest przecież moje miejsce.

— Nie, ty je tylko pożyczyłeś. Było twoje do powrotu Ravna. I ciesz się, że w ogóle pozwolono ci tak długo siedzieć wśród dorosłych. No, pakuj się — powiedział Mikkel, dając mu znak, żeby się pospieszył.

Tim zaczął wstawać.

— Siedź — powstrzymał go Thomas. — Wpadłem tylko w odwiedziny.

— Jak to? — spytał Mikkel, zaskoczony.

— Brask mnie wezwał.

— Wiem, ale później...

Thomas milczał, po chwili schylił się i przywiązał smycz do nogi biurka Melby'ego.

— Najgrubszy pies policyjny na świecie — stwierdził Melby, spoglądając na Møffego.

— Ale siła uścisku jego szczęki wynosi cztery tony, więc nie radziłbym ci go obrażać.

Szczególnie teraz, kiedy masz jego pysk na wysokości krocza.

Melby przezornie odjechał nieco krzesłem od biurka.

Kiedy Thomas wszedł po chwili do niewielkiego narożnego pokoju, będącego gabinetem Braska, inspektor stał przy oknie i patrzył na Halmtorvet, który w ulewnym deszczu przedstawiał dość ponury widok.

— Gdziekolwiek człowiek spojrzy, wie, że ktoś tam łamie prawo. Tuż pod naszym nosem — powiedział i znużony pokręcił głową. — Można by pomyśleć, że jesteśmy obłożeni przez krwiożerczych Indian.

Opuścił firankę i odwrócił się do Thomasa.

— Ale rozumiem, że ciebie to nie dotyczy. Nadal jesteś na urlopie?

Thomas nie odpowiedział, odsunął krzesło od biurka i usiadł.

— Siadaj, siadaj — rzucił Brask. Obszedł biurko i zajął miejsce po drugiej stronie.

— Szwedzi szaleją.

— Cały kraj czy tylko policja?

Oczy Braska zwęziły się.

— Nie bądź taki dowcipny. Nie jestem w nastroju.

— Przykro mi — Thomas rozłożył ręce.

— Bez przerwy wydzwanają do mnie jacyś szwedzcy inspektorzy. Nie rozumiem połowy z tego, co do mnie mówią.

— Powinni się cieszyć, że mają o jedną sprawę mniej.

— Zapewniam cię, że nie jest im do śmiechu. Zginął ich człowiek.

Thomas zmarszczył czoło.

— Nie traktują chyba Erika Lindgrena jak swojego człowieka? Facet był seryjnym mordercą. Sądziłem, że będą chcieli się od niego zdystansować.

— W każdym razie nie tak szybko, jak ty uciekleś im ze świadkiem koronnym, do tego samochodem sprawcy.

Thomas pokręcił głową.

— Zrobiłem wszystko, żeby skontaktować się ze szwedzkimi władzami. Kilkakrotnie dzwoniłem do przełożonego Lindgrena, który jednak z powodu uroczystości w Związku Policjantów był... niedysponowany.

Thomas nie chciał pogarszać sprawy, więc nie dodał, że pijany Karl pozwolił Lindgrenowi odwiedzić się do domu po przyjęciu.

Brask nachylił się nad biurkiem.

— Znam cię, Ravn. Potrafię sobie wyobrazić, że dałeś im się nieźle we znaki.

— Przykro mi, że tak sądzisz. Biorąc pod uwagę okoliczności, mogę tam wrócić i wszystko wyjaśnić. Jeśli chodzi o Erika Lindgrena, to działałem w obronie własnej. Badania techniczne na pewno to potwierdzą. Facet był uzbrojony, oddał do mnie dwa strzały.

— Zapewniam cię, że nikt tam specjalnie za tobą nie tęskni.

— Więc w czym problem?

— Chodzi o dziewczynę.

— O dziewczynę? O Masę?

— Bingo! — Brask pstryknął palcami.

— Czego od niej chcą? Wie o Lindgrenie tyle samo co ja, może nawet mniej.

— A o jego współpracownikach?

Thomas odsunął się na krzesło. Jego mokre jeansy zaczęły się kleić do plastikowego krzesła.

— Lindgren działał sam. Natomiast chronił Slavrosa i jego ludzi. Jeśli szwedzka policja weźmie się do roboty i przeszuka Arizonę, znajdą dość dowodów przeciwko Slavrosowi.

Brask sięgnął po jedną z teczek leżących na biurku. Otworzył ją i zaczął przeglądać

zawartość.

— Policja przeprowadziła nalot na okolicę na północ od stacji Hjulsta. Zarekwirowano piętnaście kilogramów kokainy i osiem kilogramów heroiny. Poza tym luksusowe samochody i inne kradzione towary o łącznej wartości około trzech milionów szwedzkich koron...

— Tam był burdel. Wiesz może, co się stało z więzionymi w nim dziewczynami?

Brask przeciągnął palcem po tekście.

— W wyniku nalotu zatrzymano łącznie trzydzieści pięć osób różnej narodowości.

Większość zostanie deportowana po uprzednim odbyciu kary. Niewątpliwie dotyczy to również kobiet, o które pytałeś, jeśli, jak mówisz, parały się prostytutką.

— Jasne — rzucił Thomas z sarkazmem w głosie. — Więc chyba mają wszystko, czego potrzebują.

— Nie do końca — powiedział Brask, zerkając na niego znad papierów. — Vladimira Slavrosa nie ma, niestety, wśród zatrzymanych. Jest obecnie poszukiwany we wszystkich już chyba krajach w Europie. Szwedzka policja chce się dowiedzieć od dziewczyny, gdzie go szukać.

— Rozumiem, ale nie sądzę, żeby ona to wiedziała. Była więziona w tej piwnicy, podobnie jak inne dziewczyny.

— Jeśli dojdzie do rozprawy, będą chcieli, żeby była świadkiem koronnym.

— Więc muszą się z tym do niej zgłosić.

— Problem polega na tym, że ona nie chce z nikim rozmawiać. Z nami też nie. Można wręcz odnieść wrażenie, że próbuje chronić Slavrosa.

— Kiedy próbowaliście z nią rozmawiać?

— Melby był u niej w szpitalu wczoraj wieczorem.

— Melby? — parsknął Thomas. — Z nim ja też bym nie chciał rozmawiać. Nawet jeśli od tego zależałoby moje życie. To dureń, nie ma w sobie nawet odrobiny empatii. Masza musi najpierw dojść do siebie. Nabrać do wszystkiego dystansu.

— Mówiła ci coś?

— Nie.

Thomas odwrócił głowę w stronę okna. Zastanawiał się, czy powinien przekazać Braskowi pamiętnik Maszy. Chociażby po to, żeby zyskać dla niej trochę czasu. Uznał jednak, że nie może tego zrobić bez jej wiedzy i zgody. To Masza musi zdecydować, czy chce pomóc policji, czy nie.

— Zamyśliłeś się — Brask przerwał jego rozmyślania. — Ukrywasz coś przed nami?

— Nie.

— Twoje relacje z nią były dość szczególne.

Podkreślił słowo „szczególne” w taki sposób, że zabrzmiało wręcz wulgarnie.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Daj spokój, Ravn. Uratowałeś jej życie. To musi mieć wpływ na wasze relacje.

— Skoro tak twierdzisz.

— Na pewno jest ci wdzięczna. Może chciałaby się jakoś odwdziżyć? To normalny mechanizm psychologiczny.

— Spekulacje. Z całym szacunkiem, ale to tylko spekulacje. — Na twarzy Thomasa pojawił się wymuszony uśmiech. — Masza nie jest mi nic winna.

Brask odchylił się w krzesło i skrzyżował ręce na piersiach.

— Tak czy inaczej, mógłbyś z nią porozmawiać. Spróbować przekonać ją do współpracy z nami albo ze Szwedami.

— Mówiłem jej, że uważam, że powinna wnieść oskarżenie przeciwko Slavrosowi. Jeśli nie czuje się na siłach, jest to jej decyzja. Sądzę, że powinniście dać jej spokój. Potrzebuje czasu,

żeby dojść do siebie.

— Nie rozumiem, czemu tak się upierasz — Brask pokręcił głową. — Czy to ma coś wspólnego z twoją sprawą? Czy twoja niechęć ma być rodzajem zemsty?

— Chyba nie rozumiem, co...

Brask kontynuował:

— Wierz mi, że zrobiliśmy wszystko, żeby się dowiedzieć, kto włamał się do waszego mieszkania i zabił... Evę.

Thomas zacisnął dłonie na oparciu krzesła.

— To dwie całkowicie różne sprawy.

— Może nie do końca — wszedł mu słowo Brask. Wstał i przyglądał mu się uważnie.

— Co masz na myśli?

— Dziewięćdziesiąt procent wszystkich włamań do mieszkań to dzieło gangów ze wschodu. Bandyci są świetnie zorganizowani. Ktoś taki jak Slavros ma kontakty, może dużo wiedzieć. Więcej niż my. Może będzie gotów z nami o tym porozmawiać.

Thomas milczał.

— Kto wie, może jeśli znajdziemy Slavrosa, dotrzemy do informacji, które pomogą nam złapać mordercę Ewy — dokończył Brask.

Uśmiechnął się, ale uśmiech zamarł na jego ustach, kiedy Thomas wstał z krzesła, wyraźnie wściekły. Najchętniej udusiłby Braska jego własnym poplamionym krawatem. Te rozważania były wzięte z sufitu, inspektor chciał tylko przycisnąć podwładnego do muru. Wymóc na nim zgodę. Thomas spojrział na niego pustym wzrokiem.

— Zanim tu wszedłem, miałem wątpliwości, czy w ogóle chcę wracać. Chociaż kocham to, co robię, a chłopcy z dochodzeniówki są dla mnie jak rodzina. I sądzę, że masz rację, mówiąc, że jesteśmy ostatnim bastionem. Ostatnią deską ratunku dla wielu ludzi.

Brask uśmiechnął się chłodno.

— Nie jestem pewien, czy rzeczywiście dobrze mnie zrozumiałeś.

Thomas wruszył ramionami.

— Tak czy inaczej, ułatwiłeś mi podjęcie decyzji — powiedział i podał mu rękę. Brask, zdziwiony, uściśnął mu dłoń. — Do widzenia, Brask — rzucił Thomas i ruszył do drzwi.

Inspektor patrzył za nim ze zdumieniem.

— Ravn? Ravn, do diabła, jeszcze nie skończyliśmy — zastukał knykciami w blat biurka. Thomas wyszedł, nie obejrzawszy się za siebie.

63.

Deszcz przestał padać. Przed budynkiem miejscowej świetlicy na Dronningensgade grupa chłopców grała w piłkę. Piłka potoczyła się pod nogi Thomasa, który niósł torby z zakupami, prowadząc na smyczy Møffego. Kopnął ją w stronę chłopców, ci zaś podziękowali mu i wrócili do gry. Thomas szedł do swojego mieszkania. Dziwnie się czuł, trochę jak marynarz wracający do domu z długiego rejsu. Jego smutek pogłębiało to, że wystawił „Biancę” na sprzedaż. Teraz gdy stracił pracę, nie miał szans utrzymać łodzi. Wiedział, że zapewne na tym straci, ale pieniądze, które zaoszczędzi chociażby na bieżących opłatach za miejsce w marinie i utrzymanie łodzi, nie były bez znaczenia w jego obecnie kiepskiej sytuacji finansowej. Postawił torby na podeście i zaczął szukać klucza do bramy. Mała karteczka przy domofonie z imionami jego i Evy była zmięta i ledwie widoczna. Powinien wymienić ją na nową. Otworzył drzwi, wszedł na klatkę i z torbami pełnymi zakupów ruszył na górę po schodach. Wszedł do lodowatego mieszkania, zerknął na piętrzące się w holu broszury reklamowe i listy, po czym skierował się do kuchni. Przez chwilę miał wrażenie, że właśnie wrócił z Evą z niedzielnych zakupów. Eva zawsze przygotowywała wcześniej sążniste listy, on natomiast zgarniał z półek wszystko, o czym w danym momencie pamiętał, że trzeba kupić. Wyjął zakupy z toreb, wszedł do salonu i odkręcił grzejniki. Na dworze zapadł zmrok, więc zapalili światła. Po raz pierwszy od śmierci Evy był w mieszkaniu na trzeźwo. Co bynajmniej nie ułatwiało powrotu. Może powinien coś tu zmienić, pomalować ściany, wyremontować łazienkę? Planowali to od dawna, ale jakoś nigdy się do tego nie zabrali. Thomas wyszedł do holu, gdzie Møffe zrobił sobie legowisko na stercie reklam. Leżał ze wzrokiem wbitym w drzwi.

— Opuść sobie, Møffe. Nigdzie się nie wybieramy.

Pies zamlaskał i opuścił łeb, jakby chciał powiedzieć, że nie zamierza się nigdzie ruszać.

Thomas wszedł do sypialni i zaczął zmieniać pościel. Najpierw zdjął brudną, po czym znalazł czystą w szafce. Nie znosił zmieniać pościeli, zawsze robiła to Eva. Spojrzał na otwartą szafę, w której wisiały jej ubrania. Wcześniej czy później będzie musiał zrobić z nimi porządek. Na samą myśl poczuł wyrzuty sumienia. Zastanawiał się, czy nie spakować wszystkiego do kartonów i nie znieść ich do piwnicy. Kiedy skończył słać łóżko, poszedł do kuchni i przygotował sobie kanapki. Nasypał karmy do psiej miski, do drugiej nalał wody. Møffe jednak nadal warował pod drzwiami.

Thomas miał wrażenie, że cisza w mieszkaniu aż krzyczy. Włączył telewizor i usiadł przed nim z kolacją. W wiadomościach podano krótką informację o wydarzeniach w Sztokholmie. Badania przeprowadzone przez policyjnych techników w domu Lindgrenów potwierdziły, że Erik Lindgren zamordował wszystkie sześć kobiet. Poinformowano także, że policja rozważa ponowne otwarcie dawnej sprawy związanej z zabójstwem matki Erika. Nadano także wywiad z Karlem Lugerem sprzed domu Lindgrenów. Karl sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, Thomasowi zrobiło się go żal. Próbował wyobrazić sobie, co czuje człowiek, kiedy się dowiaduje, że jego najbliższy współpracownik jest winny tak poważnego przestępstwa. Zastanawiał się, co by czuł, gdyby chodziło o Mikkela czy kogoś innego z wydziału. Jak łatwo nasze wyobrażenie o tym, kto jest dobry, a kto zły, może lec w gruzach.

Kiedy skończył jeść, poszedł do łazienki wziąć prysznic. Spojrzał w lustro i stwierdził, że wygląda okropnie. Twarz nie była, co prawda, już tak bardzo spuchnięta, ale rozcięta brew źle się goiła i wyglądała jak czarny leśny ślimak. Wszedł pod prysznic i odkręcił ciepłą wodę. Rana po zębach pitbula ropiała. Kiedy odwiedzał Maszę w szpitalu, powinien był poprosić lekarza, żeby

obejrzał tę nogę. Wyszedł spod prysznica i położył się na łóżku. Czysta pościel pachniała przyjemnie. Zawołał Møffego, próbując zwabić go do sypialni, ale pies kontynuował strajk pod drzwiami w holu. Thomas poddał się i zamknął oczy.

Sen nadszedł natychmiast, ogłuszył go jak uderzenie młotkiem. Śniły mu się Szwecja, Masza i Eva. I posąg nagiej kobiety na Brantingtorget. We śnie widział też mamę Tove w żółtej kurtce, częstującą zupą młode kobiety z burdelu w piwnicy. Patrzył, jak Lindgren z pianą na ustach wstaje z asfaltu, trzymając w ręku pistolet, celuje w niego i tym razem trafia. Thomas poczuł, jak kula przeszywa ciało. Upadł. Wylądował w cynowej balii wypełnionej białą cieczą. Czuł, jak się w niej zanurza, jak powoli idzie na dno, a biała substancja, podobna do wapna, przenika mu do ust, do nosa, zatyka przełyk.

Zabrakło mu powietrza, usiadł na łóżku. Wyblakły T-shirt z logo North Sails na piersi był mokry od potu. Za oknem sypialni wstawał szary świt. Na stoliku obok łóżka brzęczała komórka. Spojrzał na budzik. Było wpół do szóstej. Nie miał pojęcia, kto mógł dzwonić do niego o tak wczesnej porze. Zdezorientowany sięgnął po komórkę i odebrał połączenie.

— Dzień dobry, Duńczyku. Obudziłem cię? — usłyszał głos z wyraźnym rosyjskim akcentem.

— Z kim rozmawiam?

— Ze Slavrosem. Z Vladimirem Slavrosem.

— To jakiś żart?

— Zapewniam cię, że nie jestem w nastroju do żartów. Nie po tym, jak policja zamknęła moje kluby, przeszukała w środku nocy mój dom, strasząc moją rodzinę i zmuszając mnie do ucieczki. Więc możesz mi wierzyć, że ten telefon to bynajmniej nie żart.

Thomas podciągnął się na łóżku i oparł się o ścianę.

— Czyżbyś nareszcie dostał to, na co sobie niewątpliwie zasłużyłeś? Jakie to uczucie być ściganym? Boisz się?

— Proponuję nie mieszać uczuć do naszej rozmowy.

— Jak chcesz, ale nadal nie rozumiem, dlaczego do mnie dzwonisz? Najlepiej byłoby, gdybyś sam się zgłosił i miał już to wszystko za sobą. Wcześniej czy później i tak cię dorwą.

— To zależy ode mnie. Jest dość miejsc, w których mogę się ukryć.

Thomas ziewnął i podrapał się po brodzie.

— Ale rozumiem, że bez rodziny, bo jej zapewne szwedzka policja będzie teraz pilnie strzegła. Nie męczy cię to? Nie psuje przyjemności?

— Jak na gliniarza, to wcale nie jesteś taki głupi. Masz rację. Przyznaję, że stałem się typowym Svenssonem, z domkiem na przedmieściu i volvo na podjeździe, i że nawet to polubiłem. Przyjemne życie. Bezpieczne. I bardzo spokojne.

— A teraz możesz się z tym wszystkim pożegnać. Na jakieś szesnaście lat?

— Chyba że sprawy ułożą się po mojej myśli.

Thomas się roześmiał.

— Twój optymizm wydaje się nieuzasadniony. Masz trochę za dużo za uszami. Jeśli dobrze pójdzie, będziesz dzielił celę z Arkanem, w zakładzie w Halldalan. Będziecie mogli się bawić w męża i żonę. Jestem pewien, że Arkan się ucieszy. Może powinieneś wydać Lindgrena, póki jeszcze był na to czas? Wtedy miałbyś w ręku jakąś kartę przetargową.

— Czemu sądzisz, że teraz jej nie mam?

— Nie wyobrażam sobie, co to mogłoby być.

— Ravn, sprawiasz mi zawód. Gdzie twoja intuicja? Może jednak wcale nie jesteś taki sprytny.

— Jest wcześnie rano, więc proponuję, żebyś po prostu powiedział, o co chodzi.

— Chętnie.

Przez chwilę w słuchawce słychać było trzaski, a potem dobiegł go kobiecy głos:

— Thomas? Pomóż mi, Thomas.

Thomas rozpoznał głos Maszy i poczuł, jak serce zaczyna walić mu w piersi.

— Gdzie jesteś? — zawołał.

Zanim Masza zdążyła odpowiedzieć, Slavros wziął od niej słuchawkę.

— Wypisałem Maszę ze szpitala. Teraz jej los jest w twoich rękach.

— Czego chcesz?

— Przeszła ci ochota na żarty? Spoważniałeś?

— Czego chcesz?!

Usłyszał, jak Slavros głośno oddycha.

— Kiedy już wydawało mi się, że sprawa przestanie istnieć razem ze zniknięciem świadka koronnego, nagle, stojąc na dachu tego cholernego szpitala, ona mówi mi, że wszystko spisała. Wyobrażasz sobie mój zawód? Co za niepotrzebna komplikacja. Za dużo luźnych wątków, a ja bardzo nie lubię luźnych wątków. Pytanie brzmi, czy mam jej wierzyć, czy też, zgodnie z pierwotnym planem, mam jej pomóc skoczyć z tego dachu...

— Ona mówi prawdę!

— Tak? Twierdzi też, że masz jakieś informacje, coś ci podobno dała...

— Tak, mam jej pamiętnik. Spisała wszystko w zeszycie, który dostała od ciebie. Miała prowadzić w nim rachunki.

Slavros się roześmiał.

— W porządku, wierzę ci. Wygląda na to, że jednak mnie nie okłamała. Czy muszę ci mówić, że zależy mi na tym, aby ten zeszyt trafił w moje ręce?

— Gdzie możemy się spotkać?

— Na Yderlandsvej. Jest tam nieczynny warsztat samochodowy. Z dużymi niebieskimi drzwiami. Nie możesz go przeoczyć. Bądź tam za dwadzieścia minut. Z jej pamiętnikiem. Sam.

— Slavros...?

W słuchawce rozległ się trzask, Slavros się rozłączył.

Thomas rzucił komórkę na łóżko. Przeciągnął palcami przez włosy. Sytuacja była kiepska. Gdy tylko pamiętnik trafi w ręce Slavrosa, zginą oboje. I Masza, i on. Slavros im nie odpuści. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zadzwonić do Mikkela, poprosić, żeby postawił na nogi cały wydział. Nie chciał jednak ryzykować. Jeśli Slavros zobaczy choćby cień policjanta, na pewno zabije Maszę i ucieknie.

Wstał z łóżka i podszedł do krzesła, na którym leżały jego kurtka, a pod nią pamiętnik. Pomyślał, że może sfotografować strony pamiętnika i przesłać je Mikkelowi albo Johnsonowi, ale to niczego nie zmieni, nie pomoże mu. Jeśli Slavros ma zostać oskarżony, policja musi mieć świadka koronnego. I oryginalne notatki. A zanosilo się na to, że nie będzie mieć ani świadka, ani notatek. Usiłował się skupić. Musi być jakieś wyjście, musi znaleźć sposób, żeby posłać Slavrosa za kratki.

Zaczął się ubierać i powoli w jego głowie zaczął rodzić się plan. Nie był pewien, czy jego pomysł ma szansę powodzenia. Wiele mogło się wydarzyć, ale nic lepszego nie zdołał wymyślić. A tak istniała przynajmniej iskierka nadziei, że uda mu się zakończyć tę sprawę raz na zawsze.

64.

Thomas szarpnął drzwi i otworzył je z trudem. Ostrożnie wszedł do hali dawnego warsztatu, w której nadal unosił się mdły zapach oleju i smarów. Gdzieś w głębi zauważył snop zimnego światła. W półmroku obok kanału stali Slavros i Michaił i palili cygara. Slavros odwrócił się do Thomasa i wypuścił chmurę dymu.

— Dałem ci dwadzieścia minut. Spóźniłeś się.

Thomas włożył ręce do kieszeni i podszedł bliżej.

— Na drodze były korki.

— O tej porze? Wątpię.

— Gdzie jest Masza?

Zaczął się rozglądać po pustej hali, ale nigdzie jej nie widział.

— Thomas Ravnsoldt? — Slavros wyciągnął do niego dłoń.

Thomas nie zareagował. Nawet nie wyjął ręk z kieszeni. Slavros strzepnął popiół z cygara, które zaczęło się żarzyć.

— Ravnsoldt. Ciekawe nazwisko. *Ravn*, kruk. W dawnych czasach używano kruków do polowań, podobnie jak sokołów czy orłów. — Znów strzepnął popiół. — Kruki były wyjątkowo brutalne. Najpierw oślepiły ofiarę, wykłuwając jej oczy, a dopiero potem dobierały się do innych organów.

— Proponuję odłożyć biologię na później. Gdzie jest Masza?

Slavros udał, że nie słyszy.

— W średniowieczu sądzono, że kruk przynosi nieszczęście. Uważano go za szkodnika. A wiesz, co się robi ze szkodnikami, prawda?

— Tępi się je — wszedł mu w słowo Michaił.

— Przyszedłem po Maszę. Gdzie ona jest?

Slavros zrobił krok do przodu i wskazał na kanał. Thomas zmrużył oczy, ostre światło oślepiło go. Gdzieś w głębi przy ścianie zobaczył Maszę. Drżała z zimna.

— Masza? Wszystko w porządku?

Masza nie odpowiedziała. Slavros się przesunął i zasłonił mu ją.

— Jak można nosić takie nazwisko? Nazwisko wywodzące się od szkodnika — powiedział i pokręcił głową. — Od złodziejskiego skrzydlatego szkodnika, żywiącego się padliną. Masz zeszyt?

— Dostaniesz go, jak tylko będę miał przy sobie Maszę.

Slavros zgasił cygaro na piersi Thomasa.

— Nie ty tu wydajesz rozkazy! Dawaj pamiętnik!

Thomas zachował kamienną twarz.

— Myślisz, że jestem na tyle głupi, żeby mieć go przy sobie?

— A ty myślisz, że jestem taki słaby, że nie będę w stanie wydobyć z ciebie odpowiedzi?

Thomas wzruszył ramionami.

— Szybciej wszystko załatwimy, jeśli będziesz się trzymał umowy.

Slavros uśmiechnął się, po czym dał znak Michaiłowi.

Mężczyzna podszedł do kanału i pomógł Maszy wyjść po stromej drabince.

— Nic ci nie jest? — zawołał Thomas.

— Dziwka ma się świetnie, dawaj pamiętnik!

Thomas odwrócił się w stronę drzwi i zagwizdał. Drzwi się otworzyły i ukazał się w nich

Eduardo. Wszedł do środka, ale potknął się o leżący na podłodze kabel, niewiele brakowało, a byłby się przewrócił.

— Co to za pajac? Mówiłem, że masz przyjść sam.

— Ktoś musiał mnie podwieźć.

Eduardo podszedł do Thomasa i podał mu zeszyt. Następnie zbliżył się do Maszy i wziął ją za rękę.

— Tędy, *señorita*.

Już miał z nią odejść, kiedy Slavros zagroził im drogę.

— Nie tak szybko, pajacu.

Thomas rzucił Slavrosowi zeszyt pod nogi, a ten natychmiast się po niego schylił.

Eduardo wykorzystał sytuację i pociągnął Maszę za sobą.

Slavros otworzył zeszyt. *Niels Lyhne* — zobaczył tytuł na pierwszej stronie, a na dole stempel „Antykwariat Victorii”, z adresem i numerem telefonu.

— Co to jest, do cholery? To nie jest pamiątnik tej dziwki! — krzyknął i rzucił zeszyt w stronę Thomasa.

W tym momencie w warsztacie zgasło światło, w ciemności rozległy się szybkie kroki. Slavros rzucił się z pięściami na Thomasa, ale trafił w powietrze.

— Zabiję cię...

— Jak wspomniałeś, kruk najpierw oślepią swoje ofiary — powiedział Thomas i uderzył Slavrosa pięścią w twarz.

Mężczyzna zrobił krok do tyłu. Zamachnął się, ale i tym razem nie trafił.

— Slavros, co się dzieje, do cholery?

Michał stał jak sparaliżowany obok kanału. Zakrył twarz dłońmi, jakby się przed czymś bronił. Pierwszy cios trafił go w przepoń — skulił się. Następny w szczękę — zatoczył się do tyłu. Przez chwilę balansował na krawędzi kanału, dostał cios w plecy i wpadł do środka. Zobaczył nad sobą twarz Johnsona, który chciał się upewnić, że Michał nie będzie próbował wstać.

Slavros wyciągnął z buta bagnet.

— Duńczyku, gdzie jesteś? — wołał w ciemnościach, przekładając bagnet z jednej ręki do drugiej.

Gdzieś z głębi hali dobiegł hurgot. Slavros się odwrócił, chwycił mocniej bagnet i powoli zaczął iść w stronę, z której dochodził dźwięk.

— Koniec tej zabawy w chowanego. Zaraz pożałujesz, że nie dałeś mi pamiątnika, kiedy jeszcze był na to czas.

Hałas przybierał na sile. Slavros się rozejrzał; o moment za późno dostrzegł zawieszony na łańcuchu silnik, który sunął w jego stronę i w końcu uderzył go w pierś. Rosjanin przewrócił się i upadł na podłogę. Leżał nieruchomo. Thomas podszedł do niego i nogą wytrącił mu z ręki bagnet, tak żeby nie mógł go dosięgnąć. Slavros starał się zaczerpnąć powietrza, ale za każdym razem, kiedy próbował odetchnąć głębiej, z jego płuc dobywał się jęk. Miał pęknięte żebra.

Thomas podszedł do Johnsona.

— Dzięki za pomoc.

— Drobiazg — mruknął Johnson, masując obolałą pięść.

— Nic ci się nie stało? — spytał Thomas.

— To nic takiego — zapewnił go pospiesznie Johnson i schował dłoń za siebie.

Nagle za ich plecami pojawiła się Victoria.

— Dopadliście drani?

— Gdzie jest Masza? — spytał Thomas.

— Stoi obok szafki rozdzielczej razem z Eduardem.
Thomas pokiwał głową i sięgnął po komórkę.

Pół godziny później na placu przed warsztatem zaroilo się od radiowozów. Znow zaczął padać deszcz. Kilku funkcjonariuszy w mundurach wyprowadziło Slavrosa i Michaiła z warsztatu do policyjnej furgonetki.

Masza podeszła do Thomasa. Ratownicy z karetki dali jej wełniany koc, narzuciła go na siebie.

— Nie wiem, jak mam ci dziękować.

— W ogóle o tym nie myśl — uśmiechnął się do niej Thomas.

Masza spuściła głowę.

— Zrobię to, co od początku powinnam zrobić. Najwyższa pora, żebym zaczęła się zachowywać tak jak trzeba.

— Nie rób sobie wyrzutów. Wiele przesłaś.

Masza patrzyła za odjeżdżającym radiowozem, w którym siedział Slavros. Ich oczy spotkały się na moment. Masza odwróciła głowę i spojrzała na Thomasa.

— Porozmawiam z policją...

— Jesteś pewna, że tego chcesz?

— Bardzo się boję, ale tak, chcę tego. Nie pozwolę, żeby dalej krzywdził ludzi.

Thomas uśmiechnął się do niej przez deszcz.

65.

Kilka dni później Thomas stał na pokładzie „Bianki” i próbował wypompować wodę z ładowni na rufie. Nieszczęsny luk przepuszczał deszcz i na dnie ładowni zbierała się woda. Thomas się pocił. Zdjął kurtkę i pracował w koszulce z krótkimi rękawami, chociaż na dworze panował dokuczliwy mróz. Z północy nadszedł nagle zimny front, spóźnione pozdrowienie ze Sztokholmu. W kajucie leżał Møffe, walcząc z wojskowym kamaszem, który Thomas dla niego znalazł.

— Ravn?

— Co mogę dla ciebie zrobić, Preben? — odpowiedział Thomas, słysząc za sobą głos szefa maryny.

Preben stał z rękami w kieszeniach. Podciągnął spodnie, odsłaniając białe skarpetki.

— Naprawiłeś prąd? — spytał, wskazując głową na łódź.

— Przynajmniej na tyle, żeby nie powodować spięcia. Jeśli ktoś będzie ci się skarżył, to tym razem jestem niewinny.

— Nikt się na nic nie skarży — zapewnił go Preben, przyglądając się łodzi. — Eduardo mówił, że zamierzasz ją sprzedać.

— Owszem.

— Ile byś za nią chciał?

Thomas przestał pompować wodę, wyprostował się.

— Jesteś zainteresowany? — spytał.

— Niewykluczone. Za odpowiednią cenę, oczywiście.

Thomas z trudem powstrzymał śmiech.

— Mam wrażenie, że kiedy ostatnio tu byłeś, mówiłeś coś o katastrofie ekologicznej, pamiętasz?

— Oczywiście. I nie zmieniłem zdania. Doprowadzenie jej do jakiegoś takiego stanu będzie wymagało sporo pracy. Dlatego nie spodziewaj się kokosów, ale chętnie pomogę ci znaleźć na nią kupca.

— Dzięki, to miło z twojej strony, ale doszedłem do wniosku, że chyba jednak ją zachowam.

Preben zamrugał oczami, wyglądał na obrażonego.

— Oczywiście to twój wybór. Chciałem ci tylko pomóc.

Thomas pokiwał głową i wrócił do wypompowywania wody.

— Nadal wycieka z niej ropa, Ravn. Będziesz musiał coś z tym zrobić.

Thomas nie odpowiedział, tylko dalej wylewał wodę z ładowni. Po chwili usłyszał na nabrzeżu stukot drewniaków Prebena.

Po południu wpadł Eduardo. Wsadził głowę do kajuty, w której Thomas właśnie parzył kawę.

— Co ja słyszę?

— A skąd ja mogę wiedzieć? Napijesz się kawy?

— *Sí, gracias*. Więc jednak jej nie sprzedajesz?

Thomas się uśmiechnął.

— Plotki szybko się rozchodzą.

— Zawsze tak było. Preben był w Wydrze, więc pewnie wszyscy już wiedzą.

Thomas ponownie się uśmiechnął.
— Preben jest ostatnią osobą, której sprzedałbym „Biancę” — oświadczył i zaczął nalewać kawę.
— Stać cię, żeby ją utrzymać? Teraz gdy zostałeś bez pracy?
— Nie — odparł Thomas. Siedział na krześle kapitańskim i popijał kawę. — Chyba że sprzedam mieszkanie.
Eduardo odstawił kubek.
— Naprawdę jesteś gotów to zrobić?
— Myślę, że tak. Dla mnie ono już nigdy nie będzie prawdziwym domem.
— Ale to świetne mieszkanie.
— Na pewno. Dlatego też liczę, że sporo za nie dostanę.
— Nie będziesz tego żałował?
— Nie wiem. Po prostu czuję, że muszę iść dalej, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi
— wyznał Thomas. Spuścił głowę i wpatrywał się w pokład.
— Myślisz, że policja znajdzie w końcu mordercę Ewy?
— Nie, chociaż jakaś szansa oczywiście istnieje — powiedział Thomas i wstał z krzesła.
— Poza tym Møffe kocha tę łódź — dodał.
Eduardo spojrzął na psa, który spał obok schodów prowadzących do kajuty.
— Teraz pies będzie tobą rządził?
Thomas wzruszył ramionami.
— Chyba zawsze tak było.
— Jeśli sprzedasz mieszkanie, to przeniesiecie się na „Biancę”?
— Przynajmniej do czasu, aż znajdę sobie coś nowego.
Eduardo rozejrzał się po łodzi.
— Będzie ci tu zimno.
— Mam ogrzewanie.
— Działa?
Thomas pokręcił głową.
— Nie, ale będzie działać. Trochę cierpliwości, a zobaczysz, jaki to ładny jacht
— powiedział, mrugając porozumiewawczo do przyjaciela. — Najładniejsza *señorita* w całej marinie.